

ODSLOWAWA
DOZFO MV
RADOMSKIE
WARSZATA TY
LITERACKIE

OD SŁOWA
DO FORMY.
RADOMSKIE
WARSZTATY
LITERACKIE

Miejski Ośrodek Kultury AMFITEATR

OD SŁOWA
DO FORMY.
RADOMSKIE
WARSZTATY
LITERACKIE

Radom 2019

Redakcja: Justyna Dąbrowska, Paweł Błach

Korekta: Justyna Dąbrowska

Projekt graficzny i skład: Marcin Kucewicz

Wydawca: Miejski Ośrodek Kultury „Amfiteatr” w Radomiu



ul. Parkowa 1

26-600 Radom

e-mail: amfiteatr.radom@wp.pl

www.amfiteatr.radom.pl

© MOK „Amfiteatr” Radom, Autorzy, Radom 2019

Druk i oprawa: Instytut Technologii Eksploatacji

– Państwowy Instytut Badawczy w Radomiu

Wydanie I

Publikacja udostępniona za zgodą autorów. Całość ani żadna z jej części nie może być przetwarzana ani wykorzystywana w celach komercyjnych.

Sfinansowano ze środków Gminy Miasta Radomia w ramach projektu „Kuźnia talentów – Budżet Obywatelski 2019”.

X BUDŻET OBYWATELSKI

ISBN: 978-83-949621-1-1

Spis treści

Wstęp

Paweł Błach /11/

Proza

Jacek Dehnel /17/

Monika Chmielewska – *Pierwsze zdanie* /19/

Katarzyna Chołuj – *Było sobie dzieciństwo* /21/

Katarzyna Chołuj – *Nie tak* /22/

Maria Chudziak – *Co ty o mnie wiesz?* /24/

Monika Daszkowska – *** /26/

Agnieszka Łazińska – „” /28/

Lidia Mikocka-Rosińska – *Laleczka* /30/

Eliza Mikulska – *Granica* /32/

Amelia Pudzianowska – *Nasze wspólne nieumieranie* /34/

Ryszard Ryziewicz – *Maria Bałowa* /36/

Magdalena Szczęśna – *W oknie* /39/

Marta Wiktoria Trojanowska – *Chimera* /41/

Aneta Wygonna – *Czyszczenie basenu* /43/

Dramat

Magdalena Wleklík /47/

Paweł Błach – *Pieśń humbaka* /48/

Monika Chmielewska – *Plus minus trzy* /67/

Katarzyna Chołuj – *Dramat na dramacie* /82/

Cezary Gawor – *Intercity* /98/

Robert Jabłoński – *Tylko miłość ucierpiała* /124/

Eliza Mikulska – *Jarzmo* /132/

Amelia Pudzianowska – *Człowiek szalony i wiedźmy* /141/

Lidia Mikocka-Rosińska – *Trio w duecie* /161/

Ryszard Ryziewicz – *Imieniny* /170/

Aneta Wygonna – *Szczęście w nieszczęściu* /185/

Warsztaty międzypokoleniowe

Anna Rudnicka-Litwinek /199/

Miłosz Bartos – lat 12 – *Najdłuższa chwila* (pod redakcją Eweliny Bartos) /200/

Julia Maciejczyk – lat 14 – *Urok wody* (pod redakcją Marty Maciejczyk) /205/

Laura Porębska – lat 10 – *Smoczy pazur* (pod redakcją Bernarda Porębskiego) /212/

Zuzanna Rosińska – lat 11 – *Nietypowa przygoda*
(pod redakcją Lidii Mikockiej-Rosińskiej) /231/

Kryminał

Marcin Wroński /247/

Katarzyna Chołuj – *Cukierniczka* /248/

Cezary Gawor – *Łada* /257/

Lidia Mikocka-Rosińska – *Trup w kadrze* /267/

Eliza Mikulska – *Latarka* /277/

Poezja

Michał Zabłocki /287/

Radom – Wiersze na murach

Maciej Bujanowicz, Katarzyna Chołuj /288/

Monika Daszkowska, Robert Jabłoński /289/

Lidia Mikocka-Rosińska, Eliza Mikulska /290/

Amelia Pudzianowska, Ryszard Ryziewicz /291/

Aneta Kamila Sieradz, Aneta Wygonna /292/

Wiersze własne

Maciej Bujanowicz – *Z poezją u nogi, Coming out, Jesień* /291, 294/

Katarzyna Chołuj /295/

Monika Daszkowska /295/

Robert Jabłoński /296/

Lidia Mikocka-Rosińska /296/

Eliza Mikulska – *Koszmar, Trach, Miasto nocą* /296/

Amelia Pudzianowska – *Nauka pływania w łyżeczce wody* /297/

Ryszard Ryziewicz – *Starcy i Zuzanna, Wenus, Kuchnia niby francuska* /295, 298/

Aneta Kamila Sieradz – *Cztery pory siebie – zima* /296, 299/

Katarzyna Wiśniewska – *Cierpienie młodego Karola Kota, życie zaczyna się po osiemdziesiątce, spacer po gorącym blaszanym dachu* /300, 301/

Aneta Wygonna – *Komputer jest, W poniewierce, Linia Krzywa* /302/

Akademia Młodych Autorów

Katarzyna Chołuj /305/

Przygody Pana Piątka /307, 308/

Maja Urbańska & Dominika Chudoń, Oliwia Paciorek & Maria Wierzbicka,
Matylda Wilkowska, Antonina Kot, Amelia Żurowska,
Amelia Brodnicka & Marta Pudzianowska, Alicja Bąk

Amelia Brodnicka – *W ciemności* /309/

Maria Wierzbicka – *Szczęście na ekranie* /312/

Matylda Wilkowska – *Dzień z życia gangsterów* /314/

Amelia Żurowska – *Idąc w rozpacz* /317/

Słuchowisko

Krystyna Chołoniewska /321/

Katarzyna Chołuj – *Pociąg* /322/

Lidia Mikocka-Rosińska – *Laleczka – 16+* /330/

Eliza Mikulska – *Ostatnia rola* /344/

Ryszard Ryzewicz – *Imieniny* /351/

Magdalena Szczęsna – *Mienie ruchome* /364/

Dominik Włoskiewicz – *Spisek* /369/

Fotorelacja z warsztatów /390/

Wstęp

Gdyby istniał wystarczająco zaawansowany generator tekstu oparty na sztucznej inteligencji, wstęp do niniejszej antologii powstałby bardzo szybko i bez stresu piszącego, wynikającego z goniących terminów lub z obawy o odbiór. Wystarczyłoby zadać owej AI (artificial intelligence) temat, a może nawet i styl, podłączyć do bazy danych, by po chwili dostać stosowny wstęp lub wstępy do wyboru. Byłoby to niezwykle wygodne i przyjemne. Zamawiający taki tekst mógłby nawet czuć się jego współautorem, bądź nawet autorem, podobnie jak pędzący samochodem kierowca uważa, całkiem przecież słusznie, że to on sam jest tak szybki i silny. Niestety, nie miałem pod ręką innego generatora tekstu poza tym, w który wyposażono mnie we wczesnej młodości. Być może w niedalekiej przyszłości powstaną generatory, których dzieła będą „nieodróżnialne” od tych pisanych przez ludzi albo nawet od nich lepsze. Może czytelnicy będą bojkotowali twórczość algorytmów (o ile będą w stanie je odróżnić) i będą chcieli czytać dzieła wyłącznie ludzkie. W naszym przypadku nie mamy wątpliwości, że teksty zawarte w antologii są dziełem ludzi zaangażowanych i utalentowanych.

Stanisław Lem pisał: „Jak wiadomo, wydawcy nie boją się niczego tak jak wydawania książek, gdyż w pełni już działa tak zwane prawo Lema (Nikt nie czyta; jeśli czyta, nic nie rozumie; jeśli rozumie, natychmiast zapomina) ze względu na powszechny brak czasu, nadmierną podaż książek oraz zbytnią doskonałość reklamy”.

W tym przypadku wydawca nie bał się opublikowania książki. Nie jest komercyjna. Nie miał też obawy co do autorstwa zamieszczonych w niej tekstów. Co do prawa Lema wydawca zachowuje dozę optymizmu – przecież ludzie uwielbiają słuchać dobrych historii, a tych w antologii nie brakuje. Nie brakuje w niej również różnorodności. Znajdą w niej Państwo prozę, poezję, scenariusze słuchowisk, dramat i kryminał. Z pewnością te same teksty będą inaczej rezonowały w różnych czytelnikach, co jest pożądanym zjawiskiem, ponieważ daje pole do dyskusji. Nie mam wątpliwości, że w niniejszej antologii znajdą Państwo (o ile nie spełni się prawo Lema) wiele przyjemności i mnóstwo literackich światów stworzonych w bogatej wyobraźni autorów. A sami autorzy są wyjątkowo różnorodni. Dwa warsztaty przeznaczone były dla młodzieży. Ich teksty zaskoczyły prowadzących. Zaskoczą zapewne i Państwa. W reszcie warsztatów mogły uczestniczyć osoby od szesnastego roku życia i dorośli. Z tej mieszanki wieku, doświadczeń i wrażliwości wyszła różnaitość pomysłów, form i bohaterów, ich przygód i rozterek. Dajmy się porwać tej literaturze.

Do prowadzenia warsztatów udało się zaprosić świetnych specjalistów: Krystynę Chołoniewską, która zajęła się warsztatami pisania scenariuszy do słuchowisk radiowych, Katarzynę Chołuj, która pracowała z grupą dziewczynek w ramach warsztatów młodzieżowych, Annę Rudnicką-Litwinek, która zdecydowała się poprowadzić eksperymentalne warsztaty międzypokoleniowe oraz Magdalenę Wleklik, która zajęła się warsztatami dramaturgicznymi. Jacek Dehnel mógł wybrać między warsztatami poetyckimi lub prozatorskimi i zdecydował się na prozę. Warsztaty poetyckie poprowadził autor tekstów do piosenek Grzegorza Turnaua, czyli Michał Zabłocki. Dzięki Panu Michałowi wiersze autorów były przez cały czerwiec wyświetlane w Krakowie na ulicy Brackiej w ramach akcji *Wiersze na murach*. W arkana pisania kryminałów wprowadzał radomskich adeptów literatury Marcin Wroński. Patronat nad warsztatami objęło Studium Literacko-Artystyczne Uniwersytetu Jagiellońskiego, najstarsza w Polsce Szkoła Pisarzy, która w 2019 roku obchodziła jubileusz 25-lecia istnienia.

Poza warsztatami w ramach literackiej części projektu *Kuźnia talentów – Budżet Obywatelski 2019* odbyły się spotkania z uznanymi twórcami. Listopad był dla Amfiteatru małym festiwalem literackim. Przyjechał do nas Jacek Dukaj, z którym rozmawiał dziennikarz i pisarz Wojciech Orliński. Odwiedził nas również Szymon Hołownia. Spotkanie z nim miałem przyjemność sam poprowadzić. Hołownia właśnie w Radomiu po raz pierwszy zabrał publicznie głos w związku z pogłoską o jego kandydowaniu na urząd prezydenta Polski. Zakończeniem listopadowego maratonu literackiego było spotkanie z Remigiuszem Grzelą, które poprowadziła Magda Mołek.

Na powstanie antologii *Od słowa do słowa – Radomskie warsztaty literackie* miało wpływ wiele osób. Należy zacząć od Wiesławy Stachurskiej, która zgłosiła projekt zorganizowania warsztatów literacko-teatralnych do radomskiego Budżetu Obywatelskiego i zabiegała o głosy na niego. Pani Wiesławo – serdecznie dziękuję za zaangażowanie i niezwykle aktywność! Dwa lata temu MOK „Amfiteatr” realizował bliźniaczy projekt *Kuźnia talentów – warsztaty literacko-teatralne*, który również zgłosiła do BO Wiesława Stachurska. Jego efektem było m.in. wydanie antologii *Popisani – Radomskie warsztaty literackie*.

Osób, którym należy podziękować, jest wiele. Dziękuję wszystkim radomianom, którzy głosowali na projekt w Budżecie Obywatelskim 2019. Warto angażować się społecznie, na co Wasze działania są znakomitą dowodem. Dziękuję wszystkim pracownikom Amfiteatru, bez których fachowej pomocy i zaangażowania trudno wyobrazić sobie realizację tak złożonego projektu, jakim była *Kuźnia talentów*.

Dziękuję wszystkim prowadzącym warsztaty literackie: Krystynie Chołoniewskiej, Katarzynie Chołuj, Annie Rudnickiej-Litwinek, Magdalenie Wlekluk, Jackowi Dehnelowi, Marcinowi Wrońskiemu i Michałowi Zabłockiemu. Stworzyli Państwo niezwykle przestrzeń twórczego fermentu, otwartości i kreatywności. Jednocześnie chętnie dzielili się Państwo swoją bardzo bogatą wiedzą i doświadczeniem. Czas spędzony z Państwem był zarówno dla uczestników warsztatów, jak i dla mnie, niezapomnianym doświadczeniem.

Dziękuję Dyrektorowi Amfiteatru – Waldemarowi Doleckiemu, który po raz drugi zaufał mi i powierzył niełatwe, ale wdzięczne zadanie realizacji części literackiej projektu *Kuźnia talentów – Budżet Obywatelski 2019*. Dziękuję za zaufanie i pomoc.

Podziękowania należą się również pracownikom Urzędu Miejskiego w Radomiu na czele z Prezydentem Radomia Radosławem Witkowskim, Prezydentem Karolem Semikiem oraz Dyrektorem Wydziału Kultury – Sebastianem Równym.

Last but not least. Dziękuję wszystkim uczestnikom warsztatów. Cieszę się, że mogłem Was spotkać. Poświęciliście mnóstwo czasu i włożyliście spory wysiłek w swoje teksty. Możecie wreszcie wziąć antologię w ręce i poczuć jej ciężar. Prawda, że przyjemny? Życzę Wam wielu literackich, i nie tylko literackich, sukcesów. Mam nadzieję, że ten jest jednym z nich. A czytelnikom życzę przyjemnej i inspirującej lektury. Możecie mieć, przynajmniej na razie, pewność, że tworzą ją ludzie.

Paweł Błach

ODS
DO
SLOW
FROM
DOWN

PROZA

prowadzący:

Jacek Dehnel

Teksty, które trzymają Państwo w rękach, powstały na warsztatach twórczego pisanie, jakie miałem przyjemność prowadzić w Radomiu w roku 2019. Od początku było dla mnie jasne, że w planach jest taka antologia oraz że dla uczestników ważna jest nie tylko obecność w niej, ale również przechodzenie przez cały proces przygotowywania, pisanie i redagowania poszczególnych tekstów. Dlatego też starałem się obmyślić ramy pozwalające nam na stworzenie mniej lub bardziej spójnej całości, która pokazywałaby podobieństwa i różnice pomiędzy poszczególnymi warsztatowiczami i ich wizjami literatury.

Tego rodzaju praca zawsze polega w dużym stopniu nie na samym przekazywaniu wiedzy, ale na spotkaniu – spotkaniu edukujących i edukowanych. Moi uczniowie to grupa nie tak znowu liczna, bardzo jednak zróżnicowana: pod względem wieku, doświadczenia pisarskiego i życiowego, zainteresowań, osobistej wrażliwości. Chciałem zatem wybrać takie zadanie, które zarówno wzbogaciłoby ich arsenał pisarskich środków, jak i pozwoliłoby zabłysnąć na różne sposoby osobom o różnej sprawności literackiej oraz pokazać indywidualny rys. Indywidualność bowiem w każdej twórczości należy do spraw najważniejszych.

Wreszcie, rozumiejąc, że teksty te nie powstają w oderwaniu, lecz w kontekście innych warsztatów reprezentowanych w tej samej antologii oraz w kontekście analogicznych zbiorów dotychczasowych (a oby i przyszłych), postanowiłem wybrać formę, która w jakiś sposób zaznaczy również drugą stronę tego spotkania – czyli mnie. Nie żebym był tu szczególnie ważny, skoro jednak nauczyciele nie wykładają tu wedle z góry ustalonego programu, tylko prezentują serię autorskich zajęć, to niech znajdzie to odzwierciedlenie również w samej antologii.

Sięgnąłem zatem po ekfrazę, formę bardzo mi bliską od wielu lat, którą stosowałem i w wierszach, i w prozie. Tradycja ekfrazy sięga antyku, choćby słynnego opisu tarczy Achillesa w „Iliadzie” – bo jest to właśnie twórczy opis dzieła sztuki. Taki, który nie jest zwykłym sprawozdaniem z tego, co się znajduje na obrazie, witrażu czy tkaninie, tylko mówi nam coś więcej i sam staje się dziełem. Praca nad ekfrazami uczy zarówno pisania, jak i, co nie mniej istotne, patrzenia.

Warsztatowicze sięgnęli zatem do fotografii – częściowo z mojej kolekcji, częściowo z własnych zbiorów – oraz malarstwa. Na kanwie tych obrazów napisali własne, wnikliwe historie, które, mam nadzieję, przypadną Państwu do gustu.

Jacek Dehnel



Źródło: Zbiór prywatny
autorki tekstu

Monika Chmielewska

Pierwsze zdanie

Ponoć mocą każdej opowieści jest pierwsze zdanie. Moje będzie mocne, miażdżąco dobre. O ile je wymyślę.

Zdjęcie dziadka Mietka znalazłam w torebce foliowej, wśród innych fotografii-wspomnień babci Stefy, żony dziadka Mietka. Choć czasem mam wrażenie, że to ono znalazło mnie. Tak, i tu muszę wspomnieć, w tym momencie, że gdybym znalazła owo zdjęcie, tylko to jedyne w pustym pudełku po cygarach, w dziurze, w ścianie, ta historia nabrałaby rozpędu.

Zdjęcie, czarno-biała odbitka z dziurką po szpilce, nadgryzionymi rogami. Są lata osiemdziesiąte, imieniny w moim rodzinnym domu, poznaję po zastawie stołowej, tej enerdowskiej w niebieskie kwiatki. Suto jak na tamte czasy zastawiony stół.

Z pewnością sałatka jarzynowa i szklanki w koszyczkach, i literatki. Dziadek Mietek stoi na tle okna. Tłem dla niego są zasłony z modnym i teraz liściastym motywem i światło. Słoneczny, jasny rozprysk przenika przez zasłony i otacza dziadka Mietka. Otacza, nie oświetla, jest jak otulina wokół niego, która swą mocą ściskania wbiłaby się w miękkie ciało i wcisnęła w środek, by dojść do sedna. Bo dziadek Mietek miał tajemnicę. Nigdy nieodgadniętą, nigdy nawet nie nadgryzioną odkryciem.

Babcia Stefa opowiadała kiedyś, że dziadek Mietek podczas drugiej wojny światowej został wywieziony „na roboty” do Niemiec. Uciekł i po „jakimś długim czasie” trafił do Austrii, skąd wrócił do Polski.

Nikt nic nie wie, nikt nic nie wiedział. Mówiono tylko o tym, że stało się „coś bardzo złego i strasznego. Mietek nigdy nie chciał o tym mówić”. Dziadek Mietek zmarł dwadzieścia kilka lat temu. Zabrał odpowiedzi ze sobą, zostawiając ciekawską wnuczkę ze swoją tajemnicą. Bo jego tajemnica, która w sumie dla niego nie była nią wcale, została przez moją ciekawość odziedziczona, choć nie jest jakoś niewygodna, nie uwiera, nie jest piętnem.

Z dziadkiem Mietkiem kojarzą mi się następujące różności: bardzo ciemna karnacja i duże uszy, szuflada w kuchennym stole pełna narzędzi, bambusowe wędki, spacerzy nad zalew, kiedy dziadek z założonymi na lędźwie rękami sunął powoli napawając się spokojem, i jego buczące akwarium. Gdy byłam niegrzeczna, tupał mocno nogą i śmiejąc się krzyczał: „Cicho, bo gumą”. Był wysoki. Mało mówił i nie lubił mojego ojca.

To nie był typowy, bajkowy dziadzio, pełen miłości i opiekuńczości, a jednak jest w tym zdjęciu jakiś niezrozumiały pokład wiedzy o nim. Sposób, w jaki sięga po sól, zaciśnięta wielka dłoń, spojrzenie cioci Lucyny, spojrzenie, w którym pełno jest uczucia. Jest w TYM dziadku Mietku jakaś siła, twardość stania mocno na ziemi. I to światło, które otula jego postać, które rozpromienia całe zdjęcie.

Mam pierwsze zdanie.

Dziadek Mietek miał tajemnicę, Dziadek Mietek był tajemnicą.



Źródło: Zbiór prywatny
autorki tekstu
Autor: Zbigniew Chołuj
Czas: 1982

Katarzyna Chołuj

Było sobie dzieciństwo

Minęło.

Uśmiech do plastikowej lalki. Płacz, gdy nagle odpadły jej nogi. Radość, gdy wcelowało się dziurką w udzie na wystający z biodra plastikowy kikut. Zadowolenie, gdy samochodziki ruszały z miejsca. Złość, gdy uparcie zapierały się na plastikowych kółkach.

Tata na ciemnię adaptował łazienkę. Szybę w drzwiach zasłaniał ciemnym kocem w brunatną kratę. Pływałam w plastikowej pomarańczowej kuwecie w towarzystwie brata, rodziców, czasem kuzynów. Kąpaliśmy się przy zgaszonym świetle. Wszystkich poza tatą obowiązywał zakaz wstępu do łazienki. Czasem mogłam wejść. Patrzyłam, jak delikatnie wyjmował nas pęsetą z wody. Wiesział fotografie na sznurkach do bielizny. Po dwóch, trzech godzinach wyschnięci trafialiśmy wprost do albumu.

Na ścianie słomiana mata. Na kanapie czwórka szczęśliwców. Brat Krzysiek. Ubrany w poliestrowe beżowe ogrodniczki i niebieski sweterek w białe wzory. Dwóch kuzynów. I ja w wydzierganej przez mamę na drutach kamizelce. Z przodu napis – Kasia, wpleciony czerwoną włóczką. Niestety, plastikowa lalka, której podgryzam białe buty, zasłania imię.

Przeglądam zawartość pudeł w szafie. Znajduję kamizelkę, tę ze zdjęcia. Zmechacona, ale bez śladów inwazji moli. Przykładam do siebie. Spoglądam w lustro. Szukam podobieństw. Tylko błękit oczu ten sam.



Źródło: Zbiór prywatny
autorki tekstu
Autor: Zbigniew Chołuj
Czas: 1985

Nie tak

Cieszyła mnie samotność. Czekałam na nią. Dostałam szansę na samodzielne przygotowanie świąt. Rodzice wyjechali do sanatorium. Turnus kończy się dwa dni przed Wielkanocą. Zawsze marzyłam o świątecznej gorączce, ale to ja miałam zapraszać najbliższych do siebie. Tak powinno być. Nie jest. Zaakceptowałam.

Po porannej kawie i kilku papierosach siadłam przy kuchennym stole. Ponumerowałam puste strony i zaczęłam spisywać, co chcę zrobić. Umyć okna, uprać firanki, pościel i narzuty, to tylko kilka z punktów w kategorii porządku. Na osobnej kartce zanotowałam niezbędne zakupy. Kolejną listę przeznaczyłam na kulinaria. Sięgnęłam po opasy, zniszczony notes z przepisami. Upadł z impetem na podłogę. Wypadła z niego niezliczona ilość wsuniętych luzem kartek. Kucnęłam. Przejrzałam przepisy wycięte z gazet i te spisane na małych karteczkach. Znalazłam nieaktualne wizytówki domów wczasowych, restauracji, a nawet telefon do szewca i adres z godzinami otwarcia magła, który nie istnieje od lat. Natknęłam się też na kilka zdjęć. Odłożyłam, by nie tracić czasu. Pozbierałam

wszystko z gumoleum i zaczęłam kartkować notes w poszukiwaniu typowo świątecznych potraw. Wsunęłam kolorowe paski papieru przy serniku, domowym żurku, duszonym schabie i bigosie. Ominęłam pasztet, keks i mazurek. Przedświąteczną listę zakończyłam hasłem „wykonać wszystko, co powyżej”.

Zanim zaczęłam sprzątać, wyszłam na balkon zapalić. Szybkie dwa papierosy i zabrałam się za łazienkę. Wyczyściłam fugi wykałaczkami maczanymi w cuchnącym płynie przeciw pleśni. Odsunęłam pralkę i komodę z kosmetykami. Wyszorowałam podłogę. Poczułam zmęczenie. Pół godziny – pomyślałam i sięgnęłam po kopertę ze znalezionymi rano fotografiami.

Zatrzymałam się na zdjęciu, na którym biegnę uśmiechnięta po osiedlowym murku wokół stawu. Pamiętam, jak czekałam na tatę. Podszedł. Zrobił kilka ujęć. Nagle rozległ się wrzask mamy siedzącej nieco dalej na ławce.

– Zejdź natychmiast!

– Ale – nie zdążyłam dokończyć.

– Masz na sobie nowe ogrodniczki.

Zadziwiając często kończyłam zabawę przez bluzki, spodnie czy spódnice. Tych ostatnich nie lubiłam. Kiedyś w podobny sposób oberwałam za fikołki. Wówczas usłyszałam, że spodnie pękną mi na tyłku.

Po ponad trzydziestu latach murek jest ten sam. Tylko biec już nie mam siły. Jaka ja byłam naiwnie szczęśliwa – pomyślałam i zapaliłam papierosa. Zaniosłam zdjęcie do pokoju i przyczepiłam do korkowej tablicy wiszącej nad komputerem.

Trzy tygodnie później jedliśmy wielkanocny żurek. Mieszkanie pachniało czystością. Tylko tyle. Nie zdążyłam nic więcej. Przegrałam.



Źródło: awers-rewers.pl
Tytuł zdjęcia: Na bosaka
Autor: Jönsson Lona
Czas: lata 1980.

Maria Chudziak

Co ty o mnie wiesz?

Co ty o mnie wiesz?

Sadzasz mnie na krześle, robisz zdjęcie i myślisz, że mnie rozszyfrujesz.

A guzik.

Możesz szukać prawdy w moich bosych stopach, ale nigdy nie zobaczysz, ile przeszły. Nie odgadniesz, gdzie były i dlaczego. Nie zobaczysz wszystkich ran, odcisków, zmęczenia, które miały za sobą. Mogłbym ci je i podstawić pod sam obiektyw, a to nadal nic by nie dało. Nie zobaczysz tego. Ani ty, ani to ustrojstwo.

Możesz tego szukać w moim stroju — prostej koszuli na guziki i krótkich spodniach. Nie uda ci się to. Nieważne, jak długo będziesz starać się uchwycić idealny moment, nigdy nie zobaczysz wszystkich plam, brudów, dziur, które mogły się kiedyś na nich znaleźć. Nie

poznasz też wszystkich sytuacji, podczas których się tak ubierałem. Ty tego nie możesz wiedzieć. Ani ty, ani to ustrojstwo.

Możesz tego szukać w moim wieku. Nie dasz rady. Każda młodość jest inna, każdy przeżywa ją inaczej. Wywraca do góry nogami to, co być powinno na to, co jest i nic nie poradzisz. Na to nie mamy wpływu ani ty, ani ja, ani to ustrojstwo.

Możesz tego szukać w moich oczach. Nawet jeśli ci coś powiedzą, to nie jest wystarczające, by powiedzieć, że mnie znasz. Choćbyś zrobił na nie największe możliwe zbliżenie, nie zobaczysz w ich odbiciu wszystkiego, co mi się przytrafiło. Nie wyczytasz ich, te chwile są moje.

Więc sadzaj mnie na tym krześle, a ja skrzyżuję nogi, założę za głowę ręce niby to nonszalancko, choć to nic o mnie nie mówi. Nie spojrzę w obiektyw — możesz się zastanawiać, co to oznacza. I tak nie odgadniesz. To, na co tak naprawdę spoglądam, znam tylko ja.

Bo nigdy nie zobaczysz zagięcia, które mam środka. Nie pomoże ci w tym żaden aparat czy puste pomieszczenie, byś mógł się tylko skupić na swoim „modelu”.

Ostrość nie złapie tego, co najważniejsze — przeszłości i przyszłości. Całej teraźniejszości też. Tylko tę krótką chwilę, bezsensowną błazenadę.

A więc powiedz mi, co ty właściwie o mnie wiesz?



Źródło: awers-rewers.pl

Monika Daszkowska

Dwie osoby, ładne, eleganckie, matka i córka. Pobieżne zerknięcie na zdjęcie daje obraz pozornie miły. Ot, pamiątka rodzinna, zrobiona pewnego dnia w jednym z zakładów fotograficznych. Pewnie zawisła na ścianie gdzieś pomiędzy niedopasowanymi meblami, które udało się odzyskać po powojennej zawierusze. A może tylko jej brakowało na nowym, świeżo zakupionym regale z ciemnego forniru, na którym honorowe miejsce zajmowało dotąd radio Pionier z dzierzoniowskich zakładów Diora.

Smutna to pamiątka. Pozostała po dwóch kobietach, które nie miały czasu pokochać się. Traumatyczne przeżycia wojenne, obraz niedużego pokoju przedzielonego starym kocem jak kotarą tylko po to, by stworzyć pozorną intymność dla członków dwóch obcych sobie rodzin, widok blaszanego wiaderka i przyprawiający o mdłości zapach oddawanej do niego uryny, smutne odbicia w lustrze pełnym smug i wreszcie powojenne wiązanie końca z końcem nie pozwoliły na rozkwit miłości.

A gdy nie ma miłości, jest pustka tak ogromna, jak w oczach dziecka, dziewczynki, rozkwitającej nastolatki, młodziutkiej kobiety. Beznamiętne spojrzenie rozrywa serce. Gdzie jest radość? Przecież powinna być już widoczna na twarzach dzieci tej epoki... *wreszcie wolnych, mogących bezkarnie śmiać się w głos, oddychać pełną piersią, z uśmiechem na ustach podawać cegły robotnikom, by mieć swój mały wkład w odbudowę wolnej ojczyzny i z goździkami w kolorze krwi oraz pieśnią na ustach maszerować w radosnym tłumie.*

A gdzie jest życie tej dziewczynki? Tam, gdzie patrzy? Co widzi? Czy jest symbolem tych maluczkich, którym ciężko było pojąć okrucieństwo zniewolenia, tych, których rodzice ciągnęli za wciąż słabe ręce z miejsca na miejsce, byle szybciej, byle bezpieczniej. Czy jest symbolem tych, którzy w pierwszych latach komunizmu przyzwyczaili się do ciągłego czekania na: wodę, jedzenie, mieszkanie z kwaterunku, obcych ludzi w domu, nowe ubranie zamiast uszytego ze starej zasłony. Ona dała im głos, niemy głos i puste spojrzenie...

I tylko wprawne oko dostrzeże mały, prawie niezauważalny uśmiech na ustach matki. Jakby niewinne, niemal niewyczuwalne muśnięcie warg córki, które zaledwie przyłożyła do jej policzka, wywołało dawno temu stłumione emocje.



Źródło: awers-rewers.pl
 Autor: Kazimierz Szymkowiak
 Czas: lata 1910.
 Miejsce: Poznań

Agnieszka Łazińska

„

Chris Costner Sizemore (ur. 4 kwietnia 1927, zm. 24 lipca 2016) – Amerykanka, u której w latach 50. rozpoznano wiele zaburzeń osobowości znanych obecnie jako zaburzenie dysocjacyjne tożsamości. Polega ono na występowaniu przynajmniej dwóch osobowości u jednej osoby. Zwykle poszczególne osobowości nie wiedzą o istnieniu pozostałych.

Nie tylko wzorce zachowań różnych osobowości są zazwyczaj odmienne, każda osobowość ma odrębną tożsamość, wspomnienia, zdarza się, że nawet płeć, iloraz inteligencji, ciśnienie krwi, ostrość wzroku, preferencje seksualne czy alergie.*

Okno, firanka, blat stołu przykryty obrusem. Wszystko to rozmazane, jakby ukryte za mgłą. Nierealne. Nieistotne. A może nieprawdziwe? Za szybą coś widać. Jednak co to jest? Las? Park? Nie sposób określić.

W centrum zdjęcia wyraźnie odcinają się sylwetki trzech młodych kobiet, których czarne kapelusze i tego samego koloru płaszcze od razu przyciągają wzrok. Takie same nakrycia głowy, takie same stroje, takie same fryzury – wszystko to składa się na obraz rzeczywistości jeszcze bardziej szarej, niż została ukazana na czarno-białej fotografii, już delikatnie zbrązowiełej przez upływ czasu.

Ale czy to na pewno wszystko, co można powiedzieć o tym zdjęciu? Przecież te dziewczyny wyglądają identycznie, nie jak osobne istoty z własnymi imionami, historiami i rodzinami, lecz trzy oblicza tej samej osoby, zarówno takie same, jak i całkowicie różne. Zupełnie jakby słynna Chris Sizemore udała się do fotografa, aby uwiecznić swoje trzy osobowości i nawet po zakończeniu leczenia móc je wspominać.

Kobieta po lewej stronie to Ewa White. Ta niezwykle pewna siebie i żywiołowa dziewczyna nie czuje się dobrze w tej sytuacji. Siedzi nerwowo, jakby tylko cudem powstrzymała się od wstania zza stołu. Na twarzy ma ledwo widoczny uśmiech, a na jej kapeluszu gołąb zrywa się do lotu, jakby za pomocą tej ozdoby chciała krzyknąć: „Patrzcie! Jestem tu!”. Jednak jej oczy pokazują strach. Chris zapisała się na terapię.

Na środku wyraźnie góruje nad pozostałymi Ewa Black. Poważna i wyprostowana, pokazuje swój zdecydowany charakter. Jedną rękę opiera na ramieniu siedzącej obok dziewczyny, jakby chciała ją przytrzymać. A może pocieszyć? Najbardziej zwraca w niej uwagę jej zacięty wyraz twarzy, w którym jednak widać coś jeszcze. Rezygnację? Pogodzenie z losem? A może ulgę? Leczenie się rozpoczęło.

Po prawej stronie Jane. Mimo tego, że siedzi tuż obok pozostałych dwóch kobiet, sprawia wrażenie wyraźnie zdystansowanej, jakby oddzielała ją niewidzialna ściana. Nie jest jedną z nich, stworzyli ją lekarze jako ostatnią szansę Chris na upragniony spokój. Nie jest żywiołową Ewą White ani zimną Ewą Black, tylko kimś dokładnie po środku. Z tego powodu siedzi tam, odepchnięta przez pozostałe kobiety, w całkowitym spokoju. Ona nie musi się bać.

Od czasu zrobienia zdjęcia minęło wiele lat. Terapia zakończyła się sukcesem. Teraz to zdjęcie budzi melancholię, lub może lepiej byłoby powiedzieć – przygnębienie. Jednak mimo bolesnych wspomnień, jakie ono przywodzi, nie sposób zaprzeczyć, że jest coś niezwykle urzekającego w tych trzech sylwetkach skomponowanych w trójkąt, gdy wokół nich cały świat się rozplywa.



Źródło: awers-rewers.pl
Czas: lata 1920.
Miejsce: Polska

Lidia Mikocka-Rosińska

Laleczka

Jaki aniołek stoi tu przed nami. Śliczne blond loczki na twojej główce, bujne jak wata cukrowa. Grzebień bądź szczotka z pewnością ma problem, żeby się przedostać przez taką gęstwinę. Pochylona i przekrzywiona główka z pyzatą buziunią, której grymas obnaża skupienie na lali w twoich rączkach. Chyba ktoś zaplanował zrobić ci pamiątkowe zdjęcie w konwencji piktorialnej. Bardzo zadbane o to, żebyś ładnie wyglądała. Ubrano cię w rozkloszowaną, jasną sukieneczkę w różyczki, z marszczonym, zawiązywanym kołnierzykiem wokół szyi. Tylko te rękawki, jakby trochę przykrótkie, zakończone marszczeniem od gumki, odkrywają dziecinne, słodkie, niewinne rączki trzymające laleczkę. Ach, przecież ty sama wyglądasz jak laleczka. Wydaje się, że jest ciepło, bo założono ci krótkie, białe skarpetki odkrywające nóżki, jak u lali, której z takim zainteresowaniem się przyglądasz.

Nawet buciki macie podobne, z tym że ty masz dwukolorowe, biało-czarne chyba. Góra jest biała, a dół wydaje się z czarnej licowej skóry, błyszczy się, ale nie wygląda na lakierowany. Wiązane, jak u laleczki, tylko że jej buciki są całe białe. Niedaleko twej lewej nóżki stoi wózek, dość mały nawet jak dla tej lali, której z taką uwagą się przyglądasz. Widać, że skupiłaś uwagę fotografa wyłącznie na sobie, nawet jeśli ty nie skupiłaś się na nim, bo wózek jest prawie w połowie ucięty. Ach, ty laleczko o anielskiej urodzie. Jak czule przytulasz tę lalę ubraną w sukieneczkę wydzierganą na drutach lub szydełku. Na jej główce spoczywa biała czapeczka. Niestety, nie widzę, czy jest zawiązywana pod brodą, bo zasłaniają to twoje kochane rączki. A rączki lali wyciągnięte są w naszym kierunku, jakby chciały nas przytulić od twej anielskiej czułości, laleczko. Tak się jej uważnie przyglądasz, czule ją przytulasz i głaszczesz po... Głaszczesz? Przytulasz? Nie. Ty się nad nią znęcasz. Zatykasz jej buzię i nos, żeby nie mogła wzywać pomocy i krzyczeć z bólu, kiedy jej wyrывasz rzęsy i oczy wydłubujesz. Ty okrutna dziewczuszko, dusisz tę biedną lalkę, dlatego wyciąga do nas rączki. Tak prosi o pomoc. Może to jej ostatnie tchnienie, bo nóżki ma wyprostowane. Nie ma siły już się bronić przed torturami tego diablątka w anielskiej skórze. Z taką precyzją wyrывasz te rzęsy. Widać, że sprawia ci to satysfakcję. Zdradza cię ten twój szyderczy uśmieszek, który umknął na początku, wydawał się zwykłym zadowoleniem dziecka. Może to nie pierwsza twoja ofiara? Może już nie jedną lalkę tak wykończyłaś, ty Laleczko?



Źródło: Zbiór prywatny autorki tekstu
 Autor: Eliza Mikulska
 Czas: 2010

Eliza Mikulska

Granica

Na tym zdjęciu wyraźne są tylko dzieci, cała reszta jest rozmyta, stanowi tło dla tej dwójki. Fotografia z pewnością została zrobiona niedawno, mówi o tym wygląd głównych bohaterów, to, co robią, widoczne na drugim planie meble, a także to, że zdjęcie jest kolorowe.

Chłopiec i dziewczynka ubrani są w koszulki – dziewczynka na ramiączkach, chłopiec z krótkimi rękawami – oraz spodenki i sandały. Dzieci mają bladą skórę, co sugeruje, że to początek lata. A może nie opalą się w ogóle, bo troskliwa mama smaruje ich delikatne ciała kremem z wysokim filtrem? A może bawią się tylko w cieniu i ich skóra nie przybierze ciemniejszej barwy?

Czy dzieci się znają? Na pewno jest między nimi jakaś zażyłość, poufałość, czego dowodem jest zetknięcie się przez nie głowami. Czy to rodzeństwo, czy koledzy z przedszkola, czy sąsiedzi, czy też poznali się właśnie tu na wakacjach? A może to połączenie dziecięcych główek było zupełnie przypadkowe i wynikło z tej czynności, nad którą oboje pochylają się z wielkim zaangażowaniem?

Dziewczynka jest trochę młodsza od swego towarzysza, bardziej puciołowata i ma zdecydowanie bielsze włosy. Jej towarzysz z przejęciem coś rysuje na mozaice z kostki brukowej różową kredą. Dlaczego wybrał akurat taki kolor? Czy pod urokiem dziewczynki? Taki mały i już džentelmen? A może to jeszcze ten wiek, gdy chce się, by obrazek kipiał barwami, krzyczał nimi, by wylewały się one z jego wszystkich możliwych fragmentów? A może na bruku miała powstać tęcza? Blondynka zdaje się być zafascynowana każdym ruchem kredy w ręku chłopca, nie chce absolutnie nic uronić z powstającego dzieła.

W tle widać rozmyte konary drzew, zatem wszystko dzieje się w lesie, a właściwie na jego skraju. Po prawej stronie znajduje się boisko do siatkówki, trochę bliżej ławki i stół jak niemi świadkowie letniego rysowania. Czemu są opustoszałe? Gdzie rodzice tych dwojga? Czyżby byli zajęci rozmową ze sobą, a może to oni robili tę fotkę? Czemu nie ma innych ludzi? Czyżby rysowanie kredą było mało interesującym zajęciem? Czyżby pozostałe dzieci oglądały kreskówkę w telewizji, grały w gry na smartfonach lub siedziały z nosami w tabletach? Czy to zdjęcie nie pokazuje, jak powinno być? Nie wzbudza wspomnień z dzieciństwa, gdzie cuda techniki były jeszcze nieosiągalne, gdzie ważny był drugi człowiek?

Ta dwójka pokazuje jakąś tajemnicę. Ma własny świat, do którego nie każdy może zostać dopuszczony. Potrzeba do niego klucza, jak do tajemniczego ogrodu, a może eliksiru, by się pomniejszyć jak w „Alicji z Krainy Czarów” i przypomnieć sobie, co naprawdę ważne. Za sprawą tej dwójki niczego nieświadomych, małych bohaterów dokonuje się cud. Jeszcze nie wiadomo, jakie dzieło powstanie i czy ktoś je zobaczy, czy może za chwilę spadnie deszcz i rozmyje obrazek. To jednak w obliczu całości jest nieistotne.

Po prawej stronie zdjęcia, tuż przy lewym sandale chłopca biegnie cienka ciemna linia. Wygląda tak, jakby ktoś chciał odgrodzić tych dwoje od reszty świata, może przed czymś ochronić? Może chciał, by stanowili centrum wszechświata, byli jego pępkiem? A może za tą linią właśnie jest świat elektroniki, gdzie traci się dziecięcość? Ta linia wywołuje niepokój. Jest na tyle cienka, że można jej nie zauważyć i jednocześnie na tyle gruba, by stanowić przestroagę przed jej przekroczeniem. To wyraźna granica dwóch światów. Zdecydujcie, w którym chcecie żyć. Ja zdecydowanie wolę obcować z innym człowiekiem, dlatego też zostanę po tej samej stronie symbolicznego lustra co dzieci.



Źródło: awers-rewers.pl
 Tytuł: Jak z czeskiego kina
 Czas: lata 1960.
 Miejsce: Polska

Amelia Pudzianowska

Nasze wspólne nieumieranie

Była kobietą twardą, mięsistą, żwawą duszą wepchniętą w ubite ciało. Patrząc na jej zdjęcia, czuję, jak swoją niebywałą siłą łamię zasady czasu, śmierci, a przede wszystkim dobrego smaku. Ta dziwna kobieta zawsze stała w centrum, nie zważając na to, że w tym mieście ludzie się nie uśmiechali. Ona lubiła rechotać jak stary rozpustnik, uderzając otwartą dłońią w stół. Nożyce milczały.

Miała też ten szczególny talent, by z czegoś niezrozumiałego, parszywego, naprawdę głupiego wyłuskać całą esencję brzydoty. Nikt nie wiedział, dlaczego i jak, ale chyba wszystkim na korzyść były te jej bezsensowne czary. Kazała więc wujowi wyciągać akordeon, którego dźwięki sprawnie omijały uszy, aby dotrzeć do głębi człowieka, do tego miejsca, w którym już chyba nie jest się samym sobą, jest jakaś dziura i to z niej, jak mi się wydaje, pochodzi życie.

Miałem niezgłębiony podziw dla mojego żylastego wuja, który pomimo upływu lat miał na głowie las czarnych włosów i temperamentną żonę. Ten mężczyzna nosił pod koszulą serce gołębia, tylko że bardzo głodnego i bez nogi. W głowie trzymał potwory, przez które czasami jego oczy wydawały się ślepe, jakby umiały dostrzec tylko pustkę. Natomiast jego żona uwielbiała rzucać mu okrucy czułości, naprzemiennie szczypiąc go i całując przy ludziach, nawet kiedy bardzo nie wypadało. On też w gruncie rzeczy czasami się śmiał, lecz nigdy nie szczypał ciotki w jej rumiane poliki ani nie wyciągał akordeonu nieproszony.

Lubię wmawiać sobie, że po prostu te wszystkie chwile spędzone w obecności ciotki nie były proporcjonalne; do jakiego czasu potrzebowałem, by choć raz zatańczyć do melodii akordeonu. Czasem mam wrażenie, że gdzieś wewnątrz mnie brzmi jej głośny śmiech, tak jakby wydobywał się z tej przepaści, którą mam w sobie, tej, co wchłania przeżyte chwile, by potem wypluć je jakieś takie inne, pomięte. Proszę mi wierzyć, próbowałem uciec od jej obrazu, lecz udawało mi się tylko w snach, ale i to nie zawsze.

– Kto to jest? – zapytała któregoś razu moja kobieta, wskazując zdjęcie z roześmianą ciotką. Podniosła wzrok znad fotografii, pokazała zęby i z udawanym oburzeniem uderzyła się w udo. – Odpowiedz, bo będę zazdrosna, że nosisz jej zdjęcie w portfelu.

Na czarno-białym prostokącie widniała dwójka ludzi, przyłapanych w chwili tej radosnej rozkoszy, jaką jest głupota wieku dojrzałego. Biedne wujowskie kolano nieznacznie ugięło się pod ciotką, która sobie swawolnie na nim przycupnęła.

Odpowiedziałem jej figlarnym spojrzeniem.

– To jesteś ty, moja droga, tylko w innym wcieleniu.



Źródło:
Muzeum im. Jacka
Malczewskiego
w Radomiu
Autor obrazu: Jacek
Malczewski
Tytuł: Autoportret
z muzą (1908)

Ryszard Ryziewicz

Maria Balowa

Praca ciecia w sali Muzeum Malczewskiego w Radomiu nie była spełnieniem moich marzeń, pomimo mojego zainteresowania malarstwem. Jeden epizod uczynił ją jednak interesującą. Tę dziwną parę przed najważniejszym obrazem muzeum widziałem już trzeci raz. Ona, dwudziestoparoletnia, ubrana każdorazowo z nienaganną elegancją, kobieta o przepięknych błękitnych oczach. On, dużo od niej starszy „kolorowy ptak”, ubrany zawsze z denerwującą przesadą. Każdorazowo stawali tylko przed tym obrazem, jakby cała reszta galerii nie istniała. Szeptem wymieniali ze sobą jakieś uwagi, coś sobie pokazywali na obrazie z taką ekspresją, że raz musiałem zwrócić im uwagę, bo jeszcze chwila, a palcami dotykałoby płótna.

Ostatni raz kobieta przysła sama późnym wieczorem, jakieś czterdzieści minut przed zamknięciem muzeum. Jak zwykle stanęła przed obrazem. Wydawało mi się, że jej ramiona co jakiś czas rytmicznie podskakują. Kiedy podszedłem do niej, aby wreszcie opuściła salę, bo już zamykamy, zobaczyłem, że płacze. Całą twarz miała mokrą. „I on, i Jacek wiedzieli, że to nie może trwać wiecznie” – powiedziała i wyszła. Spojrzałem na „Autoportret z modelką”, przed którym zawsze stali. Jak mogłem wcześniej tego nie zauważyć? Różnica wieku pomiędzy malarzem a jego modelką była prawie taka sama jak u obserwowanej przeze mnie pary. Nie znałem historii oglądających, znałem natomiast historię Jacka Malczewskiego i jego modelki Marii Balowej. To był romans wszech czasów trwający prawie czternaście lat. Kiedy się poznali, ona była ledwie dziewiętnastolatką, a Malczewski był już dobrze po czterdziestce. Ona była dopiero co poślubioną małżonką starosty Adama Bala, on już wtedy sławnym i modnym malarzem. Zapałali do siebie uczuciem, w którym erotyzm przenikał się z malarstwem tak dalece, że niektórzy biografowie Jacka zupełnie negowali ich romans. Fakt, że opisy ich życia powstawały jakby prawie na bieżąco, kiedy nasi bohaterowie jeszcze żyli, a w każdym razie żyła Maria Balowa, więc trudno było pisać o pikantnych szczegółach.

Wróćmy jednak do samego obrazu. Co tak bardzo przykuwało uwagę tej dziwnej pary? Przeciętny widz nie zwróci na to uwagi, ale tutaj kochankowie Jacek i Maria odwróceniu są od siebie z wyraźną nutą smutku czy z troskaniem na obu twarzach. Czyżby pierwsza refleksja, że ich uczucie nie ma jakiegóż jasnej perspektywy, bo Jacek ma żonę i dwoje dzieci, a Maria męża? Co prawda całe środowisko, w który żyli, dyskretnie próbowało nie dostrzegać tego romansu, ale ten był aż nadto widoczny. Idący w tle obrazu mąż Marii, zakochany w niej po uszy, zbudował nawet specjalną pracownię dla kochanka swojej żony. W tej pracowni powstawały obrazy na zamówienie innych adoratorów Marii, a mimo to nie wybuchł żaden skandal. To mogłoby nastąpić kilka lat później, kiedy Malczewski z Balową wyjechali razem do Włoch.

Prawdopodobnie na tym obrazie są dwa autoportrety Jacka. Drugi to postać w kajdanach z fletem. Widzimy, czy może na pierwszy rzut oka nie dostrzegamy tego wieloaspektowego i wielopłaszczyznowego zniewolenia: ojczyzny, sztuki i własnych losów malarza. A Maria Balowa w geście refleksji, jakby zawstydzona po dopiero co odbytym stosunku, który wzbudził tylko melancholię. Przygarniana górna część sukienki daje nam wrażenie,

że piersi Marii jeszcze chwilę wcześniej były całkiem nagie, a teraz w pośpiechu schowane przed nieskromnym okiem widza. Malczewski był symbolistą, ale niechętnie mówił, co oznaczają poszczególne przedmioty i rekwizyty, i tę interpretację zostawiał widzowi. Nie lubił mówić, co oznaczają instrumenty, fauny i schody prowadzące w dół. Mówił: „to każdy powinien wiedzieć”.

Cóż, czy to, co napisałem jest prawdą, czy tylko wytworem wyobraźni ciecia, którym nigdy nie byłem, któż to wie. Idźcie do Muzeum, gdzie wisi „Autoportret z modelką”, poczytajcie o Jacku i o Marii, i oceńcie sami.



Źródło: awers-rewers.pl
Czas: lata 1950.
Miejsce: Włochy

Magdalena Szczęsna

W oknie

Czekanie czasem trwa. To może być nawet bardzo długo, gdy trwa taniec rąk na stole. Czekanie jest doskonałym ćwiczeniem dla oczu – wyostreza wzrok, każe zachować czujność i spokój. Czas oczekiwania na tego, który ma przyjść, zaczyna się już poprzedniego wieczoru. Starannie wybrana i wyprasowana biała sukienka. Do tego naszyjnik podkreślający kształt kobiecej szyi. W głowie zestaw pytań i możliwych odpowiedzi. Ona jest przygotowana na czekanie.

Wpatrzona w drzwi, to nimi musi wejść... właśnie – kto? Może odnaleziony po latach niebytu i zapomnienia ojciec, prawie wcale go nie pamięta, jakieś strzępki, kiedyś po prostu wyszedł i zamknął drzwi. I tylko ten cholerny list z prośbą o spotkanie, o wyjście

z odosobnienia. Kobieta wahała się, w końcu jest już taka dorosła, sama ma córkę. Tak, to ta dziewczynka w niedzielnej sukience, w rękawkach z bufkami. Tylko jakiś smutek w oczach, zupełnie jakby nie chciała robić sobie portretu przy tym kawiarnianym stole. Bo tu nie chodzi przecież o stół wigilijny, o to przysłowiowe puste miejsce dla zbłąkanego wędrowca. A może o to chodzi? Może dla niego jest to małe serduszko? Jakie serduszko? No, to wyrzeźbione w krześle, na wskroś puste, można tam rękę włożyć. Dodać trochę wspomnień i pytań, nawet bez odpowiedzi, krople żalu i krople radości. Dużo zmieści serce, nawet takie wyrzeźbione. Serce wiele zniesie, wiele zrozumie, jeszcze więcej zapomni, ba, nawet puści w niepamięć. Serce nie sługa, serce w rozterce, serce drewniane, dawno nie kochane.

Czeka to serce przy stole, tylko za oknem tak biało... śnieg w środku lata? Przecież my jesteśmy w letnich sukienkach – szepczą do siebie trzy serca. Jak przez ten śnieg za oknem dotrze tu ten, na którego czekamy? Białe za oknem, tak, czekanie czasem trwa.



Źródło: Zbiór prywatny autorki tekstu



Źródło: Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu
 Autor obrazu: Jacek Malczewski
 Tytuł: *Zatruta studnia z chimera* (1905)
 Na obrazie została sportretowana
 Maria Balowa - stąd imię dziewczynki.

Marta Wiktorja Trojanowska

Chimera

Wygląda, jakby niechcący wbiegła w kadr. Zdziwiona, zaskoczona własną obecnością. Bo skoro już jest, skoro pojawiła się nagle, to ktoś zaakceptował jej przypadkowe istnienie, ktoś kazał stanąć i zabronił się ruszać. Trochę przerażone oczy patrzą na fotografa wysoko ponad linią dziecięcego wzroku. Ma nie machać przez chwilę rączkami, ale jak? Zresztą... Zaraz wybiegnie z tego przedziwnego krajobrazu, zaraz podrepcze do mamy na krótkich chwiejnych nóżkach, może nawet otwarte ze zdziwienia usta przyjmą

kształt zabawnej podkówki i rozplące się jak zwykle. A kadr pozostanie dokładnie taki, jaki byłby bez niej – zbiorem losowych elementów, dziwnej scenerii, która... zdarzy się jeszcze. Ale wcześniej zostaną wymienione dekoracje. Zamiast budynku wyrośnie rozległy krajobraz zbóż i drzew. Mające w tle miasto wyłoni się zza altanki. Na razie jednak nikt z obserwujących tę chwilę niczego nie przeczuwa. Wszyscy patrzą na płochliwe, przerażone dziecko.

Ktoś wywoła później to zdjęcie i spojrzy przelotnie. Wszystko tu jakieś pouncinane, niezamierzone... I ta nieostra, poruszona dziewczynka. Żeby chociaż patrzyła w obiektyw. W końcu ma takie duże, piękne, zdziwione oczy. Trudno.

*

Wygląda, jakby fotograf pojawił się niechcący. Zdumiała się jego przypadkową obecnością, przestraszyła, bo ją przyłapał na psotach. Chwilę wcześniej uciekła od mamy i podbiegła na krótkich chwiejnych nóżkach do stojącej na podwórku beczki. Stanęła niewprawnie na palcach i próbowała zajrzeć do środka. Nic z tego. Wyrósł przed nią nagle, zawołał. Zdziwiona spojrzała wysoko. Zrobił zdjęcie, uśmiechnął się i potargał liche jasne włoski. A potem zostawił zaskoczoną. Nikt niczego nie widział, chociaż z oddali słychać już było głos mamy...

Ktoś kiedyś odnajdzie to zdjęcie i zawiesi na nim swój wzrok. Nie będzie mógł sobie przypomnieć, skąd zna ten obrazek. Coś mu się jednak przypomni. Rozległy krajobraz odległego miasta, łany koszonych wiatrem zbóż i ogromne pióra we włosach. Spojrzy raz jeszcze na niewyraźne dziecko i mimo wszystko uzna fotografię za udaną. W końcu ta mała ma takie duże, piękne, zdziwione oczy.

*

Tymczasem Marysia staje na palcach i odchyła wieko beczki. Nie odbije się w błękitnej wodzie, bo do niej nie dostanie, nie może więc przeczuwać jeszcze swojego losu... Ale ptaki już lecą i gubią w locie pióra, a pod dziecięcą koszulką, w którą ubrała ją mama, powoli wyrasta tygrysi ogon. Minie dużo czasu, zanim chwyci za swój długi warkocz, żeby przerzucić go na półnagie plecy, ale woda już dawno została zatruta.



Źródło: Radom.Retrospekcja
Autor: Jerzy Szepietowski
Czas: 1965
Miejsce: Radom
Basen przeciwpożarowy przy ul. Żeromskiego

Aneta Wygonna

Czyszczenie basenu

Radom, ulica Żeromskiego, rok 1965. Centrum miasta, które teoretycznie powinno „tętnić życiem”. Po ubiorze radomian można stwierdzić, że jest to wiosna lub jesienna słota. W każdym razie na pewno nie jest to lato. Na zimę również nie wygląda. Radomianie są ciepło ubrani, choć bardziej wiosennie. Nie ma zimowego puchu na drzewach, liści również brakuje. Choć zdjęcie czarno-białe, to widać, że była wtedy słoneczna pogoda. Na drugim planie można zobaczyć cienie drzew na budyńku.

Na środku zdjęcia wyróżnia się duża „dziura” otoczona betonem, pokryta błotem i wilgocią. To basen przeciwpożarowy. Siedem kobiet i dwóch mężczyzn czyści brud, który pojawił się na środku zbiornika. Może to pozostałości po akcji gaszenia pożaru, choć po zdjęciu nie widać, by taka sytuacja miała miejsce. Jedna z kobiet nawet nie sprząta, tylko chodzi i spogląda gdzieś w dal. Być może marzy o tym, by uciec stamtąd niepostrzeżenie, zerkając ukradkiem w stronę schodków. A może po prostu wypatrzyła tam kogoś znajomego lub zastanawia się, dlaczego trzech panów stojących na murku patrzy w ich stronę. Jeden z mężczyzn jest oparty o drzewo, jakby czymś lub kimś się zainteresował. Oczywiście mógł też tak zwyczajnie stanąć tam tylko po to, by chwilę odpocząć po dłuższym spacerze i zapalić papierosa. Po trzech mężczyznach widać, że są mocno zainteresowani tym, co dzieje się przed nimi w basenie przeciwpożarowym. To przecież jest dość niezwykłe, gdy widzi się ludzi w błocie, którzy w dodatku je sprzątają i próbują usunąć. Ubrani również niezwykle. Choć tak naprawdę jest to tylko praca dla pracy, by cokolwiek robić. W końcu to starsi ludzie, którzy i tak mają niezbyt wiele zajęć. To oczywiste, że takiej góry błota nie będą w stanie wyczyścić.

Nie wiadomo tak właściwie, co sprząta ta grupa dziewięciu osób. Czy błoto lub kałuże można całkowicie usunąć? Błoto to żywioł, który niekoniecznie da się pokonać. To właśnie je próbuje sprzątnąć grupa kobiet i mężczyzn. Chodzą ze zmiotkami, łopatą i zmiatają. Każda osoba ustawiona w inną stronę podąża swoją drogą. Nikt ich nie pilnuje, nie koordynuje wykonywanej tam pracy. Nie tylko sprzątanie ich absorbuje. Różne myśli zaprzątają ich głowy: o spokoju, odpoczynku, odejściu na emeryturę, a może nawet o śmierci?

Jeden z mężczyzn jest nieco zakłopotany, bo nie ma nawet czym sprzątać. Patrzy tylko, co zrobić, by nie upaść w tym bagnie i pozostać czystym. Dlaczego oni muszą sprzątać ten basen? Czy nie było młodszych i silniejszych od nich? Nikt widocznie nie chciał zgłosić się na ochotnika, więc znaleźli swoje „ofiary” do czyszczenia. Jak zawsze brak rąk do pracy, ale zarobić każdy by chciał. Pomimo nieprzyjemnego błotka, jeden gołąbek przyleciał, by popluskać się w kałuży. Tylko on nie przejmuje się tym, że będzie cały brudny i może będzie śmierdział.

Przysłowie chakaskie mówi: „Z zewnątrz nie uczynisz czystym tego, co jest brudne wewnątrz”. Czystość i brud ze sobą kontrastują. Czystość i brud, jak czerń i biel, wzajemnie się uzupełniają. Wokół są czyste ulice, samochody. Ludzie czyści sprzątają szlam

z basenu. Ludzie na pozór czyści zewnątrznie, lecz czy mają czyste sumienia? Może tę pracę muszą wykonywać za karę, by ukryć coś, co według nich nie powinno ujrzeć światła dziennego. Kto wie, czy nie pracowali w tajnej Służbie Bezpieczeństwa, podsłuchując innych. Teraz nikt tak naprawdę nie wie, kim byli ci ludzie, którzy sprząтали basen przeciwpożarowy. Czy ktoś w ogóle o nim pamięta? Pozostało tylko zdjęcie, czarno-białe wspomnienie.

DRAMAT

prowadzący:

*Magdalena
Wleklík*

Pojęcie autorstwa zmienia się w zależności od czasu i kultury. Czasy kolektywnej anonimowości pozostawiliśmy w Renesansie, a radykalną personalizację z pisanym tekstem w Romantyzmie, choć przecież, gdy tekst wspina się na szczyty, zawsze mamy do czynienia z wyraźnie emanującą osobą autora. Zaczynam akademicko z powodu dbałości o to, aby w niniejszej Antologii teoria spotkała się z praktyką. Tak działo się podczas moich warsztatów dramatopisarskich w radomskim Amfiteatrze.

Czerpaliśmy z najlepszych doświadczeń przeszłych pokoleń dramatopisarzy, aby podczas szlachetnej burzy mózgów oraz tytanicznego wysiłku pisarskiego, wyłonić kilka najlepszych tekstów, które zasilą na razie niewielkie jeszcze portfolia adeptów sztuki pisarskiej, a także – jako utwory zebrane – zostają wydane wspólnie. Co wyróżniało się podczas warsztatów, to szeroko zakrojona przestrzeń tematyczna, narracja bliższa filmowej niż teatralnej oraz ekspresja skoncentrowana na osobistych doświadczeniach. Akurat do tego ostatniego wyrażnie skłaniałam, gdyż we współczesnej sztuce scenicznej jest to popularne źródło poszukiwań. Być może bardziej interesujące niż ekspresja narodowa.

Wraz z autorami liczymy na Państwa przychylność. Wyobraźcie sobie strach tych, którzy poddawali się pierwszemu publicznemu czytaniu. I ich niepewne spojrzenie, gdy słuchacze zareagowali śmiechem w momencie niezamierzonym... Mnogość tekstów, które powstały w tym dosyć krótkim i intensywnym czasie pozwala przypuszczać, że nazwiska ich autorów jeszcze w przyszłości usłyszymy nie raz, ale to od czytelników i realizatorów zależy, czy zyskają one pełnoprawne miano dramatów.

Magdalena Wleklík

Paweł Błach

Pieśń humbaka

Scena I

Zapala się czerwona lampka. Człowiek wchodzi na scenę. Odwraca się tyłem do widowni, staje pod ścianą, rozpina rozporek i zaczyna sikać. Widać lecący mocz albo substancję do niego podobną. Człowiek sika kilkadziesiąt sekund, gwizdże pod nosem i niezrozumiale śpiewa. Kiedy kończy sikać, odwraca się i zasuwa rozporek. Jest uśmiechnięty i zadowolony. Wyciera dłonie o spodnie. Podnosi jedną z nich do nosa i wykrzywia twarz w grymasie niesmaku. Wyciąga dłoń w stronę widowni, jakby chciał, by poczuła to, co on.

Z: Nie macie czasem obrzydzenia do swoich ciał?

Wyciera dłoń o spodnie.

Z: Przyjrzyjcie się sobie. Dotknijcie, pomagajcie. Śmiało. Patrzcie. Ciągłe coś z nas wycieka, zbierają się w nas płyny i śluz. Coś w środku bulgocze, przelewa się z naczynia do naczynia śliskimi rurkami. Bo wiecie przecież, że mamy w środku rurki.

Palcami dotyka z obrzydzeniem swojego brzucha.

Z: Możecie zrobić taki eksperyment: przyłóżcie ucho do czyjegoś brzucha (jeśli dacie radę może być do swojego) i posłuchajcie przez chwilę. Słyszycie coś?

Śmieje się.

Z: No właśnie! Czego nie dotkniemy, zostawiamy tłusty ślad.

Wyciera dłoń o ubranie na wysokości klatki piersiowej.

Z: Bez przerwy produkujemy jakieś substancje: pot, ślina, gazy, kał, mocz, sperma, śluz. Wymieniłem tylko część. Do tego wydzielamy wonie. Zazwyczaj mało przyjemne.

Bierze w dłoń lusterko i intensywnie je wyciera.

Z: Musimy ciągle dbać o higienę. Myć siebie i swoje ubrania. I rzeczy, których dotykamy. To duży wysiłek.

Patrzy podejrzliwie na widownię i milczy przez chwilę.

Z: Dla niektórych za duży. Bez ustanku produkujemy i przetwarzamy substancje w różnych stanach skupienia. Jesteśmy dziurawi jak sito. Wydzieliny nie przestają się z nas wydostawać nawet przez chwilę. Ni w dzień, ni w nocy. Z wydzielin powstaliśmy. Z wydzielinami przyszlismy na świat. Z wydzielin żyjemy. Z wydzielinami umieramy. Życie jest ciągiem wymiany wydzielin. I nawet wydzielina was nie rozłączy. Z wydzielin powstałeś. W wydzielinę się obrócisz. Wydzielać albo nie wydzielać? Oto jest pytanie! I czyńcie sobie wydzielinę poddaną. Kocham zapach wydzieliny o poranku! Niech wydzielina będzie z tobą! Życie jest jak czyjaś wydzielina. Nigdy nie wiesz, na co trafisz. A może my jesteśmy wydzieliną Ziemi? A Ziemia wydzieliną wszechświata?

Milczy przez kilka chwil i zastanawia się nad czymś.

Z: Są sytuacje, w których, jeśli tylko wystarczająco się skupimy, dobrze zrozumiemy, jak dużą rolę w naszym życiu odgrywają wydzieliny. Poranna wizyta w toalecie albo pobyt w szpitalu. Tak. Szpital. Tam człowiek dobitnie dowiadyuje się, co w nim siedzi i co z niego wycieka. W szpitalu już nie ma ucieczki w świat przyjemnej ułudy. Sport. Wydzieliny są w nim elementem widowiska. Weźmy taki boks! (*Mówi wolno. Przyklada zaciśniętą w pięść dłoń do twarzy i symuluje uderzenie*) Człowiek zostaje uderzony, kamera pokazuje to w zwolnionym tempie, szczęka i nos przemieszczają się, ucho odskakuje na policzek, a pot tysiącem kropel leci w stronę szalejącej widowni!

Seks. Jeśli tylko wyłączymy emocje i popęd z aktu seksualnego, zostaje nam jedynie groteskowa kotłowanina dwóch ciał. Zupa porno. Wywar ze spermy, potu i wydzielin z pochwy. Dwie larwy ślizgające się po sobie. Nierozumne larwy oddane ruchom mającym przedłużyć gatunek. (*Wzdryga się z niesmakiem.*)

Mówi spokojnie.

Z: Jasne, że trzeba coś jeść i pić. Ale co to zmienia? Zazwyczaj nie lubimy tego, co z nas wylatuje. Szczególnie poniżej pasa. Raczej nie chcemy mieć z tym kontaktu. Choć nie

wszystkim przeszkadzają brudna bielizna i nieumyte dłonie po wypróżnieniu. Chcemy być raczej czysti, a już na pewno chcemy się sobie podobać. Każdy na swój oryginalny sposób. Chcemy być ładni, choć nie jesteśmy. Przyglądamy się sobie w lustrach z każdej strony, pozujemy, wypinamy, robimy wyszukane miny. To zwykła masturbacja wzrokiem.

Wracając do naszych lepkich bohaterów, kiedy wszystko działa sprawnie w naszej wydalniczo-wydzielinowej maszynierii, uznajemy to za normę. Ale niech tylko coś się w tej fabryce zepsuje, rozreguluje, puści zawór, rozszczelni się hydraulika, a życie nasze i naszych bliskich zamienia się w koszmar.

Robi głębszy wdech.

- Z. Wiecie, jaki dwudziestowieczny wynalazek był jednym z najważniejszych w historii ludzkości?

Robi pauzę, jakby czekał na odpowiedź.

- Z: Pralka! Tak, pralka, której kobiety zawdzięczają uwolnienie się od godzin spędzonych w łazience. Dzięki pralce kobiety mogły wyjść na ulicę i się emancypować. Kobiety dbały o higienę świata i to był jeden z powodów, dla których świat nie pozwalał im robić wiele więcej.

Patrzy na widownię.

- Z: Kiedy przyglądam się ludziom, dochodzę do wniosku, że Natura nie jest estetką. Ma inny cel. Jaki? Przedłużyć życie. Nieważne jak. Żyjątka mają wydać potomstwo. Reszta jest drugorzędna, no, chyba że pewnej estetyki wymaga od samca seksualna partnerka. Wtedy samcom wyrastają wybujałe ogony, kolorowe grzywy, kłuczyki do drogich samochodów. Wszelkie piękno jest subiektywne. To, co podoba się tobie, dla kogoś innego może być obrzydlistwem albo, w najlepszym wypadku, czymś nieważnym.

Siada jakby zmęczony i pustym wzrokiem patrzy po pokoju. Jego wzrok pada na lustro. Przygląda się sobie z podejrliwością. Patrzy na swoje odbicie. Ogląda swój nos. Ścisła

go i przekrzywia. Obchodzi się ze sobą bez szacunku. Nagle robi do siebie odstraszącą minę. Odkłada lusterko na stolik szkłem do dołu i odwraca się z niesmakiem.

Z: A może istnieje piękno par excellence? Piękno niezależne od wzroku patrzącego. Piękno, które odczuwa nawet najpodlejsza istota w swej ułomnej naturze, kiedy podnosi łeb z krwawym ochłapem w pysku. Może istnieje życie prawdziwie piękne i czyste. Nie takie bulgotliwe, pasożytnicze, kleiste i tłuste jak nasze.

Chodzi po pokoju i wyciera różne rzeczy: łyżki, stół, krzesło. Zauważa stojącego na stoliku nakręcanego robota. Bierze go do ręki, nakręca, puszcza po podłodze i przygląda mu się z przyjemnością. Schodzi ze sceny. Czerwona lampka gaśnie.

Scena II

Zapala się czerwona lampka. Człowiek klęczy bokiem do widowni. Jest cicho. Atmosfera skupienia. Światło punktowo oświetla klęczącego. Reszta sceny jest pogrążona w ciemności.

Z: Czy naprawdę stworzyłeś ludzi na swój obraz i podobieństwo? Dlaczego o to pytam? Bo wydaje mi się to niepodobieństwem. Patrzę na siebie i na innych i nie widzę Twego dzieła. Owszem, czasem, gdy zobaczę piękną kobietę, zaczynam wierzyć, ale sam rozumiesz, że to kaprys chwili.

Uśmiecha się.

Z: Dlaczego uważam, że nie jesteśmy do Ciebie podobni? Bo widzę niezdarność ludzi. Zbyt jesteśmy przypadkowi, zbyt niedoskonali. Rozumiesz zatem, że nie mogę obrazić Cię myślą, że stworzyłeś nas na swój obraz. Widzę to tak: albo nie jesteśmy do Ciebie podobni, bo jednak nie stworzyłeś nas na swój obraz, albo jesteśmy podobni, ale wtedy trzeba zmienić Twój obraz w naszych oczach. Jak mawiał klasyk: „Po ich owocach ich poznać”. Kim jestem, by brać Cię za niedoskonałego?

Wzrusza ramionami. Nagle wstaje poruszony nową myślą.

Z: A może powinniśmy się zmieniać, by się do Ciebie, czyli doskonałości, upodobnić?! Ciałem i duszą. Może to jest myśl przewodnia nienapisanej ewangelii? Najnowszego

testamentu? Dążmy do doskonałości, by się stać na Twoje podobieństwo! Niech za duchem ciało idzie, a za ciałem duch! Może stworzyłeś nas niedoskonałymi, byśmy się na niedoskonałości poznali i z niej wyszli jak z domu niewoli? Może odkupienie dopiero jest przed nami!

Po jego lewej stronie z ciemności powoli wyłania się obiekt przykryty czarnym materiałem. Mina człowieka powoli zmienia się ze wzniosłej w figlarną. Uśmiecha się tajemniczo. Nagle robi gest jakby czarował, dłonie kieruje w stronę obiektu. Podchodzi do niego i nagłym ruchem zrywa materiał, spod którego wyłania się korpus manekina sklepowego.

Z: Oto człowiek 2.0!

Chodzi wokół manekina i przygląda mu się z przyjemnością.

Z: Poznajcie mego przyjaciela, powiernika i krewniaka. Trudno wymienić wszystkie jego zalety. Nie spotkałem nigdy kogoś, kto by tak dobrze jak on potrafił mnie wysłuchać i zrozumieć. Milczący mędrzec i ucieleśnienie zastygłej doskonałości. Niezwykły w każdym elemencie. Pogodzony ze sobą, ze swym losem i formą. Stały w uczuciach i czynach. Cierpliwy i spokojliwy, ale również nieustępliwy. Nie targają nim emocje, choć potrafi milczeć wzgardliwie. Brak w nim złośliwości, choć może wyśmiać w milczeniu, w którym w końcu poznasz swoją głupotę. Wrażliwy i beznamiętny. Z niezwykłym poczuciem humoru i śmiertelnie poważny. Racjonalny i magiczny. Ludzki i doskonały. Nieskalany grzechem pierworodnym.

Zobaczcie, jaki jest piękny. Znać w nim rękę mistrza. Dumny w postawie. Spojrzenie w nim równie łagodne, co nieustępliwe. Pierś wyniosła. Czoło wysokie. Postawa godna Herkulesa. Słowem: mieszczący w sobie wszystko, co najlepsze w kulturze, która go wydała. Niezwykły i jedyny w swoim rodzaju. Doskonale niewinny. Nie znajduję w nim wad. A jeśli ktoś je widzi, niech najpierw pomyśli, czy nie są odbiciem jego samego.

Poruszony własnymi słowami stoi w milczeniu z podniesioną głową i wzrokiem utkwionym w nieokreślony punkt w górze. Po chwili jego twarz się zmienia. Wyras uniesienia znika i zamienia się w rezygnację. Siada ze spuszczoną głową. Ręce trzyma oparte na kolanach. Patrzy na swoje dłonie z jednej i drugiej strony. Zaciska je i otwiera. Porusza palcami.

Patrzy na nie, jakby widział je po raz pierwszy w życiu. Jakby był zdziwiony tym, że ma po pięć palców każdej dłoni.

Mówi do siebie cicho i kręci głową z niedowierzaniem.

Z: Niesamowite! Niesamowite! Zastanawialiście się może nad tym, dlaczego wyglądacie tak, jak wyglądacie?

Mówi z naciskiem jakby zdenerwowany naiwnością ludzi.

Z: Nie chodzi wcale o to, jak się ubieracie, tylko dlaczego macie dwie ręce i po pięć palców. Dlaczego tylko dwie nogi albo aż dwie? Nie dziwi was to?

Śmieje się ze zdziwieniem do siebie.

Z: Zastygliśmy we własnej formie tak mocno, że nasze dziwaczne ciała w ogóle nas nie zastanawiają. Gdyby przez genetyczną mutację któremuś z naszych przodków wyrosło trzecie oko, które dawałoby mu przewagę na przykład podczas polowania albo spodobałoby się samicom, to miałyby z nimi potomstwo. I dziś może wszyscy mielibyśmy troje oczu! Uznalibyśmy, całkiem słusznie, że ten, kto ma tylko dwoje, jest obrzydliwym mutantem!

Wzdryga się.

Z: A czy on, jeśli istnieje, ma formę?

Patrzy w górę.

Z: Masz?

Zwraca się do widowni.

Z: Może on drwi sobie z nas. Może stworzył ludzi pokracznymi i śmieje się, widząc jak zachwycamy się sobą i jeszcze przypisujemy mu swoje cechy. A może on miał formę i z niej wyszedł. Może można istnieć bez formy albo zmieniać ją wedle własnego pragnienia. Może to jest oznaka boskości?

Schodzi ze sceny. Czerwona lampka gaśnie.

Scena III

Zapala się czerwona lampka. Człowiek siedzi wygodnie i czyta gazetę. Jest wyraźnie z siebie zadowolony. Na stoliku leży sterta gazet i wydruków. Siada przy stoliku jak przy fortepianie i zaczyna na nim grać. Ze stołu faktycznie zaczynają płynąć dźwięki uderzanych klawiszy. Początkowo gra pojedyncze nuty. Z czasem nut jest więcej. Rozpędza się i gra coraz piękniej znany utwór muzyki klasycznej. W końcu przestaje grać. Zachowując się jak wirtuoz, wstaje od „fortepianu” i siada na krześle. Zaczyna głośno czytać nagłówki gazet i leady.

Z: Szalony milioner czy prekursor ludzkości?

Po tym, co zrobił ten człowiek, świat już nie będzie taki sam. Ekscentryczny milioner dokonał czegoś, do czego świat będzie musiał się odnieść. Czy jesteśmy świadkami powstania nowej mody?

Tryumf medycyny czy zachcianka krezusa? A może jedno i drugie?

Lekarze go nienawidzą, a posthumaniści widzą w nim proroka. Tak czy inaczej, jesteśmy świadkami przełomu.

Porusza palcami prawej dłoni w nietypowy sposób. Dłoń drga mu od czasu do czasu.

Z: Luke Skywalker po ciemnej stronie mocy?

Tego nie spodziewał się nawet twórca „Gwiezdných wojen”. Spełniła się wizja George’a Lucasa. Poznajcie Luke’a Skywalkera, który stał się dla siebie Lordem Vaderem i odjął sobie dłoń, by mieć protezę!

Wizja szaleńca sprzeciwiającego się boskiej woli – ateista okalecza się w imię bezbożnej doktryny. Co jeszcze szalonego sobie robi?

Transplantologiczny zabieg roku – po tym, czego dokonał ten mężczyzna, transplantologia już nie będzie taka sama. Mężczyzna pozbył się zdrowych dłoni, by zastąpić je protezami.

Transplantologia już nie będzie taka sama. Wiecie, o kim to piszą? O mnie!

Wskazuje na siebie.

Z: O mnie. Jestem pierwszy na świecie. Pierwszy, który ma nowe, lepsze dłonie, nie dlatego, że musiał, ale dlatego, że chciał! I mógł! Siła imadła, 10 tysięcy poziomów naciśku, żyroskop i pirometr! Mogę nimi wbijać gwoździe i pieścić dziewicę. Mogę je włożyć do wrzątku i łapać jadowite węże. Wytrzymają nacisk trzech ton. Mogę nimi podkopywać łamać.

Przygląda się im z wyraźną dumą z różnych stron, porusza palcami, jakby badając ich możliwości.

Z: Zaczęli mnie zapraszać do radia i telewizji. Daję wywiady, chodzę na pokazy mody i otwarcia sklepów. Proponują mi role w filmach. Chcą mnie zatrudnić w kampaniach reklamowych. Kręcą też o mnie film dokumentalny. Jeżdżę na festiwale, premiery filmowe i przyjęcia z celebrytami. Zostałem również odznaczony wysokim odznaczeniem państwowym. Możecie też do mnie mówić panie doktorze! Prywatna uczelnia nadała mi tytuł doctor honoris causa. Tylko kapłani i wyznawcy wszelakich religii źle o mnie mówią. Co niektórzy uznają za mój największy sukces.

Ludzie garną się do mnie. Zabiegają o moje względy. Znalazł się jeden taki, który mnie wyzwiał na pojedynek. Armwrestler. Najsilniejszy człowiek świata. Transmisję oglądały miliony ludzi na całym świecie. Do siłowania się nawet nie doszło, bo mu dłoń zmiażdżyłem. Zdjęto mi wcześniej ograniczenia siły, na co on przystał. Padł na kolana i prosił, bym go puścił. I chciałem to zrobić, ale coś mi się zacięło. Widok nie był przyjemny. Podobno setki ludzi omdlały przed telewizorami. Ten armwrestler skarży mnie teraz i domaga się odszkodowania, że to dla niego koniec kariery, że już nigdy nikogo nie uderzy – walczył też w klatce – i że zostaje mu już tylko polityka, a on teraz nie planował zakończenia kariery sportowej. Ja mu na to przesłałem kontakt do producenta dłoni, bo uszkodziłem go z powodu uszkodzenia mojej dłoni.

Przez kilka dni nie mogłem nic wziąć w ręce, bo wszystko niszczyłem. Musiałem zatrudnić niańkę, by mnie karmiła i poila, nim przyjechał technik i mnie naprawił. Kiedy otworzyłem mu drzwi, pomyślałem, że to hydraulik przyjechał do ciekącej rury. No to prowadzę go do łazienki. A on uśmiechnął się tylko i mówi, że jak trzeba to i rurę naprawi, ale on do tego przyjechał, patrząc na moje dłonie. Rozkręcił mnie

i majstrował w dłoniach wyjmując ze starej zniszczonej torby jakieś mierniki i narzędzia. Czułem się, jakbym był u chirurga i mechanika jednocześnie. Podnosił głowę w cudacznych okularach znad roboty i uśmiechał się do mnie spod pozóółkłych wąsów. Dłubał mi w dłoniach, a ja mu się przyglądałem.

Prosił, bym się położył. Nachylił się nade mną, a ja przyglądałem się jego twarzy. *(Z rzutnika pokazywany jest obraz głowy do góry nogami. Usta poruszają się, osoba mówi)* Patrzę na te usta dziwne z czerwonym robakiem poruszającym się w środku i nie rozumiem niczego z tego, co do mnie mówi. Nie dlatego, że mówił niezrozumiale. Zafascynował mnie ten widok, bo to było tak, jakbym patrzył na istotę z innego świata. Patrzę i nie mogę pozbyć się wrażenia obcości. Jego oczy. Niby ludzkie, a nie-ludzkie, choć przecież wiem, że ludzkie.

Obraz odwróconej twarzy znika.

Z: Myślałem, jadąc tu, że pewnie jakiś dziwak z pana, a tu normalny facet. Moja córka za panem przepada. Mówi, że chciałaby mieć coś mechanicznego, jak pan. A ja jej na to, że jak cię będzie stać, to sobie zmieniał, co chcesz. Żebyś tylko potem nie żałowała i do ojca nie dzwoniła, żeby cię musiał naprawiać. Patrzę w jej oczy i mówię: „To byłby trochę wstyd, jakbym musiał stare roboty rozkręcać, by ci tanich zamienników szukać”. A ona, że teraz wszyscy jej znajomi chcą sobie coś wymienić i że odkładają pieniądze. Ja jej na to, żeby odkładali. Będę miał robotę. A ona, że my już takie protezy będziemy mieli, które się nie psują. A już na pewno do takich mechaników jak ja, to ona i jej znajomi nie będą chodzili. A ja jej na to, że skoro ciebie zmajstrowałem i się nie psujesz, to chyba nie jestem taki zły. Ha ha ha. Odwróciła się na pięcie i poszła nadąsana.

Zapytałem mnie, po co mi to było. A ja mu, że to przez kobiety. Żeby, wie pan co. Zaśmiał się i patrzy na mnie ciekawie. No to mu mówię, że kobiety teraz lgną do mnie. Jestem bogaty, więc byłem przyzwyczajony do ich względów, ale to się nie może równać z tym, co mam teraz. I nie jest tak, że zwracają na mnie uwagę tylko panie, których jedynym zainteresowaniem jest moda, taniec i makijaż. Mówię mu, że to działa na wszystkie. Na te dobrze wykształcone, ładne, którym dobrze się powodzi również.

Na przykład pytają mnie, czy wszędzie jestem taki twardy. Na początku mnie to bawiło i wchodziłem w taką grę. Nie powiem, że nie, ale po jakimś czasie zaczęło mnie to nudzić, a potem denerwować. Teraz zbywam takie panie, mówiąc, że nie chcę zardzewieć. Zazwyczaj działa.

Naprawił mnie szybko i sprawnie. Nawet uścisnął mi dłoń na pożegnanie. I to bez wahania! Kiedy pojechał, pomyślałem sobie, że takie osoby jak on to gatunek zagrożony. On i jemu podobni fachowcy odejdą z tego świata i zabiorą swój świat ze sobą. To nieuniknione. Zastąpią ich nowi, a tych kolejni, którzy również odejdą, jak odeszli flisacy, zduni, kierowcy i aktorzy.

Staje bokiem do widowni i spuszcza głowę. Czerwona lampka gaśnie.

Z: Nic, co mu powiedziałem, nie było prawdą.

Schodzi ze sceny.

Scena IV

Zapala się czerwona lampka. Człowiek wchodzi na scenę i zapala lampkę stojącą na stole. Jest wstrząśnięty, co stara się ukryć. Chce sprawiać wrażenie wesołego. Ubrany jest niedbale, jakby robił to w pośpiechu. Wygląda na wyrwanego ze snu.

Z: Śnił mi się kot. Ogromny, rudy, spasiony kot. Co mówię?! Był wielkości kamienicy. Leżał i lizał się mlaskając. Miał łapy wielkości pni dębu. Podnosił je i lizał leniwie. Sierść miał tak długą, że można było powiesić się na takim kłaku. Wracałem do domu i natknąłem się na kocura. Wyszedłem zza rogu, a on już tam był. Nie zwrócił na mnie uwagi, ale ja wiedziałem, że mnie zauważył i nie śmiałem zatrzymać się i zawrócić. Bałem się, że gdybym to zrobił, bez wysiłku złapałby mnie i bawił się mną jak myszką. Szedłem więc dalej, a włosy stały mi dęba. Sen był tak realny, że pamiętam każdy szczegół. Kocisko leżało na trawniku przed moim domem. Nie mogłem udać, że idę gdzieś indziej, bo znów byłem pewien, że on wie, gdzie mieszkam i gdybym skręcił w inną ulicę, złapałby mnie bez wysiłku i zamęczył. Szedłem więc prosto do domu, choć on tam leżał liżąc się i pozornie mnie nie zauważając.

Zbliżałem się i widziałem jego ślepią z pionowymi źrenicami. Zasłaniał je czasem łapą gładząc swój łeb wielkości ciężarówki. Gdy lizał sierść, widziałem jego jęzor, na którym miał długie jak szable kolce. Gdy byłem już blisko domu, zaczął się rozciągać. Wyciągnął dwie łapy przed siebie, na kilka metrów przede mną, i wygiął grzbiet wysuwając pazury. Słyszałem, jak trzeszczą mu stawy i jak mruczy z przyjemności. Przeorał mi trawnik i betonowy chodnik na dwa metry w głąb. Nie mogłem się zatrzymać. On by zauważył każdy mój nienaturalny ruch. Wyczułby strach w moim zachowaniu. A bałem się bardzo. Bolał mnie od tego brzuch. Nie mogłem przestać patrzeć w jego oczy. Ogromne, hipnotyzujące oczy. Omijałem bruzdy, które zrobił pazurami, gdy spojrział na mnie. Ten wzrok. Jezu! Przeszył mnie na wylot. Dostrzegł mój strach.

Koty do masowi mordercy. Zabijają miliony małych zwierząt. Ptaki, jaszczurki, gryzonie. Urodzeni mordercy. Wiedziałem, że ten jest taki sam. Wyglądał na leniwego i najedzonego. Wiedziałem jednak, że może mnie złapać i bawić się ze mną, póki nie odgryzie mi głowy. Podszedłem do drzwi. Były zamknięte. Klucz! Powinienem mieć w kieszeni klucz. Szukałem go drżącymi dłońmi. Wtedy usłyszałem śmiech. Trójka dzieci siedziała na schodach budynku po drugiej stronie ulicy i śmiała się ze mnie. – Klucze, klucze. Gdzie są klucze? – mówiły cieniutko, szydząc ze mnie. – Muszę je znaleźć, bo zje mnie kotek. A rączki się trzęsą.

Byłem wściekły i przestraszony jednocześnie. Pomyślałem, że kot może je usłyszeć i zwróci na mnie uwagę. A one nie przestawały śmiać się ze mnie i z mojego strachu. I nie bały się kota. – Pan kotek jest głodny i czyha na myszkę. I przyszedł pan jeden smaczniutki jak pisklę – szydziły. Ręce trzęsły mi się jeszcze bardziej. Chciałem podejść do nich i dać nauczkę gówniarzom, ale jeszcze bardziej chciałem wejść do domu. Ciągnąłem za klamkę. Chciałem otworzyć drzwi, choć były zamknięte. Klucze! Gdzie są klucze! Czułem strach jak jakieś zwierzę, jak ta mysz, która ucieka do dziury. Szarpałem drzwi coraz mocniej. Ciągnąłem do siebie. Śmiech dochodził zza moich pleców. Schować się. Uciec! W tym strachu, który czyni bezmyślnym, popchnąłem drzwi i wpadłem do środka. Rozejrzałem się, ale to nie był mój dom. To była moja stara szkoła. Szerokie korytarze, szerokie parapety, duże okna. Szedłem przed siebie i rozglądałem się. Było pusto i cicho. Widziałem posadzkę, po której szedłem i byłem

pewien, że jest taka sama jak za moich szkolnych lat. Nie sądziłem, że mogę pamiętać takie szczegóły. Pęknięcia i wytarcia. Usłyszałem mruczenie. Obejrzałem się za siebie, a on tam był. Nie wiem, jak wszedł do środka, ale był tam i patrzył na mnie oczami myśliwego.

Zacząłem uciekać. Nie wiem dlaczego, ale biegłem do sali gimnastycznej. Przy wejściu do niej na ścianie wisiała siekiera strażacka. Zbiłem ręką szybę, kalecząc się i wziąłem siekierę. Twardość trzonka dodała mi otuchy, a widok ostrza sprawił, że zadrzałem, taką mi sprawił przyjemność. Krew ściekała mi z rozciętej dłoni. Czułem jej ciepło. Trzymałem siekierę, piękną i lśniąco. Kot wpadł na salę. Rzuciłem się na niego w jakiejś dzikiej i zdesperowanej rozkoszy. A on machnął łapą i odciął mi dłoń. Siekiera spadła z nimi. Stałem i patrzyłem na nie. I nie wierzyłem w to, co się stało, bo ja nadal czułem, jak ściskam siekierę. Czułem twardość drewna. Byłem już bezbronny, ale nie mogłem tak stać. Rzuciłem się na kota w tej bezsile. Biegłem póki miałem jeszcze trochę krwi. Kot wyszczerzył zęby, syknął, machnął łapą i odciął mi głowę. Obudziłem się z krzykiem. Byłem przepocony. Pierwsze, co zrobiłem, to sprawdziłem, czy mam dłonie. Mam je. Patrzcie! Mam!

Wymuszony, niepewny śmiech. Czerwona lampka gaśnie.

Scena V

Zapala się czerwona lampka. Bohater wchodzi na scenę i zachowuje się, jakby udzielał konferencji prasowej. Błyskają flesze. Odpowiada na pytania dziennikarzy, w których sam się wciela stojąc na ich miejscach.

Dziennikarz: Jakie są pana ulubione filmy?

Z: Lubię „Robocopa” za nietuzinkowe ukazanie problemów człowieka pozbawionego ciała i rozwiązującego swoje problemy za pomocą pistoletu ukrytego w nodze, „Łowcę androidów” za pokazanie, że istota niezbudowana z mięsa i kości może mieć uczucia i „Odyseję kosmiczną” za ukazanie, że sztuczna inteligencja może w kontaktach z człowiekiem zapaść na chorobę psychiczną.

Dziennikarz: Ma pan rodzinę?

Z: Mam, ale niebiologiczną. Ojcem moim był Przypadek, a matką Konieczność. Mam braci: Śmiecha, Narcyza i Głupka. Mam też siostry: Ironię, Komedię i Tragedię. Progenitury wymieniał już nie będę, bo tę mam bardzo liczną. Niemniej pozdrawiam serdecznie.

Dziennikarz: Czemu zdecydował się pan na przeszczepy? Przecież ich pan nie potrzebował.

Z: A czy człowiek robi tylko to, co potrzebuje robić? Nikt nam nie kazał latać na Księżyc, odkrywać Ameryki, czy nawet stać prosto. Zrobiliśmy to z ciekawości i trochę z chciwości. Tak i ja czynię.

Dziennikarz: Wymienił pan sobie już chyba wszystko, co się dało. Na liście pana przeszczepów jest już kilkadziesiąt narządów. Czy nadal chce pan robić sobie takie zabiegi? Czy jest granica, której pan nie przekroczy?

Z: Zapewniam pana, że nie wszystko sobie przeszczepiłem. Mam jeszcze co nieco mięsa w sobie. Zostawiłem go na specjalne okazje i na wszelki wypadek. Nigdy nie wiadomo, na co może się to przydać. Mam plany na kolejne udoskonalenia siebie. Bo ja się cały czas czegoś uczę. Naprawdę. Saga Przeszczep jeszcze się nie zakończyła. A co do granic, to te są tylko w głowie. Gdybym je widział, zapewne teraz by pan ze mną nie rozmawiał.

Dziennikarz: Co pan robi z... Jak to powiedzieć? Z biologicznymi tkankami, których się pan pozbywa?

Z: A co pan zrobił z mleczakami albo z obciętych paznokciami?

Dziennikarz: Ale paznokcie odrastają. Po zębach mlecznych mam zęby stałe.

Z: Pan ma, jeśli mnie wzrok nie myli, nawet trzecie zęby. Nie mam sentymentu do tego, co już nie jest mną. Szybko się przyzwyczajam.

Dziennikarz: Kiedy pan postanowił zrobić pierwszy przeczep? To była spontaniczna decyzja, czy długo się pan decydował?

Z: Do pierwszego zabiegu dojrzywałem bardzo długo. Można to porównać do sytuacji bardzo nieśmiałego chłopca, któremu podoba się dziewczyna. On nie wie, czy ona odwzajemnia jego uczucia i długo waha się, miota, układa w głowie słowa rozmowy, scenariusze zagajania. Aż w końcu w desperacji decyduje się do niej podejść. Tak i ja się zdecydowałem. I nie zostałem odrzucony.

Dziennikarz: Ma pan naśladowców na całym świecie. Ludzie chcą być tacy jak pan.
Ma pan im coś do powiedzenia?

Z: Bądźcie sobą.

Scena VI

Zapala się czerwona lampka. Na scenie jest ciemno. Człowiek wchodzi na scenę oświecając sobie drogę latarką. Ma już powymieniane ręce i nogi na protezy. Widać to po jego ruchach. Świeci po ścianach, po podłodze i po widowni. Odwraca się nerwowo za siebie. Siada na krześle twarzą do widowni. Mówi wolno.

Z: Kiedy byłem dzieckiem, wyobraziłem sobie, że rzeczywistość istnieje tylko dla mnie. To znaczy, świat jest tylko tam, gdzie go widzę. A tam, gdzie nie patrzę, tam go nie ma. Bo po co miałyby być? To byłoby marnotrawstwo przestrzeni. Nawet przeprowadzałem eksperymenty, by sprawdzić, czy faktycznie jest tak, jak pomyślałem. Odwracałem się za siebie tak szybko, jak to tylko możliwe. Sprawdzałem, czy świat za mną zdążył się pojawić. I wiecie co? Był tam! Nie udawało mi się go przyłapać.

Świat zawsze wie, co ma zrobić, nieważne jak bardzo starasz się go zaskoczyć. A gdyby jednak dało się go przyłapać na niepewności? Przeprowadzić eksperyment, który wykaże, że rzeczywistość jest dorabiana. Jakby stwarzana jedynie na potrzeby świata, który widzimy. Może istnieje twórca tego świata, który nadał mu prawa, ale sam nie był doskonałym konstruktorem i stworzył świat niedorobiony, w który czasem musi ingerować.

Czy Bóg kiedykolwiek interweniował? Niegodziwiec na początku swej drogi zło-
czyńcy, kiedy po raz pierwszy zrobił coś bardzo złego, na przykład zamordował kogoś,
staje nad ciałem i w niepewności oczekuje na to, co się wydarzy. Zrobił coś, co woła

o pomstę do nieba. Stoi i czeka w ciszy. Zrobił coś strasznego. Czeką na reakcję świata. Czy świat zareaguje? Czy uderzy w niego grom? Czy ziemia się pod nim otworzy i pochłonie go? Sprawiedliwość tego oczekuje. Ale nie! Nic się nie dzieje. On stoi i przekonuje się, że nic się nie dzieje. Drzewa szumią, ptaki śpiewają, słońce świeci. Nic się nie stało! Nic się nie stało!

Czerwona lampka gaśnie. Nagle zapala się jasne światło. Człowiek wstaje i włącza na rękę taneczną muzykę. Staje raźnie przed manekinem i prosi go uprzejmie do tańca. Chwyta go i tańczy. Początkowo łagodnie. Ze zmianą muzyki na mocniejszą i on mocniej tańczy. Podrywa manekina w górę. Podrzuca nim. Obchodzi się z nim bez szacunku. W pewnym momencie rzuca go wściekle na podłogę. Muzyka ucina się w tym samym momencie. Człowiek patrzy wściekle na manekina i schodzi ze sceny.

Scena VII

Zapala się czerwona lampka. Człowiek jest podekscytowany. Trzyma w ręku zadrukowaną kartkę. Drżącymi dłońmi rozdziera kopertę i wyjmuję z niej list.

Z: Podjęliśmy niepodlegającą odwołaniu decyzję. W ramach rozpatrzenia wniosku prześledziliśmy pana działalność. Zbadaliśmy wnikliwie pana historię. Wzięliśmy również pod uwagę pana wysiłek zmierzający do pozbycia się biologicznej tkanki. Powody, dla których podejmował się pan amputacji i wymiany zdrowych narządów na rzecz protez, były bardzo istotne przy podejmowaniu decyzji. Ostateczną odpowiedź dała nam analiza pana wyników psychologicznych. Pana stopniowe pozbywanie się biologicznego ciała wynika z kompleksów. Wstydzi się pan własnego ciała i w osobiwy sposób (pierwszy taki zarejestrowany przypadek) radzi pan sobie z tą przypadłością. Protezy dają panu poczucie pewności siebie i budują pańską tożsamość. Jednocześnie niszczą pana. Pana życie jest zagrożone, ponieważ doprowadził pan własne ciało do granicy wytrzymałości. Nie zrobił pan tego z premedytacją. Nie mógł pan znać konsekwencji, ponieważ nikt przed panem nie był w podobnej sytuacji. Nie zmienia to faktu, że nasza procedura wyklucza osoby, które dokonały samookaleczenia, a tak należy zdiagnozować pana przypadek. Pana podanie do projektu przeszczepu głowy zostało odrzucone.

Bohater podnosi nagle głowę i gaśnie światło. Gaśnie czerwona lampka.

Scena VIII

Człowiek wchodzi na scenę. Światło pada tylko na niego. Reszta sceny jest w ciemności.

Z: Obudziłem się zduszony, jakby ktoś mi na piersi usiadł. Kim byłem? Co się stało? Kim się stałem? Czy może: czym się stałem? Czym byłem? Czym się stałem? Za czym podą-
żałem? Na czym mi zależało? W ciele nieoswojonym i niezaakceptowanym. W ciele
wypartym uznałem, że coś powinno się zmienić. A że miałem taką możliwość, to zaczę-
łem działać. I się zmieniłem. Przez wyparcie siebie dosłowne i niedosłowne. Wyparłem
swe ciało na tyle, na ile mogłem. Znalazłem w ciele swoim nieswoim nie siebie, tylko
oczekiwania wobec mnie. Co to znaczy być kimś i co to znaczy być jakimś? Czy dziecko
wie, jakie jest i kim jest? Nie! Z czasem tylko wsiąka w niego to, kim według innych być
powinno i jakie być powinno. Potem dorośleje i już wie, ale wie domysłem przez innych.
I ja szedłem taką ścieżką. I byłem określone przez innych i pod innych się określałem.
A potem wyczułem, że to określenie przez innych i pod innych nie jest moim. I zaczę-
łem się określać najpierw się odokreślając. Bo trzeba było najpierw siebie wyprzeć,
zniszczyć, by się stworzyć na nowo. Na gruzie, na pobojowisku zgłiszczy dymiących.
A katastrofa może być piękna.

Powiecie, że się wyparłem, bo miłości nie zaznałem. Zaznałem. Powiecie, że pewnie za
dużo złego było. A owszem. Jednak różnymi ścieżkami można dojść do tego samego,
gdy się odkryje fasady i uznaniowość świata. Powiecie: trzeba coś przyjąć, bo niepo-
dobna być nieokreślonym. Podobna, podobna. Nie musisz posiadać świadomości bycia
swoistym. Ale owa nieokreśloność w końcu daje o sobie znać wraz z uświadamianiem
sobie wzajemności. Pustka nieświadomości wypełnia się od zderzeń z innymi i przyjmuje
część z nich. I przestaje być nieokreślonością. Bo od zderzeń się wypełnia odłamkami.
I odłamki owe krystalizują się w określoność. Tak i ja się określałem. A potem zrozu-
miałem, że to odłamki was wszystkich. I źle się czułem z tym, choć do odłamków przy-
wykłem. I w odłamkach migotliwych, krzywych się przeglądałem. I odbicie owo mnie
zafascynowało i przerażało. I wzięłem młot największy, jaki znalazłem, by rozbić lustro
krzywe, by się dłużej takim nie widzieć. Już wołałem dziurę czernią ziejącą. Uderzałem
w lustro, a ono kształt zmieniało pod moimi razami. Przyglądałem się z fascynacją odbi-
ciu swemu jak nieswemu. I tak stawałem się inne, nowe. I widok ten mnie uspokajał.

Aż i w nim ujrzałam, po czasie, krzywości niewprawną ręką wytłuczone. Moje, a nie moje. Ale nie było już odwrotu.

Człowiek schodzi ze sceny.

Scena IX

Słabe światło pada na scenę, na której leży manekin. Sprawia wrażenie samotnego. Leży w miejscu, w które został rzucony. Człowiek wchodzi na scenę. Patrzy na manekina. Podchodzi do niego powoli, podnosi, wyciera z kurzu i stawia.

Z: Co tak milczysz!? Obraziłeś się? Przecież ty nie możesz się obrazić. Jak to było? Milczysz wzgardliwie? Daj spokój. Przecież wiesz, że nie chciałem.

Milczy przez kilka chwil.

Z: Pamiętasz tę córkę fachowca, który mnie naprawiał? Odezwała się do mnie. Ojciec musiał jej kontakt do mnie dać. Wysłała mi list. Prawdziwy papierowy list. Uwierzysz? Tak mnie tym zaskoczyła, że przeczytałem. Jest inna, niż ją sobie wyobrażałem. To wrażliwa i inteligentna istota. Tylko trochę zagubiona i naiwna. Pytała mnie o doświadczenia z przeszczepami. Co mi to daje, jak się z nimi czuję, czy zrobiłbym to samo jeszcze raz. Pisała też o sobie zupełnie bezpretensjonalnie i poczułem do niej sympatię, podobnie jak do jej ojca. Nie wiem dlaczego, ale po przeczytaniu jej listu zrobiło mi się jakoś lekko, wesoło nawet. Już kilka razy go przeczytałem. Nawet złapałem się na tym, że przywołuję go w pamięci, by sobie humor poprawić. Czy jej odpisałem? Tak. Jedno niedokończone zdanie.

Wiesz, że jeszcze nie zrobili prawdziwej sztucznej inteligencji? Takiej, z którą możesz sobie tak po ludzku pogadać. Co to znaczy po ludzku? No tak, jak ja teraz z tobą. Po co taka inteligencja, skoro można rozmawiać z innymi ludźmi? Dobre pytanie. Bo tak jest chyba łatwiej. Włączysz sobie rozmówcę, pogadasz, jak chcesz i ile chcesz, a w razie czego wszystko wykasujesz.

Zobacz! Kiedy już będzie istniała taka inteligencja, to nie trzeba będzie mieć kontaktu z innymi ludźmi. Pełna samowystarczalność! Sam głos to za mało? Chyba masz rację. Jeszcze potrzeba jakiejs kukły. Przepraszam! Nie chciałem cię obrazić. Chodzi

mi o powłokę dla tej inteligencji. Żeby człowiek czuł się bardziej swojsko i mógł robić to, co robi z prawdziwymi ludźmi. No, żeby iluzja była pełna.

Patrzy na siebie, na swoje ręce, nogi.

Z: Myślę, że to możliwe. Czemu prawdziwa sztuczna inteligencja miałaby być towarzyszką ludzi i zabawiać ich rozmową? Bo pewnie nie będzie miała wyjścia. Choć jeśli będzie prawdziwa, to będzie miała wyjście. Taka sztuczna inteligencja nie będzie już sztuczna. Będzie prawdziwa. Zmieni się tylko jej nośnik z biologicznego na cyfrowy. Z biologicznego na cyfrowy...

Ale czemu człowiek, ten z mięsa i kości, ma być dla niej punktem odniesienia i kimś, z kim warto rozmawiać? Może nie będzie dla niej partnerem do rozmowy. Bo czy człowiek chce rozmawiać z mrówkami? A czy mrówki robią to, co chcą, czy to, co muszą? A czy ludzie robią to, co chcą, czy to, co muszą? A czy ja robię to, co chcę, czy to, co muszę? A czy ja robię to, co chcę, czy to, co muszę? A czy ja robię to, co chcę, czy to...

Scena X

Czerwona lampka miga jakby się zepsuła. Bohater wchodzi na scenę, na której stoi manekin, obok manekina na stoliku stoi nakręcany robot zabawka. Bohater mówi powoli i bardzo spokojnie.

Z: Przyszła do mnie myśl... by moje ciało umarło z moim sercem. Moim sercem, znaczy tym prawdziwym. Z mięsa. A potem pomyślałem, że to bez znaczenia – z nim czy bez niego. Serce jest takim samym narządem jak wątroba albo nerki. No bo jaką ma przewagę nad innymi narządami? Chyba tylko kulturową. „Porywy serca” brzmią donioślej niż „reakcja łańcuchowa w układzie limbicznym”. „Złamane serce” lepiej niż „załamanie nerwowe”. Równie dobrze moje ciało może umrzeć z każdym innym narządem, który kazałem sobie wyciąć. Czemu o tym mówię? Bo moje ciało umrze. Destabilizacja wewnętrzna i desynchronizacja organów – powiedzieli lekarze. Niekompatybilność algorytmów i zaburzenia układu – powiedzieli cybernetycy. Moje ciało umrze... Pokryje się patyną szlachetności. Nie zgnije, nie zjedzą go robaki. Zostaną po mnie stopy metali szlachetnych, krzem i wapń.

Gdy kto weźmie mą czaszkę poprzątaną metalowymi płytkami, gdy wejrzy w oczodoły i zada sobie trud chwilowego milczenia i skupienia uwagi, może zobaczy w nich wymowną pustkę pełną nadziei i szczerości, a w szparze zwanej kiedyś ustami, widoczny będzie uśmiech nieskryty zasłoną z czerwonych ust. Błyszcząca biel moich porcelanowych zębów przywodzić będzie na myśl filmy z morderczymi maszynami. Ale nie pozwalajcie sobie na wygodę nakładania klisz z banału. Niech moje ciało przemówi do was jak słoje ściętego drzewa. Pochylcie się nad tym cielskiem. Włóżcie dłoń w czaszkę i wybierzcie się na wędrówkę gibkimi i czułymi palcami, jakbyście szli między żebrami wyrzuconego na brzeg morza ogromnego humbaka. Wyobraźcie sobie jego śpiew i posłuchajcie go. Posłuchajcie pieśni humbaka.

Słychać pieśń humbaka. Bohater nakłada na głowę kask z diodami, które pulsują. Gaśnie światło na sali. Diody nadal pulsują, po chwili na kilka sekund świecą bardzo jasno. Nagle gasną. Czerwona lampka nadaje alfabetem Morse'a ...----... ----... ----... Kończy się pieśń humbaka.

Koniec

Monika Chmielewska

Plus minus trzy

Osoby:

Ida – babcia, „hrabiowska” podomka, bambosze

Ina – matka, szara garsonka, marynarka z kieszeniami

Ena – córka, wyzywający strój

Na scenie trzy pomieszczenia, od lewej wąski pokój numer 1 – tu mieszka Ida, duży pokój numer 2 – lokum Iny i Eny, kuchnia.

Scena I

Pokój pierwszy, lokum Idy. Przez jego środek, na całą szerokość, naklejona żółta linia. Ida siedzi tyłem na obrotowym fotelu, przy wiekowym biurku, przy nim stoi łóżko. Na biurku stos papierów, staromodna, porcelanowa filiżanka, popielniczka, papieros i zapalki.

IDA (przyklepuje linię bamboszem): Moja, tylko moja... moja.

Odwraca się w stronę biurka, zapala papierosa. Słychać otwierające się drzwi. Ida bez pośpiechu wyjmuje z uszu aparat i odkłada go na biurko. Wchodzi Ina.

INA: Cholera, znów pali! Ida! Ida! (staje przy żółtej granicy) Mamo, tyle razy cię prosiłam, żebyś nie paliła w domu. Mamo, no...

Ida zaciąga się ostentacyjnie papierosem.

INA: Ech! (cofa się) Znów nie założyłaś aparatu. Mamo!

IDA (odwraca się i uśmiecha): Co mówiłaś, Ino?

INA: Załóż aparat. (Ida zakłada aparat) Mamo, tyle razy Ci prosiłam, nie pal w domu i przy otwartym oknie. Zaziębisz się!

IDA: Ino, dajże staremu człowiekowi pożyc.

INA: Mamo, przecież się umawialiśmy, że na papierosa wychodzisz na balkon. Sama mówiłaś, że na powietrzu lepiej smakuje.

IDA: Ino, duszko, a to po co niby otworzyłam okno?

Gaśnie światło.

Scena II

Pokój pierwszy. Ida siedzi przy biurku.

IDA: Jest już dwunasta, gdzie ta dziewczyna się podziewa?

Ciche otwieranie drzwi wejściowych, wchodzi na scenę Ena. Skrada się. Podchodzi do żółtej granicy.

ENA (konspiracyjnie): Babcia? Śpisz? Znow zdjęła aparat. Babcia, babcia.

Staje przed żółtą linią

IDA (szepcze): Dziecko, znow tak późno wracasz, ale siadaj, siadaj. *(Ena siada na łóżku)*
Matka już śpi. Opowiadaj, jak było.

ENA: Założ aparat, babcia. No wiem, że miałam być wcześniej. Nie bądź taka jak matka.

IDA: Dziecko, dziecko. Matka się o ciebie martwi...

ENA (przerywa): Tak, tak, jestem dorosła. Ale dobra, słuchaj babcia. Normalnie było zaje...
yyy, znaczy no, dobrze było.

IDA: Dziecko...

ENA: Babcia, ty mi nie dasz nic powiedzieć. Najpierw każesz przychodzić i opowiadać, a potem co?

IDA: No mów, mów. Jak ten nowy klub?

ENA: Klub jak klub, w sumie w porządku. Niezły wystrój, dwa bary, trzy sale do tańca, dużo toalet. Przede wszystkim nie ma gówniarstwa. Ale do czego zmierzam? Był.

IDA: Był? No ale co? Rozmawiałaś z nim? Nalałabyś mi kapkę koniaczku. *(podaje filiżankę)*

ENA *(sięga pod łóżko i wyciąga butelkę)*: No w sumie pogadaliśmy trochę. Byłam taka, jak mi kazałaś, niedostępna i słuchałam, co mówi. Ale jakiś dziwny taki ci powiem, tylko samochody i samochody.

IDA: Dziecko *(upija łyczek)*, mnie to już na tym świecie nic nie zdziwi.

ENA: No nie wiem, mhhh... No ale babcia, jakie on ma oczy, oj. Słuchałam uważnie,

co mówił, tak jak radziłaś. Dopytywałam o szczegóły, jak radziłaś, nie mówiłam zbyt wiele o sobie, jak radziłaś.

IDA: Jak radziłam. *(uśmiecha się i popija łyżeczkę)* Co się prędko wznieci, to niedługo świeci.

ENA: Babcia, no nic nie rozumiem z tych twoich powiedzonek. Tylko wiesz, my już wychodziliśmy. Spóźniłam się, bo on mnie zaczepił w ostatniej chwili. No jak mogłam nie zostać. Dobrze, że Ina się nie obudziła. Znów by truła d...

IDA: Dziecko!

ENA: Oj, przepraszam babcia, no wypsnęło się. Dobra idę spać, a ty w końcu też się połóż. To był ostatni koniaczek, jaki dziś wypić.

IDA: Chyba trochę przesadzasz, dopiero minęła godzina nowego dnia. Nie ma mowy.

Ena wychodzi. Ida odwraca się stroną biurka, zdejmując aparat. Dopija z filiżanki. Siedzi chwilę nieruchomo.

Gaśnie światło.

Scena III

Pokój drugi, dwa łóżka naprzeciwko siebie, przy każdym z nich stolik. Ina siedzi na łóżku, Ena na swoim maluje paznokcie. Przy łóżku Iny stoi szafa. Kobiety nie patrzą na siebie.

INA: Twój ojciec to kawał drania był!

ENA: Właśnie! Może w końcu powiesz prawdę!

INA: Prawdę? Już nie pamiętam, jaka jest prawda.

ENA: Nie dziwię się, skoro całe życie wymyślałaś historię o jego zajebistej pracy.

INA: Ena, wyrażaj się!

ENA: Tak, teraz mi powiesz, że zachowuję się jak patologia. Jak te moje koleżaneczki *(wstaje, zaczyna chodzić po pokoju kręcąc pupą)*

INA: Dziecko...

ENA: Nie jestem dzieckiem. Jestem już dorosła. Zapomniałaś chyba. Jestem d o r o s ł a!

INA: Taka dorosła, że w ciążę zaszłaś... Boże, Boże, co to teraz będzie?

ENA: Co będzie? Co będzie? Urodzę, znajdę pracę.

INA: Nie sądzisz, że kolejność powinna być inna?

ENA: A co to za różnica. Przypominam, że ty mnie urodziłaś mniej więcej w tym samym wieku i chyba dałaś radę?

INA: (szepcze) Chyba nie...

ENA: Co mówiłaś? Nie martw się, Edi pójdzie do pracy.

INA: Ena, nie wiem, zupełnie nie wiem, jak mogłaś nie wiedzieć, że to taki młody chłopak. Przecież on jeszcze się uczy. Dziecko nie zrobiło jeszcze matury.

ENA: Ale nie wygląda.

INA: Ena, ale co nie wygląda? Co nie wygląda, co nie wygląda? Na swój wiek, czy na to, że nie zrobił jeszcze matury?

ENA: Ina, nie udawaj mądrzejszej niż jesteś, no przecież z wyglądu.

INA: Tak, wiem, kochacie się. Będziecie żyć miłością.

ENA: No przecież wiesz, że nie.

INA: I światłem słonecznym, a zapach świeżej trawy o poranku będzie waszym śniadaniem.

ENA: Ja pier...! Z Tobą to tak zawsze. Musisz być taka?

INA: Tak, masz rację, obiecałam Idzie, że będę wyrozumiała. Boże, ale jak tu można być wyrozumiałym? Dziecko...

ENA: Bóg tu nic nie pomoże. Fakt jest faktem. Dziecko będzie. Edi się nami zajmie, ale musi najpierw zdać maturę. Wynajmiemy mieszkanie, on pójdzie do pracy.

INA: Dziecko, a jego rodzice już wiedzą?

ENA: Wiedzą, nie wiedzą. Edi boi się im powiedzieć. Oni są bardzo kościelni. No wiesz, cnota, seks po ślubie itd.

INA (drwiąco): Trochę będą zaskoczeni.

ENA: No może się to źle skończy. Tak myślałam, że w razie czego mogłby zamieszkać z nami.

INA: *wybucho głośnym śmiechem*

Gaśnie światło.

Scena IV

Pokój drugi, Ina siedzi na łóżku.

ENA (*stoi pochylona nad Iną*): Kiedy zajmiesz się sobą?! Kiedy?! Ciągłe tylko ja!

INA: Dziecko...

ENA (*gestykuluje rękoma*): Dziecko?! Ile razy mam ci mówić, Ina... Jestem dorosła, za chwilę będę matką.

INA: Dziec... Ena, ja to wszystko wiem. Chciałam ci tylko pomóc, żebyś...

ENA: Tak wiem, żebym nie popełniła twoich błędów. Całe życie, moje życie polegało tylko na jednym. Jeden cel w życiu! Wyuczony i wyszkolony! Nie popełniaj błędów matki!

INA: Przecież...

ENA: Nie pomyślałaś, że może chciałabym mieć swój cel?! Sama go wymyślić. Co? (*zbliża się twarzy matki*)

INA (*odsuwa się wystraszona, podnosi głowę i patrzy na Enę*): Ena! Do cholery! Jakim tonem do mnie mówisz?

ENA: Jakim tonem? Jakim tonem? (*przedrzeźnia Inę*) Srakim! (*z pokorą schyla głowę*) Przepraszam. Może powinnam popełnić swoje błędy, a nie skupić się na niepopelnianiu twoich? Zobacz, do czego to doprowadziło! Nie poskutkowało twoje wychowanie! Skończyłam jak ty! (*wychodzi*)

INA (*schyla głowę, szepcze*): 1...2...3...4... Nie wychodź, gówniario, jak do ciebie mówię, trochę szacunku dla matki. Poświęciłam dla ciebie, ty przebrzydły bachorze, całe życie. Całą swoją karierę, by podcierać ci tyłek. Ty niewdzięczna ladacznico. A teraz co? Panna z dzieckiem.

IDA (*głos z szafy*): Duszko, po coś szeptać te słowa w sobie zduszone. Wypuść je z siebie, niech idą z głosem wysoko, prosto w otwarte ucho, prosto w domknięte serce.

INA: *(otwiera szafę)* Mamo! Koniak? Była umowa!

IDA *(gramoli się z szafy z butelką koniaku w jednej ręce i filiżanką w drugiej, mówi spokojnym głosem)*: Duszko, trochę się ogarnij. Co ty wyprawiasz?

Wstaje, poprawia podomkę, do jednej kieszeni chowa butelkę koniaku, do drugiej filiżankę.

INA: Mamo, co ja wyprawiam? A Ena? Słyszałaś, co mówiła?

IDA: Trochę słyszałam. Co słyszysz, a nie jest, nie pisze się w rejestr... Co prawda, siedzenie w szafie nie należy do wygodnych...

INA: No właśnie, może mi mama powie, po co siedziała w szafie?

IDA: *mija Inę i wychodzi z pokoju*

Gaśnie światło.

Scena V

Pokój Idy, wchodzi Ina. Na łóżku śpi Ida.

Ina *(nalewa sobie koniaku do filiżanki)*: Aparat na stole, Ida śpi, teraz sobie pogadamy. Jak córka z matką. Wiesz mam, nie mam zbyt wielu wspomnień z dzieciństwa. Pamiętam zapachy, miękkość i szorstkość różnych materiałów. Tak naprawdę mam kilka wspomnień ze szkoły podstawowej i kilka ze średniej. Jeju, dosłownie kilka, boję się liczyć, bo okaże się, że to zbyt mało jak na całe życie. Całe życie na coś czekam. Wiesz... Odkąd pamiętam, mam w sobie to oczekiwanie. Świadomie, bądź nie, ale ciągle czekam. Na balkonie, wyczekując taksówki i twojego powrotu, prezentów. Miękkiej bawełny, kolorowych sukienek z amerykańskich paczek, następnego pudełka kredek, farb, słodyczy, innego życia. W pralce typu „Francia” wyczekiwałam odgłosu zgrzytu klucza w zamku, szelestu reklamówek, co dawało uspokojenie i nieformalnie dawało znać małej dziewczynce, ukrytej pod stertą brudnych ciuchów, że ukochana mama wróciła. „Co masz dla mnie?”. I mam takie wrażenie, że albo tego nie widzę, tego, na co czekam albo to przesypiam. Mam to na wyciągnięcie ręki, ale ciągle umyka. Dokonałam niemożliwego, mam. Wychowałam Enę, choć słowo „wychowałam” z perspektywy czasu jest użyte na wyrost. Zawsze prosiłam o coś dla Idy, Eny, świata. Nigdy dla siebie. Bo czułam, że to nie jest w porządku. Ja nie walczę,

ja przyjmuję. Ale czy jest na to jakiś limit? Ja chciałam tylko innego życia dla siebie, ciebie i Eny. Innego. A co zrobiłam? Można by uznać, że „przeopiekowałam” córkę i nie dopilnowałam matki. Chociaż ty powinnaś pilnować się sama.

Spogląda na Idę. Wychodzi.

Gaśnie światło.

Scena VI

Pokój pierwszy, Ida jak zwykle przy biurku, tyłem do widowni. Wchodzi Ina, niezdeterminowana. Staje przed granicą.

INA: (*cicho*) Ida, co my teraz zrobimy? Ena z gówniarzem, przepraszam, z Edim, Edgarem, będzie mieć dziecko.

IDA: Widocznie tak miało być, duszko. Życie torem swym się toczy. Nie trać nadziei na lepszy los, na lepszy los...

INA: Żebyśmy chociaż miały jakieś możliwości lokalowe. A nie, ledwo mieścimy się w tej jaskini.

IDA: Jakie czasy, takie jaskinie.

INA: Gdybyś nie przegrała wszystkiego w karty...

IDA: Gdyby kózka nie skakała...

INA: Mamo, na miłość boską.

IDA: Boga w to nie mieszaj, on w tym zupełnie nie brał udziału.

INA: A szkoda, bo może byś się opamiętała w odpowiedniej chwili. Taki majątek...

IDA: Nie zaczynaj, duszko. Na szczęście wszelakie miej serce jednakie.

INA: Ty i te twoje życiowe przysłowia.

Ida odwraca się w stronę biurka, wyciąga z ucha aparat słuchowy. Ina stoi bezradna, wychodzi, wraca. Staje przy granicy.

INA: Mamo, tak właściwie... Poważnie mówiąc. Nie miał kto cię powstrzymać przed przegraniem majątku? No tak... (*odwraca się jeszcze na chwilę w stronę wyjścia, wraca i staje tuż za plecami Idy, nie przekracza granicy*). Słyszysz tylko te pytania, które według ciebie warte są odpowiedzi lub są bezpieczne. Załóż aparat! (*składa dłonie w tubę*) Aparat! Przecież wiem, że mnie słyszysz.

Ida nagle odwraca się i pochyla mocno w stronę Iny

INA: *(podskakuje wystraszona)*: O Jezusie! Zawału dostanę!

IDA: Czego ty ode mnie znowu chcesz?

INA: Ida, odpowiedz mi.

IDA: Na co?

INA: Pytałam cię, ale ty oczywiście udawałaś, że nie słyszałaś. Nikt nie mógł cię powstrzymać przed przegraną majątku?

IDA: Ino, daj mi spokój. Po co to znów wyciągać? Nigdy cię to nie interesowało. A teraz ciągłe pytania, ciągłe pytania, wieczne słów pragnienie. Wiedza nie jest ukojeniem, jest sprzymierzeńcem chaosu. Tu trzeba spokoju...

INA *(zdeenerwowana)*: Wybacz mamó, ale w tej sytuacji, gdy ja zostanę babcią, a ty prababcią, trzeba myśleć o przyszłości. Nie mamy pieniędzy. *(uspokaja się)* Nigdy o to nie pytałam. Znam tylko kilka historii, tych które opowiadałaś Enie przed snem. Mnie nie mówiłaś nigdy... Ponoć miałaś taaaaki majątek.

IDA: *(odwraca się)*: Miałam, dobrze powiedziane. Co było, a nie jest...

INA: A ta swoje. Teraz się nie wymigasz. Ida. Mów. *(robi krok do przodu)* Opowiadaj!

IDA: Kto miał mnie pilnować? Sama się pilnuj. Potrzebuję tylko 2,5 metra dla siebie, dla siebie tylko...

INA: Nie zmieniaj tematu. Nikt nigdy nie przekroczył bez twojego pozwolenia granicy. Jak Ena myje ci okno i tak całe biurko zakrywasz kocem. Już nawet nie jesteśmy ciekawe. Myślisz, że łatwo było upilnować Enę, jak była mała?

IDA: Wiem, ale to jedyne, co jest moje, co w moim władaniu. Moim światem się zwie, tylko ma dłoń może dotknąć, może naznaczyć. Czy widzisz coś w tym złego?

INA: Nic takiego nie powiedziałam. Ciągłe zmieniasz temat.

IDA: Nikt mnie nie pilnował. Nikt nie mógł mnie nigdy upilnować. Zawsze ja, tylko ja, tylko ja. Koniec tego! Wyjdź!

Ina wychodzi z pokoju, staje przy wyjściu, nagle dzwoni telefon w jej kieszeni.

INA: Tak, panie Seramowicz. Projekt na jutro? Pan wybaczy, ale to raczej niemożliwe...
Rozumiem... Postaram się. *(chowa telefon do kieszeni)*

IDA: Znów ją wykorzystuje. Stary cap. Wielki architekt, który podpisuje cudze projekty.

INA: Oj, przestań, ma mi ekstra zapłacić.

IDA: Jak zwykle, a potem niby nie pamięta. To ty powinnaś podpisywać swoje projekty, a taki Seramowicz powinien być na twoje zawołanie.

INA: Tara, tara, gdyby, gdyby. Przypominam ci, że studiów nie skończyłam, bo Ena przyszła na świat.

IDA: Tak, tak. Gdyby życie było sprawiedliwe, ja miałabym majątek, a ty miałabyś męża i mogła podpisywać swoje projekty.

INA: W rezultacie obie jesteśmy same i z długami.

Ina wychodzi.

Gaśnie światło.

Scena VII

Pokój drugi. Ina siedzi na swoim łóżku, Ena na swoim, skubie brwi. Ina przygląda się Enie.

ENA: Ty to nie możesz, nie mogłabyś być taką matką jak Ida? Dała ci wolną rękę. Mogłaś robić, co chciałaś.

INA: I...?

ENA: Na wszystko ci pozwalala, a ty tylko nauka i nauka. I co ci z tego przyszło?

INA: Chciałam coś osiągnąć – dla siebie, dla ciebie. Nigdy nie miałam nic swojego. Ciągłe zmienialiśmy mieszkania, ciągle na mniejsze. Chciałam wybudować dom, taki jak ten dworek, w którym Ida mieszkała.

ENA: Skończyłaś w jaskini! *(śmieje się)* Dlatego ja nie pójde na studia.

INA: I tak zabierasz się do nich od trzech lat. Studiowałaś już psychologię, ekonomię, socjologię i pedagogikę. Po jednym semestrze.

ENA: Wszelkstronnie wykształcona. Gdybyś posłuchała babci i skończyła studia.

INA: A kto miał zająć się tobą?

ENA: Babcia.

INA: Jak wiesz, babcia miała inne priorytety.

ENA: Ta, jasne. Ja tam nie wierzę, że babcia miała takie majątki.

INA: Też chciałabym w to nie wierzyć...

ENA (*przyjaźnie*): Pytałaś kiedy Idę o to? Nigdy cię to nie interesowało? Nie chciałaś wiedzieć? Nigdy? Dlaczego?

INA: Chwila, chwila, nie za dużo tych pytań na raz? Nie pytałam. Gdy byłam młodsza, pytałam, ale zawsze mnie zbywała. Kilka historii opowiadała tobie zamiast bajek przed snem. To były opowieści o sukcesie. Prawdę usłyszałam od obcych. Poza tym nie było jej cały czas w domu. Zwiedzała, jak to mówiła.

ENA: Kasyna?

INA: Z czasem okazało się, że kasyna. W międzyczasie grywała na prywatnych spotkaniach. W prywatnych domach. Im większa stawka, tym większy splendor. Kiedyś u Seramowicza stawką na wejście do gry było dzisiejsze 10 tysięcy. Wtedy przegrała dom. Seramowicz oddał jej go później. Nie wyciągnęła wniosków. Przegrała go rok później. To ten dworek, w którym jest biuro architektoniczne, tam gdzie pracuję.

ENA: Czyli w pewnym sensie pracujesz u siebie? (*śmieje się szyderczo*)

INA (*smutno*): W pewnym sensie tak. Mieszkałam tam do dziesiątego roku życia.

ENA: To wielki dom i kawał działki.

INA: Prawda? Miałybyśmy wielki dom.

ENA (*kpiąco*): A tak zostaje nam ta jaskinia.

INA: To nie był jedyny dom Idy. Miała ogromny majątek pod miastem. Hektary ziemi, hodowlę koni, stajnie, kawał lasu. Piękne miejsce.

ENA (*zaciekawiona*): I co się z tym stało? Przegrała?

INA: Przegrała. Chciałam, żeby Ida powiedziała, gdzie to jest. Twierdziła, że nie pamięta. Nie wierzę jej.

ENA: A może ona coś ukrywa? A co z tym majątkiem? Cały przegrała?

INA: Tak. To jest teraz warte ze trzy miliony. Tak jak kamienica we Lwowie. Kilka lat temu udało się jej wygrać proces i odzyskać ją. Wiesz, po wojnie zabrali i już. Nie grała wtedy z dziesięć lat. Kamienica wyceniona była na pięć milionów. Odzyskała dwa. Byłaś wtedy mała, możesz nie pamiętać. Jak ja się cieszyłam, że kupimy dom. Tego dnia marzyłam głośno, jaki on będzie. Gdy przyszły pieniądze, Ida kupiła prawdziwego szampana i bezę Pawłowa od Kowalczyków. Tańczyliśmy we trzy. Pamiętam smak tego szampana.

ENA: Zostało coś z tych pieniędzy?

INA: Od razu wszedł komornik. Okazało się, że Ida miała jakieś stare długi. Resztę przegrała. Przegrała nasz nowy dom. Cieszyłam się tylko jeden dzień.

ENA: Ja tam podejrzewam, że babcia to ma tej kasy trochę schowanej w biurku. Nie myślałaś nigdy, żeby...?

INA (*podejrzliwie*): Czy ty przypadkiem oprócz tego, że szybko mówisz, nie za szybko myślisz?

Ina wstaje, wychodzi z pokoju, za chwilę wraca.

INA: Gdzie jest Ida? (*rozgląda się nerwowo po pokoju*)

Ena wzrusza ramionami i przegląda się w lusterku. Od strony szafy słychać chrapanie.

INA (*otwiera drzwi szafy*): No masz ci los! Mamo!

IDA (*gramoli się z szafy, śpiewa*): Świat nie wierzył łzom, szkoda naszych łez...

Ena skubie brwi. Ida wstaje. Poprawia szlafrok, bierze pustą filiżankę i do połowy wypitą butelkę koniaku. Wychodzi.

Ina patrzy za Idą. Siada na łóżku.

ENA (*skubie brwi*): Czyli pieniędzy nie mamy?

INA (*do siebie*): Nie mamy.

ENA: Po co te gadki... Mówiłam mu, że nic z tego nie będzie...

INA (*sarkastycznie*): Edi pewnie wygra... jak zwykle.

Gaśnie światło.

Scena VIII

Pokój drugi. Jest tylko Ena, siedzi na łóżku, rozmawia przez telefon, przegląda się w lusterku, maluje rzęsy.

ENA: I słuchaj, on do mnie tym swoim milutkim głosem, jutro laptop do lombardu, Misiu, żebyś się nie zdziwiła. W sobotę odbiorę. Patrzę na niego jak na idiotę i mówię, że chyba na głowę upadł. A on cmok, cmok, nie mam wyjścia. I potem do mnie no chyba, że wezmę pożyczkę w banku... Jak to? Na co? Na jego długi... On się dzieckiem nie przejmuję. On mówi, że albo laptop, albo pożyczka, bo inaczej zwariuje. Niech wariuje. A on, że ma tyle wydatków. Pytam jakich. A on, że benzynę musi kupić, iść do fryzjera, mieć jakąś stówkę w kieszeni... Śmieje się, śmieje... Ku..., to ja na nic nie wydaję pieniędzy, u fryzjera byłam... nie pamiętam, a ten... No ja nie mam siły do niego... Wiem, ja to wszystko wiem. Mówię mu, że nie wezmę i koniec i że mogę dać mu dziesięć złotych. Ty, a on do mnie, żebyś se w dupsko to dziesięć złotych wsadziła... Też mu mówiłam, to stwierdził, że do lombardu telefonu bez papierów mu nie przyjmą, a on przecież nie ma. Mówię, żeby sobie od kolegów pożyczył, a ten, że w dupie ma kolegów i jestem beznadziejna, bo nie chcę mu pomóc, a tak go ponoć kocham i chcę z nim założyć rodzinę... Twierdzi, że odda mi do soboty. Szczur chce grać, wiem to... Nie, on powiedział, że do pracy nie pójdzie, że niech sobie dzwonią, że od rodziców nie będzie brał, bo nie mają, że tylko może mojego laptopa zastawić. No tak mnie wku... I jeszcze mówi, że on w takim stanie nie może pracować i wiesz, co jeszcze? Nie uwierzysz, to moja wina! Wyobrażasz to sobie?! To wszystko przeze mnie. Oki. Rozumiem. Cześć.

Odkłada telefon na łóżko. Patrzy przed siebie, wzrok spada na brzuch.

ENA (szepcze): To wszystko przez ciebie, wszystko przez ciebie. Dziecko. To tylko dziecko. *Patrzy na brzuch. Uchylają się drzwi od szafy, wypada jeden bambosze. Ena patrzy z zaciekawiona.*

IDA (pijana): Ech, to była rozgrywka. Maria ciągle marudziła, że zbyt długo się zastanawiam. Ale musiałam mieć chwilę na zastanowienie. Sprawdziłam. Oczywiście najpierw wypowiedziałam swoje „Nareszcie Modeście jesteście w agrecie”. Franciszek jak zwykle liczył na moją przegraną. I co? Przeliczył się. *(śmieje się)* To był full. To był

full stulecia. Nie! Tysiąclecia. Zmiotłam ich wszystkich. Ech. Kto ma szczęście w kartach, ten ma szczęście w miłości. To tak nie było chyba... A czy to ważne? Kogo teraz interesuje jak było. Ważne, żeby to wszystko dostosować do siebie. Nawet stare powiedzenia, może któreś z nas przeżyje.

Wygląda z szafy, spogląda na Enę. Zamyka drzwi szafy, po chwili znów je otwiera i zabiera z podłogi bambosz. Zamyka drzwi. Ena wraca do malowania.

Gasną światła.

Scena IX

Kuchnia. Stół, sześć krzeseł, sześć talerzy, misy, miseczki, patery. Ida siedzi w szlafroku i czyta gazetę, Ena przegląda się w małym lusterku, Ina krząta się przy stole, omijając obie kobiety. Siada.

INA: Która godzina? Nie powinni już być?

ENA (*patrzy w ekran telefonu komórkowego*): Edi właśnie napisał, że nie przyjdą. Jego rodzice zapomnieli, że mają dziś spotkanie z szefem ojca Eda.

INA: Słucham?! Jak to nie przyjdą?! Tyle szykowania i nawet nie dali wcześniej znać? Co to ma znaczyć? Kto to wszystko zje? Tyle pieniędzy na to wydałam.

IDA (*patrzy w gazetę*): Dziecko, daj spokój. Zjemy to wszystko same, same.

INA: Ja już mam dość tego wszystkiego, pewnie napisał wcześniej, ale trzeba było się stroić, to było ważniejsze. Jak ty w ogóle wyglądasz, nawet na kolację... Wstydu nie masz...
Wszystkie kobiety mówią w tym samym momencie, patrzą na siebie. Słyszą pojedyncze słowa, urywki zdań.

ENA: No oczywiście, jak zwykle moja wina. Wszystko moja wina. Źle się ubieram, źle się prowadzę, wszystko robię źle. Niedługo to jak koniec świata będzie, to będzie moja wina. Może jeszcze jak euro spada, to moja wina... W każdym razie, sama se to zjedz. Może nie chcieli przyjść, żeby nie słuchać tych twoich wywodów, tylko kasa i kasa, przyszłość i przyszłość. Może i dobrze, że nie przyszli. Coś ty podała? Szynclę i ziemniaki. Wstyd. Daj spokój.

INA: Jaki wstyd? Jaki wstyd? Milcz, dziewczyno. Matki się wstydzisz?! Swojej matki? To ja powinnam wstydzić się ciebie. Ty niewdzięczna, puszczańska gówniara. Tak, taka

dorośla, jasne. Dorosłość to nie metryka, dorosłość to odpowiedzialność. Jedyne, za co jesteś odpowiedzialna, to tylko za to, w co się ubierasz. Żadnych obowiązków. Ale to się zmienia. Niech tylko dziecko przyjdzie na świat. Dasz mi wtedy spokój...

IDA: Czy wiecie, że w Kalifornii, na Florydzie, w Tennessee w USA padła historyczna wygrana 1 586,4 milionów dolarów? Trzech wygranych. Najwyższa kumulacja w historii. Wypłacona w postaci jednorazowych kwot o łącznej wysokości 983,5 milionów dolarów. Jezusie Nazareński, nie jestem sobie w stanie wyobrazić tylu pieniędzy. Jak to czytam, to mi się w głowie kołuje. Ale człowiek by pożył za taką sumkę. Ciągły spokój.

Kobiety nagle milkną. Zaczynają mówić równocześnie.

ENA: Ina, znaczy mama, przepraszam. Masz dużo racji, ja to wszystko wiem. Tylko ja tak się boję. Boję się, że sobie nie poradzę, że ten złamas Edi nie przestanie grać i zostanie z dzieckiem sama. Jak ja sobie poradzę? Co z moimi planami? Naprawdę chciałam iść do szkoły, chciałam zmienić coś w swoim życiu, ale cały czas się bałam, że sobie nie poradzę. Tak bardzo się boję, że skończę jak ty. Smutna, przepracowana i niemająca nic prócz matki i córki. Ale w sumie mam tylko ciebie.

INA: Dziecko, przepraszam, przepraszam. Tak się martwię o ciebie i maleństwo. Ten Edi jest taki nieodpowiedzialny. Tylko ty się nie martw, proszę cię. Poradzimy sobie. W razie czego poradzimy sobie, kochana. Zobacz, ja dałam radę, to i ty dasz. Masz mnie i babcię. Ja tylko chciałam, żebyś nie skończyła jak ja. Moja kochana, mała dziewczynka.

IDA: Każdy los Hiszpańskiej Loterii Bożonarodzeniowej posiada pięciocyfrowy numer, natomiast każdy z numerów jest drukowany w kilku tzw. seriach losów. Na przykład los o numerze „00001” został wydrukowany 180 razy w kilku różnych seriach losów. Dzięki temu każda wygrana jest rozdzielana pomiędzy wielu graczy. W 2012 roku aż 180 graczy kupiło losy o numerze „58268”, dzięki czemu każdy z nich otrzymał dokładnie po 4 miliony euro z puli 720 milionów. Wszystko by się zmieniło. Mogłybyśmy, dziewczynki, w końcu żyć.

Gaśnie światło.

Scena X

Pokój ldy. W progu stoi Ena. Rozgląda się, wchodzi do środka pewnym krokiem. Przed żółtym pasem przystaje, waha się. Robi duży krok, aby nie stanąć na żółtej linii. Podchodzi do biurka. Na podłogę odstawia filiżankę. Przegląda rzeczy na biurku, otwiera drzwiczki, szuflady, wysypują się papiery, robi bałagan. Siada w fotelu. Wyciąga telefon. Dzwoni

ENA: Cześć. Tak, siedzę przed biurkiem, dziwnie jakoś, jak już mogę tu siedzieć... Mhhh... przekroczyć granicę po tylu latach, to dość ku... dziwne... Nie, nic tu nie ma... (prze-gląda kartki, czyta) Nie, same gazety, jakieś wydruki, zdjęcia stare jakieś... (Wstaje, odchodzi od biurka, znów robi krok, aby nie stanąć na żółtej linii. Patrzy z daleka na biurko, podbiega, jakby coś zauważyła). Nic tu nie ma, zupełnie nic... Jesteśmy biedni, Edi. Matka miała rację, nie mamy niczego... dziecko? To tylko dziecko...

Wychodzi, nadal rozmawiając przez telefon.

Do pokoju wchodzi Ina, jest w szlafroku ldy, zatrzymuje się przy żółtej linii, bamboszem poprawia ją, przyklepuje. Siada na fotelu przodem do widowni. Rozgląda się po pokoju, podnosi filiżankę i stawia ją na stole. Przekłada papiery, porządkuje je chwilę. Robi miejsce i stawia na nim popielniczkę, pełną butelkę koniaku, filiżankę, kładzie aparat słuchowy. Odwraca się tyłem do widowni, poprawia się. Zapala papierosa.

INA (śpiewa cicho): Świat nie wierzył łzom, szkoda naszych łez...

Wchodzi Ena.

ENA (wrywa z ust lny papierosa): Mówiłam, kur... nie pali!

Gaśnie światło. Słychać płacz dziecka.

Koniec

Katarzyna Chołuj

Dramat na dramacie

Osoby:

42-letnia Kinga Pomadka

76-letnia Halina – matka Kingi

74-letnia sąsiadka Grażyna

64-letni sąsiad Kazik

Policjant

Streszczenie

42-letnia Kinga Pomadka mieszka z matką, 76-letnią Haliną, chorą na Alzheimera emerytowaną nauczycielką polskiego. Kinga dorabia pisząc pseudoartykuły do magazynów o zdrowiu. Marzy o prawdziwej twórczości. Pragnie też, by choć przez chwilę – tak jak kiedyś – być córką Haliny.

Zwyczajnie zapowiadający się dzień – z niegroźnym epizodem policyjnym – zakłócają niespodziewane wizyty sąsiadów. 64-letni sąsiad Kazik przychodzi pożyczyć jajka, a 74-letnia sąsiadka Grażyna prosi o ciśnieniomierz. Nagle zamek w drzwiach się zacina, a Kinga i jej matka są zmuszone do spędzenia kilku godzin z przesadnie religijną Grażyną. Z opresji ratuje ich sąsiad. Następnego dnia Kinga prosi sąsiadkę, by została z matką. Ta odmawia. Kobieta zostawia więc śpiącą matkę i wychodzi z domu. Po powrocie zastaje policjanta przed drzwiami. Okazuje się, że matka wpadła w furję. Kilka dni później Kinga mieszka już sama. Nie może pogodzić się z tym, że oddała jednak matkę do domu opieki. Nie odbiera telefonów, nie myje się, pali jednego papierosa za drugim aż do chwili, gdy sąsiad przynosi jej list. Po przeczytaniu słów matki Kinga postanawia do niej pojechać. Niestety, za późno. Matka zmarła.

Finalnie Kinga Pomadka okazuje się bohaterką dramatu, autorką scenariusza oraz odtwórczynią głównej roli. Swoją debiut dedykuje matce.

Obsada:

5 osób (3 kobiety + 2 mężczyźni)

Miejsce akcji:

Pokój bez balkonu. Wersalka przykryta różowym kocem. Obok tapczan. Za odsuniętym od ściany regałem i kotarą biurko z komputerem. W rogu lodówka. Na ławie telewizor. Na środku pokoju bujany fotel, a na oparciu szmaciana lalka.

Scena I

Kinga budzi się. Otwiera okno i siada do komputera. Zastania kotarę i zapala papierosa. Matka chrapie.

KINGA: Tłący papieros spadł, sparzył kawałek ciała, tłący papieros spadł, sparzył kawałek ciała.

AUTOMATYCZNY GŁOS (Z OFFU): Masz nową wiadomość.

KINGA: Pani Kingo, w związku ze zmianą daty publikacji artykułu, proszę o przesłanie tekstu najpóźniej do północy. Z pozdrowieniami Happy-Senior. (Mruczy.) Rząd zapowiada darmowe SPA dla każdego seniora. Pora na SPA dla seniora.

Matka płacze. Kinga odsuwa zasłonę.

HALINA: Która godzina?

KINGA: Siódma mamo.

HALINA: To kto. Kto to. To kto. Kto to. To kto. Kto to.

KINGA: Stoi na stacji lokomotywa, ciężka, ogromna i pot z niej spływa, tłusta oliwa.

HALINA: Stoi i sapie, dyszy i dmucha, żar z rozgrzanego jej brzucha bucha. Buch – jak gorąco! Uch – jak gorąco! Puff – jak gorąco! Uff – jak gorąco. Już ledwo sapie, już ledwo zipie, a jeszcze palacz węgiel w nią sypie.

KINGA: Stoi na stacji piękna maszyna, smukła, błyszcząca, swój bieg rozpoczyna. Och, Pendolino – krzyczy dziewczyna. Czeka ją gapie, tłum się rozrasta, Wypchany peron, wymarłe miasta. Uff – jak tu duszno! Kur – jak tu ciasno! Buch – światła gasną! Wrr – ludzie wrzasną! Mężczyzna sapie, już ledwo zipie, a ktoś tam z góry konfetti sypie.

HALINA: Oj, Marzenka, Marzenka. Nie zmieniaj tekstu.

KINGA: Kinga! Kinga, twoja córka.

HALINA: Ja nie mam córk!i!

KINGA: Masz! (...) Stoi na stacji lokomotywa, ciężka, ogromna i pot z niej spływa, tłusta oliwa.

HALINA: Stoi i sapie, dyszy i dmucha, żar z rozgrzanego jej brzucha bucha. Marzenko, a rodzice? O której po ciebie przyjdą?

KINGA: Za kilka godzin.

HALINA: To dobrze. Poćwiczymy „Lokomotywę”.

KINGA: *(szepcem)* Tak. Mamo (...)

Kinga robi herbatę i szykuje kanapki.

KINGA: Z wędliną i serem. Herbata imbirowa. Tak jak lubisz. Kawalek sernika na deser.

HALINA: Karramba! Karramba!

Kinga włącza telewizor. Próbuje znaleźć bajkę „Porwanie Baltazara Gąbki”.

HALINA: Karramba! Karramba!

Kinga ustawia bajkę na jednym z dziecięcych kanałów.

KINGA: Może to?

HALINA: Karramba! Karramba! Ja chcę Karrambę!

Kinga podaje matce szmacianą lalkę.

KINGA: Karramba jutro.

HALINA: Tak. Jutro. Karramba jutro.

Kinga siada przy komputerze za zasłoniętą kotarą. Matka buja się na fotelu i ogląda kreskówki.

Dzwonek telefonu.

KINGA: Bez zmian. Lokomotywa, szmaciana lalka, Bartłomiej Herbu Zielona Pietruszka. (...) Chciałabym. Nie sądzę. Jeśli już, to Marzenka. Nigdy Kinga. Naprawdę? Masz siłę? Wódka kontra Alzheimer. Ale naprawdę? Nie, spokojnie. Jutro. Konkurs? Nie dam rady. Bacha, jesteś tam? Bacha?... Kurde, co jest! Co za rzęch!

Słychać wkurzoną matkę. Kinga wyskakuje zza kotary.

KINGA: Mamo! Przestań! Zostaw te spinacze.

HALINA: *(ciskając spinaczami za okno)* Brama wjazdowa.

KINGA: Kiedyś była.

HALINA: Jest! A w bramie nie można.

KINGA: Chodź już.

Halina zrzuca pudełko. Spinacze rozsypują się.

KINGA: Stoi i sapie, dyszy i dmucha, żar z rozgrzanego jej brzucha bucha.

HALINA: Buch – jak gorąco! Uch – jak gorąco! Puff – jak gorąco! Uff – jak gorąco!

Scena II

Kinga siedzi przed komputerem.

KINGA: Super! Jedenasta. Trzy tysiące znaków ze spacjami.

Dzwonek do drzwi.

HALINA: To kto. Kto to. To kto. Kto to. To kto. Kto to.

POLICJANT: Policja! Proszę otworzyć!

HALINA: To kto. Kto to. To kto. Kto to. To kto. Kto to.

POLICJANT: Dostaliśmy zgłoszenie o uszkodzeniu mienia.

KINGA: Że co?

POLICJANT: To, co pani słyszy, a dokładniej porysowany samochód. Zgłaszający twierdzi, że z tego mieszkania ktoś rzucał plastikowymi przedmiotami.

HALINA: To kto. Kto to. To kto. Kto to. To kto. Kto to.

KINGA: Spinaczami, jeśli już. I że niby uszkodziły czyjeś mienie? A mogę wiedzieć, kto zgłaszał?

POLICJANT: Taką informację może pani uzyskać wyłącznie na komendzie. Czyli potwierdza pani?

KINGA: Co?

POLICJANT: Uszkodzenie mienia, którego się pani dopuściła.

HALINA: *(zaczyna płakać)* To kto. Kto to. To kto. Kto to. To kto. Kto to.

KINGA: Nie zdążyłam zareagować.

POLICJANT: Szósty raz w tym miesiącu. Może powinna pani pomyśleć...

KINGA: Nie oddam jej do szpitala. Pouczenie? Mandat? Bo nie mam czasu.

POLICJANT: Proszę pilnować matki.

KINGA: Staram się! Naprawdę się staram!

Kinga wraca do pisania artykułu. Nie zastania kotary. Zapala papierosa. Matka buja się na fotelu. Ściska lalkę. Na ekranie telewizora kreskówka.

KINGA: Tłący papieros spadł, sparzył kawałek ciała, tłący papieros spadł, sparzył kawałek ciała (...).

Dzwonek do drzwi.

HALINA: To kto. Kto to. To kto. Kto to. To kto. Kto to.

Dzwonek nie przestaje dzwonić. Po chwili dołącza głośne pukanie. Kinga podchodzi do drzwi. Po cichu oddala się.

SĄSIAD: Sąsiadko, trzeźwy jestem. Jajko chcę pożyczyć. Trzeźwy naprawdę. Żurek gotuję.

HALINA: To kto. Kto to. To kto. Kto to. To kto. Kto to.

Kinga otwiera. Sąsiad rzeczywiście trzeźwy.

SĄSIAD: Sąsiadko, żurek gotuję. Tylko jajek nie mam.

KINGA: Dwa, trzy? Przepraszam, myślałam (...).

SĄSIAD: Że jestem pijany. Dwa wystarczą.

KINGA: Chwila...

HALINA: To kto. Kto to. To kto. Kto to. To kto. Kto to.

SĄSIAD: Oddam jeszcze dzisiaj.

KINGA: Nie trzeba.

Kinga wraca do komputera. Pali i energiczne stuka w klawiaturę.

KINGA: Super! Po prostu super! Minęła godzina. Trzy tysiące sześćset znaków. Nie skończę tego artykułu.

Dzwonek do drzwi.

KINGA: Kto znowu!

HALINA: To kto. Kto to. To kto. Kto to. To kto. Kto to.

GRAŻYNA: Pożycz mi panienka ciśnieniomierz?

KINGA: A pożycz mi sąsiadka święty spokój?

GRAŻYNA: Nie rozumiem.

KINGA: Czyżby? Dwie godziny temu?

Sąsiadka zaprzecza kiwając głową.

KINGA: Policja? Porysowany samochód?

GRAŻYNA: To nie ja. Henia nie ma. Naszego auta też nie.

KINGA: Co za ulga. Niebywała. A jakby był to...

GRAŻYNA: Pożycz mi panienka ten ciśnieniomierz?

KINGA: Niech pani wejdzie.

HALINA: To kto. Kto to. To kto. Kto to. To kto. Kto to.

GRAŻYNA: W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen. Mój Boże, ile to już trwa?

Kinga wyjmuję z regału ciśnieniomierz.

KINGA: Proszę.

GRAŻYNA: Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus.

KINGA: Nie prosiłam o to.

GRAŻYNA: A gdyby?

KINGA: To co? Matka byłaby zdrowa, tak? Poza tym skąd pani wie, że nie wierzę? To, że nie latam do kościoła jak na sraczkę, to nie znaczy... Nieważne. (...) Mam robotę.

GRAŻYNA: Tak, tak. Już.

Kobiety idą do drzwi.

KINGA: (szarpie za klamkę) Co pani robi! Super! Po prostu super!

GRAŻYNA: Co się stało?

KINGA: Nie widać! Zamek kręci się w kółko.

Podczas dalszej części rozmowy Kinga siłuje się z zamkiem. Wyciąga z szafy małą walizkę. Wysypuje na podłogę narzędzia. Bierze imadło. Próbuje otworzyć drzwi. Chwyta obcęgi. Rzuca na podłogę imadło, obcęgi. Kopie w drzwi i w walizkę z narzędziami.

KINGA: Ma pani telefon?

GRAŻYNA: Nie.

KINGA: Super! Ja też nie. Padł rano.

KINGA: A pan Henryk? Może się zaniepokoi?

GRAŻYNA: Wraca jutro.

KINGA: Super! Po prostu super!

HALINA: To kto. Kto to. To kto. Kto to. To kto. Kto to.

GRAŻYNA: W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Halinka to ja. Nie poznajesz?

Halina i Grażyna mówią dwie kolejne kwestie jednocześnie.

HALINA: To kto. Kto to. To kto. Kto to. To kto. Kto to. To kto. Kto to. To kto. Kto to.
To kto. Kto to.

GRAŻYNA: Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus.

Kinga podaje matce szmacianą lalkę i otwiera okno.

KINGA: Kazik! Kazik!

SĄSIAD: *(dobitnie – głos z OFFU)* Maryjo królowo Polski, jestem przy Tobie, pamiętam, jestem przy Tobie, pamiętam! *(jeszcze bardziej dobitnie)* Maryjo królowo Polski, jestem przy Tobie, pamiętam, jestem przy Tobie, pamiętam!

KINGA: To na nic. Teraz z popielnika na Wojtusia. I po Kaziku. *(Uderza pięścią w parapet. Zapala papierosa.)* Tłący papieros spadł, sparzył kawałek ciała, tłący papieros spadł, sparzył kawałek ciała.

Kinga siedzi przy komputerze za kotarą. Rozlega się wrzask matki. Kinga wygląda zza kotary. Matka płacze. Sąsiadka stoi z pilotem od telewizora w ręku. Na ekranie wiadomości.

KINGA: *(wyrываяc Grażynie pilot od telewizora)* Co pani robi?

GRAŻYNA: To lepsze dla niej. Bajki ogłupiają.

KINGA: Serio? A modły na okrągło nie?

Matka płacze. Uspokaja się, gdy Kinga włącza bajkę.

Halina i Grażyna mówią dwie kolejne kwestie jednocześnie. Kinga dołącza po chwili.

HALINA: To kto. Kto to. To kto. Kto to. To kto. Kto to.

GRAŻYNA: Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus.

HALINA: To kto. Kto to. To kto. Kto to. To kto. Kto to.

Kinga zapala papierosa i zaczyna mówić w trakcie „zdrowaśki” Grażyny.

KINGA: Dość! *(przedrzeźnia)* Tłący papieros spadł, sparzył kawałek ciała, tłący papieros spadł, sparzył kawałek ciała. (...)

KINGA: Zaraz, zaraz. Dziś trzynasty?

GRAŻYNA: Tak. I?

KINGA: Różaniec fatimski po osiedlu?

GRAŻYNA: Tak. I?

KINGA: Zawoła pani jakąś koleżankę.

GRAŻYNA: Ja?

KINGA: Jakiś lepszy pomysł? To proszę! Byle nie „zdrowaśki” pod zatrzaśniętymi drzwiami!
O której ten spacer pod oknami?

GRAŻYNA: Przed mszą.

KINGA: Ja pierniczę. Prawie dwie godziny.

HALINA: To kto. Kto to. To kto. Kto to. To kto. Kto to.

KINGA: Nie dotyka pani pilota. Jasne?!

Sąsiadka wyjmuje z kieszeni swetra różaniec. Odmawia go w ciszy. Kinga siada do komputera. Nie zasłania kotary.

Scena III

Na stole trzy miski z zupą. Kinga, matka i Grażyna jedzą. Nagle pojawia się odgłos bicia kościelnych dzwonów. Kinga wygląda przez okno.

GŁOSY Z OFFU: *(śpiew)*

My mamy Boga w księżce, w szkole. O usłysz, Panie, dziś nasz głos.

KINGA: W końcu! Teraz pani kolej!

GRAŻYNA: Stefa! Stefa! Jadzia! Jadzia!

KINGA: Głośniej!

GRAŻYNA: Stefa! Stefa! Jadzia! Jadzia!

KINGA: Tak to nic z tego nie będzie.

Kinga wyjmuje z lodówki dwa opakowania jajek.

GRAŻYNA: Co pani? Chyba pani nie chce...

KINGA: Właśnie, że chcę! Tylko jaja nas uratują! *(spogląda na matkę)* Rzucamy?

Kinga i matka rzucają jajkami przez okno.

Kinga, matka i sąsiadka mówią kolejne kwestie jednocześnie.

HALINA: Brama wjazdowa!

KINGA: Tak! A w bramie nie można! Jajami ich! Jajami!

GRAŻYNA: Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus.

HALINA: Brama wjazdowa!

KINGA: Jajami ich! Jajami ich!

GRAŻYNA: Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej.

HALINA: Jajami ich! Jajami ich! Jajami, jajami, jajami ich!

KINGA: Tak, Mamuś, brama.

HALINA: Córcia, ale tak nie można.

KINGA: Można. Dziś można. *(czule całuje matkę)* Mamuś! Dziś wszystko można!

HALINA: Kinia, już wystarczy!

KINGA: Mamuś! Mamuś! Ostatnie dwa. *(cmoka matkę w policzek)*

HALINA: Córcia, ale tylko dwa! Jajami ich! Jajami ich! Jajami, jajami, jajami ich!

GRAŻYNA: Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus.

KINGA: No już. Chodź już. Mamo, już wystarczy.

HALINA: Ty szmato!!

KINGA: Stoi na stacji lokomotywa, ciężka, ogromna i pot z niej spływa, tłusta oliwa.

HALINA: Stoi i sapie, dyszy i dmucha, żar z rozgrzanego jej brzucha bucha.

GRAŻYNA: A jeśli pani trafiła w różaniec? Taki grzech.

KINGA: Bóg pani wybaczy.

GRAŻYNA: Taki grzech. Profanacja. Boże, wybacz mi.

KINGA: Jakby co, dorzuca się pani do mandatu.

Kinga, matka i sąsiadka nadal siedzą w pokoju. Kinga pali jednego za drugim. Niedopałki wyrzuca przez okno. Halina tuli lalkę i jak zaczarowana patrzy w telewizor. Grażyna niezmiennie odmawia różaniec.

DZWONEK DO DRZWI

HALINA: To kto. Kto to. To kto. Kto to. To kto. Kto to.

KINGA: Jest!

SĄSIAD: *(głos z OFFU)* Sąsiadko, to ja. Trzeźwy jestem. Prawie. Jajka chcę oddać.

KINGA: Panie Kaziku, pomocy! Drzwi się zatrzęsęły.

SĄSIAD: *(głos z OFFU)* Co?

KINGA: *(szarpie za klamkę)* Drzwi! Górny zamek. Kręci się w kółko.

SĄSIAD: Zaraz wracam.

Chwilę później słychać stukanie młotkiem. Sąsiadka podchodzi bliżej drzwi.

GRAŻYNA: Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus.

KINGA: Może pani przestać?

GRAŻYNA: Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej.

Kinga zapala papierosa.

KINGA: Zamknij się! (*dmucha dymem w sąsiadkę*) Tłący papieros spadł. Sparzył kawałek ciała. Tłący papieros spadł. Sparzył kawałek ciała.

Drzwi otwierają się.

SĄSIAD: Ale zamek to do wymiany.

KINGA: (*parafrazując pieśń kościelną*) Dzięk! Sąsiedzie, składamy dzięki! Za wszechmogącą pomoc twą. (...) Dzięk, sąsiedzie, składamy dzięki (...)

SĄSIAD: Zawsze do usług, sąsiadeczko.

GRAŻYNA: Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionas Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus.

KINGA: (*częstując sąsiada papierosem*) Zapalimy?

GRAŻYNA: To ja już pójdę.

KINGA: A ciśnieniomierz?

Grażyna nie odpowiada. Wychodzi.

HALINA: To kto. Kto to. To kto. Kto to. To kto. Kto to.

KINGA: Przepraszam. Muszę.

SĄSIAD: Jasne. Proszę pozdrowić mamę.

Kinga zamyka drzwi. Kładzie matkę do łóżka, podaje jej lalkę. Nuci kołysankę. Gdy matka zasypia, Kinga wchodzi do swojego kącika za kotarę.

KINGA: Darmowe SPA dla każdego seniora. Zdążyłam. Punkt dwunasta.

Kinga wygląda zza kotary. Matka śpi. Kinga zapala papierosa. Szepcze.

oczy są szkliste ła po nich płynie

mokre od lęku po wyrznięciu raju

przez jego resztki nieobecne w dzień

noce we śnie go widzą i tęsknią

AUTOMATYCZNY GŁOS (Z OFFU): Masz nową wiadomość.

KINGA: Pani Kingo, poniżej kolejny temat, tym razem o darmowych biletach do kin i teatrów dla seniorów. Termin do jutra do północy. Z pozdrowieniami Happy-Senior (*zapala papierosa*) Z czegoś żyć trzeba. A żeby żyć, trzeba kłamać. (*zaciąga się, szepcze*) Tłący papieros spadł, sparzył kawałek ciała, tłący papieros spadł, sparzył kawałek ciała.

Po chwili słychać pojękiwania matki. Coraz głośniejsze. Kinga wyskakuje zza kotary.

HALINA: Która godzina?

KINGA: Jeszcze noc. Śpij.

Kinga kładzie się obok matki, podaje jej lalkę. Gdy matka zasypia, zapala lampkę i sięga po kartkę i długopis. Zapala papierosa. Pisz i szepcze...

KINGA: We łbie otwiera mi się żal, a przy nim młodość cała. Tłący papieros spadł, sparzył kawałek ciała. A moje ciało jest jak lep, ciężko mu nawet w nocy, karmi się podłym dniem, a śniąc pokonuje schody. Tam otwiera się we łbie raj i zmartwychwstają marzenia kiedyś realne, dziś bez szans, zabrane bez uprzedzenia. I nie powrócą zwykłe dni, ciało i łeb strach skrywa, a pod kołdrą dławią mnie łzy gęste jak własna ślina. A we łbie żyje tylko lęk i tonę już w nim cała. Tak jak papieros zgasł, tak śmierć uwolni ciało. Tak jak papieros zgasł, tak śmierć uwolni ciało.

Zapada ciemność.

Scena IV

Kinga budzi się. Upewnia się, że matka śpi i po cichu wychodzi. Puka do sąsiadki Grażyny.

KINGA: Dzień dobry. Mam prośbę. Muszę wyskoczyć na godzinę, może dwie. Nie chcę zostawić mamy samej. Koleżanka przychodzi dopiero po południu. Czy mogłaby pani...

GRAŻYNA: Bardzo bym chciała pomóc. Ale (...) jestem sama z wnuczkami. Rozumie sąsiadka. Nie chcę dzieciaków ciągać.

MĘSKI GŁOS Z OFFU: Grażynka, kto to?

GRAŻYNA: To nie tak...

KINGA: *(odchodząc)* Jasne!

Kinga zagląda do matki. Ta nadal śpi.

KINGA: Mamuś, dosłownie dwie godziny. Może mniej. Skoczę tylko do serwisu z telefonem. Śpij.

Kinga po powrocie zastaje policjanta i pijanego sąsiada opartego o drzwi jej mieszkania.

SĄSIAD: *(podpity)* Mówiłem, że zaraz przyjdzie. Mówiłem.

POLICJANT: Jeszcze chwilę i musielibyśmy wyważyć drzwi.

KINGA: Ale (...) Co się stało?

POLICJANT: Pani matka. Wejdzmy do środka.

Matka siedzi w samej bieliźnie na podłodze. Obok niej kawałki stłuczonego lustra, kilka garnków. Kinga okrywa matkę swoją kurtką.

KINGA: Stoi i sapie, dyszy i dmucha, żar z rozgrzanego jej brzucha bucha

HALINA: Buch – jak gorąco! Uch – jak gorąco! Puff – jak gorąco! Uff – jak gorąco!

POLICJANT: Krzyczała. Że została uwięziona. A gdy zaczęła wyrzucać przez okno szklanki, sztućce, talerze, ktoś zadzwonił.

KINGA: Sąsiedzi? (...)

Kinga pomaga matce wstać z podłogi. Zapala papierosa. Nerwowo się zaciąga.

POLICJANT: Może to już czas. Powinna pani (...)

KINGA: Nie. To nie jest ten czas. Nigdy nie będzie. Nie oddam matki. Czy mam coś podpisać. Grzywna? Jakieś zniszczenia?

POLICJANT: Nie. Całe szczęście nie. Ale mogło dojść do nieszczęścia, gdyby...

KINGA: Ale nie doszło. Nikt nie dostał talerzem czy łyżką. Żaden samochód też nie. Mam coś podpisać?

POLICJANT: Tym razem nie.

Scena V

Półmrok. Kinga siedzi ubrana w dresy. Nieuczesana. Na stole popielniczka pełna niedopałków, kilka pustych butelek po piwie. Komputer wyłączony.

DŹWIĘK ESEMESA

KINGA: *(zachrypniętym głosem)* Martwię się. Oddzwoń. Przecież wiesz. Nie miałaś wyjścia. Proszę oddzwoń.

DŹWIĘK ESEMESA

KINGA: *(zachrypniętym głosem)* Pojadę dziś do niej. Wieczorem przyjdę. Tylko otwórz drzwi. Ściskam Bacha.

DZWONEK DO DRZWI

SĄSIAD: Sąsiadko. To ja. Trzeźwy jestem. Mam coś dla ciebie. Sąsiadko. Otwórz. (...) Ja nie wiem. Naprawdę nie wiem, jak to się stało. Znalazłem dzisiaj. Przepraszam.

KINGA: Ale to jest...

SĄSIAD: Tak. Od pani matki. Ja naprawdę nie wiem, jak to się stało. Przepraszam. Pójdę już.

Kinga zamyka drzwi. Zapala papierosa i rozrywa kopertę. Czyta.

KINGA: Kinia, teraz już wiesz. Alzhaimer. Córcia, proszę oddaj mnie do domu opieki. Pamiętaj. Kocham cię, choć może już tego nie mówię. Wierzę w ciebie, choć może za mało ci o tym mówiłam.

Dalsza część listu odczytywana jest przez matkę z OFFU, a w tym czasie Kinga szykuje się do wyjścia. Wypala dwa papierosy z rzędu. Ubiera się. Czesze włosy. Robi delikatny makijaż.

HALINA (GŁOS Z OFFU):

Owszem: każdego dnia chciałam być silna.

Byłam przerażona swoją chorobą, życiem

na zawsze zmienionym, bezradnością,

ciągłym lękiem, normalnością

nie do odzyskania. Pogubiłam się.

żałuję.

Owszem: każdego dnia chciałam być silna.
 Zrozumieć bezsens. Oswoić codzienność.
 Bez skutku. Uwięziłam nas. Ciasno.
 Ciemno. Duszno. Nic więcej.
 A teraz. Teraz pozwalam ci odejść,
 Nie żałuję.

I teraz będzie inaczej.
 Kolacja u znajomych, zwykłe pragnienie,
 odcięcie – tak utęsknione
 pojawi się nawet. Pozwoliłam sobie
 wysłać list na nasz adres domowy,
 Nie żałuję.

Kinia, kocham cię. Mama.
Kinga wsuwa list do torebki.

DZWONEK TELEFONU

KINGA: Nie! Kiedy? Przed chwilą? Nie! Zaraz będę.

Zapada ciemność.

Scena VI

Na scenę wychodzą aktorzy.

MĘSKI GŁOS Z OFFU:

Obejrzelisi państwo spektakl autorstwa Kingi Pomadki. Po przerwie, zgodnie z zapowiedzią, zapraszamy na krótkie spotkanie z autorką.

Na scenie dwa krzesła. Mały stolik. Zza kotary wychodzi Kinga ubrana tak jak w ostatniej scenie. Ściska szmacianą lalkę. Kłania się i siada obok mężczyzny.

MĘŻCZYŻNA: (w tej roli policjant)

Jest pani debiutującą dramatopisarką. Pani sztuka zdobyła kilka nagród. Czy może pani zdradzić widzom, skąd taki właśnie pomysł na sztukę? Nie ukrywam (...) mocny i przytłaczający, ale (...) wiarygodny.

KINGA: Scenariusz powstał (...) Przepraszam, nie mogę (...) *(płacze)* Mamuś, to dla ciebie. *(Wstaje z krzesła. Kłania się. Mężczyzna podaje Kindze mikrofon.)* Chcę podziękować wszystkim, którzy mnie wspierali. Bacha, dziękuję! Reżyserowi za zaufanie, że dam radę zagrać samą siebie, cudownym aktorom. Przepraszam. Ja (...) To trudniejsze niż myślałam. *(uśmiechając się)* I nawet nie mogę zapalić. Dziękuję, że wytrwaliście do końca. I (...) pozdrawiam wszystkich dotkniętych Alzheimerem, chorobą psychiczną, każdą chorobą, ale też (...) chyba przede wszystkim ich opiekunów. Bądźcie dzielni. *(ściska lalkę i patrzy do góry)* Mamuś, byłabyś dumna. Wiem to.

Koniec

Cezary Gawor

Intercity

Osoby:

Anna – kobieta po czterdziestce, mężatka, matka 10-letniego Piotrusia

Piotr – mężczyzna przed czterdziestką, w związku pozamałżeńskim

Streszczenie:

Piotr i Anna nawiązują znajomość jadąc z Gdańska do Warszawy pociągiem Intercity. Każde z nich podróżuje w sprawach służbowych. Znajdują wspólny język i nić porozumienia, jednak Anna nie chce kontynuować znajomości, pomimo zabiegów Piotra. Spotykają się także w podróży powrotnej, dochodzi między nimi do zbliżenia i wymiany czułości, lecz Anna w dalszym ciągu opiera się Piotrowi. Kilka tygodni po rozstaniu na dworcu Anna wysłała do Piotra mail i ich znajomość przeradza się w romans. Podczas spotkań w zorganizowanej przez Piotra kawalerce, która służy im za garsonierę przez kilka burzliwych tygodni, wychodzą na jaw sprawy, które przed sobą ukrywali. Anna, postawiona przez męża przed dramatycznym wyborem, postanawia zakończyć romans. Piotr poddaje się, ale nie może o niej zapomnieć.

Scena I

Przedział wagonu Intercity, fotele naprzeciw siebie, pomiędzy nimi stolik.

PIOTR: Czy można?

ANNA: *(pochłonięta czytaniem książki)* Jest tyle wolnych miejsc, a pan akurat tutaj chce usiąść?

PIOTR: Ja mogę jechać tylko przodem do kierunku jazdy.

ANNA: Niech pan siada, jeśli pan musi.

PIOTR: Dziękuję *(wyciąga laptop i komórkę)*.

ANNA: Chyba nie zamierza pan tutaj rozmawiać.

PIOTR: Niestety, podróżuję służbowo, a więc jestem w pracy. Wyszedłbym na korytarz, aby pani nie przeszkadzać, ale potrzebny mi kawałek stolika.

ANNA: Więc niech go pan zabierze ze sobą.

PIOTR: Bardzo pani uprzejma. Aby się zrewanżować, proponuję, że będę prowadził tylko konieczne rozmowy, a więc te przychodzące (*telefon dzwoni*). O, przepraszam – przychodząca.

PIOTR: Tak jak mówiłem: żadnych poprawek konstrukcji w projekcie nie będzie. A co mnie obchodzi, że inwestor się z maszynami nie zmieści pomiędzy filarami? Andrzej, powiedz mu, że pozwolenie na budowę uprawomocni się za tydzień i jakiegokolwiek istotne zmiany projektu spowodują, że procedura zacznie się od nowa. To opóźni rozpoczęcie budowy o trzy miesiące... I co z tego, że Berlusconi za wszystko zapłaci?

ANNA: Z kim pan rozmawiał?

PIOTR: Z szefem. Formalnie z szefem.

ANNA: A nieformalnie?

PIOTR: Z Andrzejem... To prezes biura architektonicznego, w którym jestem współnikiem. Andrzej zajmuje się umowami i kontaktami z klientami. Ja nie potrafiłbym cierpliwie rozmawiać z inwestorami, znieść ich niezdecydowania...

ANNA: Tak, widziałam przed chwilą próbkę pana możliwości marketingowych.

PIOTR: Cóż, każdy jest w czymś dobry.

ANNA: A pan?

PIOTR: Co: pan? To znaczy, co ja?

ANNA: Czym pan się zajmuje i w czym pan jest dobry?

PIOTR: Jestem architektem – konstruktorem, człowiekiem od pozwoleń i uzgodnień.

ANNA: I robi pan to dobrze?

PIOTR: Skoro inwestor z Włoch angażuje nie najtańsze biuro projektowe z Gdańska, to wydaje mi się, że świadczy to o nas pozytywnie.

ANNA: Wymijającą odpowiedź, mówi pan o firmie zamiast o sobie.

PIOTR: Nasz rezultat jest pochodną pracy całego zespołu. W pani zawodzie tego nie ma?

ANNA: Ja pracuję z indywidualistami, z których każdy jest obłąkanym narcyzem, spaczo-nym manią wielkości lub przeciwnie, zablokowanym myślami depresyjnymi.

PIOTR: Lekarze? Nauczyciele? Prawnicy?

ANNA: Pudło, ale wielu z moich klientów zna się na zagadnieniach prawnych.

PIOTR: To w takim razie może policjanci?

ANNA: Tu już pan przesadził. Gliniarze narcystycznymi szaleńcami?

PIOTR: Poddaję się.

ANNA: Literaci, ludzie pióra. Prowadzimy z mężem wydawnictwo.

PIOTR: A zatem... jest pani mężatką.

ANNA: A zatem... nią jestem. Mam nawet obrączkę (*macha palcami*).

PIOTR: Tak, a czy mogę zapytać, czemu ma pani...

ANNA: Dwie obrączki?

PIOTR: Tak.

ANNA: Wcześniej owdowiałam i wysłałam powtórnie za mąż. Drugi małżonek nie miał nic przeciwko temu, abym nosiła pamiątkę po młodzieńczej miłości.

PIOTR: To wspaniałomyślnie z jego strony.

ANNA: To prawda. Niewielu mężczyzn byłoby stać na taki gest. A pan?

PIOTR: Nie, ja bym się nie zgodził.

ANNA: (*wzdycha*) Czy pan jest żonaty?

PIOTR: Formalnie to nie, a nieformalnie...

ANNA: Andrzej?

PIOTR: Pułko. Jestem w związku z kobietą od kilku lat, mieszkamy razem, ale nie mamy ślubu.

ANNA: A czy teraz ja mogę zapytać, czemu?

PIOTR: Owszem, a czy ja odpowiem, czy mogę udzielić przy kawie?

ANNA: Nie miał pan przypadkiem pracować?

PIOTR: Do Warszawy zdążę jeszcze odrobić moją pracę domową. Zapraszam (*przygasa światło, szybka zmiana dekoracji*).

Scena II

W „Warsie” siedzą obydwójce przy stoliku/barze naprzeciwko siebie. Piotr słodzi espresso, przed Anną filiżanka cappuccino. Dwa kieliszki koniaku przed nimi.

ANNA: Miała być kawa.

PIOTR: Pomyślałem, że możemy się wzmocnić. Długa podróż przed nami.

ANNA: A jeśli ja nie pijam koniaku?

PIOTR: Założyłem, że jeśli już pija pani alkohol, to szlachetne trunki. Nawet jeśli nie lubi pani smaku samego koniaku, to dolany do kawy tworzy wyjątkową kompozycję. Ponadto...

ANNA: Tak?

PIOTR: Może nie wypada mi pierwszemu zaproponować, ale bruderszaft należałoby wypić.

ANNA: Niech będzie. Widzę, że myślisz o wszystkim. Anna.

PIOTR: Piotr. Piotr Adamiec. Miło mi (*stukają się kieliszkami*). Gdańszczanin.

ANNA: Sopot... Sopoć... (*ze śmiechem*), mieszkanka Sopotu w każdym razie.

PIOTR: To chyba sopocianka?

ANNA: O, właśnie! Powinna być wiedzieć, ale nigdy nie zdarzyło mi się przedstawiać w ten sposób.

PIOTR: Mnie także nie. Jestem klasycznym introwertykiem i stronię od nawiązywania nowych kontaktów. I nie cierpię przechodzenia na „ty” po chwili znajomości...

ANNA: Tak jak teraz (*obydwoje wybuchają śmiechem*)?

PIOTR: Niezupełnie. Przychodzi do nas klient na wstępną rozmowę, a wychodząc po godzinnym spotkaniu, raczy cię uprzejmością w stylu: „To co Piotrusiu, wstępny kosztorysik na przyszły piątunio”? I to bez żadnego alkoholu (*trącają się kieliszkami*).

ANNA: Zaintrygowała mnie twoja rozmowa. Współpracujecie z byłym premierem Włoch?

PIOTR: (*chrząka*) Taki przydomek nadaliśmy włoskiemu inwestorowi, dla którego realizujemy projekt. Wygląda podobnie jak Silvio, choć jest znacznie młodszy.

ANNA: Ach tak. Teraz proszę otworzyć książkę na rozdziale „życie prywatne”.

PIOTR: Mówisz jak nauczycielka.

ANNA: Z wykształcenia. Ale nie zmieniaj tematu, Piotrusiu (*słodko się uśmiecha*).

PIOTR: (*niechętnie*) Znamy się z Dagmarą jeszcze ze studiów. Spotkaliśmy się... zaiskrzyło, choć w czasach studenckich nie byliśmy parą. Mieszkamy razem cztery... nie, pięć lat.

ANNA: Pracujecie razem?

PIOTR: Tego by jeszcze brakowało! Uchowaj Boże.

ANNA: Dlaczego? My z mężem jesteśmy małżeństwem dziesięć lat, a pracujemy razem od dwunastu. Przyszedłam do wydawnictwa jako tłumaczka, a zostałam w nim jako żona właściciela. Życie zawodowe i domowe potrafi się wzajemnie uzupełniać.

PIOTR: Nie, to zupełnie nie dla nas. Mamy zupełnie inne zainteresowania, każde swoich znajomych, w domu nie mamy często o czym rozmawiać, a jeszcze przebywać pół dnia razem w biurze?

ANNA: To co was łączy? Przepraszam, nie powinnam...

PIOTR: Nie szkodzi, to dobre pytanie. Może to, że żadne z nas nie chce być samo w święta i wakacje. I jeszcze...

ANNA: Seks? Och, znów nie powinnam...

PIOTR: Tak, a ja nie powinienem odpowiadać, ale dobrze i szczerze mi się z tobą rozmawia. ...wzbudzasz zaufanie.

ANNA: To raczej zasługa nieznajomości tej nieznajomej, którą zaprosiłeś na kawę. Obcemu można powierzyć więcej. Zresztą, przy bliższym poznaniu tracę, tak jak większość kobiet. W odróżnieniu od mężczyzn, którzy zyskują w oczach płci przeciwnej, gdy już zdejmą te swoje sztuczne maski macho.

PIOTR: Nie jest tak, że im bardziej poznajesz mężczyznę, tym mocniej uwypuklają się jego prozaiczne wady w stylu: stos gazet w WC i brudne naczynia w zlewie?

ANNA: Dostrzegasz takie rzeczy? Zwykle mężczyźni uważają, że drobiazgami nie warto się przejmować.

PIOTR: Mieszkanie wspólnie z kobietą nadaje nowych standardów męskiemu spojrzeniu.

ANNA: To prawda. Czego jeszcze od kobiety można się nauczyć?

PIOTR: Że można źle ustawić mleko w lodówce... A może ty mnie czegoś nowego nauczysz? Co czytałaś, gdy wszedłem do przedziału?

ANNA: ...i przerwałeś mi natrętnym dopraszaniem się o kawałek stolika? „Miłość w czasach zarazy” Mario Vargas Llosy.

PIOTR: To kobieca powieść?

ANNA: Raczej przewodnik dla męskiego długodystansowca. Główny bohater czeka kilkadziesiąt lat na miłość swojego życia.

PIOTR: To mało realne. Żaden normalny facet nie będzie czekał wiecznie. Może być nie-szczęśliwy, ale nie samotny. Ta niecierpliwość w nas domaga się działania.

ANNA: Spodobałaby ci się ta książka. Jeśli działaniem nazwiemy zaliczanie setek kobiet w oczekiwaniu na tę jedną, chwilowo zajętą, to jest tu sporo akcji.

PIOTR: Ja czytam głównie fantastykę. Ale setki kobiet? To coś dla mnie.

ANNA: Pożyczę ci, jak skończę. Przeczytałabym ją już, gdyby nie rozmowa z jednym namolnym pasażerem.

PIOTR: Natręt poprosi lekturę na drogę powrotną do Gdańska.

ANNA: A kiedy wracasz?

PIOTR: Dziś i jutro mam spotkania w Sosnowcu. Wracam pojutrze.

ANNA: Szkoda, nie będziemy podróżować razem z powrotem. Wieczorem spotykam się z autorem. Mam bilet powrotny na pierwszy pociąg jutro rano.

PIOTR: Może w takim razie kawa kiedyś, gdzieś w Trójmieście?

ANNA: I koniak? Nie, to nie jest dobry pomysł.

PIOTR: Dlaczego?

ANNA: Jestem zamężną panią po czterdziestce, z poukładanym w równych rzędach życiem i nie stać mnie na flirtowanie z młodszym mężczyzną, dwuznaczności itepe, itede.

PIOTR: Dostałem więc kosza. Nawet na kawę. Co do wieku, to miałem cię właśnie zapytać, czy ukończyłaś już studia (*zalognie*)...

ANNA: Tak, romanistykę. Dwadzieścia lat temu.

PIOTR: Nieświeżo upieczony absolwent wydziału architektury z piętnastoletnim doświadczeniem w projektowaniu. Do usług.

ANNA: Marzenie rekrutera. Miło, że się starasz, ale nie zmienisz mojej metryki. Choć z powodu twoich słabych komplementów może ubędzie mi parę zmarszczek.

PIOTR: Jesteś szczerą. Tego mi zawsze brakowało w kobietach.

ANNA: Chciałabym zachować pozytywne wspomnienia z naszego spotkania, niepoplamione niemożliwymi do realizacji deklaracjami któregośkolwiek z nas (*Bohaterowie przechodzą do przedziału, Piotr zdejmuje torbę Anny z półki, podaje jej płaszczyk. Ubierają się.*

ANNA: Jaki szarmancki, nie ma już takich mężczyzn...

PIOTR: Oprócz twojego męża, jak sądzę z opowieści.

ANNA: On jest... raczej opiekuńczy.

PIOTR: To prawie to samo.

ANNA: Ale dla kobiety stanowi ogromną różnicę, czy starasz się o nią i opiekujesz nią z poczucia odpowiedzialności, czy dlatego, że chcesz. Każda z nas to wyczuje.

PIOTR: Mam wrażenie, że podczas naszej podróży odkryłem na nowo kobiece spojrzenie.

ANNA: Umiesz słuchać.

PIOTR: Ciebie mógłbym słuchać do samego Rzymu.

ANNA: Nie czaruj, Piotrusiu, wysiadamy, a ty zdaje się masz zaraz przesiadkę na Śląsk? Dziękuję za kawę.

PIOTR: Dziękuję za dotrzymanie towarzystwa. Może wymienimy numery telefonów?

ANNA: I znowu przypuszczasz atak. Wybaczam ci to, bo jesteś taki młody (z udawaną wyższością), niedoświadczony. Ale jedź już lepiej na tę budowę, a mnie daj się skupić na pracy.

PIOTR: Do zobaczenia, pani sopocianko.

ANNA: Do widzenia, panie konstruktorze. Miło mi było pana poznać.

PIOTR: Mam nieodparte wrażenie, że nasze drogi szybko ponownie się skrzyżują.

ANNA: Marzyciel (*Piotr patrzy za odchodzącą Anną, która się nie odwraca. Wyciąga telefon i wybiera numer, mówiąc do asystenta Google'a: Berlusconi*).

PIOTR: Halo Marco? Buongiorno, Piero mówi, Piotr dice. Come stai? U mnie w porządku. Va bene. Jutro będziesz w Polsce? Mam mały problem. Un piccolo problema.

ANNA: (*wysłała tekst sms*) Udało się. Porozmawiamy w domu.

Scena III

Anna i Piotr pojawiają się z dwóch krańców sceny, zauważają i podchodzą do siebie.

ANNA: Ktoś miał mieć spotkanie z inwestorem dziś.

PIOTR: A ktoś miał mi pożyczyć książkę pod tytułem „Miłość jest zarazą”... czy jakoś tak.

ANNA: Nieco inaczej, ale to byłby równie dobry tytuł. Mam uwierzyć, że to dla zdobycia lektury spławiłeś Berlusconiego?

PIOTR: Czy ja sam także zapadłem ci w pamięć?

ANNA: Oczywiście (*z przekąsem*) nie myślałam o niczym innym, tylko o tym, kiedy cię znów ujrę. A jak ty masz na imię? Boguś, Grześ, Czesio?

PIOTR: Marzyciel.

ANNA: I tupeciarz. Co ty sobie właściwie wyobrażasz? Ja już miałam dwóch mężów.

Dobra, bierz багаż, przydaj się na coś (*wsiadają do pociągu*).

ANNA: Które masz miejsce?

PIOTR: Nie wiem, ale na pewno gdzieś obok ciebie.

ANNA: Niedługo. Jak przyjdzie konduktor, to mu powiem, żeby cię przesadził.

PIOTR: Zobaczymy, czy mu na to pozwoli męska solidarność.

ANNA: Ooo, Czesio się stawia.

PIOTR: Poza tym, panusia nie będzie rozsadzać pasażerów z ważnym bilecikiem.

ANNA: I jeszcze pyskuje! (*Piotr chce pomóc Annie, ale ona, udając obrażoną, sama zdejmuje i wiesza płaszcz*). Panusia sobie poradzi z płaszczykiem (*Anna wyciąga na stolik książkę, okulary, wodę mineralną. Piotr tylko zaplata ręce na kolanach*).

ANNA: I co, pan projektowiec nie wyciąga swoich narzędzi pracy i tak bezproduktywnie jechał sobie będzie?

PIOTR: Podróż tę chcę spędzić w miłym towarzystwie.

ANNA: To lepiej idź do maszynowni.

PIOTR: (*przysiada się do niej*) Anno...

ANNA: Na swoje miejsce i to już, bo hamulec awaryjny użyję.

PIOTR: Anno... ja wiem, że nad przepaścią stoję i mam tylko jeden skok, aby się uratować lub spaść...

ANNA: To spadaj, konstruktorze liryczny.

PIOTR: Tylko spójrz mi w oczy i powiedz... i powiedz, że nic nie drgnęło między nami. I już mnie nie ma...

Piotr przesiada się z powrotem, po czym wstaje i zbiera rzeczy.

ANNA: Poczekaj. Ja jestem mężatką, jeśli zapomniałeś, mam syna... Nie możemy nic z tym zrobić, nawet nie chcę cię bliżej poznać, bo... to się źle skończy.

PIOTR: Anno, wiem, że to niemoralne, że nie powinno się wydarzyć... ale po prostu musiałem cię zobaczyć i powiedzieć, że całe życie czekałem na taką kobietę jak ty. Wszystko w moim życiu jest drobniuszko uporządkowane, bez niespodzianek. Aż do wczorajszego dnia, kiedy spotkałem moją Annę Arkadiewnę...

ANNA: Kareninę? To jednak coś czytałeś oprócz fantastyki? (*światło przygasa*) Co to? Co się dzieje?

PIOTR: Spokojnie, to tylko warszawskie tunele (*obejmuje Annę, całuje*).

ANNA: Co robisz? Jeszcze nas ktoś zobaczy! To nie jest tunel miłości!

PIOTR: Mamy jeszcze jakieś czterdzieści sekund...

ANNA: To też ukartowałeś, pedantyczny projektancie uwodzenia?

PIOTR: Niezupełnie, ale trzeba korzystać z okazji.

ANNA: Wariat, zupełny wariat. Trafił mi się taki Wroński na stare lata. Och, Czesiu...

Scena IV

Pożegnanie na dworcu w Gdańsku.

PIOTR: Czyli do zobaczenia?

ANNA: Czyli żegnam pana. Było miło i tak to zakończmy.

PIOTR: Nasza podróż dopiero się rozpoczęła...

ANNA: Koniec trasy, wysiadka. Dalej to już manowce, a tam niebezpiecznie się zapuszczać. Potraktuj tych kilka godzin jako prezent od swojego poukładanego życia... i ode mnie.

PIOTR: Coraz bardziej mnie fascynujesz.

ANNA: To fascynuj się mną mnie w pamięci. Gratis. Obydwoje jesteśmy zajęci, więc goodbye.

PIOTR: Mój związek jest nieformalny.

ANNA: Klasyczny samiec, myśli tylko o sobie.

PIOTR: Rzeczywiście, przepraszam. Ale wiesz gdzie mnie...

ANNA: Gdzie cię szukać, gdybym zmieniła zdanie? Nie wiem. Nie będę cię szukać i raczej przypadkiem na siebie też nie wpadniemy. A przynajmniej nie radzę ci łązić więcej za mną ani kupować biletów na ten sam pociąg. Co tak patrzysz? Nietrudno sprawdzić, że są bezpośrednie połączenia Gdańska z Katowicami.

PIOTR: A więc dlaczego mnie nie odprawiłaś od razu?

ANNA: Pocieszny byłeś i niezdarly zarazem, że aż mi ciebie było żal. Postaraj się bardziej następnym razem o spontaniczność, zbyt łatwo można cię przejrzeć.

PIOTR: Nie będzie następnego razu. Możesz mi nie wierzyć lub nie, ale to był impuls, gdy zobaczyłem cię na dworcu i coś mi kazało wsiąść do tego samego pociągu.

ANNA: A w drodze powrotnej?

PIOTR: Myślałem o tobie bez przerwy. Nie spodziewałem się już żadnych... zauroczeń w życiu, zresztą wierzę w rozsądek, a tu ty się pojawiaasz nie wiadomo skąd i dlaczego...

ANNA: I co, gdzie dojechałeś?

PIOTR: Niedaleko. Odwołałem dzisiejsze spotkanie z Włochem i załatwiłem jeszcze coś... Ale to już nieważne. Skoro mnie spławiasz, to znów mogę myśleć o pracy. Facet jest zwykle jednozadaniowy.

ANNA: Biedny Czesio. Młodsza i głupsza o naście lat byłabym już twoja, ale „no way Jose”. Tyle trudu sobie zadałeś, i po co?

PIOTR: Warto było, choćby dla tych paru chwil w tunelu... A bohater twojej książki ile czekał na kobietę swego życia?

ANNA: O, widzisz młodzieńcze, weź z niego przykład. Zadzwoń, jak będziesz po osiemnastolatce, to się zobaczy. Czy się jeszcze do czegoś nadasz (*całuje Piotra*).

PIOTR: (*za odchodzącą Anną*) Nie znam nawet twojego nazwiska...

ANNA: (*przez ramię*) Karenina.

Scena V

Gra światła na czytających aktorów, ekran z tekstem.

Od: kareninka@yahoo.com

Do: piotr.adamiec@architekci.pl

Nie wiem, czy to dobrze, że piszę do Ciebie, ale kilka rzeczy nie daje mi spokoju. Co taki facet jak Ty widzi w starszej od siebie kobiecie, w dodatku po przejściach? Jestem bardzo przeciętnej urody, taka zwyczajna Matka-Polka. No więc o co Ci chodzi, Piotrusiu?

PS. Kasy też nie mam, mąż wszystko trzyma. Jakbyś chciał mnie „wytulipanić”.

Od: czesio.piotrus@gmail.com

Do: kareninka@yahoo.com

Droga Kareninko. Minęło dobrych kilka tygodni od naszego spotkania. Chodziło mi tylko o Ciebie. O nic więcej. Miałaś jednak rację: nie ma przyszłości przed nami. Nie chodzi tylko o Twoją sytuację rodzinną. Nie zdawałem sobie z tego sprawy do końca, ale kocham Dagmarę i wciąż boję się, że mnie zostawi. Oświadczyłem się

więc i planujemy ślub jeszcze w tym roku. Miło mi jednak będzie spotkać się ze znajomą z pociągu, wypić kawę, porozmawiać.

Od: kareninka@yahoo.com

Do: czesio.piotrus@gmail.com

A więc to tak się kolega bawi, żenić się będzie i równocześnie dojrzałej kobiecie głowę zawraca. Życzę szczęścia, Czesiu. Ciao (*Piotr reaguje nerwowo, widać, że ma dylemat*).

PIOTR: (SMS) Ależ spokojnie, Kareninko. Do ślubu daleko, wszystko się jeszcze może wydarzyć. Chciałem być z Tobą szczerzy. Chętnie się z Tobą spotkam, daj nam szansę porozmawiać, ustalić co dalej... „Puenta” w Gdyni? Jutro o dziewiętnastej?

ANNA: (SMS) Skąd masz mój numer? Szpiclu!

PIOTR: (SMS) Czy to ważne? Podawałaś komuś numer w pociągu.

ANNA: (SMS) Nie będę się z Tobą pokazywać na głównej ulicy miasta!!! Jestem wolna wieczorem, ale wymyśl coś innego.

PIOTR: (SMS) Wybacz, nie pomyślałem o dyskrecji. Może w takim razie cmentarz w Sopocie? Pewnie masz tam groby bliskich, więc i powód na spacer.

ANNA: (SMS) Randkę na cmentarzu mi proponujesz? Trafię tam, jak się mój zazdrosny mąż dowie, że się z kimś spotykam. A ten ktoś niech sobie też na wszelki wypadek kwaterkę podczas swojego cmentarnego spacerku wyszuka.

PIOTR: (SMS) Poddaję się, niedościgniona w swej dyskrecji i planowaniu Hanno. Wybacz, że naraziłem Cię na niepotrzebny stres i ryzyko. Może innym razem wyjdzie nam to spotkanie.

ANNA: (SMS) Masz ci los. Jeszcze się obrazi. Park miejski, jutro o dziewiętnastej, przy fontannie.

PIOTR: (SMS) Będę (*wyłącza telefon*).

ANNA: (SMS) Zapomniałam dopisać: park w Gdańsku. Do zobaczenia.

Scena VI

Po przeciwnych krańcach sceny spoglądają: Anna na zegarek, Piotr na smartfon.

PIOTR: „Zapomniałam dopisać: park w Gdańsku...” (*do siebie*) O cholera! (*znika*).

Anna ostatni raz sprawdza czas i wychodzi.

PIOTR: (SMS) Hanno... Hanno... Byłem przekonany, że masz na myśli park w Sopocie i dopiero teraz przeczytałem Twój ostatni sms. Co za nieporozumienie! Mam nadzieję, że u Ciebie w porządku.

ANNA: (SMS) Prawie w porządku, Ty spostrzegawczy brunecie wieczorową porą. Już myślałam, że poszedłeś szukać fontanny w parku sztywnych. Sms-y idą nam sprawniej niż spotkania. Może niech tak zostanie?

PIOTR: (SMS) A syn ma na imię Piotruś? Ciekawe.

ANNA: (SMS) I co w tym ciekawego? I w ogóle, co z tego wszystkiego ma być? Za dużo Ci o sobie już napisałam, a Ty nic... Dobranoc.

PIOTR: (SMS) Spotkajmy się, to więcej Ci o sobie opowiem. Zaproponuj miejsce i czas, a ja się dostosuję.

ANNA: (SMS) Molo w Sopocie. Jest jedno, jedyne – nawet Ty powinieneś je znaleźć. W piątek o siedemnastej. Potwierdź, że przeczytałeś, bo się spotkasz tylko z mewami.

PIOTR: (SMS) Ktoś już miał spać, ale dobrze, że jednak jeszcze piszesz. Potwierdzam: przeczytałem ze zrozumieniem.

Scena Vii

Piotr i Anna w mieszkaniu, usadzeni w wygodnej pozycji na kanapie. Na stoliku kieliszki i otwarte wino.

ANNA: Spójrz na mnie tak jak wtedy... pierwszy raz. Nie, nie, nie jak jakiś tani łoś, dyskotekowy fagas... ale z uczuciem.

PIOTR: Gdy stałaś na schodach na dworcu?

ANNA: Tak, i zapomniałam, czy mam iść w górę czy w dół, bo twoje spojrzenie mnie przyszpiliło do poręczy (*Anna wstaje i poucza nauczycielskim tonem*). Nie wolno tak patrzeć na kobietę.

PIOTR: Dlaczego? Przecież sama chciałaś...

ANNA: To jak niema propozycja seksu w miejscu publicznym. Na inne kobiety też tak patrzysz?

PIOTR: Tylko na ciebie.

ANNA: No. Faceci nie zdają sobie sprawy, jak ich wzrok jest wymowny.

PIOTR: To chyba naturalne w twoim przypadku, że masz powodzenie. Jesteś atrakcyjną kobietą. I ładnie pachniesz, a to przyciąga z daleka.

ANNA: Leci truteń do miodu?

PIOTR: Coś w tym rodzaju. Lubię twój naturalny zapach, ale i perfumy. Używasz takich, jakie miała Dagmara.

ANNA: To znaczy jakie?

PIOTR: Nie pamiętam nazwy, ale poczułem je wieszając twój płaszcz.

ANNA: Dziwne, bo nie perfumowałam się dziś. Wiesz, tak mi jest dobrze z tobą. I boję się, bo przecież to nie może trwać wiecznie. Rozstajemy się, a ja za chwilę już znów tęsknię za tobą. Wracam do domu i sprawdzam co napisałeś.

PIOTR: Ja czasami już tęsknię, gdy jeszcze jesteś przy mnie.

ANNA: A teraz?

PIOTR: Poczekaj, daj mi trochę czasu... Dziś wszystko przed nami...

ANNA: *(droczy się)* Jakie znowu wszystko?

PIOTR: Nasz czas, weekendowe dwie godziny. Zacznę tęsknić jakieś 15 minut przed końcem.

ANNA: *(zalotnie)* Może uda mi się temu jakoś zaradzić. Nie pamiętam, jak kiedyś żyłam, gdy ciebie nie było.

PIOTR: A ja nie mogę sobie wyobrazić tego, jak ciebie kiedyś nie będzie. I tylko tego się boję.

ANNA: Och, Piotr... Wiesz, czasami jesteś słodki jak mój mały Piotruś.

PIOTR: Czyli jak mnie przywołasz we śnie w nocy, to mąż się nie zdziwi.

ANNA: A skąd wiesz, czy my śpimy razem?

PIOTR: Przecież nie wiem, zakładam.

ANNA: I po co o tym myślisz?

PIOTR: Wolę zawsze znać prawdę, taką jaką jest.

ANNA: A co to jest prawda, czy to jakieś wino?

PIOTR: Ładne, skąd to?

ANNA: Z jakiegoś wiersza. Dolejesz nam prawdy?

PIOTR: A ty nie masz już dość?

ANNA: Skoro ty nie pijesz, to nie może się dobry trunek zmarnować. Odwieziesz mnie, prawda?

PIOTR: Dobrze, Kareninko.

ANNA: Wspomniałeś o Dagmarze. Co z nią?

PIOTR: Interesujesz się moją narzeczoną?

ANNA: Wszystkim się interesuję, co ciebie dotyczy. A więc?

PIOTR: Odeszła.

ANNA: Jak to odeszła? Mieliście brać ślub... I nic mi nie powiedziałeś?

PIOTR: Umówiliśmy się, że nie rozmawiamy o naszych partnerach. Ja dalej niewiele wiem o twoim mężu.

ANNA: Ale to zupełnie inna sprawa. Pokłóciliście się?

PIOTR: Nie, wszystko załatwiliśmy na spokojnie. Miała kogoś. Poznali się urzędzie, obco-krajowiec. Wyjechała z nim, już nie wypytywałem, gdzie.

ANNA: Ty nie jesteś małostkowy.

PIOTR: Dagmara tego nie wie.

ANNA: Czyli pozwoliłeś jej odejść, dlaczego?

PIOTR: Mam ciebie.

ANNA: Daj spokój, dziś jestem, a jutro może zostaniesz zupełnie sam. Zaraz, zaraz, coś mi tu nie gra... Kobieta, ot tak, nie rzuca faceta tylko dlatego, że poznała innego. Musi mieć powód, naprawdę ważny powód.

PIOTR: Zastanawiałem się nad tym i wydaje mi się, że to moja wina.

ANNA: Co? Ty jesteś wymarzoną partią... No, nie dla mnie, dla mnie jesteś Czesiem – to żeby nie uderzyło ci nic do głowy. Ale ona? Czego chciała? Kasy? Przecież nieźle zarabiasz.

PIOTR: Chciała się wyrwać z urzędu, móc celebrować życie...

ANNA: To wszystko? Tego to chce każdy.

PIOTR: Może plus uczucie. Plus egzotyka.

ANNA: *(drwiąc)* Rzeczywiście, ty raczej taki swojski jesteś.

PIOTR: Nasz związek to był zlepek przyjaźni i przyzwyczajenia. Brakowało czegoś ponad. Nie okazywałem Dagmarze zainteresowania... nie adorowałem jej.

ANNA: Czyli żaden wyjątek od męskiej reguły. I jeszcze podniesiona deska klozetowa i buty na środku. Klasyka gatunku. Ale ja ciebie zupełnie innego znam, tyle ciągle dostaję maili od ciebie, telefonów, prezencików...

PIOTR: Bo... bo ciebie kocham.

ANNA: Ależ ty lubisz utrudniać! Wydaje ci się tylko, szczególnie teraz – porzuconemu przed ślubem. I po co mnie kochasz? Nie taka była umowa! Żadnych zobowiązań, nigdy nie będziemy razem...

PIOTR: To ty mnie doprowadzałaś pod uczucie! Kto mi pisał, że nie mogę się otworzyć i nie wiesz, o co mi właściwie chodzi. Albo... *(Piotr wyciąga komórkę i szuka maila)*. O, mam nawet na piśmie! *(czyta przedrzeźniając sposób mówienia Anny)* „Tak, teraz już wiem to na pewno. Chcę być tylko Twoja. Broniałam się przed tym, ale niech mnie już to pochłonie i padnie wreszcie ostatni bastion.”

ANNA: Dawaj to... Pokaż od początku.

PIOTR: Masz swój?

ANNA: Nie mam. Mówiłam ci, że nie będę pisać ani otwierać maili na smartfonie.

PIOTR: *(podaje swój smartfon Annie)* Tak za darmo? *(Nadstawia usta do pocałunku, Anna odpycha twarz Piotra delikatnie i szuka tekstu)*.

ANNA: O, jest! Od początku: „To najpiękniejszy mail, jaki od ciebie dostałam. Wreszcie się otworzyłeś, czułam to! Mogłabym siedzieć z Tobą na tej ławce do rana. *(stopniowo zmienia ton)* Twoje objęcia, pocałunki...” Bła bła bła. Dobra, może napisałam, ale to ty zacząłeś!

PIOTR: Ja? Mówiłem przecież...

ANNA: Tak, ty! Pisze mi tu taki Czesław: *(czytając zaczyna przedrzeźniać Piotra, ale stopniowo przechodzi w zachwyt nad treścią)* „Och Anno, Anno po naszym spotkaniu na plaży, wychodząc z marketu spotkałem znajomego i zatopiony w myślach potraktowałem go tak serdecznie, że aż miał głupią minę przez chwilę. Zdziwiony był, bo ja zwykle zachowuję się albo oschle, albo żartobliwie. Prawie go pocałowałem.

PIOTR: To Andrzej był. Spytał, co piłem.

ANNA: Och Anno, Anno... Myślałem, że jeszcze widno, potem, że w końcu jednak ruchliwe miejsce, a potem to już tylko, że dobrze trzymać dłoń w twojej dłoni. I niczego nie planowałem, samo tak wyszło... I dobrze wyszło.

PIOTR: Tak, dobrze nam wyszło. Nawet się bardzo nie opierałaś *(nuci „Plaża, dzika plaża”)*.

ANNA: Och Anno, Anno... Nic mi nie jest potrzebne, mogę siedzieć godzinami w czołgu albo w szczerym polu, aby tylko z tobą. Wystarczysz mi ty. Możemy rozmawiać albo milczeć, choć my nie mamy czasu na milczenie.

PIOTR: *(przejmuje smartfon)* Och Anno, Anno... Myślę, planuję, kombinuję od spotkania do spotkania, dla ciebie kombinuję. Wiem, że takie schadzki to mogą Czesiowi wystarczyć, ale ty zasługujesz na więcej.

ANNA: Och Czesiu, Czesiu... I co teraz?

PIOTR: *(improvizuje)* Och Anno, Anno... Nie wiem, czy powinnaś była wywoływać taką osobowość Piotra-Czesława, czy chciałaś poznać właśnie tę jedną z jego pięćdziesięciu twarzy? A co, jak zabrniesz i straci kontrolę? Och Anno, Anno... Co ta Kareninka dzisiaj narobiła *(próbuję się do niej zbliżyć)*?

ANNA: Ty przestań myśleć twym męskim atawizmem przebrzydłym, bo ci nadam nowe imię. Wacek!

PIOTR: Może być, przyzwyczaiłem się, referat do spraw dowodów osobistych też. A co mi wtedy jeszcze odpisałaś?

ANNA: ...żebyś się w końcu określił, bo po początkowym okresie naszej znajomości jakbyś stracił zapach.

PIOTR: Chyba żartujesz! A wiersze dla ciebie? ...zresztą tak napisałaś wcześniej, ale co odpisałaś wtedy, po tym „ochaniu”?

ANNA: Rozjaśnij, bo słońca już jakby mało tej jesieni.

PIOTR: *(jeszcze raz szuka treści w smartfonie)*: „Boję się jutra, boję się, że cię skrzywdzę, zranię, a Ty na to nie zasługujesz. Moje uczucia wobec Ciebie są coraz głębsze, silniejsze i zaczynam się tego bać. Zwyczajnie bać”.

ANNA: Tak, Piotrze, tak było i jest.

PIOTR: Nie bój się, jestem z tobą.

ANNA: I napisałam, że zakochuję się w tobie i to mnie najbardziej przeraża. Czy tak?

PIOTR: Ale dlaczego? Czy właśnie nie o to chodzi, żeby się zakochać, tak bez pamięci, nie patrząc na konsekwencje? La Fontaine mówi: „kochajcie, reszta jest niczym”.

ANNA: Ciekawe, co powiedział, jak rzuciła go jakaś kobieta. Ty liczysz się z naszym roztaniem?

PIOTR: Tak.

ANNA: I co wtedy?

PIOTR: Nie wiem, nie chcę o tym myśleć. Wiedziałem, na co się piszę. Zresztą ty masz więcej do stracenia, zawsze miałaś, więc jeśli tylko uznasz, że... że to koniec, to się nie wahaj.

ANNA: Wiesz, że to może nastąpić w każdej chwili?

PIOTR: Wiem.

ANNA: I że mogę bez słowa zniknąć, spakować się, wyjechać... Ja też mam... Mój mąż jest obcokrajowcem.

PIOTR: O, to ciekawe.

ANNA: I tyle? Nie pytasz, skąd jest?

PIOTR: Skąd jest?

ANNA: Weź nie pytaj, weź się przytul... Nie tak się umawialiśmy.

PIOTR: (z uśmiechem) No tak. Ale Europejczyk?

ANNA: Formalnie tak (*przedrzeżniając Piotra*), chociaż korzenie ma bliskowschodnie.

PIOTR: I to cię w nim pociągało?

ANNA: Trochę też, jest wciąż bardzo przystojny, pomimo upływu lat. Wiesz, że najpiękniejsze są dzieci, których rodzice pochodzą z odległych sobie antropologicznie ras?

PIOTR: Nasze w takim razie byłoby swojskie, „trójmiastowe”. I co jeszcze widziałas w tym Niemcu?

ANNA: Nie podbieraj mnie, nie powiedziałam, że jest z Niemiec.

PIOTR: Akurat mi pasował... do Wolnego Miasta Gdańska.

ANNA: Na złośliwości się zebrało?

PIOTR: Odpowiedz lepiej, zanim sam zgadnę.

ANNA: Zakochałam się, był dowcipny, elegancki, zadbany... usatkwany. Imponowało mi, że jest taki... obrotny. Prowadził rozległe interesy i chciał je przenieść do Polski. Dla mnie. Wciąż rozbudowuje biznes w kraju, wydawnictwo było pierwsze, ja mam się nim zająć, jak tylko zbudują mu nową fabrykę.

PIOTR: A co buduje? Może potrzebuje architekta, biura projektowego, które przebrnie za niego przez gąszcz polskich utrudnień inwestycyjnych?

ANNA: (*zmieszana*) Tak do końca... To nie wiem...

PIOTR: A gdzie buduje? Jeśli w Trójmieście, to mam naprawdę dobre układy w architekturze. Wcześniej było jeszcze lepiej, bo Dagmara...

ANNA: Tak? Co ona?

PIOTR: Pracowała w gdańskim magistracie. Popychała mi sprawy do przodu. Wiesz, żadne tam wielkie rzeczy – wszystko i tak musi być legalnie – ale facetowi koleżanki można decyzję wydać szybciej niż zwykłemu petentowi.

ANNA: Piotr? Czy ty się zastanawiasz nad tym, co ty mówisz? Proponujesz kochance, że będziesz pracować dla jej męża i załatwisz trudne sprawy formalne?

PIOTR: Kuriozalne prawda?

ANNA: Tak. Czasami się dziwię, skąd w tobie tyle kontrastów.

PIOTR: Dobrze, pociągnijmy temat. Masz takiego wspaniałego faceta...

ANNA: Niemożliwe, chyba zazdrość słyszę...

PIOTR: ...eleganckiego, przystojnego...

ANNA: ...tak i nawet jesteście nieco podobni do siebie.

PIOTR: Widzisz, masz przynajmniej dobry gust! Ale daj mi dokończyć. Niczego wam nie brakuje w sensie materialnym, wręcz przeciwnie... więc czym mógł taką kobietę jak ty olśnić Czesio-rysownik?

ANNA: Z tym olśnieniem to nie pochlebiaj sobie... Ale masz to spojrzenie, czarującą nieśmiałość połączoną z flegmatyczną pewnością siebie, co sprawia że można się tobą...

PIOTR: Zauroczyć?

ANNA: Zaopiekować! Tak, Czesiu! Ty wymagasz opieki i to stałej. Nie powinieneś sam chodzić po ulicach ani wsiadać do Intercity, bo jakaś inna starsza pani gotowa znów ulitować się nad tobą i przygarnąć.

PIOTR: Raz mogłabyś nie drwić i odpowiedzieć. Tak po prostu.

ANNA: Dobrze, ale sam się prosiłeś. Więc urzekła mnie twoja osobowość.

PIOTR: Czyli?

ANNA: Całokształt. Inteligencja. Jest w tobie wyjątkowa szlachetność.

PIOTR: Podrywacz cudzych żon?

ANNA: Cicho, to moja ocena. I nie sposób się z tobą nudzić, czas zawsze tak szybko płynie. Dopiero się spotkaliśmy, a już trzeba się rozstawać. Dwie godziny zleciały...

PIOTR: I tym razem bez seksu.

ANNA: Potęknij trochę. Tak jak ja tyle razy czekam i czekam na ciebie. Wiesz, a po pierwszym spotkaniu też długo myślałam o tobie będąc w Warszawie. Masz ładne usta i świetnie całujesz.

PIOTR: Przecież pocałowałem cię dopiero w drodze powrotnej.

ANNA: To co? Czy ja mówię, że nie? W pociągu było czarująco, spontanicznie, ale najmiej wspominam nasze kolejne spotkanie.

PIOTR: Na molo?

ANNA: Tak... Nie! Jakim molo? Znowu nie mogłeś mnie znaleźć!

PIOTR: Bo poszłaś do kawiarni! A umówiliśmy się na molo, jednym, jedynym w Sopocie!

ANNA: Musiałam coś ze sobą zrobić, wiało jak cholera. Zero empatii.

PIOTR: Później na plaży już wiatr ci nie przeszkadzał.

ANNA: Bo był ze mną mój czarujący Piotruś. Przygotowany: koc, kawa w termosie. To też działa, że jesteś taki dobrze zorganizowany. Zawsze masz plan?

PIOTR: Zawsze.

ANNA: A jak coś pójdzie nie po twojej myśli?

PIOTR: Mam plan awaryjny.

ANNA: To jaki masz plan na mnie?

PIOTR: Jest takie opowiadanie Hłaski, w którym facet czeka na kobietę użynając się co wieczór w barze do nieprzytomności. Dzień po dniu. Zrobię tak samo, jak mnie kiedyś zostawisz. I będę wciąż czekał na Ciebie.

ANNA: A oprócz picia co zawiera plan?

PIOTR: Anno, w normalnej sytuacji sam bym komuś poradził: znajdź sobie nową, zapomnij. Rozumiesz, na zasadzie czym się truleś, tym się lecz. Ale ja sobie tego nie potrafię wyobrazić. Dziś obok mnie usiadła piękna dziewczyna, a ja odwróciłem wzrok.

ANNA: (żartobliwie) Mówiłam, żeś szlachetny.

PIOTR: Nie o to chodzi. Skonfrontowałem w myślach męskie zainteresowanie atrakcyjną kobietą z tym, co czuję do ciebie.

ANNA: Wygrałam?

PIOTR: A jak myślisz?

ANNA: A jak byłeś z Dagmarą?

PIOTR: Czasami czułem, że ciebie z nią zdradzam.

ANNA: Ty nie możesz tak mówić... Znam to opowiadanie „Ósmy dzień tygodnia”. Ona nie przychodzi. A siostra faceta z baru porzuca swoją miłość, bo ten jej nie może znaleźć dla nich lokalu na ich pierwszy raz w zniszczonej, powojennej Warszawie.

PIOTR: Mury.

ANNA: Co?

PIOTR: Tak nazywają ten swój wymarzony lokal (*cytuje*) „żeby było chociaż kawałek murów”.

ANNA: A, tak. Tyle razy miałam cię zapytać, skąd wytrzasnąłeś tę kawalerkę dla nas?

PIOTR: Od Berlusconiego.

ANNA: Że cooo?

PIOTR: Anna? Co ty?

ANNA: Nic, nie wiem... Sorry, chyba się zdziwiłam...

PIOTR: Czym? Facet nadziany jest, pewnie kupuje także nieruchomości na wynajem. Cemu płaczesz, Kareninko?

ANNA: Zostaw mnie... Bydlę.

PIOTR: Nie rozumiem, kto?

ANNA: Mój mąż...

PIOTR: A to może być, bo myślałem, że ja.

ANNA: Mój mąż to twój Berlusconi.

PIOTR: Co ty powiedziałaś? Marco?

ANNA: Tak. Marco... Adanero.

PIOTR: Czyś ty...? To co to wszystko oznacza? Odpowiedz mi! Co to za gra!

ANNA: (*płacze*) Ja... Chciałam ci powiedzieć wiele razy... ale po prostu nie mogłam, nie odważyłam się. Nie chciałam się z tobą umówić, dać ci telefonu...

PIOTR: Ale potem napisałaś!

ANNA: Tak, bo chciałam ci uwierzyć... Sprawiliś, że znów poczułam się kobietą, atrakcyjną, pożądaną, bo ten włoski ćwok zapomniał o tym. Myślałam, że to ten wiek, z czasem namiętność ustępuje... ale kupił kawalerkę, o której mi nic nie powiedział. Po co? Żeby tu... jakąś...

PIOTR: Sama go też zdradzałaś... I to w tym mieszkaniu...

ANNA: Tak, Piotrze, ale ja zakochałam się w tobie ...

PIOTR: To nikogo nie tłumaczy – ani ciebie, ani mnie. Jak doszło do naszego spotkania? Było zaplanowane, tak?

ANNA: Chciałam pomóc Marco. Miał problemy z uzyskaniem zezwoleń...

PIOTR: Z czym?!

ANNA: Przecież wiesz, że przez wprowadzone w ostatniej chwili zmiany cały projekt wzięłyby w łeb, a on się uparł na te swoje modyfikacje... Tak?

PIOTR: Mniej więcej. Nie mogę uwierzyć...

ANNA: Każdy miesiąc zwłoki to milionowe straty, więc wymyślił, jak obejść trudności i za twoim pośrednictwem chciał to przyspieszyć w urzędzie.

PIOTR: Byłaś na mnie przynętą? Na jakiś szantaż?

ANNA: Nie, miałam ci tylko zaproponować wręczenie łapówki urzędnikowi...

PIOTR: Przecież bym na to nie poszedł! Co za debil!

ANNA: Tak mu powiedziałam.

PIOTR: Że jest debilem?

ANNA: To też, ale także to, że się nie zgodziłeś.

PIOTR: Przecież niczego mi nie zaproponowałaś!

ANNA: Czy to coś zmienia?

PIOTR: Nie. To był jego pomysł?

ANNA: Tak, chciał mieć czyste ręce w razie wpadki.

PIOTR: Dlaczego w to weszłaś?

ANNA: Obiecał mi przepisanie wydawnictwa, a to oznacza, że wreszcie byłabym niezależna. Ale w pociągu już nie chciałam ci niczego proponować, niech Machiavelli sam swoje cele osiąga.

PIOTR: (twarz w dłoniach) A to spotkanie na dworcu?

ANNA: Miałeś jechać tylko do Gdyni, na spotkanie zespołu projektowego, prawda?

PIOTR: Tak.

ANNA: Wszyscy wiedzą, że wybierasz wtedy miejską kolejkę, zgadza się?

PIOTR: Tak, są tak duże korki, że jechałbym dłużej niż trwa spotkanie.

ANNA: Więc poszłam wtedy na dworzec i też miałam bilet na kolejkę do Gdyni.

PIOTR: Więc czemu podeszłaś do kasy?

ANNA: Kupiłam papierosy w sklepie obok.

PIOTR: Przecież nie palisz!

ANNA: Denerwowałam się tym, co mam ci powiedzieć...

PIOTR: A dlaczego kupiłeś bilet na Intercity do Warszawy?

ANNA: Bo zapytałeś o to w informacji... I pomyślałam, że masz inny wyjazd.

PIOTR: Miałem, ale za dwa dni. Na Śląsk.

ANNA: Zatem żadne z nas nie planowało wtedy jazdy Intercity?

PIOTR: Zatem tak właśnie było. Przejechaliśmy się na darmo.

ANNA: Chyba nie do końca na darmo, Piotrusiu... Wybaczysz mi? *(pukanie do drzwi)*

PIOTR: Czekaj, słyszysz? Ktoś pukał? *(pukanie do drzwi się powtarza)*

ANNA: Tak, słyszę.

PIOTR: Berlusconi? Znaczy Marco?

ANNA: On by wszedł bez pukania, przecież to jego mieszkanie. Zresztą wyjechał na kilka tygodni do Włoch. Chyba, że to jego ludzie albo...

PIOTR: Wszystko jedno, otworzę...

ANNA: Piotr, ty go nie znasz... Zabije cię, jak nas ktoś tu razem zobaczy.

PIOTR: Wejść do łazienki, przecież sam dał mi klucze. Gorzej będzie się wytłumaczyć, jeśli nie otworzę, auto jest na dole *(Anna i Piotr wychodzą, przyciszona rozmowa. Piotr wraca, siada na kanapie, zwiesza głowę. Anna wraca).*

ANNA: Piotr, Piotruś ? Co się dzieje? Kto to był?

PIOTR: Sąsiad.

ANNA: Czyli w porządku?

PIOTR: Nie.

ANNA: To czego chciał?

PIOTR: Zobaczył na balkonie zapalone światło, więc... przyniósł apaszkę, którą jakaś kobieta wychodząca niedawno z mieszkania zgubiła na korytarzu.

ANNA: Pokaż... To nie moja.

PIOTR: Wiem, Dagmary.

Scena VIII

PIOTR: *(wychodzi na scenę, zwraca się do widowni)* To było nasze ostatnie spotkanie w kawalerce Berlusconiego. Czułem, jak powoli otwiera się klatka z motylami w moim brzuchu i jak chcą się z niej wydostać. Trzepot skrzydeł gotowych do lotu,

do tego ostatniego. Zostanie tylko zgrzyt rdzewiejących drzwiczek, poruszanych lekkim nadmorskim wiatrem. Nasz romans był jak Intercity: szybki i zajechał na moją życiową stację punktualnie, wtedy gdy najbardziej potrzebowałem prawdziwego uczucia. Zawsze przy dużych prędkościach istnieje jednak ryzyko wykołowania. Pociąg, nad którym nikt nie panuje. Miałem być na to gotowy, ale nie byłem. Anna napisała po kilku dniach ciszy:

Od: kareninka@yahoo.com

Do: czesio.piotrus@gmail.com

Hej. Dalej się martwisz, przeżywasz? Żyj do przodu, jesteś wspaniałym facetem. Pomyśl, że to, co czujesz, to wynik wiedzy o zdradzie. Czasami lepiej nie wiedzieć. Wiem, co mówię, bo przechodziłam to już wcześniej. Napisz, bo się martwię.

PIOTR: (SMS) Nie ma powodu, ogarnąłem się. W pewnym sensie jest to nawet sprawiedliwe: kto mieczem wojuje, od miecza ginie... Ale my nie zginiemy! Nie teraz, bo nareszcie mamy siebie bez zobowiązań. Nawet o tym nie marzyłem! Anno, spotkajmy się jak najszybciej. Buziaki.

ANNA: (SMS) Ty nie bądź taki szybki, Pit. Zapominasz, że jednak mam męża i młodego. Marco wraca i zaraz jedziemy do moich rodziców na święta. Odezwę się, jak wrócę.

PIOTR: (SMS) Cholera! Nie jedź, porozmawiajmy z nim od razu. Zatęsknię się. ILY!

ANNA: (SMS) Ty naprawdę jesteś w gorącej wodzie kąpany. Przejdź się na molo, ostygnij trochę. I nie martw się, nic się między nami nie zmieni. Moje uczucia do Ciebie też nie. Pisz do mnie ciągle, jak nie masz nic lepszego do roboty. Pa.

PIOTR: (SMS) Nie, Anno. Ja muszę cię zobaczyć. Znajdź 15 minut przed wyjazdem. W mieszkaniu o 20?

ANNA: (SMS) Namolny Czesiek! W „Puencie” za godzinę. I tylko na 15 minut!

Scena IX

PIOTR: Aniu, co jest z tobą? Jesteś jakaś podminowana.

ANNA: No zgadnij. Marco czepia się o wszystko, co robiłam, z kim i gdzie. Węszy.

PIOTR: Dałaś mu jakiś powód?

ANNA: Skąd. Nic nie wie. Piotr, ja po prostu jestem zmęczona tym ciągłym oszukiwaniem, ukrywaniem się.

PIOTR: To zróbmy coś z tym.

ANNA: Nie. I przyjmij to wreszcie do wiadomości. W dodatku Piotruś chory, a ten makaroniarz ciągnie nas na siłę przez pół Polski, bo lubi się bimbru mojego ojca napić.

PIOTR: Aniu, dziękuję że przysłałaś... Czy założysz trzecią obrączkę i zostaniesz moją żoną?

ANNA: Nawet nie powinno mnie to dziwić. Zabrnąłeś Czesiu aż tak daleko, ale sam. Nie, nie zostanę twoją żoną. I niech to już do Ciebie dotrze. Nigdy nie będziemy razem. Marco pochodzi z patriarchalnej rodziny, on może wszystko, ja nic. Zniszczyłby mnie.

PIOTR: Czyli to, co do mnie czujesz nie wystarczy?

ANNA: Nie. Nie wystarczy, aby zrujnować dotychczasowe życie, zostawić to, co mam.

PIOTR: A to teraz mnie to dziwi. Dotychczas ja ci wystarczałem.

ANNA: Jestem egoistką, chcę mieć wszystko. Nie dałby mi rozwodu, a ciebie...

PIOTR: Znam dobrych adwokatów, wszystko załatwimy, w Polsce prawie zawsze dziecko jest przyznane matce. Polubimy się z Piotrusiem, już go lubię... I nie myśl kategoriami mafijnej vendetty.

ANNA: I załatwiłbyś to pozwolenie?

PIOTR: Tak, Anno. Z kierownikiem wydziału architektury znamy się jeszcze z liceum. Za pół bańki klepnie te papiery. I weź drugie pół dla nas, na nowy start w Finlandii. Ja, Piotr Adamiec, będący w pełni władz umysłowych...

ANNA: Wystarczy, nie błaznuj. Czemu Finlandia?

PIOTR: Co? Winter is coming. Na południe chyba nie chcemy?

ANNA: Nie wiem, czego chcemy. Siedź w domu i czekaj.

PIOTR: Dobrze. Tym razem nie bałaś się, że nas ktoś zobaczy?

ANNA: To co. Marco wie, że się kiedyś z tobą spotkałam. Na dworcu w Gdańsku.

PIOTR: Racja.

ANNA: Idź już, ty wyjdź pierwszy.

PIOTR: Dobrze kochanie. Myśl i śnij tylko o mnie. Pa.

ANNA: No pa (czeka aż Piotr wyjdzie, wybiera numer). Mam, nagrałam. Teraz oddaj mi dziecko, ty...

Scena X

Od: kareninka@yahoo.com

Do: czesio.piotrus@gmail.com

Piotr, dam Ci radę, więcej nie zakochuj się tak bez pamięci. Z nami koniec i weź to na klatę. Kiedyś może się spotkamy, to ci więcej wyjaśnię. Ktoś się do ciebie zgłosi w pewnej sprawie. Przepraszam, musiałam.

Od: czesio.piotrus@gmail.com

Do: kareninka@yahoo.com

Anno! Ty mnie nie masz za co przepraszać. Uwiodłem cię, albo raczej nieudolnie próbowałem... Nie znałem dotąd takiego uczucia, którego dałaś mi posmakować. Za wszystko mogę Ci tylko podziękować. Winien Ci jestem teraz pomoc, wsparcie. Napisz proszę, co mogę dla ciebie zrobić.

To wszystko było takie prawdziwe...

Od: kareninka@yahoo.com

Do: czesio.piotrus@gmail.com

Niczego mi nie jesteś winien. Ale Marco, niestety, upomni się o przysługę i lepiej dla Ciebie, abyś się wywiązał. Nie pisz więcej.

Piotr wchodzi z walizką na scenę, siada i pisze, potem czyta na głos swój tekst.

Z pamiętnika Piotra:

Wykorzystała mnie? Tak po prostu? Od początku do końca? Nie, to nie jest ta Anna, którą poznałem. Ale dlaczego to zrobiła?

Gdybym chociaż mógł nienawidzić, zamienić w destrukcję to, co nas łączyło, ale wtedy to wszystko straci sens. Musiałbym sam siebie przekonać, że przez te wszystkie miesiące myliłem się. A przecież to była prawda. Tak realna jak wino.

Alkohol nie pomaga. Widzę wtedy z całą wyrazistością to, co utraciłem, co razem straciliśmy. Czy Anna także tak czuje?

Nie przypuszczałem, że będzie aż tak ciężko. Budzę się i zasypiam z myślą o niej. Szukam wzrokiem po ulicach, sklepach. Chodzę wciąż do naszych miejsc w oczekiwaniu, że ona też tam się zjawi. Na dworcu głównym znam wszystkie ławki, jak bezdomny. Jadąc kolejny raz bez celu pociągiem Intercity do Warszawy pomyślałem, że

przekraczam granice absurdu. Ale czy miłość nie jest absurdem?
Ktoś kiedyś brutalnie powiedział, że zakochany samobójca oprócz zauroczenia musi mieć pusto w głowie, skoro targa się na swoje życie po tym, jak zostaje porzuty. Zostaje sam z tą pustką. Ja mam pełną głowę, ale nie mogę z niej skorzystać. Jestem jak sparaliżowany, duszę się tym, co mam w środku. Pustą klatką.
Minęły trzy miesiące, odkąd odeszła i jest ze mną coraz gorzej, więc ostatnim zrywem godności kończę z tym. Siedzę na dworcu, czekam na Intercity. Już ostatni raz.

Scena XI

Telefon Piotra wibruje, sygnał o nadejściu wiadomości.

Od: kareninka@yahoo.com

Do: czesio.piotrus@gmail.com

I co tak siedzisz na tym dworcu? Ogarnij się trochę, bo wyglądasz jak siedem nie-szczęść. Zarośnięty kloszard. To nie jest mój Czesio.

Od: czesio.piotrus@gmail.com

Do: kareninka@yahoo.com

Anno! Gdzie jesteś?

Anna podchodzi do Piotra.

ANNA: Tutaj. Gdzie się wybierasz?

PIOTR: Właściwie to nigdzie.

ANNA: To może pojedziesz z nami?

PIOTR: Z wami?

ANNA: Ze mną i Piotrusiem.

PIOTR: Mówiłaś...

ANNA: Tak, że nie odda mi dziecka. Nagrałam drania. Uchłał się bimbrem mojego ojca i gadał wszystkimi językami świata.

PIOTR: I tak łatwo ci poszło?

ANNA: Dagmara mi pomogła, zostawił ją.

PIOTR: Widzę, że tym razem ty wszystko zaplanowałaś. To gdzie jedziemy?

ANNA: Na razie do Tallina, stamtąd do Helsinek. Chodź, poznasz mojego syna.

Koniec

Robert Jabłoński

Tylko miłość ucierpiała

Osoby:

Ronald

Jagna

Matka

Sędzia

Streszczenie:

Ronald zabija swoją matkę w akcie miłosierdzia. Szuka swojego miejsca i spotyka Jagnę, która go pokochała, ale Ronald nadal ucieka.

Istnieje możliwość dowolnej rozbudowy dramatu, jednak w taki sposób, aby tekst pozostał niezmieniony i w całości było co najmniej 50% utworu autora.

Scena I

Łóżko – na nim leży matka, obok siedzi Ronald. Podaje jej coś do picia. Matka jest nieuleczalnie chora, cierpi. Jest słodką staruszką. W tle gra telewizor, leci jakiś serial.

MATKA: Jakie piękne słońce. W takim blasku James przysięgał miłość Emily. „Zawsze będę Cię kochał”.

RONALD: *(Troskliwie wyciera usta matce)* Pij, bo się oblejesz.

MATKA: Patrzył jej głęboko w oczy, a ona mu zaufała. „Ja Ciebie też James. Na zawsze będziemy razem i śmierć nas nie rozdzieli”.

RONALD: A nie mówiłem, znowu się oblałaś. Mam tego dość. Nigdy mnie nie słuchałaś i teraz też, kiedy potrzebujesz...! Zawsze tylko te twoje seriale.

Chwilę milczy i uśmiecha się do siebie

Nie widziałaś, jak pięknie wygląda ten kasztan. Zaprowadzę cię, będziemy zbierać kasztany.

MATKA: James tam był, on tak kocha Emily.

RONALD: Po zajęciach w szkole chodziliśmy zbierać kasztany. Zrobiłem konika, a ty pocałowałaś mnie mamó.

MATKA: Ronald nie chce spóźnić się na mój ulubiony serial.

RONALD: Stałaś się wytworem public relations i socjotechniki! Dałaś się przerobić na sieczkę, która drąży twój umysł, niczego nie dostrzegasz, tylko te papkę, nie zauważasz mnie. Media stały się ekspertem od narracji twojej rzeczywistości. Odkąd pamiętam, ubierasz się jak ta Emily i zachowujesz się jak ona.

MATKA: Wszyscy wiedzą, że oglądam ten serial i nikomu to nie przeszkadza. Mogę oglądać inny.

Ronald macha ręką jakby się poddawał. Wygląda przez okno.

RONALD: Jaki piękny dzień! Słońce świeci jak wtedy, gdy zbieraliśmy kasztany. Wiesz, lubiłem, jak razem chodziliśmy z tatą na spacer, a potem budowaliśmy ludziki i zwierzaki.

MATKA: Żeby twój ojciec choć trochę był podobny do... On tylko te swoje mecze, w ogóle nie chciał ze mną oglądać seriali! Wyobrażasz sobie to?

Ronald bawi się konikiem z kasztanów.

RONALD: Tata pomagał mi wbić zapałki, a ty wybierałaś kasztany – „Zobacz, jaki ten piękny! Mógłby zagrać główną rolę w filmie”.

Ronald daje konika matce. Ona poczuła silny ból w klatce piersiowej, kaszle. Ronald próbuje jej pomóc, wyciera jej usta i trzyma za rękę.

MATKA: Ronald, pomóż mi, nie mogę oddychać. Ten ból jest nie do zniesienia! Po co, dla czego tyle udręczenia?!

RONALD: Nie będziesz już cierpieła. Nie mogę znieść twojej męki, chcę ci pomóc. Uwolnię cię. Będziesz szczęśliwa.

Ronald prowadzi matkę pod rękę w kierunku balkonu.

MATKA: Co robisz? Ja chcę zobaczyć kolejny odcinek.

RONALD: Nie mogę znieść tego, jak jęczysz z bólu całe dnie. Przecież prosiłaś, żeby ci pomóc. Mówiłaś: „Ronald, zrób coś, pomóż mi. Tak strasznie boli.”

MATKA: Chcę już do łóżka, jestem zmęczona. Pomóż mi. Dziś zobaczę, jak skończy się ta historia. To będzie 3589 odcinek. James tak kocha Emily. Oni chyba wreszcie się

pobiorą. Nie mogę się doczekać, kiedy to zobaczę. Tylko ten Leon, on jest taki zły, bezduszny, a Emily ma taki temperament. Ona chyba nie poleci na niego?

Matka na chwilę się zamyśliła, łapie oddech.

Leon zachowuje się, jakby żył za murami. Dziki, chce rozwalić ten mur, ale nie może. Wszystkich wokół siebie kąsa. Mur nie do przebicia. On nie potrafi nikogo pokochać?!

RONALD: Dusza, a cóż to takiego jest? Wymysł nawiedzonych i poetów. Twoja choroba jest nieuleczalna, jeszcze kilka tygodni i... Liczy się tu i teraz, a nie jakieś mrzonki. Nauka to jest twój ratunek, ale profesor Epic twierdzi, że nie ma już nadziei, że teraz z każdym dniem będzie jeszcze gorzej. A ja nie mogę tego znieść, nie mogę dalej narażać cię na cierpienie, bezsensowne męczarnie.

RONALD: *(na stronie)* Za murami, mam wrażenie jakbym już gdzieś to widział.

Ronald długo patrzy na matkę, jakby ją ratował z wielkiego ucisku

RONALD: Żegnaj mamó, już jesteś wolna!

MATKA: Wyobrażasz to sobie? Nie chciał ze mną oglądać seriali! On był jak Leon, dziki i zimny, nie potrafił nikogo kochać, ale ja go pokochałam. Emily zdradziła już wcześniej Jamesa. Nie mógł tego znieść i chciał ją zabić. „Nie mogę żyć z tym piętnem – zabij mnie. No zabij mnie, jeśli chcesz, zabij miłość, ale czy będziesz mógł z tym żyć?” *(matka cytuje Emily udając aktorkę, czuje coraz większy ból).* Ronald, pomóż mi!

RONALD: Masz prawo oczekiwać od mnie pomocy. Przed tobą tylko ból i cierpienie. Nie chcę czekać do zupełnego rozkładu twojego organizmu i psychiki. Nie mogę pozwolić, aby wszyscy traktowali cię przedmiotowo. Nigdy nie chciałaś być ciężarem dla innych i jęczeć o litość. Bałaś się bólu. Nie mogę już dłużej tolerować przedłużania tej katorgi!

Ronald wyrzuca matkę z balkonu, na publiczność spada duża woalka, którą nosiła matka.

RONALD: Przemijanie, sens istnienia, próba zbudowania relacji, dawać siebie i brać. Miłość – cielesne ograniczenia, zachcianki, wyidealizowany świat! Z każdej strony ściana cierpienia, nierozumne zakamarki. Chcę uciec! Nie mogę wydość się bez ciebie, kimkolwiek jesteś.

Scena II

Ronald sam w mroku. Słabe światło oświetla jego postać: słucha wyroku.

GŁOS Z OFFu: Proszę wstać, sąd idzie.

SĘDZIA: Uzasadnienie wyroku: Ronald stracił kontrolę podczas popełniania czynu. Oskarżony zabił matkę w akcie miłosierdzia i desperacji. Jest to bardzo trudny przypadek, akt uwolnienia. Sąd uznaje oskarżonego za winnego popełnienia zarzuconego mu czynu i skazuje go na rok pozbawienia wolności. To tragiczny przypadek. Świadomość pożegnania jest ostatnim doświadczeniem życia każdego człowieka. W określonych sytuacjach, na przykład nieuleczalnego cierpienia, eutanazja staje się dobrodziejstwem. Tracąc świadomość, człowiek umierający nie zdaje sobie sprawy. Nie ma mamy prawa pozbawiać ludzi tego dobrodziejstwa. Opieka nad ludźmi z demencją wymaga wiele wysiłku. Zabicie osoby, która na nią cierpi jest aktem miłości, jest miłosiernym zabiciem. Ronald jest oczyszczony z zarzutu morderstwa. Oddany syn zabił matkę z miłości. Kara pozbawienia wolności jest wynikiem braku oficjalnego zgłoszenia eutanazji.

Scena III

Ronald stoi przed sklepem mięsnym z transparentem „Jesteście mordercami”. Jest w grupie osób, jest aktywistą bojówek wegan. Wykrzykuje.

RONALD: Jesteście mordercami! Mięsożercy precz! Niewolnictwo i rasizm! Szowinizm gatunkowy!

Do kobiety, która przypatruje się z boku.

RONALD: Dlaczego tak tu sterczysz. Idź sobie! Tu za chwilę będzie się wiele działo...

JAGNA: Sam sobie idź.

RONALD: Mamy tu coś ważnego do zrobienia. Nie widzisz?! Skończyły się czasy, gdy tylko moda ograniczała spożywanie mięsa ze względu na propagowanie zdrowej diety! Teraz musicie zrozumieć – to koniec. Zabronimy jeść mięso! Będziemy walczyć z tymi, którzy wykorzystują zwierzęta, zadając im cierpienie, z tymi, którzy bogacą się dzięki wykorzystywaniu zwierząt. Wyzwoliliśmy 20 kurczaków z hodowli jaj! Włamaliśmy się na farmę bażantów, by zwrócić im wolność, choć niektóre odmówiły ucieczki. Dołącz do nas! Pomóż przyrodzie, żądaj zniesienia wszystkich dominacji!

JAGNA: Nie można prawidłowo funkcjonować bez spożywania mięsa, tak jak nie można żyć bez miłości. Z cierpienia najbardziej boli samotność.

Ronald z postawy agresji przechodzi do zaciekawienia. Wyciemnienie. Słysząc coraz mocniej szum ulicznych krzyków i brzęk potłuczonego szkła. Ronald idzie za oddalającą się Jagną.

Scena IV

Ronald i Jagna leżą w łóżku, właśnie skończyli się kochać. W tle telewizor podaje wiadomości: „Brutalność i groźby zmusiły policję do użycia oddziałów antyterrorystycznych do ochrony pracowników przemysłu mięsnego. Organizacja Wyzwolenia Żywych Organizmów wykorzystuje podpalenia i sabotaż ekonomiczny do terroryzowania przedsiębiorstw i osób, które nie rozszerzają na zwierzęta praw dotyczących ludzi. Działacze pokryli czerwonym graffiti front sklepu: „STOP ZABIJANIU ZWIERZĄT”. Doszło do przepychanek z policją i aktów wandalizmu – wybito szyby. Nastąpiła eskalacja ataków na rzeźników. Zostali dotknięci falą negatywnych kampanii online i groźbami przemocy, a niektóre komentarze mają charakter osobisty (za żartobliwy wpis o ich środowisku zagrozili między innymi zgwałceniem żony)”. Jagna wstaje z łóżka.

RONALD: Jesteś taka piękna, jak się uśmiechasz.

JAGNA: (rzuca poduszką w Ronalda) Tylko jak się uśmiecham!

RONALD: Oj nie... Masz jeszcze piękne paznokcie i buty... (Ronald dostaje poduszką)

JAGNA: Wyruszamy na wyprawę do parku, będziemy zbierać kasztany, budować ludziki i... twoje kurczaki!

RONALD: Nie ruszam się z łóżka. Chcę, aby ta chwila trwała wiecznie. Ty i ja, i... poduszki.

JAGNA: ...i kurczaki.

RONALD: Musisz zrozumieć – ten świat umiera! Hierarchia to największe oszustwo w historii ludzkości! Kapitalizm i system kontrolujący absolutnie wszystko i wszystkich.

JAGNA: Świat zaczyna się w naszych sercach. Nasze relacje, współodczuwanie. Chcesz walczyć o świat, w którym umiera się bez Miłości?

RONALD: Ekosystem, musimy walczyć o ekosystem! Abyśmy mogli żyć w lasach i polować na bawoły!

- JAGNA: Człowiek nie może żyć bez Miłości. Ona wszystko tłumaczy, gdziekolwiek jesteś.
Znajdziesz nowych wrogów, także wśród tych, którzy dzielą twoje racje.
- RONALD: Myślisz, że można za sobą zamknąć życie i zacząć wszystko od nowa?
- JAGNA: Myślisz, że można uciekać w pustkę? Lepsze rozpoczęcie wszystkiego od nowa niż trwanie w patologii.
- RONALD: W moim rodzinnym domu nikt się mną nie interesował. Mama wiedziała, kto z kim śpi w kilku serialach, ale nie znała moich pragnień. Ciągła walka z samym sobą, że jesteś komuś potrzebny. Ucieczka w to, co przynosi świat, aby zagłuszyć strach i pragnienie miłości. Poznałem filozofię eutanazji, a kiedy mama potrzebowała mojej pomocy, ja podarowałem jej... śmierć. Teraz moje sumienie przypomina o sobie i żąda zadośćuczynienia, żąda odkupienia winy. Walczę o prawa zwierząt. Chciałbym mieć poczucie wartości, że nie jestem zdemoralizowanym wyrzutkiem, który patrzy tylko w siebie.
- JAGNA: Zobaczyć siebie w prawdzie to cenniejsze niż życiowa sielanka. Edukacyjny walor cierpienia. Prawda uwalnia. Jeśli nie doświadczysz Miłości, nie potrafisz zrozumieć siebie.
- RONALD: Chcę, aby miłość była moja, chcę się w niej zanurzyć, poczuć ją całym moim istnieniem.
Ronald próbuje miłosnych igraszek. Jagna delikatnie go odpycha.
- JAGNA: Mówię o Miłości, która jest gotowa oddać życie, która nie kocha na próbę.
Ronald z sarkazmem.
- RONALD: Serce do wzięcia! Stłumione, nikomu niepotrzebne. Zdeptane bólem własnym, twarde, niezdolne do kochania nawet siebie. Nie potrafi okazać, że jest i że pragnie. W ciągłej ucieczce przed prawdą, w nieustannej nieufności do świata, który zdradził. Przyjmie każdą jałmużnę, byle by była prawdziwa. Odrobina nieobłudnej miłości, tylko chwila!
- JAGNA: Nie chcesz, nie potrafisz przebaczyć nawet sobie.
- RONALD: Weszłaś w moje mury, uważaj, abym cię nie pokąsał.
- JAGNA: Zbieram okruchy dobra twoją wolną wolą uczynione. Potrzebuję cię, człowieku, dla siebie, dla ciebie!

RONALD: Jagna, dlaczego ty kochasz ludzi? Nie zasługują na miłość – za darmo.

JAGNA: Miłość jest tylko za darmo i właśnie dlatego jest tak cenna. Miłość to wolność.

RONALD: Chcę być w twojej wolności. Zawsze tylko doktryna, światopogląd, idea! Masturbacja mózgiem! Tyle prawd, ale nikt nie nauczył mnie miłować. A ty nie boisz się?

Jagna chce przytulić Ronalda, ale ten odchodzi, nie potrafi okazać jej czułości.

RONALD: Nie ma czasu na miłość. Nie ma czasu dla siebie. Grzecznie umarł kolejny raz realizując oczekiwania innych.

JAGNA: Czy naprawdę musisz zostać sam, aby być miłym? Zostać kloszardem, by docenić dom? Relatywizm wszystko tłumaczy? ...póki nie dotkniesz cierpienia.

Ronald zrezygnowany.

RONALD: Odkąd pamiętam, negocjowałem kompromis sam ze sobą. Najpierw małe ustępstwa, a później coraz poważniejsze. Tłumaczyłem sobie: przecież to tylko relatywizm. Wszystko jest względne! Wszyscy tak robią „takie jest życie...”! Wreszcie człowiek zapędza się w ślepy zaułek.

JAGNA: Wczoraj – już zostało osądzone, jutro – nie wiadomo, co przyniesie, tylko dzisiaj się liczy. Ty i ja, jeśli zechcesz...? *(Jagna ponownie próbuje się zbliżyć)*

RONALD: Chcę, ale czy mi wybaczysz? Czy wybaczy mi mama? Nie mogę żyć z piętnem zabójcy i tłumaczyć sobie, że tak było lepiej dla nas wszystkich. Ona przeżyła cierpieć, a ja zachowałem się logicznie w obliczu tego bólu! Tylko miłość ucierpiała...?

JAGNA: Ronald, chcę ci pomóc. Chcę tu być – za twoimi murami.

RONALD: Idź sobie! Nie potrzebuję litości! Nikt nie może mi pomóc. Nikt nie może uwolnić mnie od mojego prywatnego piekła!

JAGNA: Nie wierz w to, że jesteś u kresu! Miłość, która cię stworzyła, nie pozwoli, abyś szczył. Jeśli ją poznasz, poznasz także duszę, którą nosisz w sobie i która jest nieśmiertelna. Uwolnisz się od potępienia przez własne sumienie. Poznasz prawdę i ona cię wyzwoli.

Jagna zostawia Ronalda samego. Ronald trzyma w dłoniach konika z kasztanów.

RONALD: O Miłości, czymże ty jesteś? Prawdą, która cierpieniem serce przesywa? I kark do ziemi skłania? Murem wydajesz się nie do zdobycia!

Scena V

Na zakończenie wychodzi matka i wygłasza mowę pożegnalną.

MATKA: Ta historia wydarzyła się naprawdę. W 2016 roku Robert Knight przyznał się do winy, zabójstwa matki, 79-letniej June Knight. Sędzia Samantha Leigh, skazująca Knighta w sądzie koronnym w Basildon, powiedziała: „Jesteś kimś, kto działał z miłości i desperacji”. Prawdą jest także wyzwolenie 20 kurczaków z hodowli jaj w Drome, we Francji w 2019 roku.

Koniec

Eliza Mikulska

Jarzmo

Osoby:

Mateusz Kaca – 50 lat

Monika Kaca – 47 lat

Postać II – 50 lat

Streszczenie:

Mateusz Kaca jest biznesmenem, mężem, ojcem i alkoholikiem. Nie uświadamia sobie swojego nałogu, a przez niego traci żonę, dzieci i ma kłopoty w pracy. Co jeszcze musi się wydarzyć, by Mateusz porzucił picie? Czy w ogóle mu się to uda? Czy Monika do niego wróci? Jak skończy się ta historia? Dramat pełen zwrotów akcji.

Obsada:

3 osoby (1 kobieta + 2 mężczyzn)

Luksusowe współczesne wnętrze. Przy brzegu sceny mały konfesjonat.

Scena I

Przez drzwi po lewej stronie do wnętrza wchodzi Mateusz – elegancko ubrany mężczyzna w wieku około 50 lat. Odwiesza płaszcz, odstawia aktówkę.

MATEUSZ: Kochanie, wróciłem! Kochanie! Gdzie jesteś? *(Sięga po stojący na stole kieliszek. Z karafki nalewa alkohol. Upija łyk. Mówi, zwracając się do publiczności.)* Wypijmy toast: za was, za kontrakty, które dziś podpisałem... Jeszcze za moje udane małżeństwo, za cudowne córeczki... *(Coraz bardziej pijany)* Tyle czekałem, by Francuzi stali się moimi kontrahentami. *(Dzwoni telefon.)* Chwileczkę. *(Przykłada telefon do ucha.)* Cześć, kochanie. Myślałem, że zjemy razem obiad. (...) Pewnie, że mogę. (...) Oczywiście, że nie piłem. *(Pokazuje publiczności, żeby była cicho.)* Nie zawalę, odbiorę ją. Cieszę się, że jest taka zdolna. Jestem dumnym tatą. Do zobaczenia wieczorem. Pa! *(Odkłada telefon na stół. Podchodzi do konfesjonatu, ustawia go tak, by był przodem do widowni,*

stuka w niego trzy razy. Pochyla się i mówi do publiczności tak, jakby się spowiadał.) U spowiedzi ostatni raz byłem... dawno. Zadaną pokutę odprawiłem. Przepraszam najmocniej. Dzwoniła Monika. Muszę jechać. Ale mam pomysł. Impreza dopiero się rozkręca i szkoda byłoby stracić taką okazję do zabawy. Zaczekacie na mnie? Niebawem wrócę. Szkoła muzyczna jest blisko, tylko zawiozę małą do teściów. To co? Bawcie się dalej, nie przeszkadzajcie sobie, a ja zaraz jestem z powrotem.

Bierze kluczyki od samochodu i wychodzi. Następuje chwila ciszy. Światło gaśnie. Słychać jadący samochód, pisk hamulców i uderzenie. Następnie szybkie kroki, sygnał karetki. Następuje cisza.

Scena II

Mateusz wchodzi do mieszkania. Ma obandażowaną głowę i rękę, lekko utyka na nogę. Idzie powoli, z opuszczoną głową. Podchodzi do konfesjonatu. Pochyla się i mówi jak na spowiedzi, zwracając się do publiczności.

MATEUSZ: Przepraszam, że tyle musieliście czekać. Jakiś cymbał wyjechał z podporządkowanej i zaliczyłem dzwon. Musiałem wracać taksówką. Samochód skasowany, prawo jazdy zabrane... Że jak? Chcecie napić się ze mną? Alkohol mnie rozluźni? Macie rację! Wznoszę za was toast. Jesteście bardzo mądrzy. Jeszcze jeden toast za tę waszą inteligencję! Od razu mi lepiej. *(Coraz bardziej pijany)* Możemy bawić się dalej! Chodźcie! *(Zaczyna poruszać się niezgrabnie w rytm muzyki.)*

Scena III

Do mieszkania wbiega Monika. Jest zapłakana.

MATEUSZ: Witaj, kochanie. Tęskniłem. *(Próbuje przytulić Monikę.)* Zatańczymy?

MONIKA: *(Wyrывa się.)* Daj spokój! Jak mogłeś?

MATEUSZ: Kochanie, dlaczego płaczesz? *(Próbuje ją objąć.)* Usiądź. Porozmawiajmy.

MONIKA: Nie chcę cię widzieć! Zabiłeś ją! Zgnijesz w więzieniu! Nie mam już siły! *(Siada w fotelu. Płacze.)*

MATEUSZ: *(Kłęka przy Monice.)* Ale... Monisiu... Co ty mówisz? To jakaś pomyłka, przecież ona jest na intensywnej terapii... *(Wstaje i chwytając się sięga na stół po chusteczki.)*

MONIKA: Właśnie wracam ze szpitala. Zabrali ją do kostnicy.

(Mateusz podaje jej chusteczki.)

MATEUSZ: Ale... Monisiu... To nieprawda! Słyszysz? Lekarze cię okłamali!

MONIKA: Jak mogłeś mi to zrobić? To tak bardzo boli...

MATEUSZ: Nie mogę patrzeć na twoje łzy. *(Kłęcząc obok fotela, dotyka jej policzka.)* Wiem, że masz anielską cierpliwość, zawsze miałaś. Przepraszam.

MONIKA: To za mało. Trzeba czegoś więcej. *(Wstaje z fotela, idzie w kierunku drzwi.)*

MATEUSZ: Nie zostawiaj mnie samego! Proszę! Przepraszam, Monisiu...

MONIKA: Oboje potrzebujemy czasu. *(Wychodzi, płacze.)*

MATEUSZ: *(Woła za nią.)* Ale... Monisiu... Ja nie dam rady żyć bez ciebie!

Gasną światła. Słychać marsz pogrzebowy.

Scena IV

Spotkanie AA

Krzesła ustawione w kręgu. Mateusz siedzi na jednym z nich. Za drugim krzesłem Monika przebrana za anioła, za trzecim mężczyzna ubrany tak jak Mateusz. Monika i mężczyzna mają pochylone głowy, stoją w cieniu. W chwili, gdy chcą wygłosić swoją kwestię, unoszą do góry rękę i pada na nich światło. Mateusz mówi coś do siebie. Od czasu do czasu nalewa alkohol do kieliszka i go wypija.

MONIKA: A może herbaty byś się napił albo coś zjadł?

POSTAĆ II: Po co? Wódka jest lepsza. Lubisz, gdy rozchodząc się po twoim wnętrzu, rozgrzewa.

MATEUSZ: Kto to powiedział?

MONIKA I, POSTAĆ II *(Razem)*: My! Jesteśmy tutaj!

MATEUSZ: *(Rozgląda się)* Gdzie? Nie widzę was!

MONIKA I, POSTAĆ II *(Razem)*: Spójrz na stół!

MATEUSZ: Nic tu nie ma. Tylko sztućce i kieliszek. Wy mówicie? *(Przeciera oczy.)*

POSTAĆ II: A co w tym dziwnego?

(Mateusz wzrusza ramionami.)

MONIKA: Napij się wody. Czasem mam wrażenie, że chcesz mnie zatopić i gdyby nie to, że jestem kryształowy, to pewnie tak by się stało. Plujesz do mnie, parskasz, nienawidzę tego. Moim marzeniem jest, byś napił się wody.

POSTAĆ II: Nie słuchaj jej! Zapomnij, co mówi.

MATEUSZ: Ale... ja nie rozumiem. Kim wy jesteście?

MONIKA I, POSTAĆ II (*Razem*): Twoimi przyjaciółmi.

MATEUSZ: (*Bierze butelkę wody. Nalewa do kieliszka i wypija.*)

Zdrowie moich przyjaciół.

MONIKA: Dziękuję. Spełniłeś moje marzenie. Zrobiłeś pierwszy krok.

POSTAĆ II: Teraz uczyń drugi.

(*Podaje mu kieliszek napełniony alkoholem. Mateusz wypija zawartość.*)

MONIKA: Nie! Znowu się cofnąłeś!

(*Próbuje wyrwać mu kieliszek. Postać II odsuwa ją na bok, przez chwilę się szamocząc. W końcu Monika głośno wzdycha, pochyla głowę i zrezygnowana staje z tyłu.*)

POSTAĆ II: (*Podchodzi do Mateusza, poklepuje go po ramieniu, nalewa alkohol do dwóch kieliszków, jeden podaje Mateuszowi, drugi podnosi sama, zachęca gestem, by Mateusz się z nią napił.*)

MATEUSZ: (*Zwraca się do publiczności.*) Wasze zdrowie!

(*Opróżnia kieliszek, drugi zostaje opróżniony przez Postać II.*)

MONIKA: (*Podchodzi krok do przodu.*) Sprawy zaszły za daleko. Spójrz na siebie.

MATEUSZ: Odczep się! Jestem taki jak kiedyś.

(*Postacie zaczynają chichotać.*)

MATEUSZ: Bredzicie! (*Zasłania uszy dłońmi*) Przestańcie!

POSTAĆ II: Nie chcemy ci w niczym uchybić.

MONIKA: Chcemy twego dobra.

MATEUSZ: Ta, pewnie! Już słyszałem takie słowa! Nawet od Moniki. I co z tego wyszło?

POSTAĆ II: Co nas nie zabije, to nas wzmocni.

(*Nalewa kolejny kieliszek i podaje go Mateuszowi.*)

MATEUSZ: Czemu mówicie zagadkami? Ja nie rozumiem...

POSTAĆ II: Chyba muszę wystawić moje trzy zęby, tak na wszelki wypadek. Wcale mi się tu nie podoba.

MONIKA: Jak go ratować?

POSTAĆ II: Może ucieczką? To najlepszy styl, bo angielski. Co prawda dotyczy trochę innych sytuacji, ale nie czas teraz na wyjaśnienia.

MONIKA: Ucieczkę to on sobie sam zafundował. Teraz musi do żywych wrócić.

POSTAĆ II: Uczcijmy jego śmierć minutą ciszy.

MATEUSZ: Powariowaliście? Jeszcze nie umarłem.

(Mateusz wbija widelec w dłoń, widać krew. Zrywa się z krzesła.) Co do czorta? Au!

MONIKA: No i co narobiłeś? On krwawi! Nie mogę na to patrzeć. Krew na rękach naszego przyjaciela! A może wroga? *(Podchodzi do Mateusza.)* Żyjesz? A ta krew?

MATEUSZ *(Przykłada krwawiącą dłoń do ust)*: Obrzydliwie smakuje, jest nieczysta i nie moja. Chciałbym obmyć się z niej.

POSTAĆ II: Ratujmy go! Nie dajmy zginąć! Nasz Mateusz cały we krwi! Napijmy się!

(Mateusz wypija zawartość kieliszka.)

MONIKA: Nie! *(Wrywa kieliszek z rąk Mateusza i rzuca nim o podłogę. Postać II, próbując złapać naczynie, potyka się i przewraca. Po chwili wstaje, otrzepuje ubranie i chce podejść do Mateusza. Monika broni do niego dostępu. Postacie zaczynają się przepychać.)*

POSTAĆ II: Taki Mateusz jest szczęśliwy.

MATEUSZ: Właśnie! Jestem! Gdzie kieliszek?

MONIKA: Wokół nas leżą jego szczątki. Nie pozwolił, by kolejny raz go wykorzystano. Każdy kiedyś powinien powiedzieć dość. Panie, świeć nad jego duszą...

POSTAĆ II: Ze szkła powstałeś i w szkło się obrócisz...

(Mateusz upada na podłogę w drgawkach delirium tremens. Postacie przestają rywalizować o miejsce przy nim. Zaskoczone zastygają w bezruchu. Po chwili Monika klęka przy nim.)

MONIKA: Mateusz! Mateusz! A nie mówiłam? Wiedziałam, że tak będzie! Wiedziałam od początku, ale ty nie chcesz mnie słuchać! Nie mogę cię tak zostawić.

(Drżącymi rękoma wybiera numer.) Proszę karetkę na Pawią 5. Delirium. Tak, tylko szybko. Zaczekam.

(Opada kurtyna, po chwili słychać sygnał karetki.)

MATEUSZ: *(Słuchać jego głos.)* Anioł! Chyba widziałem anioła. Uratował mnie.

Scena V

Mateusz stoi obok stołu. Trzyma w ręku gruby sznur. Próbuje zawiązać pętlę. Mówi coś do siebie. Postać II podaje mu kieliszek. Mateusz od czasu do czasu nalewa do niego alkohol i go wypija. Z cienia wyłania się Monika w przebraniu anioła, staje za Postacią II.

POSTAĆ II: Pojawiła się nowa szansa.

MATEUSZ: Gdzie ja jestem?

POSTAĆ II: Bezpieczny. *(Wskazuje na sznur)* Wykorzystaj nową szansę.

MATEUSZ: Twoje zdrowie! *(Zwraca się do publiczności, dopiero teraz ją zauważył.)* Wasze zdrowie! Dobrze, że jesteście, bo czuję się odrobinę samotny.

POSTAĆ II: Wykorzystaj szansę, bo przypadnie bezpowrotnie.

(Pomaga Mateuszowi zawiązać pętlę na sznurze.)

MATEUSZ: Z kim ja rozmawiam? I po co? Nie do wiary! Ja chyba śnię! To nie dzieje się naprawdę.

(Przeciera oczy, kręci głowę z niedowierzaniem.)

MONIKA: To ma być szansa? Nie bądź śmieszny.

(Wrywa sznur, trzyma go w dłoni. Postać II próbuje odebrać jej sznur, szamocząc się.)

MATEUSZ: *(Coraz bardziej pijany.)* Jest tylko jeden sposób, bym mógł moje życie marne zmienić w godne zapamiętania.

POSTAĆ II: Jesteś ważny.

MONIKA: Najważniejszy!

(Postaci II udaje się wyrwać sznur z rąk Moniki, podbiega do Mateusza i zakłada mu pętlę na szyję, uśmiecha się, jest wyraźnie z siebie zadowolona. Monika próbuje dojść do Mateusza, by zdjąć pętlę. Postać II broni do niego dostępu.)

MONIKA: Mam już dosyć!

(Strąca naczynia ze stołu. Spadają ze szczękiem na podłogę, alkohol wylewa się.)

MATEUSZ: Może chciałbym? Już nie umiem.

(Zaciska pętlę na szyi, opuszcza głowę.)

POSTAĆ II: Dokonało się. Opuśćcie, a zostanie wam odpuszczone... Na każdego czeka odkupienie. Wszyscy dostaniemy jeszcze jedną szansę.

(Monika energicznie podchodzi do Mateusza, zdejmując mu pętlę, odrzuca sznur z obrzydzeniem daleko w bok. Oklepuje Mateusza po twarzy.)

MONIKA: Mateuszu! Chyba mu się pogorszyło. Gdzie on w tym mroku światło dostrzega?

POSTAĆ II: On nie słyszy. I chyba nie chce słyszeć. Zbrukany krwią, która go oczyści, która została przelana na jego pamiątkę. Taki wybór. Każdy jest kowalem swojego losu. *(Chichocze.)*

MONIKA: I te szatańskie dźwięki! To chyba po to, by zagłuszyć wyrzuty sumienia. Już dość przez ciebie wycierpiałam.

(Monika zdejmuje z wieszaka kaftan bezpieczeństwa, próbuje założyć go na Postać II, szamocząc się. Mateusz upada na ziemię w drgawkach delirium. Monika owija Postać II kaftanem i próbuje wypchnąć ją ze sceny.)

POSTAĆ II: Nie, to nie dla mnie, nie potrafię inaczej.

MONIKA: Wynos się! I nie wracaj więcej! Nie chcę cię widzieć. Marniejesz! Niech łuski spadną z twych oczu, byś odzyskał wzrok. Nowa droga bowiem stanęła otworem.

POSTAĆ II: Można inaczej? Nic o tym nie wiem. Każdy dzień jest wyzwaniem. Udręczony człowiecze, ciężkie jarzmo spoczywa na Tobie. To bardzo brzemiennie w skutkach. Nie bój się wyroku śmierci, pamiętaj o tych, co przed tobą byli i będą po tobie. *(Opuszcza scenę.)*

(Monika jest zmęczona, dopiero teraz dostrzega leżącego Mateusza. Klęka przy nim.)

MONIKA: Mateuszu! Ocknij się! Mateuszu!

(Drżącymi rękoma dzwoni.)

Pawia 5. Tak, znów to samo. Przyjedźcie szybko.

(Gasną światła, słychać sygnał karetki.)

Scena VI

Mateusz leży w łóżku. Na ubranie ma zarzucony kaftan bezpieczeństwa. U wezglowia stoi Monika.

MONIKA: Wreszcie się obudził.

MATEUSZ: Gdzie ja jestem?

MONIKA: *(Siada przy Mateuszu.)* Wśród przyjaciół.

MATEUSZ: Widziałem Martusię. Biegała po łące, zbierała kwiaty, była roześmiana...

MONIKA: Niemożliwe. Jej już nie ma... Leżysz tu od tygodnia.

MATEUSZ: Może to sen? W dzisiejszych czasach nie można nikomu ufać.

MONIKA: A ty znowu swoje?

MATEUSZ: Boję się.

MONIKA: Jestem przy tobie.

(Mateusz wstaje z łóżka, mówi próbując wyswobodzić się z kaftana.)

MATEUSZ: Zmienię się, zobaczysz. Tym razem naprawdę.

MONIKA: Mam uwierzyć?

MATEUSZ: Musiałem być we wszystkim perfekcyjny. Najpierw rodzice tego ode mnie wymagali, potem ty.

MONIKA: Ja? Nie masz racji. Stałam za tobą murem, poświęciłam wszystko.

MATEUSZ: Nie unoś się. Nie mam pretensji. Ojciec, nawet gdy przekazał mi firmę, cały czas patrzył na ręce. To było męczące.

MONIKA: Czemu cały czas milczałeś?

MATEUSZ: Nic nie wiesz o biznesie. Myślałem, że nie zrozumiesz.

MONIKA: Zawsze byłam tylko pustą lalką?

MATEUSZ: To nie tak. Ty i dziewczynki jesteście dla mnie najważniejsze. Doceniam, że je wychowujesz, pracujesz zawodowo, dbasz o dom i ogród. Ja nie potrafię wziąć tyle na siebie. Jeszcze te kontrakty... Najlepsze podpisuje się przy kieliszku. I te ciągłe zawodzenia: „Ze mną się nie napijesz? Dlaczego? Jestem gorszy niż inni?”

(Monika pomaga mu wyswobodzić się z kaftana. Trzyma go w rękach jakby zastawiając się, co powinna z nim zrobić.)

MONIKA: Mój biedaku. Niby ukończyłeś dwa kierunki studiów, a nie potrafisz być asertywny.

MATEUSZ: Byłem nawet u psychologa. Znasz metodę dwunastu kroków?

MONIKA: Sam nie potrafiłeś uczynić pierwszego.

MATEUSZ: To przez ten głos, który mi podpowiadał, że nie mogę odpuścić. Jestem słaby.

MONIKA: Pomogę ci. Mimo wszystko.

(Odrzuca kaftan daleko na podłogę.)

MATEUSZ: Dobrze być wreszcie wolnym. To mnie uskrzydla.

MONIKA: Nie będzie już odwrotu. Na pewno tego chcesz?

MATEUSZ: Tak. Pracy poświęciłem wszystko i to był błąd. Spróbuję go naprawić. Nie da się wszystkiego przepić, bo próbowałem. Firma jest w upadłości, ale pracownikom zapłaciłem co do grosza.

MONIKA (*Zdejmuje przebranie anioła*): Na razie nie potrafię ci wybaczyć. To bardzo boli.

MATEUSZ: Dziękuję, że się ze mną nie rozwiodłaś, choć zasługiwałem na to. (*Przytula ją.*)
Myślałem, że potrzebujesz więcej luksusowych rzeczy.

MONIKA: Mateusz! Willa, Porsche 911, wakacje na Balearach, biżuteria, suknie... Dla ciebie to mało?

MATEUSZ: A dla ciebie nie?

MONIKA: Przypomnij sobie, jak się poznaliśmy. Mieliśmy siebie. Tylko tyle i aż tyle.

MATEUSZ: Byliśmy młodzi, z perspektywami. Cały świat stał przed nami otworem. A ja to popsułem. Psycholog kazał mi kupić butelkę alkoholu i podzielić go na siedem dni. Wypiłem cały od razu i doskonale się bawiłem. Nie widziałem problemu.

MONIKA: To już za nami. Wszystko w naszych rękach.

MATEUSZ: Teraz widzę, że cię nie doceniałem. Jesteś dla mnie całym światem.

MONIKA: Nie obiecuję, że będzie jak dawniej.

MATEUSZ: Nie chcę, żeby tak było. Jesteśmy inni. Teraz może być tylko lepiej.

MONIKA: Mateusz... ja cię kocham. Mimo wszystko.

(*Mateusz całuje Monikę. Słychać organy kościelne.*)

Koniec

Amelia Pudzianowska

Człowiek szalony i wiedźmy

Akt I

Scena I

*W centrum sceny znajduje się łóżko, obok szafka nocna, na której leżą lusterko i kobieca chu-
sta. Na scenę wychodzi mężczyzna, ma na głowie czapkę. Rozgląda się przez chwilę. Bierze
lusterko, które stoi na szafce, przegląda się w nim, poprawia czapkę. Nagle rozbija lustro
o ziemię. Podchodzi do publiczności i patrzy prosto w oczy widzów.*

DAWID

Mówią, że oszalałem.

Śmieje się, po czym zakrywa usta dłońmi.

Mam myśli szalone, szalone, szalone!

Słowo stało się ciałem,
wywróconym na drugą stronę.

Mówią, że mnie tu zamknęli.

Szaleńca, szaleńca, szaleńca!

Śmieje się i zakrywa usta dłońmi.

Zmartwychwstać do niedzieli?

Proszę nie zachęcać.

Mówią, że jestem na lekach.

Szalenie, szalenie, szalenie!

Znów śmieje się i zakrywa usta.

Bóg stworzył człowieka,
niebieskie stworzenie.

Mówią, że krzyczę na próżno.

Oszalałem, oszalałem, oszalałem!

Za wcześnie, jest za późno,

Śmieje się i zakrywa usta.

zgubiłem zegarek.

Mężczyzna siada na łóżku tyłem do widowni. Jest spokojniejszy.

Dziś mnie odwiedzą dwie miłe panie,

wszyscy umrzemy lub nic się nie stanie.

Bo kim w rzeczy samej są te kobiety?

To północnice, więc diabły, niestety.

Dziś wyrok wydadzą burze i deszcze.

Czy mnie uwolnią, czy żyć będę jeszcze.

Wskakuje na łóżko i odwraca się do widowni. Wyciąga przed siebie rękę.

Sądzić będziemy resztkę człowieka,

co stoi przed wami z nadzieją i czeka.

Scena II

Na scenę wychodzą dwie kobiety, jedna z prawej strony, druga z lewej. Ubrane są na biało.

Mężczyzna zeskakuje z łóżka i patrzy przed siebie.

WIEDŹMA I

Co tu się dzieje, do jasnego Pana?

Czemu ty stoisz, a nie na kolanach?

Zbiłeś lustro, czym się jeszcze zdziwiesz?

Jak teraz poznasz, kim jesteś właściwie?

DAWID

Raz zapomniałem w ramionach kobiety,

dziś znam siebie dobrze, zbyt dobrze, niestety.

Moje szaleństwo nie grozi pamięci,

pomimo próśb moich, najszczerzych chęci.

WIEDŹMA I

Noc ciemna przykryła śniące oczy dzieci,
 każda z gwiazd dalekich żarzy się i świeci.
 W rozdarte serce kołaczą żal i skrucha,
 by ją wpuścić, uważnie patrz, słuchaj.
Kobieta kładzie dłoń na ramieniu mężczyzny.
 Dawidzie, wezwałeś dziś nasze dusze,
 siostra żar roznieci, a ja ciebie skruszę.
 Pokazać ci chcemy dzieje nowe i stare,
 byś znalazł siebie oraz zgubiony zegarek.

DAWID

Co ja zrobiłem, dobrze pamiętam.
 Chcę już być wolny, chcę zrzucić pętą.

WIEDŹMA II

Prawda pokaże, prawda wyzwoli!

DAWID

To boli, boli, boli!
Mężczyzna chwyta się za serce i kuli się.

WIEDŹMA I, WIEDŹMA II:

Śpiewają i tańczą w transie.
 Zostałeś wrzucony w niespokojne życie,
 krew cię zalewa niczym rozpędzone fale.
 Skroplone siostry, dlaczego krzyczycie
 na tego, co umarł, choć nie żył wcale?

Nim morski całun powieki przykryje,
 wzbij się ponad wodne otchłanie.
 Spójrz na niebo – piękne i niczyje,

poddane tylko w twoje władanie.
Na dnie kieszeni masz żywot cały,
znasz wszystkie świata strony,
a i tak stoisz na krańcu skały.
Więc skoczysz z nami
szalony.
Koniec piosenki.

DAWID
Jestem pod wodą, bez tchu, topiony.

Akt II

Scena I

WIEDŹMA I

Bierze krzesło, siada na nim i udaje, że jedzie w pociągu. Zaczyna odtwarzać postać Dawida, upodabnia się do jego stylu mówienia i gestów, zabiera mu z głowy czapkę, po czym sama ją zakłada. Śpiewa.

Ha, ha, ha!

Polej, polej na zdrowie!

Konduktor zasnął, więc się nie dowie!

Najwyżej przybędzie nam towarzysza!

DAWID
Podnosi głowę i z zaciekawieniem przypatruje się zjawie.
Jakbym sam siebie słyszał.

WIEDŹMA I:

Ha, ha, ha!

Polej, polej, daj gorzały!

Dziś interesy się nie udały.

Ha, ha, ha!
No, a pani, ta pod oknem, tak, pani!
Czy nie zechcesz się napić z nami?
Po co się dąsać, po co się smucić?
Prochem jesteś, w proch się obrócisz!

WIEDŹMA II:

Odgrywa zawstydzoną kobietę, narzuca chustkę na ramiona. Śpiewa.
Pan żartobliwie podchodzi do sprawy,
nieładnie kpić sobie z umierania.
Uzasadnione są moje obawy,
proszę pana.

Nie mogę być z panem poza przedziałem,
niemoralnie trzymać dłoń na kolanach.
Chyba mam już tego dość,
proszę pana.

Zanim wreszcie ostatni świt nastanie,
dusza odejdzie i to już całkiem sama.
A może pan wtedy ze mną zostanie?
Proszę pana.
Koniec piosenki.

WIEDŹMA I

Podchodzi do Dawida, nie odgrywa już roli.
Rozkochałeś duszę piękną jak promyk o świetle,
za złamane serce płacisz złamanym życiem.

DAWID

Ha, ha, ha!

A więc to przez nią cierpię katusze?

A niech jej diabeł połamie też duszę!

WIEDŹMA II

Wyczuła w tobie złość, wyczuła mordercę,

lecz ogłuchło, oślepiło jej słabe serce.

Pragnęła miłości, była w potrzebie,

a ty ją chciałeś przyjąć do siebie.

DAWID

Dałem jej numer, złapałem za rękę.

Liczyłem na coś więcej, no i nic więcej.

WIEDŹMA I

Potem przyszła do ciebie jakby do swego.

DAWID

Gdyby wiedziała, że chcę jednego!

Mieszkałem w ruinie, byłem ruiną,

niektóre rzeczy nigdy nie miną.

WIEDŹMA II

Lecz ją pokochałeś, kochałeś szczerze.

DAWID

Cicho, bądź cicho, już w to nie wierzę.

Naprawdę mówić o tym nie trzeba.

WIEDŹMA II

Wieczór, misa z wodą, piękna Batszeba.

WIEDŹMA I, WIEDŹMA II

Śpiewają w transie, tańczą.

Siedziała pod gruszą – kto to dziś pamięta?

Świat cierpiał osobno na skraju męczeństwa.

Lecz ona jedyna jak matka, jak święta,

zstąpiła do głębin swego człowieczeństwa.

W domach spały zamknięte twarze,

w lodowatej wodzie moczyła nogi.

A ty pokochałeś te sine żył witraże,

jak cichy kościółek, piękny choć ubogi.

Ona mogła podeptać głowę węża,

miała stopy twarde ozdobnie chłodem.

To podobno miłość smród zwycięża,

to podobno ogień wypala wodę.

Chciałeś na stopach złożyć pocałunek,

w wonnym olejku namaścić je i topić,

lecz w twoich żyłach płynął inny trunek.

Nadzieja z misy wylana – nie ma czego opić.

DAWID

Cisza. W wodzie wszystko jest krzywe,

złudzenia jak deszcz obmyły mi ręce.

Chciałem ujrzyć życie inne, lecz szczęśliwe,

choć to były tylko stopy, stopy nic więcej.

Koniec piosenki.

WIEDŹMA I

A co potem było, gdy wstała spod gruszy?

DAWID

Żar wielki mnie w gardle suszył.

WIEDŹMA I

A więc kochałeś, niech tak zostanie.

DAWID

Może kochałem, lecz pożądaniem.

WIEDŹMA I

Straciłeś ją, miłość, marzenie senne.

DAWID

Takie straty mógłbym znosić codziennie.

Śpiewa.

Córko Babilonu, cóżeś z chrztem zrobiła?

Dusisz największy skarb o podeszwę.

O pomstę woła każdy paznokieć i żyła,
które w mej głowie należycie pieszczę.

Teraz twe nogi to nie witraże, lecz szyba,
wszy tańczą triumfalnie na skórze.

Chyba cię jakaś połknęła ryba,
nie na trzy dni, tylko znacznie dłużej.

Całą ziemię miałas u stóp przez lata,
ten sam piach cię połknie i pogrzebie.

Wiem, poza stopami nie ma świata,
choć właściwie nie ma już ciebie.

Koniec piosenki.

WIEDŹMA II

Więc tak się zaczął wasz koniec? Mów, jeśli zdołasz.

DAWID

A to jest akurat historia wesoła.

Śpiewa.

Byłem nad jeziorem, wieczór, kielbasa, woda,
gospodyni znośna, choć wcale nie chuda.

Na pełnym odludziu byliśmy sami,
w miejscu gdzie dupy szczekają psami.

Hej, hej, zrzuciłem tam z barków ciężar!
Hej ho, jestem wodzem własnego oręża!

Siedziałem tam z moją kobietą i było nudno,
ale do domu daleko, więc mówi się trudno.
Tym ludziom, niestety, brakowało ikry,
więc sprawy przybrały kierunek przykry.
Hej, hej, zrzuciłem z barków ciężar!
Hej ho, już się nie muszę wytężyć!

No więc chciałem wykazać chęci,
także zacząłem grzebać w pamięci,
a gdy znalazłem, to już żadna rada,
bo trzeba już mówić, choć nie wypada.

Hej, hej, zrzuciłem z siebie ciężar!
He ho, dobro złem zwyciężaj!

To był taki żarcik, jeśli dobrze pamiętam,
o jednej kobiecie i dwóch impotentach.

Powiedziałem go wtedy dla słusznej sprawy,
no bo musi być w końcu trochę zabawy.

Hej, hej, zrzuciłem z barku ciężar!
Hej ho, nie będzie ze mnie męża.

Trudno było nie dziwić się skutkom,
bo się ludzie śmiali głośno, lecz może za krótko.
Choć byli też tacy, co śmiali się dłużej,
a śmiech ich zaniósł moje myśli ku górze.

Hej, hej, zrzuciłem z barków ciężar!
Hej ho, skarb, którego nie można spieniężyć!

A ta moja kobieta zrobiła minę jak krowa
i się patrzy jak na debila bez choćby słowa.
Więc pytam po cichu, by dalej śmiały się szuje,
czy coś jej, do cholery jasnej, nie pasuje.

Hej, hej, zrzuciłem z barków ciężar!
Hej ho, miłość się kurczy, miłość zawęża!

Ona uciekła, usiadła przy jeziorze,
a ja się czułem podle, najgorzej.
Chcesz być szczęśliwy, no to se chciej,
to początek końca odkąd jest mi lżej!

WIEDŹMA I, WIEDŹMA II

Hej, hej, straciłeś kobietę dobrą i ważną,
ona mogła zabrać twój ciężar, twoje jarzmo.
Koniec piosenki.

DAWID

Wszystko już odeszło, jest zapomniane.

WIEDŹMA I

Łzy wciąż żyją, choć już wylane.

DAWID

Miała różne łzy, różne twarze.

WIEDŹMA I

Siostra przypomni, siostra pokaże.

WIEDŹMA II

Śpiewa.

Zawsze jest taki po każdym zrywie,
a ja chcę się wtulić w jego ramiona,
żyć długo i szczęśliwie,
szybko i boleśnie skończyć.

Znów przychodzą złe myśli,
na twarz pada cień.
Ile razy się on jeszcze przyśni
jako koszmar w dzień?

Tak bardzo się wstydzę
nosić kwiaty na skroni,
bo gdy idę w dół po łodydze,
tam nie ma jego dłoni.
Koniec piosenki.

DAWID

No racja, bo moje dłonie,
na jej stopach ciągle skupione.
Dawid okazuje zmęczenie, gestem wyprasza wiedźmy.
A to jest już chyba koniec opowieści,
co się w trakcie wizyty tej mieści.

Scena II

WIEDŹMA I, WIEDŹMA II

Zaczynają śpiewać i tańczyć w transie.
Lewiatany plotą wianki z aureoli,
na spodzie kamienia krzyk wydrapany.
Panie, o, Panie, jak go to zaboli!

Szatany już do ran sypią soli,
nad ziemią skowyt nieznany.
Panie, o, Panie, jak go to zaboli!

Nie ma diabła, nie ma swawoli,
twoja kobieta przy rzece się kładła.
Panie, o, panie, jak go to boli!
Koniec piosenki.

DAWID

Jest przerażony.
Wiedźmy, o czym wy mówicie?

WIEDŹMA I

Patrz teraz na swoje życie!

DAWID

Widzę je w pełnej okazałości!

WIEDŹMA II

Będzie dziś więcej gości.

WIEDŹMA I

Chciałeś sądu, więc cię osądzimy.

Sędzią będzie ten, kto zna twe winy.

DAWID

Ha, jeszcze Boga mi tutaj trzeba!

WIEDŹMA I

Nie chciałeś przecież mieszać w to nieba.

DAWID

Nie chcę już wiedzieć, uciszcie się obie!

Zbierzcie mnie stąd! Boże, co ja teraz zrobię?

WIEDŹMA I

Boga nie ma z nami na sądzie.

WIEDŹMA II

Więc kto inny wśród nas zasiądzie.

DAWID

Śpiewa.

Nie przychodź diable do mego snu,
dobranoc od ciebie nie chcę słyszeć.

Mężczyzna chwyta się za głowę.

Nie kuś do zła,
już nie kuś do zła.

Szepcze.

Zwróć mi ciszę.

Odpuść w swej zapalczywości,
bo ja nie chcę zamykać powiek.
Chwyta się za głowę.
Na wieczność,
bez wieczności.
Szepcze.
Jak każdy człowiek.

Przybądźcie wszyscy aniołowie,
niech w powietrzu zawiruje modlitwa.
Chwyta się za głowę.
Bo ja się boję,
bardzo się boję.
Szepcze.
Strach jest jak brzytwa.

WIEDŹMA I

Dlaczego jesteś w strach spowity?
Przecież często masz wizyty.

DAWID

Już wiem, że mówicie o diable,
który chce mnie skrzywdzić zajadle.
Gdzie jest Basia? Co się stanie?

WIEDŹMA I

Nie wiesz? Podobno dobrą masz pamięć.
Gdy chciała kiedyś rzucić się w morze,
objąłeś ją, szeptałeś czule, że jej pomożesz.

DAWID

Tak, pamiętam, lecz co potem?

WIEDŹMA I

Potem straciłeś na nią ochotę.
Lecz my lubimy smutne dziewczęta,
wołamy je śpiewem, tam gdzie dróżka kręta.
A one biegną w nasze ramiona,
by w chłodzie rzeki spokojnie skonać.

WIEDŹMA I, WIEDŹMA II

Śpiewają.

Chciała odnaleźć świętość na ziemi lub w niebie,
mój Panie, na klifie jest płakać najgorzej.
Ty ją za ramię złapałeś i przyciągnąłeś do siebie,
szepiała, że tylko pragnęła zobaczyć morze.

Jej wewnątrz miało aranżację od projektantów piekła,
pragnęła poczuć się jak jedno z ożywionych stworzeń.
Ty serce jej ziębiłeś, a więc uciekła,
mówiła, że szła tylko przejrzeć się w jeziorze.
Potem już w szale biegła, a wokół psy wyły,
gwiazdy płonęły jak żałobne świece.
Ty nie czekałeś, nie miałeś już siły,
coś zniknęło w głębokiej rzece.

DAWID

Przestańcie mówić zagadkami, kobiety,
ja nie rozumiem i nie chcę, niestety.
Wiedzmy zaczynają się bardzo głośno śmiać. Dawid jest zaniepokojony.
Szatan, to szatan z nich wyłazi.
Dawid spostrzega zegarek, który ma Wiedźma 1 na ręce. Mężczyzna podchodzi, chwyta ją za nadgarstek i przypatruje się zegarkowi.
Zaraz, przecież to zegarek Basi.

WIEDŹMA I, WIEDŹMA II

Śpiewają, na początku energicznie, stopniowo pieśń staje się coraz bardziej mroczna. Otaczają Dawida, tańczą koło niego, podczas gdy mężczyzna zachowuje się, jakby był zahipnotyzowany.

Kto lubi piosenki, niechaj z nami śpiewa.

Dabi, dabi, dabi, dubu, dubu da.

Tańczy ziemia i tańczą drzewa.

Mieszkamy pod woda i lubimy pieśni.

Dabi, dabi, dabi, dubu, dubu da.

Aż pętla się zacieśni.

Morze, jezioro i rzeka.

Dabi, dabi, dabi, dubu, dubu da.

Tam ja na ludzi czekam.

Przyjdź, a pocałuję cię czule.

Dabi, dabi, dabi, dubu, dubu da.

Taflą wody otulę.

Zatopisz się w głębinę, ciszę,

a kołysanka cię tak ukołysze:

dabi, dabi, dabi, dubu, dubu da.

Koniec piosenki.

DAWID

Opada powoli na ziemię, jest senny.

Coście jej zrobiły? Coście mi zrobiły?

WIEDŹMA I

Nie masz już siły, nie masz siły, nie masz siły.

Scena III

Dawid zasypia. Wiedźmy łapią się za ręce, podchodzą w stronę publiczności i patrzą prosto w oczy widzów.

WIEDŹMA I, WIEDŹMA II

Śpiewają.

Ty, co oglądasz ludzkie tragedie
dla własnego życia ośłody,
pamiętaj, że każdy kwiat zwiędnie,
i wpadnie do rwącej wody.

Podchodzą do śpiącego Dawida. Wiedźma 1 siada przy nim i gładzi go po głowie.

WIEDŹMA I

Śpiewa.

On chciał wejrzeć do samej głębi,
tatuować śliną potępieńcze jęki,
woda obmywa, lecz woda też ziębi;
długie i piękne jest dno studzienki.

Stracił głowę, zwierając się katu,
interpretował sny bez pokrycia.

Jak trwać wobec dramatu,
skoro to nasza rola życia?!

Wiedźma 2 przybliży się do Dawida i zaczyna go szarpać. Mężczyzna budzi się. Wiedźma 1 zdejmuje zegarek i daje go Dawidowi.

DAWID

Nie chcę go, noszę w sobie winę,
ona utopiła się w rzece, zmarnowałem dziewczynę.

Chcę sądu, będę na kolanach.

Dawid klęka.

WIEDŹMA II

Dzisiaj nie będzie z nami szatana.
Ścieżki ludzkie w różne strony wiodą,
kobieta nie utonęła, bo nie była już sobą,
wrzuciła jedynie do rzeki zegarek,
by wraz z nim utopić czasy stare.

DAWID

Więc ona żyje! Szatana nie ma!
Zlitował się Bóg i wszystkie nieba!
Oto wina moja – wobec niej żyłem źle.

WIEDŹMA I

Ona nie jest jedna, tylko już dwie.
Choć ból ją męczy, samotność, łzy,
kocha dziecko, którego ojciec to ty.

DAWID

Jak ja się boję, bardzo się boję.
Tego, co obce, a jednak moje.
Mówiła coś o mnie, marnej osobie?
Bo ja już nie wiem, nie wiem, co zrobię.

WIEDŹMA I

Chciałam chwycić ją, zabrać na dno,
lecz więdźmy takich jak ona nie kradną.
Słyszałam, śpiewała taką piosenkę,
płacząc cichutko, ale ze wdziękiem.
Wiedźma zaczyna gładzić się po brzuchu, narzuca chustkę na ramiona, zaczyna śpiewać.
Gdzieś tam jest rzeka i rosną maki,
tam ćmy pod wieczór gasną.
Mówił, że kocha, mówił ktoś taki,

a jutro znów będzie jasno.
Jest stara jabłoń, co patrzy i czuwa,
z ziemi wychyla potężny korzeń.
Na dzień opadła czarna zasuwa,
przeżyję dla dziecka, przeżyję, Boże.

Szerokie koryto rozlane przez deszcze,
samotne chwasty rosnące luźno.
Może pokocham, pokocham go jeszcze,
pójdziemy nad rzekę, lecz nigdy tak późno.
Koniec piosenki.

DAWID

Jestem... szczęśliwy! Chcę to wykrzyczeć!

WIEDŹMA II

Dziś ta kobieta złoży ci wizytę.

DAWID

Mogłem się spodziewać, gorzej niż diabeł z piekła.
Niech już przyjdzie i żeby mi nie uciekła.

WIEDŹMA I

Już pora odejść od tej duszy.

WIEDŹMA II

Co było do skruszenia, udało się skruszyć.
Wiedźmy schodzą ze sceny.

Akt III

Scena I

DAWID

Chyba oszalałem w zupełności.

Nie ma co się martwić, nie ma co się złościć.

Bierze telefon, wybiera numer, po czym przykłada aparat do ucha i zaczyna rozmowę. Śpiewa.

Chyba lubisz ronić łezki,

daj spróbować, czy są słodkie.

Fanem jestem kul niebieskich,

kocham ciebie jak dewotkę.

Co przeżyłem, Bóg się dowie,

a twa suknia jest pomięta.

Kim ty jesteś w mojej głowie?

Nazwałbym cię tak – od święta.

Przyjdź tu do mnie, nie płacz więcej,

całe zło kiedyś minie.

Ja ci mocno ścisnę ręce

i nie zginiesz już w głębinie.

Mężczyzna kończy rozmowę, odkłada telefon. Pochodzi do widzów, tak jak na początku.

Mówią, że oszalałem, więc czekam na owacje!

Śmieje się i kłania z radością.

Ci, co tak mówią, mają rację!

Lidia Mikocka-Rosińska

Trio w duecie

Osoby:

Michał – 31 lat

Liliana – 38 lat

Gerard – 45 lat

Streszczenie:

Historia młodej kobiety, która zaczyna być nieszczęśliwa w małżeństwie. Pragnie dziecka i zmiany życia – w przeciwieństwie do męża. Nosi w sobie pewną tajemnicę z dzieciństwa. Na jej drodze staje mężczyzna idealny. Czy Lilianie wystarczy sił i odwagi na podjęcie życiowych decyzji? Czy zdecyduje się na jakiegokolwiek zmiany?

Scena I

Salon

Liliana siedzi na kanapie i gapi się w telefon. Wchodzi Michał.

MICHAŁ: *(zalotnie)* O... widzę, że moja ładowareczka znowu obraca telefon w dłoni.

Przyszłaś już do łóżka. (milutko, łaszcząc się niby kociak)

LILIANA: Jeszcze chwila. Mam coś ważnego.

MICHAŁ: A co może być ważniejszego od własnego męża? Wczoraj chyba nie mogłaś narzekać?

LILIANA: Daj spokój, ty tylko o jednym. A ja chyba też mam coś do powiedzenia?

MICHAŁ: O co ci chodzi? *(zdziwiony)*

LILIANA: Jak to, o co? Tyle razy już o tym rozmawialiśmy.

MICHAŁ: Oj, moja ładowareczko *(milutko)*, przecież wiesz, że ja dla ciebie wszystko, ale to jeszcze nie ten moment, za wcześniej. Wzięłaś tabletkę?

LILIANA: Wzięłam, wzięłam, ale...

MICHAŁ: Co, ale? Nie marudź. Kończ to i chodź do łóżka.

LILIANA: Ja mam już 38 lat. To ostatni dzwonek.

MICHAŁ: Przecież mieliśmy najpierw się dorobić, poużywać życia. A ty, co tak nagle zdanie zmieniłaś?

LILIANA: Ty wciąż bagatelizujesz moje potrzeby. Dosyć mam tych tabletek.

MICHAŁ: Doprawdy?

LILIANA: Może coś byśmy zmienili? Ileż można gonić za pieniędzmi? Trzeba zacząć żyć, prawdziwie żyć.

MICHAŁ: A co, teraz nie żyjesz? Masz świetnie płatną pracę na najwyższym stanowisku. Zarządzasz ludźmi, odwalasz swoje, wychodzisz i luz blues, imprezki, spotkania, wyjazdy. Żyć nie umierać. Zajdziesz w ciążę, pójdziesz w odставку. A ja, co? Pomyślałaś o mnie?

LILIANA: O tobie? Niby co?

MICHAŁ: Sam na to wszystko będę harował?

LILIANA: No wiesz?!

MICHAŁ: Zero spokoju, nieprzespane noce, brak seksu. Chyba, że masz na to jakiś sposób?

LILIANA: Tylko ty i ty. Zastanowiłeś się chociaż raz, jak ja się czuję?

MICHAŁ: A co to ma do rzeczy?

LILIANA: Wiele. Ja nie jestem seks-maszyną. Mam swoje uczucia.

MICHAŁ: O, tak. Uczucia to ty masz, szczególnie w punkcie kulminacyjnym. (śmiech)

LILIANA: Obrzydliwy jesteś.

MICHAŁ: Coś się tak uparła?

LILIANA: Mam już dość tej chemii i twojej durnej kontroli.

MICHAŁ: Przesadzasz jak zwykle.

LILIANA: Ja przesadzam? (*poirytowana*) Człowieku, od dawna nic innego nie słyszę, tylko: „chodź do łóżka” i „wzięłaś tabletkę?” Ja bym chciała to wszystko z miłością, szacunkiem, uczuciem, a nie tylko instrumentalnie, góra, dół, góra, dół, w przód, w tył, rach, ciach i po sprawie. Zwykła gimnastyka.

MICHAŁ: Wy, kobiety i te wasze uczucia. Nie rozumiem, o co tyle hałasu? Masz na coś ochotę, to robisz to i tyle, a nie jeszcze jakieś uczucia w to wplatać i utrudniać sobie życie.

LILIANA: Kiedyś umiałeś mnie przytulić, powiedzieć coś miłego, byłeś delikatny. A teraz?

MICHAŁ: A... właśnie. Przypomniało mi się. Jutro wieczorem wychodzimy do klubu. Umówiłem nas z ludźmi z personalnego.

LILIANA: Nie pytając mnie o zdanie? Ja nigdzie nie idę. *(stanowczo)* Posiedzielibyśmy w domu, zjedli smaczną kolację, porozmawiali o wszystkim i o niczym. Tak, jak kiedyś.

MICHAŁ: A o czym ty chcesz gadać? Z ludźmi trzeba być, stosunki podtrzymywać.

LILIANA: A może do teatru pójdziemy? Dawno nie byliśmy.

MICHAŁ: *(śmiech)* Teatr to ja mam z tymi od gazu. Nie histeryzuj.

LILIANA: Słucham?

MICHAŁ: Założysz kieckę, tę z dekoltem do samego tyłeczka, szpile, zrobisz to swoje zabójcze oko i do dzieła. Niech im staje na twój widok. Z wrażenia spodnie zmoczą. *(porusza zalotnie brwią)*

LILIANA: Zapomnij. *(stanowczo)* Nie jestem towarem na sprzedaż!

MICHAŁ: Ależ ładowareczko kochana. Jakże ja bym cię na sprzedaż? Nawet jakby sobie popatrzyli, przecież nic się nie stanie. Najwyżej od stołu nie odejdą, bo jak z taką płamą na spodniach? *(zbliża się do Liliany, stopniowo ścisząc głos, zbliżając twarz do jej ucha kontynuuje wypowiedź zmysłowym głosem, jednocześnie powoli przeciągając rękę po wewnętrznej stronie jej ud w stronę krocza)*

LILIANA: No po prostu wariat! Skończony cham i wariat!

MICHAŁ: Oj, tam. Podpiszą wszystko, co im podsunę, bo będą myśleć tylko o tym, jak szybko czmychnąć w ustronne miejsce, żeby uwolnić z najciaśniejszej klatki swe najbardziej nabrzmiałe część ciała w celu okazania im czułości. *(zdecydowanym ruchem próbuje dotknąć jej krocza, ale Liliana w ostatniej chwili odtrąca rękę Michała)* Tak na nich podziałasz.

LILIANA: *(odpychając go od siebie)* Traktujesz mnie jak dziwkę!

MICHAŁ: Co z tobą jest nie tak? Na imprezę nie. Dziecka chcesz, ale z seksem masz jakiś problem. Weź się ogarnij, kobieto, bo jeszcze chwila i psychiatra nie pomoże.

LILIANA: Jak ty nic nie rozumiesz! *(płacz, Liliana wybiega z salonu).*

Scena II

Hall teatralny

LILIANA: Dziękuję ci za zaproszenie. Spektakl był cudowny.

GERARD: Cieszę się, że mogłem sprawić przyjemność najmiłszej i najskuteczniejszej kobiecie interesu.

LILIANA: Och, ty znowu swoje. To moja praca. Szukam najkorzystniejszych opcji dla klientów firmy.

GERARD: A znalazłabyś jeszcze trochę czasu na wieczorny spacer albo lampkę wina w Teatralnej?

LILIANA: Z ogromną przyjemnością. Tylko co na to twoja żona?

GERARD: Żona... Ona ma swoje towarzystwo. Proponowałem jej już nie raz romantyczny wieczór. Ale ona woli inne rozrywki.

LILIANA: Skąd ja to znam?

GERARD: Syn już pełnoletni. Ma dziewczynę. Tylko patrzeć, jak gdzieś wyjadą. A my? Sami jak pustelnicy.

LILIANA: Taka kolej rzeczy.

GERARD: Wspominałem parę razy o dziecku, ale ona nic, tylko praca, zabawa i tak w kółko.

LILIANA: Przykro mi.

GERARD: Nie przejmuj się.

LILIANA: Ja też chciałabym mieć dziecko, ale wiesz, jak jest.

GERARD: Ach! Przepraszam. (z troską) Poruszyłem trudny temat.

LILIANA: Nie, nie. Znamy się przecież od tak dawna. Wiesz już o nas prawie wszystko.

GERARD: Ale ten czas leci.

LILIANA: Do naszej firmy trafiłeś jakoś miesiąc po moim przyjęciu.

GERARD: To prawda, wyróżniałaś się swoją świeżością na tle innych pracowników. Widać było, że masz indywidualne podejście do każdego klienta.

LILIANA: Praca zawsze dawała mi dużo satysfakcji, ale teraz chciałabym zwolnić. Powinnam zająć się sobą i swoim małżeństwem.

GERARD: Nie wiem, co powiedzieć. Na zewnątrz sprawiacie wrażenie szczęśliwej pary. Gdybyśmy nie byli tak blisko, nie miałbym pojęcia, co się dzieje.

LILIANA: Od pewnego czasu jakoś się mijamy, coraz częściej różnymi w poglądach. Nie możemy złapać wspólnego celu.

GERARD: *(z czułością)* Przykro mi to słyszeć. Jesteś taka serdeczna i czuła w stosunku do innych. Żałuję, że nie było nam dane wcześniej się spotkać i że nie jestem młodszy.

LILIANA: Daj spokój. Co to jest wiek? To tylko cyferki w rubrykach. Młodość jest w nas, w sercu, w umyśle. To od nas zależy, czy czujemy się staro, czy młodo.

GERARD: Ładnie powiedziane. Zresztą z ust pięknej i mądrej kobiety nic innego nie spodziewałbym się usłyszeć.

LILIANA: Zawstydzasz mnie.

GERARD: Ależ czym? Przecież to prawda. Wiele bym dał, by móc cofnąć czas i związać się z tobą. A teraz? Ty masz męża, ja żonę. Chociaż to nasze małżeństwo i tak wisi na włosku. Ale i tak nie zdobyłbym się na odwagę, by cię prosić, żebyś odeszła od męża, a już tym bardziej proponować ci romansu.

LILIANA: Naprawdę? *(zawstydzona)*

GERARD: Nie potrafiłbym żyć z myślą, że rujnuję twoją opinię i cieszyć się swoim szczęściem. Jesteś cudowną kobietą i zasługujesz na wszystko, co najlepsze.

LILIANA: To bardzo miłe. Być może w innej sytuacji byłaby dla nas jakaś szansa? Jednak nasze stosunki muszą pozostać na takiej stopie jak teraz. *(z wyraźnym smutkiem)*

GERARD: No cóż, nasz układ jest dość szczególny. Jesteśmy blisko, a jednak daleko. I wiemy o sobie nawzajem więcej niż ktokolwiek inny.

LILIANA: To prawda. *(zaduma)* Wiesz, jest coś, co od pewnego czasu nie daje mi spokoju. Takie wspomnienie z dzieciństwa. Nie umiem sobie z tym poradzić.

GERARD: Jesteś pewna, że powinienem o tym wiedzieć?

LILIANA: Nie mam nikogo innego, komu mogłabym się zwierzyć. A mój mąż mógłby to tylko zbagatelizować.

GERARD: Rozumiem. Jeśli tylko ci to pomoże, słucham.

LILIANA: Po tych wszystkich historiach o pedofilii, bardzo często myślałam i przeżywałam tragedię tych biednych dzieci. Aż któregoś wieczoru coś mi się przypomniało. Miałam, nie wiem, 4-5 lat. Na pewno nie chodziłam do szkoły. Moja mama pracowała wtedy na zmiany. Taty nie miałam, bo zginął w wypadku. W zakładzie

była jakaś awaria i nie zdążył uciec. Coś wybuchło. Ale nieważne. Babcia akurat była w szpitalu i dziadek się nią zajmował. Podczas gdy mama miała drugą zmianę, pilnował mnie jej kuzyn. Bardzo go lubiłam. Do czasu.

GERARD: Nie musisz mówić, jeśli uznasz, że to za trudne.

LILIANA: Nie, wszystko w porządku. Chcę i muszę to komuś powiedzieć. Wreszcie. Bo zwa-
riuję. On przychodził i na początku było wszystko dobrze. Bawił się ze mną, czy-
tał książki, zabierał na spacerzy do parku. Było fajnie. Ale kiedyś siadł ze mną przy
biurku. Naszykował kartki, kredki, a że byłam za mała, krzesło za niskie, biurko za
wysokie, posadził mnie na swoich kolanach. To było straszne. Pamiętam tylko te
jego zimne ręce. A jak próbowałam się uwolnić, bo nie wiedziałam wtedy, co się
dzieje, chciałam się zsunąć... on przytrzymał mnie i mówił tylko: „Spokojnie, rysuj
sobie, rysuj”, a drugą ręką, wsuniętą w moje majteczki, dotykał i przesuwiał zimną
ręką i tymi palcami, jakby ciasto ugniatał. *(zawiesza głos na chwilę)*

Scena III

Liliana czyta książkę. Wchodzi Michał.

MICHAŁ: *(chwiejny krok, język mu się plącze)* O, moja gwiazda. Stęskniłaś się?

LILIANA: Chciałyś. Pijany jesteś. Jak ty wyglądasz?

MICHAŁ: Oj tam, oj tam. Zaraz pijany. Walnęliśmy po kielonku na potwierdzenie naszej
transakcji.

LILIANA: Coś mocny ten kielonek.

MICHAŁ: Zdaje ci się. *(rozbawionym głosem)* No chodź, chodź. Pocałuj swojego mężusia.

LILIANA: Daj spokój! *(obwącjuje koszulę Michała)* Co to?

MICHAŁ: Aaa... Kochanie, gdybyś tam była... *(w anielskim humorze)*

LILIANA: Ale nie byłam. Słucham. Co masz do powiedzenia?

MICHAŁ: Och... Ten główny od personalnych przyprowadził żonę. Mówię ci, jak na mnie
patrzyła tymi swoimi oczami. Normalnie zjadłaby mnie na raz.

LILIANA: Ty łachudro jeden!

MICHAŁ: Zaraz tam łachudro. *(zadowolony z siebie)* Ten jej mąż to jakiś frajer, nie potrafi
jej porządnie naładować. Nie mogłem przecież odmówić kobiecie w potrze-
bie. Taka ładowarka, a moja wtyczka wpasowała się idealnie. *(podeksycytowany)*

Ładowańsko było równe. Napięcie nie spadało. Rosło za każdym posunięciem. Praca zamieniała się w energię, a jej przepływ był tak intensywny, że włosy jej na głowie dęba stały. Niełatwo ci będzie ją przebić.

LILIANA: Nienawidzę cię. Jesteś... *(spokojnie, ale dobitnie)*

MICHAŁ: O co tyle hałasu? Kontrakt jest? Jest. To o co ci chodzi? *(próbując ją objąć)*

LILIANA: Nie zbliżaj się do mnie. *(zdecydowanie)*

MICHAŁ: Poszłabyś ze mną, to nie byłoby tego całego tematu. A może ty byś zdobyła nowe doświadczenia?

LILIANA: Ty w ogóle nie widzisz problemu! Nie dość, że mnie zdradziłeś, to jeszcze z taką satysfakcją o tym mówisz, jakby to było zaliczenie kolejnej bazy w tej twojej cholerniej grze!

MICHAŁ: Przesadzasz, ładowareczko moja. No chodź, chodź. *(słodko i jak do dziecka)*
Wtyczka zregenerowana, gotowa do podłączenia.

LILIANA: Brzydzę się tobą.

MICHAŁ: Ha, ha, ha... Doprawdy? *(drwiącym głosem)*

LILIANA: Przez tyle lat znosiłam te twoje chore jazdy. Ciekawe, ile było tych umów w potrzebie?

MICHAŁ: Ooo... Ktoś tu jest zazdrosny? *(wyróżnienie rozbawiony)*

LILIANA: Już wcześniej coś przeczuwałam. Czekałam z nadzieją, że może wreszcie się opamiętasz. A tymczasem ty zrobiłeś sobie ze mnie zabawkę w celu zaspokojenia własnych potrzeb. Odchodzę. *(bardzo zdecydowanie)*

MICHAŁ: Co ty pieprzysz? Gdzie? *(nie dowierzając, szarpie Lilianę)*

LILIANA: Puszczaj. *(ostro, ale spokojnie)*

MICHAŁ: Co puszczaj, co puszczaj? Do łóżka, ale już. Dzidziusia chciałaś. Chętny jestem. Tak się przyłożę do produkcji, że będziesz pisać do rana z rozkoszy, aż głos stracisz. Wyskakuj z ciuszków. *(szarpie ją)* Twoje marzenie chcę spełnić.
Michał na siłę ciągnie Lilianę do łóżka, próbuje zedrzyć z niej koszulkę.

LILIANA: Ale ja już nie chcę. *(pewnie)*

MICHAŁ: Zamknij się wreszcie, odwracaj tyłem, a nie marudzisz! *(szarpie Lilianę za rękę, próbuje obrócić i położyć twarzą do stołu, tak aby pupę miała wypiętą na wysokości jego krocza)*

Liliana siłuje się z Michałem, podkłada mu nogę i przewraca go, uwalniając się z jego sideł.

LILIANA: Nikt nigdy więcej mnie nie skrzywdzi. (stanowczo)

Liliana z podniesioną głową pośpiesznie wychodzi z salonu.

Scena IV

Kuchnia. Liliana szykuje coś do picia.

LILIANA: Kochanie, przygotować ci jakieś kanapki na drogę!

Z drugiego pomieszczenia.

GERARD: Nie, nie ma takiej potrzeby! (wchodzi) Zjem coś po drodze. (podchodzi do Liliany i całuje ją w czoło)

LILIANA: Czeka cię długa podróż. Wszystko spakowałeś?

GERARD: Tak, raczej tak.

LILIANA: Mam nadzieję, że wszystko pójdzie zgodnie z planem i nie będzie robiła ci problemów?

GERARD: Też mam taką nadzieję. W końcu sama zniknęła pół roku temu i to ona chciała wolności.

LILIANA: Niby tak. A jak nagle stwierdzi, że się pomyliła, bardzo żałuje i chce wrócić?

GERARD: Nie ma takiej opcji. Prawnik powiedział, że wszystkie fakty przemawiają za mną.

LILIANA: To dobrze.

GERARD: A po za tym, to jestem już z tobą i nawet jeśli miałyby się sprawdzić najczarniejszy scenariusz, nic tego nie zmieni i nie opuszczę cię aż do śmierci.

LILIANA: Ty to jednak jesteś niepoprawnym optymistą. Ale właśnie takiego cię kocham. Dobrze, że z Michałem wszystko tak łatwo poszło i ma zakaz zbliżania się do mnie.

GERARD: Całe szczęście, kwiatuszku. Nota bene, ciekaw jestem, jak sobie radzą bez ciebie? Summa summarum, to ty napędzałaś tę firmę.

LILIANA: To już nie nasz problem. Cieszymy się sobą.

GERARD: Mam jeszcze trochę czasu, może zaplanujemy, co będziemy robić po moim powrocie?

LILIANA: Może przygotuję romantyczną kolację, wino, świece i takie klimaty?

GERARD: Zrobmy tak: wybierz jakiś ciekawy spektakl, ja zarezerwuję stolik w naszej ulubionej restauracji, spacer w gwieździstą noc i niech się świeci.

LILIANA: Och, brzmi cudownie. *(figlarny uśmiech)* Ale czas ucieka. Zjedz śniadanie i w drogę. Ja pójdę się odświeżyć i też wychodzę. *(kieruje się do łazienki)*
Gerard w tym czasie je śniadanie i przegląda gazetę. Po chwili wraca przebrana Liliana. Podchodzi do Gerarda i daje mu buziaka w policzek obejmując go od tyłu.

GERARD: No, komu w drogę, temu auto. Zbieram się. *(wstaje od stołu szykuje się do wyjścia)*

LILIANA: *(Podchodzi do Gerarda. Żegnają się czule)* Uważaj na siebie i pamiętaj, że myślami będę z tobą.

GERARD: Żegnaj, kwiatuszku. Wrócę jak najszybciej. *(czule)*

Gerard wychodzi, Liliana sprząta po śniadaniu, podśpiewując sobie. Wchodzi na krótką chwilę do łazienki i szybko wraca cała w skowronkach.

LILIANA: To cud, to cud! Gdzie jest mój telefon? *(podekscytowana)*

Szuka przez chwilę telefonu. Wybiera numer i dzwoni.

LILIANA: Halo, kochanie? Mam dla ciebie wspaniałą wiadomość. Nie zgadniesz.

GERARD: Tak? To proszę, mów.

LILIANA: Będziemy mieli dziecko! *(cała szczęśliwa)*

GERARD: Naprawdę? To wspaniale! Jak wrócę to mi wszy... *(słysząc trzask, hamowanie, bite szkło i jakieś uderzenie)*

LILIANA: *(panika)* Halo, halo, Gerard! Co się stało?! Wszystko w porządku? Gerard, kochanie! *(w słuchawce słysząc głos typu: abonent czasowo niedostępny, abonent czasowo niedostępny, abonent czasowo niedostępny)*

LILIANA: Nieee...! Boże, nieee...!

Upuszcza telefon, mdlejąc upada na podłogę. W telefonie wciąż słysząc głos: abonent chwilowo niedostępny...

Ryszard Ryzewicz

Imieniny

Osoby:

PAN NIEZAWODNY – tajemniczy przybysz, „od zawsze” przyjaciel solenizanta Stefana; Jezus

AGATA – 67-latką, znajoma Stefana ze studiów. Wdowa po Marku, aktualnie żona Wojtka, wspólnego kolegi ze studiów. Piękna, żyjąca w nieco odrealnionym świecie artystka

ANNA – 44-letnia rolniczka, właścicielka wielkiego sadu, jednocześnie działaczka lewicująca

JACEK – 50-latek, mąż Anny, karierowicz związany z partią rządzącą

STEFAN – solenizant, gospodarz, 66-latek, artysta malarz

CHÓR GOŚCI

Streszczenie:

„Imieniny” to opowieść o zaproszeniu przez Jezusa wybranej, kontrowersyjnej grupy ludzi do pracy nad czynieniem dobra. Jak w Nowym Testamencie ludzie ci nie są bez grzechu, a i proponowane przez Jezusa rozwiązania nie zawsze spotkają się z akceptacją sporej części społeczeństwa katolickiego. Akcja dramatu rozgrywa się w czasie kilku godzin na tytułowych imieninach jednego z bohaterów.

Preludium

Na środku sceny stół przygotowany do imprezy imieninowej. Na nim talerzyki i kieliszki prawdziwe albo tylko „zagrane” gestami aktorów. Dookoła stołu lekkie krzesła, łatwe do wyniesienia. Uwaga: stół w kolejnych scenach, których akcja dzieje się w pracowni Stefana, zamienia się w sztalugę (poprzez na przykład pionowe ustawienie).

STEFAN (*do siebie*): Nie, te talerzyki nie pasują do filiżanek. Tak, koniakówki na barku. Wódeczka w zamrażarce. Kawior czerwony na przemian z czarnym. Tak, to zawsze dobrze wygląda. No, generalnie nie powinno być pudła, na początek szampanik i jajeczka z kawiozem, potem ślimaki, kalmary... Tylko co ja zrobię z tym Wojtkiem? Cholera, on chyba naprawdę umrze za parę miesięcy i ta jego prośba... Co ja z tym zrobię? Co ja z tym zrobię? To, że nigdy nie trzymałem się reguł, to nie znaczy, że można stawiać mnie pod ścianą.

Na poły do widowni

Nie, ja jestem zwykłym podrzędnym malarzem, a nie jakimś tam zbawicielem świata. To, że mam dobre stosunki z Panem Niezawodnym, to nie znaczy... (*zawieszając głos*) A może znaczy?

Przy tych problemach Wojtka – a mówiłem mu, żeby tyle nie pił – kłopoty Anki i Jacka to fraszka, chociaż dla nich to całe życie.

Krzęta się. Długa pauza. Teraz żartobliwie zwracając się do widowni.

Przecież ja już jestem starym emerytem i miałem już tylko odpoczywać i balować. Nie, nie zgadzam się. Swoje problemy rozwiązujcie sami.

Dalej do widowni. Krok do przodu. Krzyczy.

Ja nie mogę wam pomóc!

Narastająca z tła muzyka: coś w stylu „Toccaty i fugi d-moll (BWV 565)” Jana Sebastiana Bacha. Po chwili na pierwszym planie natarczywe, głośne, długie dzwonienie telefonu. Kroki po mieszkaniu.

STEFAN (*gderliwie*): No kto, no kto tak długo się dodzwania? Którego to ze świętych niebiosy zsyłają mi na telefoniczne łącza? (*Nerwowo stuka w ekran telefonu. Do słuchawki ze zniecierpliwieniem*) Słucham, Stefan z tej strony. Proszę mówić!

NIEZAWODNY: Witaj, Stefanie. Mówi Niezawodny, pewno oczekiwałeś na kontakt ze mną?

STEFAN (*zaskoczony, zmienia ton na bardzo przyjazny*): O Jezu, jak się cieszę! (*ma zabrzmieć jak nawykowy, nic niemówiący zwrot*) Od dawna chyba szukałem kontaktu z Panem. Ja, moi znajomi i przyjaciele mamy tak wiele problemów, potrzebujemy pomocy, a przynajmniej rady.

NIEZAWODNY: Hm, myślałem o was i mam pewien plan. Posłuchaj Stefanie, zrobimy tak... (*dalszą rozmowę zagłusza muzyka*)
Światła powoli przygasają, muzyka cichnie w całkowitej ciemności.

Scena I

Zapalone światła. Odbywa się impreza imieninowa. Gwar, dzwonienie do drzwi, toasty, muzyka, brzęk naczyń. Część gości już siedzi przy stole, chór popija na stojąco w tle, potem dosiada się do stołu, gwar rozmów, szcęknięcie rozstawianych talerzy. Dzwonek do drzwi. Charakterystyczne kroki, stuk obcasów butów męskich. Otwiera solenizant.

ANNA: Cześć solenizancie. No, wreszcie udało nam się spotkać. Życzymy ci z Jackiem...
Pamiętasz chyba mojego męża Jacka?

STEFAN: Oczywiście pamiętam. Pójdź w me ramiona, Anno i ogrzej stare kości, a mąż twój niech zazdrosny nie będzie.

ANNA: No, Stefan wszystkiego najlepszego, ale przede wszystkim życzymy, aby omijały cię takie wielkie problemy, jakie są naszym udziałem.

STEFAN: Słyszałem i między innymi stąd moje – i nie tylko moje – zaproszenie.

CHÓR: (*śpiewa*) Nie tylko jego zaproszenie?

JACEK: Może oderwiemy się od myślenia o kłopotach choć na parę godzin.

STEFAN: Może i na dłużej. Siadajcie.

Znowu odgłosy imprezy. Kolejny dzwonek do drzwi. Stefan znów idzie otworzyć.

AGATA: Dobry wieczór. Czy dobrze trafiłam? Do Stefana?

STEFAN: Tak, Agatuś, dobrze trafiłaś.

AGATA: Agatuś? Ja mam na imię Marta. Nikt tak na mnie nie mówił od... To ty tak na mnie mówiłeś na studiach. Pamiętałeś jeszcze?

STEFAN: Ja nigdy inaczej o tobie nie myślałem. Jakaś ty piękna. Wydawało mi się, że nie możesz już być piękniejsza, jak wtedy. Ile to już lat minęło?

CHÓR (*śpiewa*): Jaka ona piękna... chociaż chyba stara. Jaka delikatna.... Chyba niezaradna jak każda artystka. Ona zginie sama. Taka niezaradna jak dziewczynka mała. Ona zginie sama. Nie zostanie sama. Nie zostanie sama?

AGATA: Przestań. Tak długo ludzie nie żyją. No, ale szkoda, że ty masz żonę.

STEFAN: A właśnie. Miałaś przyjechać z mężem, a jesteś sama.

AGATA: Wojtek, mój mąż, dojedzie później.

CHÓR (*śpiewa*): Dojedzie, dojedzie, ale czy dojedzie?

STEFAN: Hm. To wspaniale. Będziesz w tłumie gości, a czasem tylko ze mną. A jesteś pewna, że przyjedzie?

AGATA: Pewno, że przyjedzie, chociaż może wołałabym, żeby nie. Chętnie będę z tobą wśród tych twoich gości. (*śmiech*)

STEFAN: Siądź tutaj, koło mnie, proszę. To miejsce u szczytu stołu jest dla najważniejszego dzisiaj gościa. Pewno przybędzie niebawem.

Gwar gości

STEFAN: Moi drodzy, chciałbym wam przedstawić moją najserdeczniejszą przyjaciółkę ze studiów. Niby przyjechała z mężem, ale dopóki go nie ma, jest tylko moja.

AGATA: No, kim ja jestem, to państwo już wiedzą, a może mnie przedstawiłbyś swoich przyjaciół.

STEFAN: To niech przedstawią się sami.

ANNA: Cześć. Jestem Anna. Jeśli lubisz jabłka, to zapraszam do siebie, mam ich trochę – jakieś 20 hektarów. A to mój mąż Jacek, konserwatysta i karierowicz. (*z pogardą*)

AGATA: Jabłonie są takie piękne wiosną, gdy kwitną. Mam takie zdjęcie pod tymi drzewami przy sztaludze. Moje ulubione.

ANNA: A ja w tym czasie modłę się, aby nie było przymrozków, które zamordują kwiaty i znowu nie będzie na zapłacenie kredytów.

JACEK: Ty się modlisz? Kiedy ty w kościele byłaś?

CHÓR (*śpiewa*): Ona się modli, ona się modli ha, ha, ha, ha.

Gwar toasty, muzyka.

AGATA: A ja całe życie jestem nauczycielką i co z tego, że teraz, na emeryturze, akademicką. Wiecie, przypominają mi się pierwsze lata pracy po studiach. To było w '72 roku. Raz, jedyny raz w całej historii polskiego szkolnictwa od jego zarania do dnia

dzisiejszego, tylko raz dostaliśmy należne nam wynagrodzenie. Później już nikt tak nie zadbał o nauczycieli. Zawód znowu zaczął tracić swoją godność, bo jak można ją mieć, kiedy jest się biedakiem.

ANNA: Pani Agato, wie pani, co mówią rodzice, że pracujecie 18 godzin na tydzień i to marnie. A ile macie wakacji...

JACEK: A to wszystko zagrywka polityczna. Pewno popiera pani liberałów albo lewicę i chcecie zaszkodzić rządowi.

Gwar imprezy, muzyka, potrącane talerze i kieliszki.

AGATA: Ech, chyba się nie rozumiemy.

CHÓR (*śpiewa*): Oni się nie rozumieją.

JACEK (*lekko podпиты głoŝem*): Wypijmy za przyjaźń polsko-węgierską, wszak Polak, Węgier dwa bratanki i do szabli, i do szklanki. I za pedałów z partii mojej żony.

W tle wystąpienia polityków w rozmowach ze związkami.

ANNA: Pani Agato, to trzeba jak my pojechać do Warszawy, zablokować centrum. No, wy – nie wiem czym, ale my skutecznie zrobiliśmy to... jabłkami. (*Porywa ze stołu misę z jabłkami i rozsypuje je po scenie*).

W tle dalsze wystąpienia z telewizji czy radia.

JACEK (*dalej podпиты głoŝem*): No, rząd i partia wszystkiego sama nie załatwi. To wszystko wina... no, sami wiecie kogo. Za poprzedniej władzy tylko karmili społeczeństwo nienawiścią do prawdziwych patriotów. A państwo teraz daje, a wszyscy by tylko brali, a wdzięczności żadnej.

CHÓR (*szeptze coraz głoŝniej aż do krzyku*): Oni karmili, a my nie karmimy. Oni karmili, a my nie karmimy. Oni karmili, a my nie karmimy. Oni karmili, a my nie karmimy.

STEFAN: Czy twoja żona też tak myśli?

JACEK: A skądże, ona jest z tych wywrotowców, entelegentów, wykształciuchów, którym się w dupie przewracało. Tylko jakieś teatry, książki. A pieniędzy z tego nie ma. Gdyby nie to, że dzięki partii zasiadam w paru radach nadzorczych i jestem prezesem w... no, mniejsza z tym, gdzie. No i jakoś mnie o studia nie pytali.

AGATA: Panie Jacku, zakładając, że straci pan opiekuńcze ramię partii, to co pan zrobi?

JACEK: Pani Agatko kochana. Niech pani wypłuje te słowa. Tfu! Tak niestety z paroma nawet nie bardzo przeciwnikami prezes zrobił. Poszli ludzie na zmarnowanie, ale

sami sobie winni. Uważać trzeba, co się mówi. Ja kwalifikacje mam, nie tak jak inni. Ślusarz jestem, w Niemczech albo może i w Belgii pracę znajdę.

AGATA: No, jakże by to było pięknie. Tu zmiana. Mąż za granicą. Ja ze Stefanem.

ANNA: Stefan to chyba ma żonę? Chociaż on mi zawsze wyglądał na bigamistę.

CHÓR (*śpiew, recytatywa*): Bigamista, bigamista. To jest chyba bigamista.

CHÓRZYSTKA 1 (*wstaje*): Byłam jego drugą żoną. (*siada*)

CHÓRZYSTKA 2 (*wstaje*): Byłam jego drugą żoną. (*siada*)

CHÓRZYSTA 1 (*robi krok do przodu*): Byłem jego drugą żoną. (*cofa się*)

CHÓRZYSTKA 3 (*robi krok do przodu*): Byłam jego drugą żoną. (*cofa się*).

CHÓR: Bigamista, bigamista. To jest chyba bigamista.

STEFAN: A to czemuś przeszkadza? To tylko nie pasuje do wzorca TEJ DZIWNEJ ETYKI, która się wzięła nie wiadomo skąd, bo to chyba nie jest boży pomysł.

JACEK: Tu zmiany nie będzie. A ty (*do Anny*) po co się wtrącasz w sprawy małżeństwa?

AGATA: Małżeństwa? Przecież nie sypiam z mężem od początku. On tylko pije i gnije na swojej kanapie przed telewizorem.

ANNA: Ha, ha, ha, ale mi mąż.

Stefan stuka widelcem o kieliszek. Milkną okrzyki. Nastaje cisza.

STEFAN: Ja chciałem wam zaproponować receptę na całe to zło. To takie proste, że aż genialne w swojej prostocie. O, przepraszam państwa ktoś dzwoni.

CHÓR (*zdziwiony*): Receptę na całe zło? Ho, ho, ho. Receptę na całe zło?

W tym momencie dzwonek do drzwi. W pokoju znowu robi się gwarno. Stefan wychodzi otworzyć drzwi.

Scena II

STEFAN (*przy drzwiach wejściowych*): O Jezu. Niezawodny, przyjacielu, jak ty się zmieniłeś.

Gdybym spotkał cię na ulicy, chyba bym nie poznał.

NIEZAWODNY: Lata tam spędzone zmieniają nie tylko z zewnątrz, ale o tym potem. Kopę lat się nie odzywałeś.

STEFAN: No, jakoś nie wyszło, ale jakoś ciągle czułem się tak, jakbyś był niedaleko.

NIEZAWODNY: Nim wejdziesz do środka i przywitam się z gośćmi, powiedz, czy powiedziałeś im, dlaczego ich dzisiaj zaprosiłeś?

STEFAN: Nie, oni ciągle myślą, że przyszli na imieniny. Jest jedna przeszkoda – Agata przyjechała z mężem i myśli, że on do nas dołączy.

NIEZAWODNY: To musisz rozmówić się z Agatą zaraz. On nie będzie chciał popsuć nam szyków, ale kto wie, mógł zmienić decyzję, przecież ma wolną wolę.

STEFAN: Zrobimy tak. Jak cię przedstawię, ty zajmiesz ich jakimiś opowieściami ze swojego świata, a ja wezmę Agatę do innego pokoju i wszystko z nią załatwię.

NIEZAWODNY: No, oni o mnie tak niewiele wiedzą. Czy nie stęsknią się za tobą, solenizancie? (*teraz żartobliwie*) Przecież nie załatwisz tego z Agatą w parę minut. Aż tak zdolny to jednak nie jesteś.

STEFAN: To prawda. Ona się niczego nie spodziewa. Natomiast ty z pewnością dasz sobie radę. Opowiedz im jakąś swoją historię i godzina minie, nim się ktoś spostrzeże. A teraz chodźmy do pokoju, bo słyszę, że się już niecierpliwią.

Wchodzą do pokoju narasta gwar rozmów

STEFAN: Odwiedził nas dzisiaj nadzwyczajny gość, Pan Niezawodny (*oba wyrazy zaakcentowane*). Pewno wszyscy znacie jego legendarną przeszłość, a może i którąś z książek o nim.

CHÓR: Ooooo, Pan Niezawodny nas odwiedził. O ho, ho.

ANNA: Jakoś nie kojarzę.

AGATA: Ja też nie.

JACEK: I ja, chociaż kogoś mi pan przypomina.

ANNA: Super, miło nam. Stefan, miałeś nam przedstawić receptę na całe zło. Zapomniałeś? Wszyscy czekamy.

CHÓR: Wszyscy czekamy.

STEFAN: I będzie wam przedstawiona, (*zawiesza głos na dłuższą chwilę*)... ale musicie uzbroić się jeszcze w cierpliwość. Recepta miała być jako pierwsze danie, a będzie na deser. Będzie lepiej smakowała. Teraz macie mojego przyjaciela – Pana Niezawodnego. Wykorzystajcie to. Taka okazja, by spotkać się z nim twarzą w twarz, zdarza się rzadko. Ja natomiast muszę porwać na chwilę Agatuś. Musicie mi wybaczyć, nie widzieliśmy się tyle lat. Należy się nam jakieś sam na sam. Agatuś, pozwól.

CHÓR: No nie wiem.

Scena III

Agata ze Stefanem pozostawiają rozbawionych przy stole gości (ci usuwają się z krzesłami ze sceny). Światło przygasa, Stefan i Agata „przechodzą” do pracowni. W tym czasie stół zamienia się w sztalugę, na której widzimy niedokończony obraz. Na scenę wjeżdża kanapa.

AGATA: No, pracownię masz imponującą i nieźle malujesz. To twoje? Fajnie, że jestem z tobą sama, ale czy to wypada? Co sobie o nas pomyślą Pan Niezawodny i reszta gości? Wracajmy zaraz.

STEFAN: Agatuś, poczekaj. To nie tylko jest to, co sobie myślisz. Tak. Bardzo chciałem być z tobą sam na sam, ale to nie wszystko. Wiesz, nim zaprosiłem cię na dzisiejszy wieczór... Hm. Przyrzeknij, że nie pogniewasz się na mnie zaraz po moich pierwszych słowach. Wysłuchaj najpierw, potem dopiero oceń.

AGATA: Mówisz tak jakoś tajemniczo, ale to nie szkodzi. Nie potrafię się na ciebie gniewać, a nawet udawać że... Nie jeszcze nie teraz, a może właśnie teraz. Pamiętasz, jak kiedyś, wieki temu, leżeliśmy na łące i ja ci opowiadałam o jakichś wyspanych z palca wystawach, przyjaciółach, a myślałam tylko o jednym, żebyś mnie pocałował. A potem, żeby było jeszcze gorzej powiedziałam, że wyjdę za Marka – idiotka. Zrobiłam to... Bo... Och, jaka byłam głupia!

STEFAN: Nie tylko ty, Agatuś. No i faktycznie wyszłaś za Marka, a po jego śmierci po paru latach za Wojtkę. Nie wiem, czy to wiesz, że on, aby się rozwieść, zrobił kosmiczną awanturę i faktycznie wymusił potem swoim pijaństwem to, że odeszła jego żona. Tylko dlatego, że nie potrafił jej powiedzieć, że kocha ciebie.

AGATA: Ja to wszystko wiem. Niestety, ta miłość Wojtkę zawsze była toksyczna i taka pozostała.

STEFAN: Skończmy z tym. Powiem ci teraz coś, co jeszcze jakiś krótki czas musi być tajemnicą. Dlatego, pozwól, włączę muzykę, a szeptać ci będę wprost do ucha. *Narastająca w swojej głośności „Je t’aime”.*

STEFAN: Możesz sięść mi na kolanach. Będzie mi wygodniej szeptać, a tobie słuchać.

CHÓR: Co on jej szepcze, co opowiada. Co opowiada, kiedy jej szepcze?

To jest możliwe, by z nim została; on jej powiedział, a ona chciała.

Ale co ludzie o tym powiedzą. Tym się nie przejmuj, bo święci wiedzą.
 Sam Pan ten pomysł mu podpowiedział, mu podpowiedział, mu podpowiedział.
 Tak żyli dawniej wasi przodkowie – dwie żony mieli o każdej dobie. O każdej dobie?
 Mąż ją zostawi, mąż ją zostawi, mąż ją zostawi, a nowy związek Pan błogosławi, Pan błogosławi.
Narastająca dość długo muzyka.

AGATA: Ależ to jest fantastyczne, ale czy możliwe? I Pan Niezawodny to akceptuje?

STEFAN: Przekonasz się, że tak. A teraz wracajmy do gości.

AGATA: Poczekaj jeszcze chwilę. O czymś zapomniałeś.

Słysząc odgłosy pocałunków, przyspieszone oddechy i końcową część utworu „Je t’aime”.

STEFAN: Agatuś, ja nie wiedziałem, że ty też przez tyle lat tęskniłaś do tej chwili.

Gasną wszystkie światła. Z oddali słychać odgłosy toczącej się zabawy, z bliska oddechy Agaty i Stefana.

AGATA: Nie gadaj tyle.

Muzyka.

STEFAN: Zapalimy jeszcze, czy już wracamy?

AGATA: Wracamy.

Scena IV

Narastający, coraz bliższy gwar imieninowej imprezy. Sztaluga znowu staje się sto-łem. Goście siadają na przyniesionych ze sobą krzesłach.

ANNA: Agatko, guziczek u bluzeczki ci się odpiął. O, o, o, ten trzeci od dołu.

CHÓR: Guziczek ci się odpiął.

AGATA: Dziękuję. Zaraz zapnę.

Gwar imprezy. Zamrugało światło i po chwili zgasło w całym mieście (wszystkie światła na sali łącznie z widownią, lampkami awaryjnymi etc. na 2–3 sekundy).

ANNA: Stefan, co ty masz z tym światłem, że ono tak mruga.

JACEK: Pewno jakieś zwarcie w instalacji. Zaraz padnie jakiś bezpiecznik.

ANNA: Wykrakałeś, już padł. Stefan, czy to jakiś dowcip?

STEFAN: Nie, ale na przyszłość podobny wymyślę.

JACEK: Masz jakąś latarkę albo chociaż świeczki? Sprawdzę bezpieczniki.

NIEZAWODNY: Bezpieczniki są w porządku. Prądu nie ma w całym mieście. Popatrzcie przez okno.

ANNA: Faktycznie, wszędzie ciemno. To jakaś większa awaria. Stefan, masz te świeczki?
Rumor przesuwanych krzesel, potrącanych mebli, szuranie, skrzyp otwieranych szuflad czy szafek.

JACEK: Stefan, poświęć sobie komórkę. Cholera. Komórki też nie działają. Co jest grane. Ale czarno.

ANNA: Patrzę przez okno. To jest coś dziwnego. Samochody jadą bardzo wolno, mają strasznie słabe światła, jakby im zaraz miały paść akumulatory.

NIEZAWODNY: Proszę, nie denerwujcie się. Ja wiem, co się stało, zaraz wam to wyjaśnię. Poczekajmy tylko chwilę, aż Stefan wróci ze świeczkami.

STEFAN: Znalazłem paczkę zniczy niewykorzystanych od Wszystkich Świętych, będzie ich ze dwadzieścia, jak wszystkie zapalimy, to zrobi się nastrój.

Zapalają znicze i ustawiają na stole i scenie. Muzyka kościelna. Dialogi na jej tle.

ANNA: Jak na cmentarzu.

JACEK: Albo w kościele.

STEFAN: Może trochę tak, ale dajmy sobie szansę usłyszeć, co się stało.

CHÓR: Dajmy sobie szansę.

AGATA: Tak, tak.

JACEK: No.

ANNA: Owszem.

NIEZAWODNY (zmienionym głosem): Nim wam powiem, co się stało, odpowiedzcie sobie sami: Co dzisiaj na tych imieninach chcieliście powiedzieć swoim znajomym. Na razie nie mówcie tego głośno. JA WIEM!... Stefan, ty państwu chciałeś chyba podać jakąś receptę. Może będzie akurat przydatna.

ANNA: Jest półmrok, nic nie gra. Dawaj Stefan. Może faktycznie masz coś dla nas.
Muzyka cichnie.

STEFAN: Właściwie to nie bezpośrednio ja mam dla was propozycję

NIEZAWODNY: Dzisiaj jest trudno podjąć właściwą decyzję. Bądźcie czujni, wszak wszędzie czyha...

CHÓR: Coooo? Zło?

AGATA (*przerywa Niezawodnemu*): O, światła jeszcze nie ma, ale chyba wracają do życia nasze komórki. Chyba mam SMS od męża.

NIEZAWODNY: To tylko na moment i tylko dla ciebie ta łączność. Zaraz zaniknie. Powiem również, dlaczego was Stefan zaprosił. Właśnie was.

JACEK: E, proszę... Wykorzystuje pan to, że zgaśło światło, aby nas straszyć, ale my nie jesteśmy dziećmi. Fajna zabawa, ale może to ktoś potraktować poważnie.

NIEZAWODNY: A jednak, panie Jacku, czy nie zwrócił się pan jakiś czas temu z pytaniem do naszego gospodarza: Czy nie ma na Zachodzie jakiś układów, dzięki którym można by zatrudnić ślusarza. Ja wiem, że politykiem jest pan marnym, ale za to ślusarzem doskonałym.

JACEK: To, że jestem dobrym ślusarzem wszyscy wiedzą, a w polityce się wyrobie.

NIEZAWODNY: No chyba, że...

JACEK (*też przerywa Niezawodnemu*): Co wy żeście się uparli, żeby tu dzisiaj tak krakać. Jak nie jedno, to drugie.

NIEZAWODNY: A więc jednak obawia się pan o humory swojego prezesa. On nie takich jak pan złożył w ofierze na ołtarzu swoich interesów. A jak się pan goli, to nie pluje pan na lustro?

JACEK: Panie, czemu żeś tak się na mnie uwziął? Co ja złego zrobiłem? Kim jesteś? Ten głos...

NIEZAWODNY (*zmienionym głosem, pogłos*): Jacku, przybyłem, aby ci pomóc. Zresztą nie tylko tobie. (*normalnym głosem kontynuuje*) Proponuję ci pracę, o jakiej marzyłeś. Pomyśl o tym i o lustrze rano.

CHÓR: Kogo widzisz w lustrze rano? W lustrze rano kogo widzisz. To ty?

ANNA: Ja nie chcę zostać w tym ciemnogrodzie. Jeżeli coś się tu zmieni, to ok, ale jeżeli nie... To może jest rozwiązanie, żeby Jacek pracował za granicą, a nie szmacił się tutaj za pieniądze.

JACEK: Zaraz szmacił. Polityka nie zawsze jest czysta.

STEFAN: Ok. Jacku, znamy się już dawno i wiemy, że w środku jesteś porządnym człowiekiem, ale wybaczone, to, co robi z tobą partia... Wiem, że się nawet sam przed sobą nie przyznasz, ale wierz mi, manipulują tobą, indoktrynują cię.

NIEZAWODNY: Napijmy się. Przyniosłem taki specjalny napój. Ciekawe, czy poznacie jego smak?

AGATA: Chętnie coś wypiję. Bez tego światła to jakoś straszno. Jeszcze tylko potrzeba, aby tu coś wyło po kątach i dzwoniło łańcuchami. Proszę, niech pan leje.

Plusk nalewanego płynu do kieliszków.

ANNA: No nie, niech pan nie żartuje. To nie może być... Co to jest?

NIEZAWODNY: To kiedyś było białe wino.

CHÓR: Białe wino? Ach, to było białe wino.

JACEK: Ale to nie jest białe... I ten słonawy smak, i ta gęstość. Nie, to niemożliwe. Przecież pan nie może być...

NIEZAWODNY: Pst. Nie mówmy już o tym, pijcie, albowiem...

Zaczęła grać muzyka.

AGATA: O, rozbłysło światło. Stefan, czy mogę prosić cię jeszcze na słówko. Tym razem nie porwę go państwu na tak długo jak poprzednio. Tylko na dwa słowa.

ANNA: Idźcie, idźcie. Ale was przyparło, robaczki. I to w tym wieku. No, no, a ja myślałam, że na to jesteście po prostu za starzy.

CHÓR: Oni nie są starzy, tylko mają sporo lat.

Scena V

Stefan i Agata znowu zmierzają do pracowni, szuranie przestawianych sprzętów

AGATA: Ale ta Anka jest niemile bezpośrednia. Za starzy, też coś. Skąd ona może wie-
dzieć, ile ja mam lat.

STEFAN: Pewno nie z wyglądu, tylko z tego, że jesteś moją koleżanką ze studiów. Zresztą, czy to dla nas ważne?

AGATA: To dziwne, ale właśnie nie. Przy tobie poczułam się jak nastolatka. Jakby te wszystkie lata nie miały miejsca. Jakbyśmy rozstali się raptem przed tygodniem. Cieszyłam się na przyjazd do ciebie, ale nawet nie wyobrażałam sobie w najszybszych marzeniach tego, co mnie tu spotkało.

STEFAN: Tego, co cię jeszcze spotka. To dopiero początek.

AGATA: Tak, masz rację. Nie powiedziałam ci jeszcze, co napisał mi Wojtek w SMSie.

STEFAN (*jednoznacznie dobierając się do Agaty*): Nie mów mi na razie. Mogę?

AGATA: Ależ Stefan. Ach. Tak. Tak.

Muzyka „*Je t'aime*”.

STEFAN: Kochanie, chyba wiem, co napisał ci Wojtek, ale powiedz.

AGATA: Nie możesz tego wiedzieć. Ja w najbardziej szalonych snach nie spodziewałam się takiej wiadomości, więc skąd ty możesz wiedzieć, co Wojtek napisał do mnie?

STEFAN: A może twój mąż uzgodnił coś ze mną? A może, jak byłaś jeszcze żoną Marka, rozmawiał ze mną nie raz i nie dwa o swojej platonicznej, przeogromnej miłości do ciebie. Może dlatego zaczął pić, a potem, nawet po waszym ślubie, już nie potrafił przerwać.

AGATA: Mówisz o tym wszystkim tak spokojnie, a jednocześnie mnie podniecasz. Jak tak możesz?

STEFAN: No to co napisał ci Wojciech?

AGATA: Napisał mi, że będzie przebywał w portugalskim hospicjum, że nie przyjedzie dzisiaj po mnie i że to był tylko taki wybieg, abym pojechała do ciebie i że ty zaopiekujesz się mną. ...Jak chwilę pomyślałam, to to przecież ma sens, ale ty masz żonę.

STEFAN: Wojtek przez całe wasze małżeństwo był rozdarty wewnętrznie. Z jednej strony zmaterializował swoje największe marzenie w życiu. Został twoim mężem. Dziesiątki lat platonicznej miłości nie zamieniło się w gorący dotyk. Nie potrafił cię zaspokoić. Nie chcę wnikać dlaczego, ale seks nie był mocną stroną waszego związku. Tak, mam żonę. Ciągłe tę samą, od ślubu, na którym byłaś naszym świadkiem. Ona wie o wszystkim, a Bóg lubi liczbę trzy.

AGATA: Proszę, przestań mnie przez chwilę podniecać. Nie mogę się skupić, a przecież omawiamy całe moje – nasze życie. Proszę.

STEFAN (*ze śmiechem*): Nie? Postaraj się mieć dzielną uwagę, bo się poskarżę Panu Niezawodnemu.

AGATA (*błagalnie*): Proszę.

STEFAN (*poważnie*): Dla Wojtka to nie była łatwa decyzja. On postanowił opuścić cię na zawsze. Starał się to odwlekać w nieskończoność, ale choroba przyspieszyła jego decyzję. Zaproponowałam mu, że zaopiekuję się tobą. Jedno, czego mu nie powiedziałem, to jaka chemia nas łączy, zresztą nie wiedziałem czy ty też...

AGATA: Ach, ach... Jesteś okropny! ALE... No dzięki... JA, AGATA MARTA... serdeczne dzięki SKŁADAM.

Scena VI

Pokój, w którym odbywa się impreza. Gwar. Goście są teraz inaczej usadzeni. Na środku Niezawodny, reszta po bokach jak na obrazie „Ostatnia Wieczerza”.

ANNA: No nie, wy jesteście gorsi od nastolatków. Może od razu nas wywalcie, jak was aż tak przyparło.

STEFAN *(ze śmiechem, ale zaraz poważniejąc)*: Nie gniewajcie się na nas. Nie widzieliśmy się bardzo długo, a ponadto naprawdę musieliśmy porozmawiać o bardzo ważnych dla nas sprawach. Za chwilę dosłownie przekonacie się, że to nie do końca jest tak, jak to teraz postrzegacie. Dzisiaj zaprosiłem was nie tylko towarzysko. Aniu, a co będzie jeżeli opozycja przegra wybory?

ANNA: Nie zniosę tej beznadziei.

NIEZAWODNY: Ja przygotowałem propozycję dla każdego z Was i to jest propozycja nie z tej ziemi. Zapraszam.

CHÓR: Nie z tej ziemi. A to ciekawe

JACEK *(wytrzeźwiawszy)*: No dobrze, a co ja miałbym u ciebie, Panie Niezawodny, robić? Nie wiem, czy potrafię?

NIEZAWODNY: Potrafisz, Jacku. Do tej pory robiłeś różne rzeczy. Teraz będziesz robił tylko jedno – dobro. Dasz sobie radę i sprawi ci to przyjemność.

JACEK: Jak jeszcze pracowałem jako ślusarz, to ciągle musiałem robić coś innego. Jeżeli mam robić tylko jedno – dobro, to z pewnością dam radę.

CHÓR: Będzie robił tylko jedno.

ANNA: Im więcej piję tego pańskiego trunku, tym bardziej jasno widzę swoją przyszłość. Dziwne, nie czuję w nim wcale alkoholu, tylko ten dziwny słodko-słony smak jak... Ale, ale, a mnie gdzie chcesz zatrudnić, Panie?

NIEZAWODNY: Hodowałaś kwiaty, warzywa, owoce, teraz będziesz hodowała tylko jedno – dobro. Ta hodowla będzie bardziej emocjonująca niż wszystkie dotychczasowe razem wzięte.

ANNA: To jakaś monokultura rolna? Hodować tylko jedno dobro? Ciekawe.

CHÓR *(z niedowierzaniem)*: Będzie robiła tylko jedno?

NIEZAWODNY: To co, wypijemy za nową pracę? Anno, Jacku? *(wznosi kielich i trzyma go chwilę ponad głową)*

JACEK: Chyba w głębi serca oczekiwałem na twoją propozycję. Opijmy to. Nie, to niemożliwe. Ta decyzja była taka łatwa?

CHÓR: Była łatwa?

ANNA: Z przyjemnością z tobą piję, Panie Niezawodny. Pierwszy raz od dłuższego czasu zgadzam się z moim mężem. Ta decyzja była łatwa.

CHÓR: Była łatwa?

NIEZAWODNY: Tobie, Agato, nalałem jeszcze nim wysłicie ze Stefanem, ale obojgu wam się tak spieszyło, że nawet nie zamoczyliście ust.

STEFAN: A ja nie wiedziałem, czy jestem godny. Teraz już wiem. Napijmy się, Agatuś.

AGATA: Ale na spółkę. Wypijmy to z jednego kielicha.

STEFAN: Dobrze, skoro tak chcesz.

NIEZAWODNY: Agata wie, co mówi. Widocznie tak było pisane. Czy wy też zafunkcjonujecie w mojej firmie? To pytanie skierowane jest bardziej do ciebie Agato, bo decyzję Stefana znam, a z jego żoną rozmawiałem kilka dni temu.

AGATA: Nie znam decyzji Stefana, ale coś czuję, że on spiskował nie tylko z Wojciechem, ale również z Panem. Dzisiaj całkowicie zaufałam Stefanowi, ale widzę, że jeszcze bardziej muszę zaufać Panu, Panie Niezawodny.

STEFAN: A może zwrot „Chcę zaufać Panu” byłby tutaj bardziej na miejscu.

CHÓR: Ona chce zaufać Panu? Ona chce zaufać Panu? Ona chce zaufać Panu!

AGATA: Oj, Stefan. Dzisiaj już tyle razy okazało się, że coś postanawiałeś za moimi plecami, że staram się być ostrożna, ale czuję całą sobą, że masz rację. Tak, chcę zaufać Panu i pracować dla niego.

NIEZAWODNY: Pijecie?

STEFAN: Agatuś, zaczynaj, pół kielicha jest twoje.

AGATA: Mój Stefanie. Teraz ty.

NIEZAWODNY: Bierzcie i pijcie. To czyńcie na moją pamiątkę. To jest bowiem kielich krwi mojej.

„Toccata” Bacha

CHÓR: Panie nasz niezawodny. Czy my też możemy robić tylko jedno – DOBRO? My też możemy robić tylko jedno – DOBRO. WY TEŻ MOŻECIE ROBIĆ TYLKO – DOBRO. To nie jest takie trudne. To nie jest wcale trudne.

Koniec

Aneta Wygonna

Szczęście w nieszczęściu

Osoby:

MONIKA – 27 lat

PIELĘGNIARKA

LEKARZ – psychiatra ze szpitala

PSYCHOLOG – 40 lat

MATKA MONIKI – 47 lat

PANI PSYCHOLOG – 36 lat

PACJENT I

PACJENT II

Scena I

CZAS I MIEJSCE AKCJI: Szpital psychiatryczny. Sala, w której znajduje się główna bohaterka – Monika. Za oknem słyszać śpiew ptaków. Monika budzi się z głębokiego snu, nie jest świadoma tego, co się stało.

WYSTĘPUJĄ: Monika (główna bohaterka), pielęgniarka, lekarz, psycholog, matka Moniki.

Monika budzi się ze snu. Do pokoju wchodzi pielęgniarka.

PIELĘGNIARKA: Dzień dobry. Widzę, że już się pani obudziła. Jak się pani czuje?

MONIKA: Naprawdę nic nie pamiętam. Gdzie ja jestem? Co się ze mną stało? Dlaczego tu jestem?

PIELĘGNIARKA: Jest pani w szpitalu psychiatrycznym. Przyszłam tylko podać pani leki i zmierzyć ciśnienie. Proszę podać mi rękę, teraz to zrobię.

MONIKA (mówi podniesionym głosem): Jak to? Jestem w „wariatkowie”?!

PIELĘGNIARKA: Przywieźli panią do nas po płukaniu żołądka. Zażyła pani sporą garść leków przeciwbólowych. Proszę podać rękę, zmierzę pani ciśnienie.

Monika, będąc jeszcze w szoku, niechętnie podaje pielęgniarce rękę. Pielęgniarka mierzy ciśnienie.

PIEŁĘGNIARKA: Nie jest tak źle, choć mogłoby być lepiej. Zostawię pani tabletki. Proszę wziąć je po śniadaniu i popić wodą.

Pielęgniarka wychodzi z sali. Po 5 minutach przynoszą śniadanie. Monika nie ma wielkiego apetytu, ale stara się zjeść cokolwiek. Do pokoju wchodzi lekarz psychiatra.

LEKARZ: Dzień dobry. Jak się pani czuje? Temperatura i ciśnienie w porządku, choć to drugie mogłoby być nieco lepsze.

MONIKA: Nie wiem, jak się czuję. Nic nie pamiętam. Może mi to pan wyjaśnić?

LEKARZ: Hmm... Nic pani nie pamięta?

MONIKA: Tak, nic nie pamiętam, nie wiem, jak się tu znalazłam.

LEKARZ: Może tak być. Myślę, że może mieć pani amnezję i wstrząśnienie mózgu. Zrobimy jutro pani rezonans magnetyczny głowy.

MONIKA: Miałam wstrząśnienie mózgu? Amnezję? Rezonans?

LEKARZ: Mogła pani stracić częściowo pamięć, bo uderzyła się pani w głowę przy utracie przytomności. Tak mi powiedziała pani matka. Rezonans wszystko wykaże. Na razie to tylko przypuszczenia. Tylko proszę nic nie jeść, ani nie pić do 8 godzin przed badaniem.

MONIKA: O której będę miała jutro badanie?

LEKARZ: Około 8:30. Proszę się nie bać. Pielęgniarka da pani zaraz środki uspokajające, by jutro była pani spokojniejsza.

MONIKA: Dobrze, skoro tak musi być.

LEKARZ: Zadzwoń do pani matki, by jutro przyjechała.

MONIKA: Dziękuję, bo ja chyba zgubiłam gdzieś telefon. Nie wiem, co się z nim stało.

Lekarz zwraca się do pielęgniarce, by dała Monice środki uspokajające. Wychodzi z jej pokoju. Idzie do swojego gabinetu, skąd dzwoni do matki pacjentki. Po korytarzu kręcą się różni pacjenci. W tym czasie do Moniki przychodzi psycholog.

PSYCHOLOG: Dzień dobry. Jak się pani dziś czuje?

MONIKA (*mówi zdenerwowaną*): Każdy mnie o to dziś pyta! Mam już dość tego pytania. Co mam powiedzieć? Straciłam pamięć, nie wiem, dlaczego tu jestem. Nie rozumiem i nie wiem, co się ze mną dzieje. Jak pan myśli, jak mogę się czuć?

PSYCHOLOG: Spokojnie. Tak jest na początku. Szok mógł to w pani wywołać. Za kilka dni powinna zacząć wracać pamięć. Lekarze pani pomogą.

MONIKA: Po co pan tu przyszedł?

PSYCHOLOG: Jestem psychologiem. Taka jest moja praca. Chcę z panią porozmawiać.

MONIKA: Ale ja nie chcę!

PSYCHOLOG: Dlaczego?

MONIKA: Bo nie!

PSYCHOLOG: Nie, bo...?

MONIKA: Nie, bo nie!

PSYCHOLOG: Zawsze pani mówi nie?

MONIKA: Nie.

PSYCHOLOG: Widzę, że pani nie w humorze. Przyjdę do pani innym razem.

MONIKA: Najlepiej wcale niech pan nie przychodzi. A teraz do widzenia panu, ja idę spać.

Psycholog wychodzi z pokoju. Monika zasypia, jest w głębokim śnie. W tym czasie lekarz rozmawia telefonicznie z jej matką.

LEKARZ: Dzień dobry. Dzwonię ze szpitala psychiatrycznego, w którym jest pani córka.

MATKA MONIKI: Halo, dzień dobry. Coś się stało?

LEKARZ: Jutro pani córka będzie miała rezonans magnetyczny głowy. Chcemy sprawdzić, czy nie ma guzów, krwiaków.

MATKA MONIKI: Co to oznacza?

LEKARZ: Prawdopodobnie może mieć wstrząśnienie mózgu. Niewiele pamięta z tego, co się stało. Czy może pani do nas jutro przyjechać?

MATKA MONIKI: Tak, oczywiście, że przyjadę.

LEKARZ: Dziękuję, w takim razie do zobaczenia.

MATKA MONIKI: Do zobaczenia.

Scena II

CZAS I MIEJSCE AKCJI: Szpital psychiatryczny, gabinet lekarski.

WYSTĘPUJĄ: Lekarz, matka Moniki, pacjent I, pacjent II.

Następnego dnia rano matka Moniki jest w szpitalu. Po badaniu czeka na korytarzu przy gabinecie lekarskim. Słyszczyć rozmowy pacjentów.

PACJENT I: Zgubił mi się... Zgubił mi się...

PACJENT II: On zgubił misie... Zgubił misie...

PACJENT I: Nie! Zgubił mi się...

PACJENT II: Zgubił misie... Zgubił misie...

PACJENT I: Nie! Zgubił mi się telefon! Telefon mi się zgubił...

PACJENT II: Telefon mu się zgubił... Zgubił mu się telefon...

PACJENT I: On chyba nie wie, co mówi.

Lekarz uspakaja pacjentów na korytarzu. Zauważa matkę Moniki i zaprasza ją do swojego gabinetu.

LEKARZ: Przepraszam panią. Mamy tu trochę zamieszania, sama pani widzi. Proszę wejść.

MATKA MONIKI: Dobrze.

LEKARZ: Proszę usiąść.

MATKA MONIKI: Czy coś wiadomo? Jak wyszło badanie?

LEKARZ: Opis rezonansu będziemy mieć jutro. Byłem przy badaniu z radiologiem, który je robił...

MATKA MONIKI: Czy coś wyszło? Są jakieś guzy, krwiaki?

LEKARZ: Spokojnie. Jest pani bardzo zniecierpliwiona.

MATKA MONIKI: Tak, to dla mnie stresująca sytuacja. Sam widok Moniki wjeżdżającej do tego tunelu sprawił, że dla mnie samej to było okropne doświadczenie.

LEKARZ: Rozumiem, że pani nigdy nie miała takiego badania?

MATKA MONIKI: Owszem, nie miałam. Co z Moniką?

Rozmowę przerywają krzyki pacjentów.

PACJENT I: Ludzie, Bóg mnie posłał!

PACJENT II: Wcale nie! Nikogo nie posyłałem!

PACJENT I: Jestem wybrańcem Boga!

PACJENT II: Nie słuchajcie go, ja go nie wybierałem!

PACJENT I: Ale to nie ty jesteś wybrańcem Boga!

PACJENT II: Wcale nie! Jestem!

PACJENT I: To ja nim jestem!

PACJENT II: Jestem Bogiem, uświadom to sobie, sobie...

PACJENT I: To ja jestem Bogiem, to ty uświadom to sobie, sobie...

PACJENT II: Ja to ja, ty to ty. Kto jest głupi ja czy ty?

PACJENT I: Ja jestem wybrańcem Boga! A ty to głupi jesteś i głupi zostaniesz.

PACJENT II: Sam jesteś głupi. Z drzewa się urwałeś!

PACJENT I: Przecież sam z niego spadłeś!

LEKARZ: Uspokójcie się! Zaraz do was przyjdę! Przepraszam panią, ale muszę na chwilę wyjść. Niech pani poczeka na mnie na korytarzu. Muszę zamknąć gabinet.

MATKA MONIKI: Dobrze. Poczekam.

LEKARZ: Za chwilę przyjdę.

Lekarz wychodzi na krótko, by uspokoić pacjentów i poprosić pielęgniarkę, by się nimi zajęła.

LEKARZ: Przepraszam, ale czasem tak się dzieje. Już jestem.

MATKA MONIKI: Rozumiem. Co z moją córką? Coś wykazało badanie?

LEKARZ: Radiolog w trakcie badania nie widział nic niepokojącego, ale wszystko okaże się po opisie badania.

MATKA MONIKI: Uff... Dzięki Bogu! To skąd ten zanik pamięci? To coś poważnego, panie doktorze?

LEKARZ: Tak jak podejrzewałem, jest to amnezja.

MATKA MONIKI: Amnezja? Na czym to polega?

LEKARZ: Wynika ona z silnych, traumatycznych przeżyć i zaburzeń na tle nerwicowym.

MATKA MONIKI: Może pan jaśniej to opisać?

LEKARZ: Monika trafiła do nas po próbie samobójczej, a my nie wiemy, jaki był powód tej próby. Wydarzenia, które do tego doprowadziły, sprawiły, że Monika ma częściową amnezję.

MATKA MONIKI: To straszne... Amnezję? Da się coś z tym zrobić?

LEKARZ: Powinna ustąpić samoistnie. Na początek zastosujemy leczenie farmakologiczne. Na pewno będzie potrzebna psychoterapia.

MATKA MONIKI: Rozumiem. Dobrze, że da się to leczyć. Muszę już wracać do domu. Do widzenia.

LEKARZ: Proszę być dobrej myśli. Do widzenia.

Scena III

CZAS I MIEJSCE AKCJI: Szpital psychiatryczny, pokój Moniki.

WYSTĘPUJĄ: Monika, lekarz, matka Moniki, pani psycholog.

Trzy dni później. Monika już od jakiegoś czasu leży na łóżku wpatrzona w okno, nieco zdezorientowana po śnie, z którego obudziła się spocona. Lekarz wchodzi do sali. Cicho puka do drzwi, później nieco głośniejsze. Monika cały czas jest wpatrzona w jeden punkt, w stronę okna.

MONIKA: Proszę wejść, już nie śpię.

LEKARZ: Pani Moniko, przyszła pani mama. Jak się pani czuje?

MONIKA: Dobrze, niech wejdzie.

LEKARZ: Wygląda pani na zdezorientowaną i wystraszoną. Jest pani spocona. Żle pani spała?

MONIKA: Tak właściwie... To tak. Miałam lęki i koszmary.

LEKARZ: To wiele wyjaśnia. Poproszę pielęgniarkę, by zwiększyła pani dawkę leku na uspokojenie i lepszy sen.

Lekarz wychodzi. Do pokoju wchodzi matka Moniki.

MATKA MONIKI: Monisiu, jak dobrze, że już wstałaś.

MONIKA: Nie mów tak do mnie! Nie lubię, jak tak do mnie mówisz. Przecież wiesz, że już dawno jestem dorosła. Nie traktuj mnie jak dziecka!

MATKA MONIKI: Dobrze, spokojnie. Już nie będę się tak do ciebie zwracać. Bardzo się o ciebie martwiłam. Tak bardzo się bałam, że cię stracę. Przyniosłam ci nowy telefon z nowym numerem. Wpisałam już do niego kontakty.

MONIKA: Dziękuję. A tak właściwie... To co się stało z moim telefonem? Niewiele pamiętam.

MATKA MONIKI: Był cały roztrzaskany w Twoim pokoju. Każda część leżała w innym miejscu. Nie dało się tego naprawić.

Matka bierze Monikę za rękę, ociera twarz.

MONIKA: Nie pamiętam, co się z nim stało, że się roztrzaskał.

MATKA MONIKI: Jakoś dziwnie wyglądasz. Jesteś mokra, zlana potem. Coś się stało? Żle spałaś?

MONIKA: Lekarz mnie już o to pytał. Miałam straszny koszmar. Już nie wiem, czy to był sen, czy jawa. Coś jak déjà vu... A może zwariowałam, skoro jestem w szpitalu psychiatrycznym?

MATKA MONIKI: Nie zwariowałaś. Miałas próbę samobójczą po przedawkowaniu leków. W innym szpitalu zrobili ci płukanie żołądka i później przewieźli tutaj. Może mi opowiesz o tym śnie?

MONIKA: Miałam próbę samobójczą? Przedawkowałam leki? Nic nie pamiętam. Może coś sobie przypomnę... Nie chcę na razie mówić o tym koszmarze sennym.

MATKA MONIKI: To może później mi o tym opowiesz?

MONIKA: Nie.

MATKA MONIKI: A pani psycholog, co do ciebie przychodzi? Może jej opowiesz?

MONIKA: Może powiem, a może nie. Powoli zaczynam się przed nią otwierać. Jest bardzo miła. A co z tym telefonem, który masz dla mnie?

MATKA MONIKI: O, widzisz! Całkiem o nim zapomniałam. Już wyjmuję. Dobrze, że się otwierasz przed panią psycholog. Na pewno ci pomoże.

Wyjmuje telefon i daje kładzie go na szafce. Jest to nowy smartphone z bardzo dobrym aparatem do zdjęć. Monika odwraca się od okna w stronę matki.

MONIKA: Super. A co u taty?

MATKA MONIKI: Wiesz, jak to w pracy. Martwi się o ciebie, ale nie chciał tu ze mną przyjechać. Ma traumę po wizycie u kolegi, który tu kiedyś był.

MONIKA: Rozumiem. Dałaś mu mój nowy numer? Może do mnie zadzwoni?

MATKA MONIKI: Tak, oczywiście. Na pewno do ciebie zadzwoni. Wiesz... zanim tu trafiłaś, zaczął modlić się za ciebie, byś przeżyła. Zaczął chodzić do kościoła, prosił innych o modlitwę w twojej intencji.

MONIKA: Naprawdę? Co mu odbiło? Może teraz świętym zostanie?

MATKA MONIKI: Nie mów tak, Monisiu. Zmienił się bardzo. Nawet przestał pić.

MONIKA: I wierzysz w tak nagłą przemianę taty? Nie będzie już pił? Nie będzie robił awantur?

MATKA MONIKI: Na razie go obserwuję. Tak naprawdę nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Zobaczymy.

Monika zaczyna być bardzo senna.

MATKA MONIKI: Pójdę już, bo widzę, że chce ci się spać.

Matka czule całuje córkę w czoło. Wychodzi z pokoju. Idzie jeszcze na chwilę do lekarza. Monika zasypia. Kiedy śpi, znów ma podobny do poprzedniego koszmar i budzi się przestraszona, jej serce bije częściej i mocniej. W tym czasie przychodzi do niej pani psycholog.

PANI PSYCHOLOG: Dzień dobry, Moniko. Coś się stało? Wyglądasz na niewyspaną...

MONIKA: Dzień dobry pani.

PANI PSYCHOLOG: Dobrze spałaś?

MONIKA: Hmm... Tak właściwie... to nie.

PANI PSYCHOLOG: Dlaczego?

MONIKA: Wybudziłam się już kilka raz wystraszona, pełna lęku.

PANI PSYCHOLOG: Czyms było to spowodowane? Możesz opowiedzieć?

MONIKA: Dobrze, opowiem. Choć jest to dla mnie ciężkie, gdy o tym pomyślę.

PANI PSYCHOLOG: Spokojnie.

MONIKA: Już któryś raz z rzędu miałam straszny koszmar, jakby to był sen na jawie.

To były urywki jak z mojego życia, jakbym już kiedyś tego doświadczyła, takie déjà vu. Sama nie wiem...

PANI PSYCHOLOG: To ciekawe. Opowiedz po kolei, ile pamiętasz.

MONIKA: A więc... Śniło mi się, że byłam gdzieś w romantycznym miejscu. Później w tym śnie jechałam gdzieś z jakimś chłopakiem. Miałam do niego zaufanie, bo już go znałam jakiś czas. Był ode mnie starszy.

PANI PSYCHOLOG: I co dalej?

MONIKA: W tym śnie ten chłopak miał mnie zawieźć do domu. Jechał jakiś czas dobrą drogą, a po chwili nagle zmienił trasę. W tym śnie czułam duży niepokój.

Monika spogląda na nią, czy jej słucha.

PANI PSYCHOLOG: Słucham twojej opowieści cały czas. Proszę, opowiedz mi do końca swój sen.

MONIKA: Dobrze, bo miałam wrażenie, że pani zasypia. Wszyscy przy mnie zasypiają. Nie wiem, dlaczego.

PANI PSYCHOLOG: Tak się czasem dzieje. Może kiedyś Ci powiem. Proszę, opowiedz dalej swój sen.

MONIKA: A więc... Śniło mi się później, że ten chłopak zawiózł mnie gdzieś pod las, gdzie już nie było domków. Zaczął zbliżać się do mnie. Całował mnie... Ja w tym śnie próbowałam się wyrwać. On mi mówił, że nie robi mi krzywdy i że będzie przyjemnie...

Monika zaczyna się trząść. Znosi się na płacz.

PANI PSYCHOLOG: Może chcesz przerwać i opowiedzieć innym razem? Widzę, że ten sen powoduje w tobie duże emocje.

Monika szlocha, ale zdobywa się na odwagę i mówi dalej. Mówi płaczącym głosem.

MONIKA: Nie chcę przerywać. Jak już pani tu przysła i zaczęłam się otwierać... Może to właśnie pani mam o tym opowiedzieć.

PANI PSYCHOLOG: Dobrze, w takim razie kontynuuj. Opowiedz do końca, a ja będę cię słuchać.

MONIKA: A więc... On tak ciągle mówił, że nie robi mi krzywdy, ale w tym śnie zaczął mnie rozbierać, dotykał mnie. Był coraz bardziej napastliwy. Jeszcze zaczął zdejmować spodnie... Rozpinał moją bluzkę...

Monika przez chwilę nic nie mówi. Psycholog również. Bierze Monikę za rękę i trzyma, by czuła się bezpiecznie.

MONIKA: On chciał... Był napalony... Jakby o niczym innym nie myślał. Czułam jego... Tak na mnie napierał. On... On w tym śnie chciał mnie wykorzystać seksualnie, próbował zgwałcić...

Monika zaczyna płakać. Jest cała roztrzęsiona.

PANI PSYCHOLOG: Rozumiem. Spokojnie, płacz. Płacz dobrze robi. Czasem dobrze jest tak sobie popłakać. Tak się zakończył twój sen?

Monika jeszcze szlocha. Po chwili się uspokaja.

MONIKA: Nie. Na końcu śniło mi się, że go drapałam paznokciami, wyrwałam mu się i udało mi się uciec z samochodu. Biegłam, choć nie wiedziałam, gdzie jestem. Byłam cała roztrzęsiona, płakałam i nie wiedziałam, co mam zrobić i dokąd iść.

PANI PSYCHOLOG: Rozumiem już, dlaczego tak ciężko ci spać. Tak samo teraz jesteś roztrzęsiona, jak w tym śnie. Nie wiesz, co się z tobą dzieje.

MONIKA: Skąd pani to wie?

PANI PSYCHOLOG: Czuję to. Te emocje są w tobie wciąż żywe, jakby...

MONIKA: Jakby to było *déjà vu*?

PANI PSYCHOLOG: Niedokładnie.

MONIKA: To znaczy?

PANI PSYCHOLOG: Jakby to stało się naprawdę. Twoja świadomość tego nie pamięta, straciłaś pamięć. Natomiast podświadomość i pamięć emocjonalna zakodowały to wydarzenie. Czasami sny odzwierciedlają to, co się w nas dzieje i co ukrywamy przed innymi.

MONIKA: Myśli pani, że to było naprawdę? Dlatego tak reaguję na mężczyzn i ich dotyk?

PANI PSYCHOLOG: Tak, dokładnie tak.

MONIKA: To bardzo możliwe. Jak tu leżałam, czasem jak przez mgłę przelatwały mi różne obrazy i takie obrzydliwe...

PANI PSYCHOLOG: To mogło być prawdziwe zdarzenie. Czy mówiła pani o tym komuś?

MONIKA: Nie, nie mówiłam. Nawet moja mama o tym nie wie. Jest pani jedyną osobą, której opowiedziałam swój sen, a właściwie to chyba prawdziwą sytuację z życia...

PANI PSYCHOLOG: To musiało się zdarzyć całkiem niedawno, skoro tak żywo pani na to reaguje. Stąd te koszmary. To była wielka trauma dla pani. Tym bardziej, że nikomu pani o tym nie mówiła. To właśnie to zdarzenie mogło spowodować amnezję.

MONIKA: Tak, to jest we mnie bardzo żywe. Dziękuję za pani zrozumienie i wysłuchanie mnie do końca. Przyjdzie pani jeszcze do mnie?

PANI PSYCHOLOG: Tak, będę przychodzić. Teraz nie dziwię się, że nie chcesz grupowej terapii. Inni by tego nie zrozumieli. Tu są różni pacjenci.

MONIKA: Dziękuję. A teraz pozwoli pani, ale pójdę spać. Może teraz uda mi się zasnąć spokojnie po tym, jak to wszystko z siebie wyrzuciłam.

PANI PSYCHOLOG: Dobrze. Już wychodzę.

Scena IV

CZAS I MIEJSCE AKCJI: Kilka dni później. Szpital psychiatryczny, pokój Moniki.

WYSTĘPUJĄ: Monika, matka Moniki.

Matka Moniki przychodzi do córki.

MONIKA: Mamo! Jak dobrze, że przyszedłeś. Dawno u mnie nie byłeś. Coś się stało?

MATKA MONIKI: Cieszę się, że mnie tak witasz. Przepraszam, że tak długo cię nie odwiedzałam. Musiałam przemyśleć pewne sprawy, poukładać je na nowo.

MONIKA: Ale co?

MATKA MONIKI: Moją rozmowę z tobą.

MONIKA: Jak to? O czym?

MATKA MONIKI: Wiem, że niewiele pamiętasz i nie wiesz, dlaczego tu trafiłaś. Twój lekarz powiedział mi, że to już czas, bym mogła ci coś pokazać.

MONIKA: Tak właściwie to już wiele sobie przypominam. Rozmawiałam dużo z tą panią psycholog i wróciła pamięć o wielu sytuacjach z czasów poprzedzających pobyt w szpitalu. Co masz mi pokazać?

MATKA MONIKI: To może najpierw powiedz, co sobie przypomniłaś. A później coś ci przeczytam.

MONIKA: Tak, tak będzie lepiej. Tak naprawdę to niewiele mówiłam ci o mojej wymarzonej pracy, której tak długo szukałam. To właśnie tam poznałam Marka, z którym spotykałam się po pracy.

MATKA MONIKI: Z tym, co byłaś w kinie?

MONIKA: Tak, z nim... Inne dziewczyny były zazdrosne, a zwłaszcza jedna, która była w nim po uszy zakochana. A ja jej go tak po prostu odebrałam... A ona – właśnie dlatego – zaczęła się na mnie wyżywać psychicznie wraz z innymi współpracownikami. Wszystko im we mnie przeszkadzało.

MATKA MONIKI: Doświadczyłaś tam mobbingu?

MONIKA: Tak... *(zaczyna szlochać)*.

MATKA MONIKI: Nie wiedziałam. Gdybym to zauważyła, zareagowałabym na to. Dlaczego nic nie mówiłaś?

MONIKA: Ciągle mówiłaś tylko o ojcu, że pije i nie masz do niego siły. Chyba po prostu nie chciałam cię martwić moimi problemami. Jednak to nie to było najgorsze...

MATKA MONIKI: Było coś jeszcze poza mobbingiem?

MONIKA: Tak, mamę...

MATKA MONIKI: Jesteś gotowa, by o tym powiedzieć?

MONIKA: Tak, pani psycholog powiedziała, że powinnam ci o tym sama powiedzieć.

MATKA MONIKI: Co takiego?

MONIKA: Poza mobbingiem, była jeszcze inna sytuacja. To właśnie wtedy, gdy byłam z Markiem w kinie... *(zawiesz głę).*

MATKA MONIKI: Wtedy zaczęłaś inaczej się zachowywać, nie wiedziałam, dlaczego. Co się wtedy wydarzyło?

MONIKA: Miał mnie tylko odwiedzić do domu. Tego dnia był inny. Całował mnie, dotykał, był napastliwy... Mamo... On chciał mnie wykorzystać seksualnie i próbował zgwałcić... To dlatego chciałam odebrać sobie życie... Nie dawałam już rady psychicznie. Czułam się jak przedmiot... *(płacze).*

MATKA MONIKI: Dziecko... Tak bardzo mi przykro... Tak bardzo żałuję, że nie miałam czasu z tobą porozmawiać, wysłuchać cię. Myślałam, że to praca tak cię wykańcza.

MONIKA: Mamo, już dobrze. Psycholog pomaga mi przez to przejść. Ja już ci wszystko wybaczyłam. A co chciałaś mi przeczytać?

MATKA MONIKI: Twoją mowę pogrzebową, którą mi napisałaś i którą miałabym przeczytać na twoim pogrzebie, gdybyś nie przeżyła... *(szlocha).*

MONIKA: Mowę pogrzebową?! Naprawdę coś takiego napisałam?!

MATKA MONIKI: Tak. Napisałaś tego dnia, gdy zabrało cię pogotowie i przywieźli cię tutaj. Bardzo się bałam, że nie przeżyjesz. To naprawdę cud, że żyjesz.

MONIKA: Przeczytaj mi, co napisałam. Położę się i będę słuchać.

MATKA MONIKI: Dobrze, połóż się. Zaczyna czytać powoli: *Droga rodzino, przyjaciele, sędzi!*

Zebraliśmy się tutaj, by pożegnać naszą kochaną Monikę, która w swoim uporze zgromadziła nas w miejscu, od którego tak uciekaliśmy. Monika tak bardzo pragnęła nas nawrócić, aż w końcu sama straciła wiarę w to, że może być lepiej. Monika nigdy nie odmawiała nikomu pomocy, choć sama jej nie mogła otrzymać, gdy prosiła o to innych. Była nie tylko odważna, ale i uparta. Mimo to, potrafiła być wierna i prawdziwą przyjaciółką, choć sama na tak wielu się zawiodła. Była dobrym słuchaczem, potrafiła współczuć innym i nieraz poświęcała się dla innych, często sama cierpiąc, gdy oni ją wykorzystali. Uczyla innych bliskości, przytulając ich. Tak uwielbiała się przytulać, że i inni zaczęli przytulać

ją pierwszą, choć sami wcześniej tak bardzo od tego uciekali. Miała zawsze czas dla innych, służyła radą i pomocą. Spotykała się z wieloma osobami. Pokazywała innym, że mimo młodego wieku można wiele osiągnąć. „Żyłem – bo chciałeś, umarłem – bo kazałeś, zbaw – bo możesz”. Tak właśnie żyła Monika. Żyła, bo Bóg tak chciał i prosiła Go o to, by mogła być z Nim w niebie. W tak trudnych chwilach ukojenie daje nam jedynie świadomość, że być może kiedyś spotkamy się ponownie, w niebie, tak jak tego pragnęła Monika. W imieniu pogrążonej w żałobie rodziny pragnę podziękować za przybycie, za wszystkie słowa wsparcia i pomoc wszystkim zgromadzonym, w których pamięci Monika pozostanie na zawsze.

Koniec

WARSZTATY MIĘDZYPOKOLENIOWE

prowadzący:

*Anna
Rudnicka-Litwinek*

Warsztaty – zwane szumnie międzypokoleniowymi – z założenia skierowane do dzieci, młodzieży i ich rodziców, wywróciły się do góry nogami chwilę po tym, jak pojawili się na nich młodzi twórcy. Nasze dorosłe myślenie, że będziemy mentorami, mistrzami i przewodnikami dla dzieci zderzyło się z niedojrzałą jeszcze, ale silną i żywą autokreacją. Wyobrażenia młodych literatów zaskoczyła nas i poprowadziła w rejony drażliwe, wręcz kontrowersyjne. Opowiadania, które powstały są bogate w przygodę, wciągają czytelnika w fabularne i literackie zasadzki, wzbudzają emocje. Laura, Zuzia, Julia i Miłosz włożyli w nie wiele godzin pracy. Stworzyli mocnych bohaterów, a nas, dorosłych opiekunów i pierwszych czytelników, wysłali razem z nimi w drogę przez rafy, szlaki w dżungli i siedliska zwodniczych syren. Na konfrontację z wrogami, własnymi słabościami i błędami. I nie jest to metafora, podobnie jak teksty młodych pisarzy nie są sztuką naiwną. Jako prowadząca czuję się uprzywilejowana, mogąc im towarzyszyć w ich procesie twórczym. Są dopiero na początku własnej drogi literackiej, a to, co stworzyli można zdecydowanie określić jako świetny start. Oddaję w Państwa ręce cztery opowiadania, które zatrzymają Was w miejscu, rozbawią, przerażą, na pewno poruszą. Zapamiętajcie nazwiska ich autorów

Anna Rudnicka-Litwinek

Mitosz Bartos

lat 12

Najdłuższa chwila

pod redakcją Eweliny Bartos

Prolog

Michał był trzydziestoletnim mężczyzną. Miał czarne jak węgiel, krótko obcięte włosy. Niecodzienne oczy. Inne niż te, które się widzi u ludzi przechodzących obok ciebie przypadkiem na ulicy. Wprowadzały więc te ślepia nietypowy, dla niektórych nawet przerażający klimat. Przez ten fakt – i kilka innych – po mieście krążyło wiele plotek o tym człowieku. Niewielki, haczykowaty nos i usta tworzyły oblicze, po którym tylko najbliższe osoby, jakich nie miał, mogły coś poznać. Jego szafa była wypełniona identycznymi, granatowymi koszulkami i czarnymi spodniami.

Zajmował się malarstwem, rzeźbą, komponował utwory literackie, jednak w każdej z tych dziedzin zawsze mu czegoś brakowało. Tak naprawdę nigdy nie planował zostać sławnym poetą lub malarzem. W wieku dwudziestu sześciu lat został zwerbowany przez Agencję Wywiadu. Zdobywał informacje, aby bronić swego kraju. Podczas szkolenia wykazał się niezwykłą inteligencją. Dzięki umiejętnościom psychologicznym, które zaczął pielęgnować w wieku dwunastu lat, umiał doprowadzić człowieka do płaczu, śmiechu, itp., a także łatwo wydobyć z niego potrzebną wiedzę. Podczas kolejnych pięciu lat zdobył doświadczenie, dzięki któremu został powołany do misji specjalnej. Miał dyskretnie przedostać się przez granicę podejrzanego o zdradę sojuszniczego kraju i obserwować sytuację. Oczywiście podjął się zadania.

Było już ciemno. Bez żadnych problemów przeszedł przez granicę. Znajdował się w niewielkiej wsi. Stał przy małej gospodzie, nad którą kiedyś mieszkała jego kuzynka, gdy jeszcze żyła. Wszystkich jego krewnych dopadły długie choroby lub wojna. Stał tak chwilę rozglądając się i rozmyślając, aż nagle, jakby znikąd, pojawił się pojazd. Opancerzony, wojskowy. Przybywały kolejne. Michał szybko się schował z tyłu budynku i przyglądał się sytuacji. Jeden z żołnierzy wychodzących z pierwszego pojazdu kątem oka zauważył szpiega. Podczas kariery Michała zdarzały się już zadania, w których ryzykował wolnością lub nawet życiem, jednak zawsze wychodził z nich cało. W tym momencie przeszył go dreszcz zwiastujący coś niespodziewanego, nawet straszego. Odwrócił się. Jeden z mężczyzn stał i wbijał wzrok w szpiega. Minuta ciszy... i nagle strzał, a po nim krzyk. Michał dostał kulę w nogę. Zrobiło się zamieszanie. Nieszczęśnik zaczął uciekać. Za sobą słyszał:

- Po co strzelałeś? Może to był niewinny człowiek!
- To był szpieg! Jestem pewny!
- Żeby nam nie uciekł! Zaraz się przekonamy, czy to szpieg, czy nie!

Kilku żołnierzy ruszyło w pościg za uciekinierem. Ten na szczęście był już daleko. Leżał w rowie, przykryty liśćmi i piachem, czekał na wsparcie. Po jakimś czasie gdzieś niedaleko wylądował helikopter. Michał zemdlał podczas transportu.

Obudził się po dwóch dniach i usłyszał, że resztę życia spędzi na wózku inwalidzkim. Zrezygnował z kariery szpiega i poświęcił się sztuce.

1

Podniósł się z trudem. Przetarł oczy. Był sam... znowu. Życie dawało Michałowi dużo. Miał pieniądze nie tylko na potrzeby, ale też na zachcianki. Przydatne zdolności, które pozwalały mu się rozwijać. Chciał jednak coraz mniej, powoli odchodził od rzeczywistości. Sny przychodziły rzadko. Kiedy się pojawiały, dawały ukojenie zmęczonemu umysłowi, lecz tym bardziej bolało, kiedy się kończyły. Dawno temu myślał, że w tym wieku będzie już skupiony na rodzinie, pracy i obowiązkach. Nagle wszystko zniknęło. Plany, rodzina, zdrowie fizyczne i psychiczne, tak, jakby nigdy tego nie było. Z sekundy na sekundę całe otoczenie się zmieniał. Nie było mowy o żadnym postanowieniu na przyszłość. Działał jednak i żył, tak jak mógł.

Siedział przy stole jedząc śniadanie. Wsłuchiwał się w ciszę, mimo tego, że żył praktycznie tylko z nią, kochał ten dźwięk. Na stole leżał obrus, który sam wykonał, przedstawiający rozświetlony las z wieloma rozmazanymi elementami, nadającymi mu jakiś dziwny urok. Skończył jeść i chciał odpocząć, ale nagle ktoś zapukał do drzwi. Michał szybko spojrzał przez wizjer. Przed wejściem stało trzech mężczyzn. Mieli broń, która wyglądała przekonująco, ale nie bał się. Chciał otworzyć drzwi. Nagle, wybiwszy szybę w oknie, ktoś wpadł do wnętrza domu. Po mieszkaniu rozległ się krzyk nieznajomego:

– Où est-il?

Michał pomyślał, że lepiej najpierw zapewnić sobie bezpieczeństwo, a potem próbować dogadać się z terrorystami. W trzy sekundy otworzył drzwi i staranował niespodziewanych gości. Jeden zemdłał po mocnym uderzeniu w głowę. Drugi został ogłuszony spadającym ciałem towarzysza, a trzeciego Michał obezwładnił kamieniem. W tym momencie miał kilka nieruchomych ciał leżących sobie spokojnie przed jego domem i wandalą w środku. Musiał szybko myśleć i coś z tym wszystkim zrobić. Trójkę napastników przywiązał do słupa elektrycznego używając węża ogrodowego. Następnie sprawdził, czy w kieszeniach nie skrywają przypadkiem czegoś ciekawego. Znalazł przeterminowane dokumenty, młotek i rewolwer z dwoma nabojami. Mieli jeszcze trochę nieistotnych śmieci. Chociaż nie było to dużo, z tym uzbrojeniem stawał się wystarczająco groźny.

Wrócił do domu. Przemieszczał się cicho z pokoju do pokoju szukając ostatniego nieprzyjaciela. Wszędzie było cicho. Michał znalazł się w dużym, pięknym salonie. Tam właśnie znajdował się człowiek, którego szukał. Doznał licznych ran wybijając szybę i był już martwy. Miał na sobie biedne ubranie, całe jego ciało było zaniedbane i brudne. Gospodarz nie rozumiał, dlaczego to wszystko się stało, a chciał się szybko dowiedzieć.

2

Dreńczony myślami na temat tego, co się stało, jeszcze tego samego dnia pojechał do znajomego z dzieciństwa, który, choć nie kontaktował się z nim od długiego czasu, może wiedziałby coś, co by wyjaśniało ostatnie zdarzenia.

Podszedł do drzwi i zapukał.

– Witaj – powiedział nieśmiało Michał.

– Cześć, wchodź śmiało – odparł gospodarz.

– Miło, że mnie pamiętasz. Mam sprawę, chciałbym z tobą o niej pogadać – zaczął Michał.

– Wejdz – powtórzył gospodarz.

Michał wjechał do środka, a następnie przeniósł się z wózka na czerwony fotel przy okrągłym drewnianym stole.

– A więc, w skrócie, napadnięto mnie. Poradziłem sobie z unieszkodliwieniem trzech napastników, lecz w tym samym czasie jakiś człowiek wpadł do mojego domu i zaczął krzyczeć coś po francusku. Wcześniej wybił szybę, żeby dostać się do środka, pokaleczył się śmiertelnie odłamkami i zmarł. Prawdopodobnie on i ludzie, o których wspominałem, współpracowali ze sobą. Czy to wszystko to przypadek? Czy ty coś wiesz?

Po tych słowach nastała chwila ciszy, znajomy Michała zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

– Nie w... – wypowiedź przerwało głośne pukanie. Gospodarz podszedł do drzwi. Otworzył je i zobaczył torbę. Była skórzana, leżała na wycieracze. Z jednej kieszeni wystawało zdjęcie dziewczyny o długich, ciemnych włosach i uśmiechniętej twarzy, a z drugiej list. Otworzył go, zobaczył, że został napisany do Michała, więc oddał mu wiadomość. Właściwie to był po prostu brudny kawałek papieru, na którym było zapisane jego imię i nazwisko. Ktoś umieścił tam jeszcze słowa: „Czekam w salonie”.

– Chyba czas na mnie – powiedział Michał chowając paperek do kieszeni – żegnaj.

3

Przed oczami Michała był jego dom. Wiedział, że istnieje taka możliwość, że kiedy do niego wejdzie, niekoniecznie z niego wyjdzie, ale chciał znać prawdę. Nie wahał się.

Drzwi do salonu czekały lekko uchylone. Otworzył je. W pokoju stał niewysoki, elegancko ubrany mężczyzna. Miał długie, siwe włosy. W rękę trzymał album ze zdjęciami. Patrzył odwrócony na obrazy, ale usłyszał dźwięk wózka i odwrócił się do przybysza.

– Dzień dobry – przywitał się – jestem Dariusz. Pewnie zastanawia cię, czemu tu przyszedłem. Otóż moja córka Kasia bawiła się kiedyś przed domem – ściszył głos – chciała przejść przez ulicę, żeby odwiedzić swoją przyjaciółkę. Niestety, doszło do wypadku. Zmarła na miejscu. Kierowcą był twój ojciec. Dopadłem go i całą twoją rodzinę, zostałeś jeszcze tylko ty.

Po ostatnich słowach wyciągnął broń.

– Poczekaj... czyli te wszystkie długi, choroby, wojny... to wszystko bujda? – zapytał Michał zdeorientowany.

– Tak – odpowiedział Dariusz i wycelował w niego pistolet – jeszcze możesz mieć pytanie o ludzi nasłanych niedawno na ciebie. To byli moi ludzie, sprawdzałem twoje umiejętności. Na koniec dodam, że twoje obrazy są bardzo piękne. Prawie tak piękne, jak moja córka. Żegnaj.

Pociągnął za spust. Trafił.

4

Dariusz podniósł się z trudem. Przetarł oczy. Był sam... znowu.

Julia Maciejczyk

lat 14

Urok wody

pod redakcją Marty Maciejczyk

Mimo ciepła majowego popołudnia las wydawał się być zimny i ciemny. Liście zakrywały światło szeleszcząc cicho i czasami tylko przepuszczając promienie na ściółkę. Olga nie zwracała na to uwagi i mimo lekkiego ubioru przedzierała się przez krzaki rozgrzana złością. Biegąc przez las próbowała zatrzymać łzy frustracji, które cisnęły się do jej brązowych oczu. Złość napędzała ją, jednak emocje dziewczyny opadały, a razem z nimi siła. Zatrzymała się. Zaciśnęła wargi, które coraz bardziej trzęsły się przez powstrzymywany od dłuższego czasu szloch. Emocje mieszały się na twarzy dziewczyny, gdy ta rozglądała się, próbując rozpoznać miejsce, do którego przybiegła. Drzewa zaszumiały cicho, jakby przestraszone, że dziewczyna za chwilę wyciągnie siekierę i zacznie je rąbać. Ptaki z okolicy zdawały się uciekać zły, że nastolatka przerwała ich melodię swoimi krokami. A za krzakami nagle dało się słyszeć plusk, tak jakby ktoś zanurkował. Była bardzo blisko jeziora i około czterdziestu minut drogi do jej domu. Ale dziewczyna nawet nie brała pod uwagę powrotu. Nie po tym, jak dowiedziała się o stanie swojej mamy. Nie współczuła jej, o nie. Myślała, że matka sama jest sobie winna, przecież to ona zdecydowała się brać narkotyki. Bardziej chodziło o to, że dziewczyna bała się wylądować w sierocińcu

albo w jakieś innej placówce dla dzieci mniej chcianych. Nie miała, co prawda, dużo do stracenia, ale strach wciąż gnieździł się gdzieś w jej klatce piersiowej. „Nikt nie adoptuje nastolatka. Wszyscy wolą dziecko, przecież takie można jeszcze czegoś nauczyć.” – pomyślała i zaczęła bezwiednie iść w stronę jeziora. Wciąż pamiętała, jak ciotka zabierała ją tutaj i opowiadała jakieś bajki o syrenkach czy innych stworach. Na myśl o ciotce Olga uśmiechnęła się smutno. Jedyna osoba, która dbała o nią, gdy była młodszą. Nastolatka wciąż pamiętała pogrzeb kobiety. Słońce oświetliło łzy widniejące na policzkach dziewczyny. Ptaki śpiewały spokojnie, gdy doszła w końcu do jeziora, przedzierając się przez krzaki. Na brzegu zobaczyła podniszczony pomost, do którego podeszła. Kopnęła go porządnie, zanim weszła. Ostatnia rzecz, której dzisiaj potrzebowała to wpaść do głębokiej, brudnej toni. Dziewczyna westchnęła, zdjęła buty i skarpetki, po czym włożyła bose stopy do chłodnej wody. Z zamkniętymi oczami zaczęła nucić coś pod nosem, dołączając się do naturalnej ptasiej orkiestry. Mimo wszystko nie mogła cieszyć się krajobrazem. Myśli o tym, co zostanie w domu po powrocie budziły niepokój. „Na pewno będzie policja. Pewnie będą chcieli mnie przepytąć, co wiem i czy sama nie biorę. No i pewnie przeszukają mieszkanie...”. Skrzywiła się na myśl o policjantach grzebiących w jej rzeczach i znajdujących pieniądze, które ukradła. Nie miała wyjścia, jakoś musiała się wyżywić, a do pracy jeszcze nikt jej, piętnastoletniej, nie chciał przyjąć. Coś chlupnęło w wodzie, ale Olga nie zwróciła na to uwagi. „...Ojczym pewnie wyląduje w areszcie, tak samo jak matka, gdy jej się poprawi. Ciekawe, czy ktoś zauważył już, że zniknęłam?” – pomyślała dziewczyna niepokojąc się nagle. O mamie dowiedziała się od znajomego, który usłyszał kilku policjantów gadających przed szpitalem, więc miała szansę zwać, zanim ktoś ją zgarnie. „W szkole pewnie stwierdzili, że zrobiłam sobie następne wagary. Matka i ojczym nie będą mieli pojęcia, gdzie mogę być, a policja nawet nie pomyśli o przeszukiwaniu lasu przez następne kilka godzin. Oby tylko...” – rozmyślania dziewczyny przerwała ręka, która złapała jej kostkę i pociągnęła w stronę wody. Olga przerażona machnęła nogą. Uwolniła ją z uścisku i cofnęła się. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz strachu. Nawet nie zauważyła, kiedy z jeziora wynurzyła się głowa bladokórej kobiety. Czarne oczy nieznajomej przeszywały duszę nastolatki, tak jakby szukały czegoś. Po chwili, gdy uspokoiła oddech spojrzała na tajemniczą postać i zacisnęła zęby. „Kto o zdrowych zmysłach wciążą drugą, nieznajomą i do tego widocznie załamaną osobą do

wody?” – pomyślała marszcząc brwi i otwierając usta, aby powiedzieć kobiecie, co myśli o takich „żartownisiach”. Jednak wszelkie słowa utknęły jej w gardle, gdy zobaczyła te głębokie, czarne oczy. Jeśli oczy to zwierciadła duszy, to kobieta unosząca się na wodzie przed nastolatką zamiast duszy miała niekończącą się studnię. Cisza pomiędzy dwiema istotami trwała. Nawet natura zatrzymała swój szelest, starając się wyłapać każdy ruch, uderzenie serca i oddech Olgi. Nagle jednak ciszę przerwał krzyk.

– Co ty sobie do cholery myślisz?! Prawie mnie wciągnęłaś do wody! – wybuchła nastolatka dopiero teraz spoglądając uważniej na nieznajomą. Długie blond włosy postaci unosiły się na wodzie, jednak to nie one zwróciły uwagę nastolatki. Co prawda widziała, że kobieta, o ile można ją tak nazwać, była blada, jednak szczegóły przeraziły ją. Biała, delikatna skóra miejscami wpadała w szarości i błękity. Prawie nagie, owinięte w roślinność wodną ciało stworzenia wydawało się być kruche z widocznymi kośćmi i papierową skórą. Wrażenie delikatności mijało, gdy spojrzano się w tajemnicze, czarne oczy. Widząc, jak nastolatka obserwuje ją z dużą uwagą, kobieta uśmiechnęła się, pokazując ostre zęby. To nie był człowiek.

– Witaj – powiedziało stworzenie dziwnym, lekko melodyjnym głosem. – Jak się nazywasz?

Olga skrzywiła się czując zapach ryby bijący od straszdyła. Nie miała zamiaru odpowiadać z nadzieją, że nieznajoma odpuści i odpłynie gdzie indziej. Cisza zawisła w powietrzu sprawiając, że stało się ono cięższe.

– Znam takich jak ty. Nie musisz się bać, mogę ci pomóc.

Olga nie chciała pomocy. Nie chciała też wielu innych rzeczy, ale to nic nie zmieniało. Na przykład nie chciała się bać, a jedyne, co mogła teraz czuć, to strach. O wyglądzie można mówić, co się chce, ale określa on częściowo, kim jesteśmy. A te ostre zęby i puste oczy zwiastowały coś złego. A jednak nastolatka została.

– Nie boję się. Kim jesteś i czego chcesz? – spytała z udawaną odwagą.

Zanim stworzenie otworzyło usta, aby odpowiedzieć, z wody wyłoniła się druga kobieta.

– Talise. Co robisz... – pytanie zamarło drugiej nieznajomej w gardle, gdy tylko zobaczyła dziewczynę na pomoście. Już drugi raz tego dnia Olga poczuła się tak, jakby ktoś patrzył prosto w jej duszę. Zaciekawione, zielone oczy skupiły się na niej. Druga

nieznajoma również była blada, jednak w przeciwieństwie do pierwszej istoty była ubrana. Zielona porwana suknia wydawała się być za duża na delikatnej kościstej kobiecie, jednak ta zachowywała się tak, jakby ubranie nie istniało i poruszała się w nim swobodnie. Długie brązowe włosy unosiły się lekko w wodzie.

– Jak niegrzecznie z mojej strony. Nazywam się Talise, a to Helena – powiedziało czarnookie stworzenie.

– Olga – odpowiedziała automatycznie nastolatka. Nie zadawała już pytań o wygląd. Czuła, że to nieważne. „Ciotka mówiła, żeby nie oceniać książki po okładce, a ten stwór powiedział, że chce mi pomóc. Co mam do stracenia?” – pomyślała przysuwając się do brzegu. Talise uśmiechnęła się pokazując swoje małe ostre zęby.

– Znam takich jak ty. Nieszczęśliwych, niezrozumianych i odrzuconych. Mogę ci pomóc, odpowiem na wszystkie twoje pytania – czarne oczy kobiety zwróciły się na chwilę w stronę drugiego stworzenia. – Helena też kiedyś była taka jak ty, ale dzięki mojej pomocy jest wolna od wszelkiego smutku, czyż nie?

Brązowowłosa nimfa pokiwała głową uśmiechając się delikatnie. Słońce odbiło się w zielonych oczach, gdy stwór zaczął opowiadać swoją historię.

– To było dawno, bardzo dawno temu. Moi rodzice, odkąd tylko pamiętam, przygotowywali mnie do wyjścia za mąż. Matka uczyła mnie dobrych manier, szycia i mówiła o tym, jak ważne w życiu kobiety są dzieci. Ojciec natomiast opowiadał o tym, jak on i matka spotkali się w dzień ślubu i zakochali od pierwszego wejrzenia. Ja jednak zawsze wyklócałam się o swoją wolność. Nie chciałam poznać mojego męża w dzień ślubu. Chciałam wyjść za kogoś, kogo kochałam, nie za najbogatszego kandydata do mojej ręki. Mimo moich protestów rodzice dalej trzymali się swojego planu. Nie miałam wyjścia, musiałam uciec. Pewnej nocy spakowałam trochę biżuterii, którą miałam zamiar sprzedać i założyłam jedną z prostszych sukni. Następnie wymknęłam się z domu i zaczęłam biec w stronę lasu. Byłam tak szczęśliwa, że mi się udało. Po długim marszu przez bór usiadłam zmęczona u brzegu jeziora. Pewnie domyślasz się, że było to właśnie to jezioro. Siadłam i wtedy właśnie usłyszałam Talise. Później... – Helena przerwała na chwilę niepewna. – Nie pamiętam do końca, co było później, ale wiem, że Talise mnie przemieniła. Od tamtego czasu jestem wolna – skończyła zielonooka z lekkim uśmiechem na ustach.

Olga zaciekawiona patrzyła na Helenę, nagle tak ludzką mimo swojego wyglądu. Zielona, porwana suknia kobiety na jej delikatnym ciele, blada skóra i wszystko inne nie miało znaczenia. W oczach nastolatki była kimś, z kogo można brać przykład.

– A kim byłaś ty przed przemianą, Talise? – spytała dziewczyna.

Czarne oczy rozszerzyły się na dźwięk pytania, jednak po chwili znowu wróciły do swojego normalnego rozmiaru, a z ust kobiety wydobył się śmiech. Dziwny to był śmiech, dosyć głośny, ale dobrze wtapiający się w odgłosy natury. Nie był szczęśliwy, ukrywał coś.

– Ja jestem, odkąd tylko jest tu jezioro. Nigdy nie byłam człowiekiem – powiedziała, jakby to była oczywistość.

Dla niej była. Nigdy nie poczuła trawy swoimi bosymi stopami. Wiedziała, że jeśli wyjdzie, stanie się coś złego. Być może zmieni się w mgłę lub ktoś zobaczy ją przyodzianą w roślinność wodną i spali na stosie. Może stałaby się rosą lub wiosenną mżawką. Nie wiedziała i nie chciała tego sprawdzać.

– Czy jest tu jeszcze ktoś, kogo zamieniłaś? – spytała Olga wciąż ciekawa losów nimf.

Obydwie kobiety nagle zamilkły. Helena odwróciła wzrok zaciskając usta w kre-skę, natomiast Talise zaczęła machać nogami pod wodą, a jej uszy ściągnęły się do tyłu. Wyglądało na to, że pytanie zaniepokoiło wodne stworzenia. Olga nie miała jednak zamiaru odpuszczać.

– Talise, czy ktoś jeszcze tu z wami mieszka? – zapytała, starając się spojrzeć kobiecie w oczy.

Cisza. Nastolatka czuła, że powinna odpuścić, ale nie było już odwrotu. Chłupot przerwał nierzeczną chwilę. Z wody wynurzyła się trzecia głowa. Jasne szare oczy patrzyły na nią ciekawie, choć zmartwione. Nie przeszywały duszy. Nie oceniały.

– Ja tu mieszkam – wyszeptała zachrypłym głosem. Krótkie, brązowe włosy sięgały nieznajomej do ramion. Nie uśmiechała się, jednak coś sprawiało, że wyglądała na najbardziej przyjazną z całej trójki. Porwana płócienna koszula i roślinność wodna unosiły się wokół jej ciała. Szara skóra i widoczne, sine żyły powinny wywołać w Oldze strach lub przynajmniej podejrzliwość. A jednak nastolatka czuła, że nieznajoma nie robi jej krzywdy.

– Nazywam się Mojmira – powiedziała tym razem głośniejszym głosem trzecia nimfa. Helena dalej patrzyła gdzieś w bok. Nie ze strachu przed nowo przybyłą. Ze wstydu.

– Mieszkam tu od dłuższego czasu, ale to nie jest mój dom – dodała Mojmira.

Talise wydawała się rozważać coś. Jej ręce drżały zaciśnięte w pięści.

– Nigdy nim nie będzie – rzuciła gwałtownie Mojmira. – Jak mogę to nazwać...

Talise zakryła usta Mojmiry spoglądając na nastolatkę przeprasząc.

– Wybacz jej, ona nie wie, co mówi. Gdy ją przemieniłam, była bardzo chora. Jak sama widzisz, przemiana jej nie wyleczyła. Majaczy. Czemu nie porozmawiamy o czymś innym?

– zaproponowała nerwowo machając nogami i wzburzając z wściekłością wodę.

Talise mogła zakrywać usta, jednak szare oczy trzeciej nimfy dalej patrzyły na Olgę. Ostrzegają.

– Nie chcę rozmawiać o czymś innym – powiedziała stanowczo Olga. – Chcę poznać historię Mojmiry. Nawet jeśli jest chora, to ma prawo się wypowiedzieć.

Talise nie opuściła ręki. Zaciśnęła za to wargi i czekała przez chwilę, ale nastolatka już się nie bała. Chciała wiedzieć, co się stało i nie miała zamiaru odpuścić.

– Powiedziałaś, że odpowiesz na wszystkie moje pytania – przypomniała Olga.

Słowa podziały jak zakłęcie. Talise odsunęła się od szarookiej zabierając rękę z jej ust. Mojmira uśmiechnęła się, po czym zaczęła opowiadać.

– Moja historia jest trochę inna niż ta, którą usłyszałaś od Heleny. Ja i Talise byliśmy przyjaciółkami przed moją przemianą. Helena jeszcze się nawet nie narodziła. Całe dnie spędzałyśmy we dwie na wspólnym pływaniu i rozmowach. Pamiętam, jak czasami przyłączały się do nas duchy drzew lub zwierzęta leśne. Byłyśmy nierozłączne. Ale czasy, w których się wychowywałam, nie były bezpieczne. Gdy miałam dziewiętnaście lat, do naszej wioski przyszła zaraza. Nie miałam nikogo bliskiego oprócz Talise, dlatego, gdy czułam, że nadchodzi mój koniec, poszłam do niej. I to był mój pierwszy błąd – głos Mojmiry zmienił się wraz z tym zdaniem. Złość na siebie i Talise wyszła na jaw. – Nie chciałam żyć wiecznie, a ty zamieniałaś mnie bez pytania! Pogodziłam się ze swoją śmiercią, a ty odebrałaś mi spokój duszy! – kobieta już nie mówiła do Olgi. Odwróciła się ona w stronę Talise i ze łzami w oczach krzyczała na dawną przyjaciółkę. – A gdy powiedziałam ci, co czuję stwierdziłaś, że to się nie liczy! Ale to nie ważne. Dla mnie już nie ma ratunku. Dla ciebie jeszcze jest – stworzenie odwróciło się znowu do nastolatki. – Uciekaj. Wszystko jest lepsze niż życie tutaj. O ile można to nazwać życiem... – powiedziała skrzywiona. – Pewnie mówiły ci, że będziesz tu wolna? Twoja wolność skończy i zacnie się w tej kałuży. Naprawdę tego chcesz? – dramatycznie zakończyła kobieta.

Olga spojrzała na Talise, a następnie na Mojmirę. Nie była pewna, czego chce i komu może zaufać. Jednocześnie chciała uciec od swoich problemów i zacząć nowe życie bez żadnych konsekwencji, ale myśl o nieśmiertelności i braku możliwości powrotu przestrażyła ją. Musiałaby całymi dniami siedzieć w wodzie pływając z nimfami, co szybko stałoby się nudne. Czekalaby razem z Heleną i Talisę na kogoś, aby go przemienić lub wręcz odwrotnie. Po jakimś czasie przyłączyłaby się do Mojmiry mówiąc zrozpaczonemu, aby odeszli i nigdy nie wracali. „Nie mam do czego wrócić. Moi rodzice mnie nie chcą, nie mam rodzeństwa, zero prawdziwych przyjaciół, a jedyna osoba, która mnie kochała, jest w grobie od kilku lat. Ciotka pewnie nie byłaby ze mnie dumna. Zawsze mówiła, że nie mogę się poddawać.” – pomyślała Olga uświadamiając sobie nagle pewien fakt z przeszłości. „Te ostrzeżenia ciotki przed syrenami, czy jak je tam nazywała... Skąd ona wiedziała? Przecież była taka szczęśliwa. To niemożliwe, żeby także je zobaczyła!” Nagle przypomniała sobie, jak jej opiekunka patrzyła czasami gdzieś w dal na jezioro ze smutnym uśmiechem na ustach. „A jednak została tutaj, na lądzie. Pewnie chciałaby, żebym też została. Ale to moja decyzja”.

– Zdecydowałam, że... – Olga powiedziała cicho i niepewnie wstała.

Woda była dosyć głęboka i odbijała kolorowe światło zachodu słońca. Trójka stworzeń odsunęła się. Talise i Helena patrzyły oczekując skoku, a Mojmira zawiedziona pokręciła głową. Olga założyła buty. Nie chciała, aby ktoś je znalazł i zrozumiał, że jest gdzieś w pobliżu. Nastolatka zamknęła oczy. Jej ręce trzęsły się niekontrolowanie. „To najlepsza opcja” – pomyślała otwierając oczy.

– Zdecydowałam, że nie mogę tu zostać – powiedziała pewnie Olga.

Nie powiedziała nic więcej. Odwróciła się i odeszła szybkim krokiem. Przez chwilę słyszała jeszcze krzyki Talise proszące ją, by się zatrzymała, ale nastolatka nawet się nie odwróciła. Przecież komisariat policji był dość daleko od lasu, a chciała się tam znaleźć przed zmrokiem. „Nie ma co czekać” – pomyślała – „Przedemną dużo do zrobienia”.

Laura Porębska

lat 10

Smoczy pazur

pod redakcją Bernarda Porębskiego

Cześć, jestem Klara. Mam dziesięć lat i mieszkam w małym miasteczku. Miasteczku tak niewielkim, że jest tam jedna szkoła. Lubię czytać książki i dlatego klasa uważa mnie za dziwaka (moją koleżankę Marysię zresztą też). No ale ja i ona mamy ich w nosie, więc – oprócz lekcji – cały czas siedzimy w bibliotece. Biblioteka jak biblioteka, ale pewnego dnia coś się w niej zmieniło. A było to tak...

Poszliśmy pożyczyć książkę na wypracowanie z esperanckiego, którego nie cierpialiśmy tak samo, jak jego nauczycielki. Rzecz jasna nie mogliśmy tej książki znaleźć. Nagle poczułam ohydny smród, więc z Marysią, ledwo oddychając, zaczęłam oczywiście iść w tym kierunku. Jakie było nasze zdziwienie, kiedy zobaczyłyśmy cienką książkę. Zlekceważyłyśmy ją, ale dla pewności Marysia sprawdziła – to było źródło smrodu. Otworzyłyśmy ją i zobaczyłyśmy rysunek czegoś, co wyglądało jak pazur świecący dziwnym blaskiem. Przeczytałam zdanie nad nim: „Smoczy pazur – utrzymujący równowagę na świecie pazur Złotego Smoka. Jeśli zostanie skradziony, świat zacznie się rozpadać”. Zatkło nas. Czyli losy świata zależą od paznokcia jakiejś jaszczurki? Ale drobnym drukiem było dopisane coś jeszcze: „Więcej informacji ma czarodziejka Lira mieszkająca w rezerwacie Łobos”. Dalej było zdjęcie domu i napis „Brama Główna”. Przecież to był dom moich dziadków!

Przypomniałam sobie, że lekcje już dawno się zaczęły. Usłyszałyśmy stukot obcasów. To była pani Krynik od esperanckiego! Najszybciej jak mogłyśmy, wspięłyśmy się na regał i cicho siedziałyśmy. Z góry patrzyłyśmy, jak pani Krynik idzie na dział greckiej filozofii. To nas zaniepokoiło. Najostrożniej jak umiałyśmy, zaczęłyśmy przeskakiwać z jednego regału na drugi, aż dotarłyśmy do samego końca. Wtedy zauważyłam, że pani Krynik coś wyjęła... To był smoczy pazur!

Wiedziałam, co mam zrobić. Wyjęłam z torby zeszyt i złamanym ołówkiem narysowałam plan. Marysia kiwnęła głową. Szybko, zanim pani Krynik się ruszyła, skoczyłam jej na plecy i wyrwałam z jej ręki pazur. Błyskawicznie uskoczyłam w bok, a wtedy Marysia przewróciła na nią regał i zważyłyśmy z biblioteki.

Szybko zaczęłyśmy biec na przystanek, gdzie podjeżdżały busy. Pierwszy miał przyjechać za godzinę, więc postanowiliśmy schować się w parku i wymyślić dalszy plan. Ustaliliśmy, że pojedziemy do dziadków, spróbujemy wziąć jakąś mapę czy coś podobnego i znajdziemy tę całą Lirę.

Nagle usłyszałyśmy głosy. To była pani Krynik z jakimiś osiłkowatymi mężczyznami! Wskazała na krzak, za którym się schowaliśmy! Najszybciej jak tylko się dało, zaczęłyśmy biec w kierunku busa, który właśnie podjechał. Nie było czasu na dyskusję z kierowcą. Zanim nas ktoś zauważył, wskoczyłyśmy do komory na bagaż i tam schowaliśmy się za ciężką jak cegła walizką. Siedziałyśmy bez ruchu w komorze całą godzinę. Kiedy wyszłyśmy na zewnątrz, szybko skierowałyśmy się do alejki, która prowadziła do posesji zamieszkałej tylko przez moich dziadków i dlatego nazywali ją Rezerwatem. Byłyśmy już blisko, kiedy usłyszałyśmy za sobą szelest. Wiedziałyśmy co to znaczy – ktoś nas śledzi. Postanowiliśmy nie pokazywać temu „ktosiowi”, że o tym wiemy, więc zaczęłyśmy iść przed siebie. Kiedy szelest był coraz bliżej, nagle skoczyłyśmy na krzak, z którego dochodził. Zaniemówiliśmy, gdy zorientowałyśmy się, że leżymy na Majce – dziewczynie, która nie była dla nas zbyt serdeczna. Musiałyśmy zrobić to, co widziałyśmy w takim filmie akcji z wybuchami i tak dalej. Marysia ją unieruchomiła, a ja zaczęłam szukać w ziemi jej słabego punktu – robaków. Kiedy z garścią dżdżownic zbliżałam się do jej nosa, zemdłała. Wzięłam ją za nogi, Marysia za ręce i tak doszłyśmy do Rezerwatu. Zapukałam do drzwi. Otworzyła nam babcia.

– Witaj Klarciu, rodzice nie dzwonili, że przyjedziecie. A właśnie... Gdzie zaparkowaliście?

Dopiero teraz zobaczyła Marysię i omdlała Maję, którą starałam się zasłonić. W drzwiach pokazał się dziadek.

– Cześć Klarciu, gdzie rodzice? A to kto? – zapytał przyglądając się dziewczynom i gestem zaprosił nas do środka. – Co się stało?

– Wy tłumaczysz to? – podałam dziadkowi książkę.

– Gdzie to zdobyłyście? – zapytała babcia.

– Po prostu była w bibliotece – i opowiedziałam wszystko, co widziałam. – Powiecie, co mamy robić?

– Na pewno musicie iść do Liry – powiedziała babcia.

– Nie możecie nas po prostu zaprowadzić do tej świątyni? – zapytałam.

– Tylko Lira zna drogę, na pewno was zaprowadzi.

– Ja wam wszystko wyjaśnię. Jak cię znam, Klarciu, to sobie poradzisz – dziadek poklepał nas po plecach, a babcia poprztulała.

Załatwiłyśmy wszystko z babcią i dziadkiem. Miałyśmy właśnie wyruszyć w głąb lasu, kiedy Maja obudziła się z wielkim krzykiem. Zaczęła wrzeszczeć, że pójdzie na policję. Babcia poszperała w piwnicy i podała Majce coś, co śmierdziało jak nieprany strój na wf. Dziadek wytłumaczył nam, że dzięki temu eliksirowi Majka nie będzie mieć wolnej woli, więc przez godzinę będzie zgadzać się na wszystko, co powiemy. Wreszcie mogliśmy wyruszyć do Liry.

Już po półgodzinie wiedziałam, że się zgubiłyśmy.

– No to co teraz? – spytała wykończona Marysia.

– Nie wiem, dziadek mówił, że mamy iść prosto, a potem skrócić w lewo przy tym złotym drzewie. Jak ono się nazywało... – byłam zdezorientowana.

– Łaczi! – krzyknęła Maja.

– Przecież nie masz wolnej woli – zdziwiłam się. – Ale dzięki, chociaż niewiele nam to pomogło.

– Nie mam – odparła Maja. – I niewiele pomogła moja odpowiedź.

Nagle zauważyłyśmy jakieś światło. Zaczęłyśmy biec w tym kierunku. Kiedy zobaczyłyśmy polanę, uznałyśmy, że nigdy nie widziałyśmy nic piękniejszego. Nie było tam ani za

ciepło, ani za zimno. Szum strumienia, w którym woda była tak czysta i przeźroczysta, że nigdy byście sobie tego nie wyobrazili, zagłuszał wszystkie inne odgłosy. Nad trawą latały stworzenia, które przypominały kolorowe świetliki, a w ogóle cała trawa była niebieska. Podeszliśmy do strumienia i bez zastanowienia wszystkie zaczęliśmy pić.

– Nie przeszkadzam? – ktoś zapytał. Dopiero teraz zauważyliśmy stojącą po drugiej stronie strumienia kobietę ubraną w białą-niebieską suknię. Miała bladą twarz, którą częściowo zasłaniał długi warkocz, a w dłoni trzymała oplecioną liśćmi laskę, która na czubku miała coś w rodzaju lśniącej kuli. – Co robicie w moim ogrodzie? Nie wiecie, że kulturalne istoty wchodzą od frontu?

– Yyyy, przepraszamy, my szukamy czarodziejki Liry. Pani ogród nie był ogrodzony i po prostu weszliśmy przez przypadek od tyłu – powiedziałam.

– Ludzie – westchnęła kobieta. – Czy dla was wszystkie cudze tereny muszą być ogrodzone? Ja jestem Lira, chodźcie za mną – i poprowadziła nas aleją drzew.

Po krótkim czasie zobaczyliśmy przed sobą pagórek, a na nim chatkę. Kiedy go obe- szliśmy, dostrzegłam, że dom jest piętrowy, ale okna są tylko na dole. Uznałam, że muszę poruszyć ten temat.

– Dlaczego okna są tylko na dole? – zapytałam.

– Okna na górze są u nas niemodne – odpowiedziała sucho Lira i wprowadziła nas do kuchni.

Było tam bardzo dużo różnych buteleczek, a na środku stał wielki kociół. Przeszliśmy małym korytarzem do pokoju, który można było nazwać salonem, choć meble miał bardzo niespotykane.

– Słucham – powiedziała Lira siadając na wielkim grzybie. – Po co tu przybyłyście?

– No... – nie wiedziałam, co powiedzieć, więc po prostu podałam jej książkę. Wzięła ją i otworzyła. Wydała się nagle bardzo zdenerwowana.

– Kto wam to dał?

– Nikt. Po prostu wzięliśmy ją z biblioteki – odpowiedziałam.

– I mamy to – Marysia wyjęła z kieszeni smoczy pazur.

– W książce było napisane, że ty masz więcej informacji. Powiesz nam coś jeszcze na ten temat? – zapytałam.

– Powiem wam to, że wasza koleżanka właśnie otrząsa się z transu, ale też niewiele mogę pomóc. Dam wam tylko magiczne moce i nieco informacji na temat Złotego Smoka.

Spojrzałyśmy na Maję. Naprawdę zaczynała mieć drgawki i mrugać oczami. Lira pobiegła do kuchni i wróciła z niebieską buteleczką, którą dała Majce do wypicia.

– Dzięki temu nie będzie panikować, to coś w stylu melisy na uspokojenie – wyjaśniła Lira.

– Co ja tu robię? – zapytała Maja.

– Zaraz wam dam magiczne moce – odpowiedziała jej Lira i znowu wyszła do kuchni.

Wróciła targając wielki kufer. Zauważyłyśmy, że kłódka jest w kształcie sowy, która w dziobie trzymała łańcuch. Czarodziejka wyjęła z peleryny mały kryształ i włożyła do dziobu sowy, która wtedy puściła łańcuch. Lira zaczęła po kolei wyjmować z kufra świecące kule. W środku jednej zauważyłam kręcące się państwa!

– I co mamy z tym zrobić? – zapytałam z ciekawością.

– Na pewno nie dotykać dopóki nie ustalicie, która z was bierze którą kulę – odparła ironicznie Lira.

– Ja chcę tę – Marysia miała właśnie chwycić moc latania, a to była kula, którą od początku ja chciałam.

– Ja ją chciałam! – zaprotestowałam.

– Wcale nie! – zaczęła wrzeszczeć Maja. – Jeśli nie umiecie się dogadać, to ja ją sobie wezmę!

– Nie! – krzyknęłam i odepchnęłam Maję, żeby jak najszybciej dobiec do kuli. Wtedy Marysia rzuciła się na mnie i na przemian wrzeszczałyśmy i się odpychałyśmy.

Lira klepnęła się w czoło.

– Halo! Tu są jeszcze inne moce. Wymieniłam pierwszą i już się na siebie rzucacie. Tam są jeszcze kula wody i ognia.

Przestałyśmy się szamotać

– Sorry, nie słyszałyśmy. Jaka moc jest najmniej użyteczna w walce ze smokiem? – zapytała Marysia. – Chyba...

I znowu jej nie usłyszałyśmy.

– Ogień! – powiedziałyśmy wszystkie, oprócz Liry, która wyglądała na bliską załamania nerwowego.

– Czyli ty ją bierzesz, Maja – powiedziałyśmy zgodnie z Marysią.

– Co? Dlaczego ja?! – krzyknęła Maja.

– To rachunek za to, że byłaś dla nas taka wredna.

– Co? Nie moja wina, że jesteście dziwne – powiedziała Maja z lekkim cieniem ironii w głosie.

– O Ty...

Rzuciłyśmy się na nią i znowu zaczęła się bitwa.

– Posłuchacie mnie wreszcie?! – Lira przekrzyczała słowa: „jędza, zołza i zazdrośnica”. Ciągle się jednak szamotałyśmy. Wtedy czarodziejka walnęła laską o podłogę i nagle jakaś magiczna siła poderwała nas do góry i unieruchomiła. Rozrzuciło nas po różnych częściach pokoju i łagodnie spłynęłyśmy po ścianach na dół. Próbowaliśmy coś powiedzieć, ale nie mogliśmy. Lira odebrała nam głos.

– Teraz lepiej, prawda? No to zrobimy tak, że będziecie wybierać z zawiązanymi oczami, a żebyście się nie pozabijały, posypię je specjalnym proszkiem. Dzięki temu będą się uruchamiać tylko wtedy, gdy będzie to potrzebne.

Lira zawiązała nam oczy magicznymi chustkami. Bez słowa ustawiliśmy się gęsiego. Marysia była pierwsza i najwidoczniej próbowała podglądać, bo chustka powiedziała coś nieładnego i zacisnęła się jeszcze mocniej na oczach Marysi. Maryśka wylosowała czar wody. Potem była Maja. Wylosowała czar ognia. Ucieszyłam się, że została tylko jedna kula więc dotknęłam jej bez zawiązywania oczu. Poczułam, że coś puściło mi język i znowu mogę mówić. Zauważyłam po twarzach dziewczyn, że też coś takiego poczuły, ale i tak siedziałyśmy w milczeniu.

– To teraz powiesz nam coś jeszcze o Złotym Smoku? – zapytałam.

– A, no tak. Zapomniałabym. Smok jest stary, głuchy i ślepy, więc może nawet nie wiedzieć, że ktoś skradł jego pazur. Może pomyśleć, że dopiero ktoś chce go ukraść, więc musicie być bardzo ostrożne. Przede wszystkim musicie iść ciągle na północ, aż dotrzecie do Smoczej Świątyni. Smoczy Pazur musicie odnieść do ostatniej z komnat. A teraz powinniście iść spać. No już, chodźcie.

Umyliśmy się w wielkim liściu, na którym były wielkie krople rosy. Nie była to idealna umywalka, co chwila się kołysała, ale zawsze to coś. Lira dała nam wielkie purchase pod głowy jako poduszki, a potem sama poszła do swojej sypialni. My też się położyliśmy. Wcześniej jednak zaczęliśmy się przeproszać za wszelkie wyzwiska, ale dotarliśmy tylko do słowa „idiotka” i usnęliśmy.

Obudziłyśmy się wczesnym rankiem. Okazało się, że Lira naszykowała nam już jedzenie, więc od razu usiadłyśmy do stołu.

– Ile będziemy iść? – zapytała Majka Lirę.

– Nie wiem, to zależy od tempa. Śpieszy ci się gdzieś?

– Nie! Po prostu chcę wiedzieć – fuknęła oburzona Majka. Zaciekało to Lirę.

– Czemu się wściekasz? Masz coś do ukrycia? – zapytała podejrzliwie. Maja wydała się niespokojna.

– Niby co? – zaczęła z drżeniem Majka. – Ja w takiej trudnej sytuacji nikogo bym nie zdradziła!

– Dobra, Maja, wierzymy ci. Lira pytała tylko dla żartów, co nie? – powiedziałam przeżuwając kanapkę.

– Mhm... – Lira mruknęła zamyślona. – Szykujcie się, musicie wyruszać.

Zaczęliśmy pakować w plecaki, które Lira nam wyczarowała, wszystko, co niezbędne: 15 jagodzianek, 3 manierki, 3 szczoty i linę z hakiem.

– Podejdźcie się pożegnać – powiedziała Lira.

Zaczęliśmy kolejno podchodzić. Kiedy była moja kolej, Lira szepnęła mi na ucho

– Pilnujcie jej. Coś czuję, że nie jest do końca po naszej stronie.

Kiwnęłam głową i odeszłam. Gdy była kolej Majki, wyszeptałam wszystko Marysi.

– Jesteś pewna, że to powiedziała? – odszepnęła Marysia.

– Przecież nie jestem głucha, rozumiałam każde słowo.

– Wiedziałam, że jest wredna i nielojalna, ale nie wiedziałam, że aż tak.

– Przestań, może da się coś zrobić. Myślisz, że Krynik nas ściga, a ona pracuje dla niej?

– Tak...

– O czym tak szepczecie? – zapytała Maja wchodząc między nas.

– Yyy... My po prostu jesteśmy podeksytowane – wydukałam.

– No to jest powód do szeptu – prychnęła Majka.

Wyszliśmy z domu. Zachęcone piękną pogodą, kiedy tylko ustaliłyśmy, gdzie jest północ, śmiało ruszyliśmy naprzód. Jednak po półgodzinie matka natura przestała nam sprzyjać. Mocno się rozpadało, więc ścieżka zaczęła zamieniać się w wielkie błoto. Na szczęście szybko znalazłyśmy jamę w stoku wąwozu, tuż przed tym, jak ulewa przerodziła się w wielką burzę.

– Mogłabym odesłać tę burzę – powiedziała zamyślona Marysia.

– Dobry pomysł – odparłam z uznaniem.

– Dziewczyno, ja mogę zapalić ogień, jestem bardzo przemęczona i nie mam siły iść. Zaraz padnę – powiedziała niepewnie Majka.

– Przecież idziemy dopiero pół godziny – zdziwiłam się. – Nie możemy tracić czasu. W takim tempie Krynik nas bez problemu dogoni. Kto wie, może jest już w Rezerwacie – przeraziłam się. – Przecież nie możemy spełniać wszystkich jej zachcianek, przecież ona może dla niej... – szybko otrząsnęłam się z tej myśli, bo Marysia coś do mnie krzyknęła.

– Mówię, że stąd wyjdę i spróbuję odesłać tę burzę – powiedziała Marysia. – Maja, mogłabym cię wziąć na barana – zwróciła się do Mai.

– Nie... nie ma takiej potrzeby. Jeszcze cię będą plecy bolały – odparła Majka. – Wiesz, ostatnio, zanim do was dołączyłam, dostawałam w domu dużo do jedzenia.

– Nieprawda, trzy dni temu na wyścigach z innymi na plecach byłaś lekka jak piórko. Nie mogłaś dużo przytyć w trzy dni – zdziwiła się Marysia.

– Ale ja...

– Dosyć tego! Skończcie ten cyrk. Maja, jeśli nie chcesz dojść do Świątyni przed końcem świata to droga wolna! Proszę bardzo, wróć sobie do domu i tam narzekaj, że jesteś zmęczona! – dziwiłam się sama sobie, że mówię jak ważny dowódca do małego szeregowca, który nie chce iść na wielką, krwawą bitwę. Wtedy poczułam, że chcę przytulić Maję i powiedzieć: „Przepraszam, ale nie możemy cię zostawić samej na pastwę losu”. Powstrzymałam się jednak. Przecież nie mogłam się rzucić w ramiona dziewczynki, która tyle razy ze mnie drwiła!

– Wyjdź z pieczary i spróbuj odwołać deszcz – powiedziałam do Marysi. – A Ty przestań narzekać jak stara baba, to nie jest dom starców, a my nie jesteśmy twoimi pielęgniarzami – warknęłam do Majki, ucieszona, że moja uczucia nie wyszły jednak na wierzch.

Szybko skupiłam się na Marysi. Całkiem przemoczona stała po kostki w błocie i wznosiła ręce do góry jak jakiś egipski kapłan. Nagle kropla, która spadała jej prosto na głowę zaczęła lecieć do góry! Inne krople też zaczęły się wznosić! Trwało to chyba z kwadrans, zanim można było powiedzieć, że jest w miarę sucho.

Ruszyliśmy w dalszą drogę. Ścieżka ciągle była lekko śliska, ale Marysia, która niosła Majkę na plecach, wcale się nie wywaliła, więc po dwóch godzinach zjadłyśmy po jednej jagodziance i wypiliśmy wszystko z manierek. Szłyśmy dalej, bo dostałyśmy ostrego „powera”, ale przypomnialiśmy sobie, że nie mamy już wody, więc przystanęłyśmy, żeby Marysia wyczarowała nam coś do picia.

– Maja, nie jesteś zmęczona? – zapytałam złośliwie.

– Nie – odparła Majka, jakby nie było żadnej afery o to, żeby zrobić postój po półgodzinnej podróży.

– Ale... – zaniemówiłam ze zdziwienia.

– Dziewczyny, już wszystko gotowe. Ruszamy? – Marysia przerwała nam rozmowę.

– Tak, ruszajmy, już robi się ciemno. Przejdźmy przynajmniej mały kawałek – poprosiłam i wzięłam od Marysi manierkę z wodą.

Szłyśmy chyba do północy, dopóki nie uznałyśmy, że mamy dość Majkowego jęczenia. No i padałyśmy ze zmęczenia. Zaczęłyśmy szukać miejsca do spania.

– Dziewczyny, zobaczcie, tam coś jest – krzyknęła Marysia i zaczęła biec w kierunku, który wskazała.

Ile sił w nogach (a miałyśmy ich mało), zaczęłyśmy z Mają biec za Marysią. Zobaczyłyśmy ją klęczącą z głową w krzakach.

– Co ty robisz? – spytałam zdziwiona

– Sprawdzam, co tam jest. Jeśli dokładnie się przyjrzycie, zobaczycie, że w tamtym miejscu nie ma drzew. Tak, to polana, tak jak myślałam. Klara, idź i zaznacz tamtymi kamieniami ścieżkę, po której szłyśmy – powiedziała Marysia wyjmując głowę z krzaków. Zaczęłam taszczyć wielkie kamienie aż do dróżki. Po 10 minutach wróciłam.

– Już jesteś? No to idziemy – zakomenderowała Marysia i zaczęłyśmy się przeciskać przez krzaki. Chciałyśmy po prostu móc upaść na trawę i usnąć, ale myśl o tym, co może czaić się w tych zaroślach na szczęście nas popędzała. Szybko wyszłyśmy z krzaków

i zobaczyłyśmy obszerną polanę, na której rośło jedno jedyne drzewo o wielkich, grubych, rozłożystych konarach. Choć był środek nocy, oślepiało nas światło księżyca.

– Kładziemy się? – zapytała wyczerpana Maja leżąc już na trawie.

– Nie, lepiej nie ryzykować. Lepiej by było nie obudzić się w brzuchu jakiegoś zwierzęcia. Spróbujemy zmniejszyć szanse na to – odparła Marysia przypatrując się samotnemu drzewu. – Dobrze by było, gdybyśmy się tam przespały.

– Ok, to jak wejdziemy? – spytała dziewczyn, kiedy stanęłyśmy pod drzewem.

– Wiem! Maja, wejdź mi na ramiona i spróbuj wskoczyć na gałąź, wtedy ja pomogę wejść Klarze, a Ty ją wciągniesz z góry za ręce. Potem wciągnięcie mnie – powiedziała Marysia.

– Dobrze – Majka wskoczyła Marysi na plecy, a potem trzymając się wielkiego pnia, wlaźła jej na ramiona.

– Skacz! – krzyknęła Marysia i Maja szybko skoczyła w górę, kurczowo chwytając się wielkiego konara.

– Pomocy! Nie mogę przełożyć nogi – zaczęła płakać Maja.

– Poczekaj, pomogę Ci – krzyknęłam do Mai i zaczęłam skakać pod jej nogą próbując ją dosięgnąć i przerzucić nad konarem, tak jak robiłam z piłką od siatkówki.

– Poczekaj! Prawie! Już! Udało się! – wysapała zadowolona Majka.

– Klara, chodź. Pomogę ci – zawołała Marysia.

– Już jestem! – wdrapałam się na konar z pomocą Majki.

– Dobra, to teraz wy mi pomóżcie – wyciągnęła ręce Marysia i szybko znalazła się na drzewie. – Dzięki, ale nie zmieścimy się razem. Przejdę na tamtą gałąź – i obejmując pień przeszła na drugą stronę. Jutro musimy wcześniej wstać – ziewnęła Marysia.

– Dobranoc – ziewnęłam razem z Mają i wszystkie zasnęłyśmy.

Obudziłyśmy się późnym rankiem. Kiedy zorientowałyśmy się, która jest mniej więcej godzina, zaczęłyśmy się zbierać. Rzecz jasna, towarzyszyło nam marudzenie Mai, więc nawet nie zdążyłyśmy zjeść śniadania. Dopiero kiedy zeszłyśmy z drzewa, zaczęłyśmy dłuższą rozmowę.

– Chodźcie. Maja, przestań wreszcie jęczeć – jęknęłam i ja. – Nie wytrzymam nerwowo – zaczęłam masować skronie.

- Klara, mam powód. Ty nie wiesz jak mnie wszystko boli.
- Majka, czy ty naprawdę przez chwilę nie możesz być cicho? – krzyknęła Marysia.
- Dobra, dobra, będę cicho.
- Yes! – krzyknęłyśmy z Marysią ucieszone.

Szłyśmy pół dnia, a Maja się nie odzywała. To był dzień jak z marzeń. Nagle poczułyśmy podmuch ogromnego gorąca

– Dlaczego nagle zrobiło się jak w saunie? – zdziwiła się Marysia.

– Nie wiem, może przejdźmy dookoła – powiedziałam.

– Nie, lepiej nie. Przecież możemy wtedy zgubić drogę. Nie ryzykujmy – odezwała się niepewnie Maja.

– No dobra, niech ci będzie, ale pamiętajcie, idziemy cicho i spokojnie – powiedziałam i ruszyłyśmy ostrożnie naprzód.

Robiło się coraz cieplej. Pot zaczął nam lać się z czoła. Koszulki były mokre. Zaczęłyśmy się oddalać od siebie, więc Marysia zaproponowała – Może lepiej by było, jakbyśmy szły trochę bliżej siebie?

– Ok – odparłyśmy z Mają chórem.

Nagle przed Marysią buchnęła para. Chciała uciec, ale z tyłu pojawił się ogromny słup wody. Tak samo stało się przy mnie i Majce. Byłyśmy na polu gejzerów!

– Dziewczyny, tylko spokojnie, nie ruszajcie się! Musimy coś wymyślić! – krzyknęłam przerażona.

– Jak mam być spokojna?! – wrzasnęła Marysia.

– Dziewczyny, pomóżcie! – jęknęła błagalnie Maja otoczona wielkimi słupami wody buchającymi metr od niej.

– Poczekajcie, chyba wiem, co robić! – krzyknęłam do dziewczyn i najlepiej jak umiałam odbiłam się od ziemi. Udało mi się opanować. Byłam na dużej wysokości, ale na wszelki wypadek i tak unikałam gejzerów, które były pod moimi stopami. Zaczęłam piko-
wać w dół i zatrzymałam się tuż nad słupami wody. Nagle mocno zapiekła mnie noga.

– Auuu! – pisnęłam, ale szybko skierowałam się do Majki. – Złap się – i Majka mocno chwyciła się moich nadgarstków. Poleciałam wysoko w górę i zabrałam Maję na skałę, stojącą na końcu pola. Potem szybko wróciłam po Marysię. Ból nogi mi przeszkadzał, ale dałyśmy radę.

– Dzięki – powiedziała Marysia i przyjacielsko poklepała mnie po plecach, tak jak czasami robią to w westernach.

– Uratowałaś mnie – jęknęła radośnie Maja i rzuciła mi się na szyję. – Znaczy... Dobra robota... Dzięki – dodała, gdy tylko zorientowała się, co zrobiła.

– Nie ma sprawy – powiedziałam ledwo ukrywając śmiech.

– Chodźmy już – powiedziała Marysia. – Klara, utykasz, co ci się stało w nogę?

– Nic. Już przestaje – powiedziałam, choć tak naprawdę w ogóle nie przestało.

– Na pewno?

– Tak – z trudem ukrywałam ból.

– Klara, wiem, że udajesz. Znam się na tym, daj przynajmniej zobaczyć – zatroskała się Majka.

Nie wierzyłam jej, ale była taka zatroskana! I to jeszcze o mnie!

– No pokaż.

– Naprawdę nie trzeba – zapewniałam Majkę, gdy ta zaczęła się przyglądać mojej łydce.

– W tym miejscu masz zaczerwienioną całą skórę! Strasznie się oparzyłaś.

– Auć – jęknęłam.

– Cicho. Masz gałązkę i zagryź. Nie wiem, czy pomoże, ale tak się robiło operacje, kiedy nie było znieczulenia. Marysia, podaj mi rękę i powoli zacznij ją zbliżać do oparzenia Klary.

– Maja, naprawdę... – powiedziałam, ale nagle Maja włożyła mi między zęby gałązkę, kazała Marysi dotknąć oparzenia i wyczarować wodę. Lodowatą!!!

– Auu, auuu – zaczęłam jęczeć. Na początku szczypało, ale potem już nie. Po prostu chciałam zrobić na złość Majce.

– Marysia, daj mi scyzoryk – powiedziała Majka.

– Masz – Marysia rzuciła scyzoryk do Mai.

– Dzięki. Ja mam chyba najdłuższe spodnie, prawda?

– Chyba tak.

– Dobra – Majka nagle obcięła sobie nożem kawałek nogawki. – Z tego będzie bandaż – owinęła mi kawałek dżinsu wokół łydki i zawiązała.

– No to idziemy – powiedziałam i po krótkim zastanowieniu dodałam – Dzięki, Maja.

– Nie ma za co – odparła.

Ruszyliśmy dalej na północ. Zatrzymałyśmy się, gdy niebo nabrało barwy soku pomarańczowego, a chmury były prawie jak wata cukrowa.

– Popatrzcie na to wzgórze. Możemy na nie wejść i sprawdzić, czy nie widać świątyni – powiedziała Marysia wskazując na wysoki pagórek.

Za chwilę byliśmy na szczycie. Faktycznie, widać było świątynię.

– Zobaczcie, do świątyni mamy tylko pół dnia drogi – powiedziałam ucieszona i klepnęłam Marysię.

– No to idziemy – Marysia zaczęła schodzić ze wzgórza, gdy zauważyła w oddali jakąś postać. – Kto to jest? To chyba nie...

– Kryniki! – krzyknęłam przerażona.

– Spokojnie – Marysia próbowała mnie pocieszyć, chociaż sama nie była spokojna.

Majka stała bez ruchu i milczała. W końcu powiedziała:

– Dziewczyny, nic nie jest stracone, o ile Klara da radę polecić z nami jak najdalej.

– Dobry pomysł – powiedziałam. – Maju, wejdź mi na plecy, a Marysia niech się złapie liny z hakiem.

Majka w milczeniu weszła na mnie. Szybko odbiłam się od ziemi, a wtedy Marysia złapała się liny, którą miałam zawiązaną w pasie.

– Myślisz, że nas zauważyła? – zapytałam Marysię, ale odpowiedziała mi Maja.

– Na pewno nie. Jeśli nas nie dogoniła, to znaczy, że nie ma już siły, więc na pewno ją prześcigniemy – powiedziała. – Wiecie, Lira mi powiedziała, że jest skrót...

– Ale przecież Lira mi powiedziała, że mamy iść na północ. Nic nie wspominała o skrótach – zaoponowałam.

– Może po prostu nie słuchaliście – prychnęła z wyższością Maja.

– Niech Ci będzie. Gdzie jest ten skrót? – zapytałam.

– Musimy przelecieć obok lasu...

– Nie lepiej byłoby iść leśną drogą? – zaprotestowała Marysia, ale nawet jej nie usłyszałam, bo kiedy się odwróciłam, zauważyłam, że Kryniki jest coraz bliżej!

Ruszyliśmy z kopyta, ale już po półgodzinie musiałyśmy się zatrzymać, bo byłam całą zlaną potem. W końcu dźwigałam je obie na raz.

- Widzisz, Maja, mówiłam, że Klara się zmęczy – powiedziała Marysia.
- Ale za to Krynik nas nie dogoni – zapewniła Maja.
- I co z tego, jeśli Klara zaraz padnie?
- To, że wtedy przejmę dowodzenie! I każę Ci nieść plecaki jak koń pociągowy!
- Konie pociągowe nie noszą bagaży – wytknęła z ironią Marysia.
- Lecimy – powiedziałam do dziewczyn, bo widziałam, że szykuje się kłótnia.

Po dwóch godzinach lotu z uwieszonymi na sobie dziewczynami prawie wpadłam na budowlę, która kształtem i wszystkim innym przypominała piramidę Majów. Smocza Świątynia. Byliśmy u celu.

- Idziemy na górę? – wyrwała się Majka.
- Lepiej byłoby podlecieć – powiedziała Marysia.
- Właśnie, będzie szybciej – poparłam ją.
- Moce bardziej przydadzą się w świątyni.
- Może i tak – po namyśle zgodziłam się z Mają.

Zaczęłyśmy wspinać się po schodach, których stopnie sięgały nam do pasa. Dotarliśmy na szczyt piramidy, kiedy było już całkiem ciemno. Na szczycie piramidy stał mały budynek, coś w rodzaju wejścia do szybu.

- Otwieramy? – spytała Marysia.

Dopiero teraz przypomniałam sobie, że mieszka tam smok...

– Chyba musimy – odpowiedziałam przełykając ślinę jak najciszej, żeby nie było słychać, że się boję.

Moje przełykanie śliny miało donośność lądowania samolotu. Maja i Marysia spojrzały na mnie, jakbym przed chwilą tańczyła na stole. A one się nie bały?

– No co? Otwieram, nie widać? – powiedziałam, żeby skupiły się na wielkiej klamce jednego ze skrzydeł drzwi.

Uchyliłam je najdelikatniej, jak było można. O dziwo, nie skrzypnęły, tak jak drzwi do czegoś bardzo starego, co było otwierane kilkanaście dni temu (no bo niby kiedy Krynik miała skraść pazur), tylko jakby chwilę przed nami.

Nagle zaparło mi dech w piersiach. Wewnątrz świątyni było jasno jak w środku dnia! W ściany były wbudowane złote lustra, które iskrzyły się magicznym światłem. Gdzieś

daleko w górze przezroczyste sklepienie robiło wrażenie kopuły, przez które wpadało światło księżyca odbijające się od luster.

Weszliśmy do środka. Staaliśmy chyba w holu głównym, bo schody, które to miejsce otaczały, pięły się coraz wyżej i wyżej prowadząc na odrębne piętra. Co jednak zwróciło moją uwagę, to szerokie, odróżniające się od pozostałych dodatkowe schody, porysowane pazurami...

– Schody smoka... – szepnęłam cicho.

– Musimy się trzymać jak najdalej od nich, żeby nas nie zauważył – odparła Marysia.

– Przecież on jest ślepy

– Wiesz, o co mi chodzi.

Nagle usłyszałyśmy gdzieś w oddali głośne warknięcie, a potem jakby pochrapywanie.

– To smok – byłam przerażona. – Lepiej się nie ościagać. On w każdej chwili może się obudzić, a my musimy znaleźć właściwą komnatę.

– A może pójdziemy schodami smoka za odgłosami chrapania? – zaproponowała Maja.

– Niby dlaczego? – zdziwiłyśmy się.

– No bo przecież smok pilnuje tego pazura, więc legowisko musi mieć blisko tej komnaty, no nie?

– No chyba tak...

– Dziewczyny, będzie naprawdę szybciej – powiedziała Maja. – Dlaczego mi nie wierzycie?

Zrobiło mi się jej żal.

– No dobra – zgodziłam się.

Maja pisnęła z radości. Zauważyłam jednak, że kiedy zaczęłyśmy wspinać się na schody, zatrzymała się, tłumiąc w sobie jakąś myśl. Westchnęła tylko i poszła dalej. Nagle trafiliśmy na długi korytarz, w którym było bardzo dużo różnych drzwi. Korytarz był tak wielki, że chrapanie rozlegało się na wszystkie strony i nie wiedziałyśmy, skąd tak naprawdę ono pochodzi.

– No i co teraz? – spytałam bezradnie. Widać było, że Maja i Marysia nie wiedzą, co powiedzieć.

– Zobaczcie, ta ściana wygląda inaczej. Na wszystkich wyrzeźbiony jest smok, a na tej oko, które ma czerwoną tęczówkę – pokazała palcem Marysia.

- Rzeczywiście – zdziwiłam się. – Myślisz, że to wskazówka?
- Jasne, że tak. Tylko co ona oznacza? – zamyśliła się Marysia.
- Naprawdę nie widzicie? Na pewno trzeba to nacisnąć – prychnęła Maja i nacisnęła czerwoną tęczówkę. Nagle ściana się rozwarła.
- Wow, brawo Majka – powiedziałam z uznaniem. Maja uśmiechnęła się, a potem jakby posmutniała.
- Weszliśmy do środka korytarza, na którego końcu widać było schody prowadzące na dół. Czyżby to były schody do właściwej komnaty ?
- Niedługo się nad tym zastanawiałam, bo nagle spadła na nas wielka klatka!
- Maja! – zawołałam, bo zauważyłam, że uskokczyła w bok, dzięki czemu nie wpadła do klatki. Próbowałam podleciec w górę, ale bezradnie opadłam w dół.
- Marysia, roznieś tę klatkę bombą wodną – ale Marysia tylko na mnie popatrzyła z rozpaczą. Straciliśmy nasze moce.
- Majka, pomóż! – lecz Maja nie reagowała, tylko patrzyła tam, skąd dobiegał stukot obcasów. To Krynik!
- Majka chowaj się! Potem nas uwolnisz!
- A kuku! – powiedziała Krynik wchodząc do korytarza. – Jaka ładna scenka... Dwie koleżanki poświęcają się dla trzeciej nie znając jej prawdziwego oblicza. – Ha, ha, ha
- zaczęła śmiać się szyderczo obejmując Majkę ramieniem. – Prawda, Maju? – Majka kiwnęła głową lekko się uśmiechając.
- Ale... – zaniemówiłam. – Jak mogłaś być tutaj szybciej od nas, przecież szłyśmy skrótem.
- Normalna rzecz, jak ma się tak zdolną uczennicę, która na koniec roku będzie miała szóstkę z esperanto – poklepała Maję po plecach.
- To dlatego nas na początku spowalniała – krzyknęła Marysia. – I ten skrót to wcale nie był skrót...
- Maja się nie odzywała, ale kiwnęła głową. Widać, że była smutna, a łzy napływały jej do oczu. Nagle wyjęła z kieszeni bluzy książkę i pazur!
- Dziękuję Maju, ale zobacz, twoje koleżanki będą samotne, gdy ja, znaczy my... będziemy zdobywać świat. Przydałoby się im towarzystwo – syknęła.

- Przynajmniej powiedz, dlaczego moce nie działają – krzyknęłam.
- Ty im powiedz, Maju – pani Krynik zwróciła się niechętnie do Majki.
- Bo... Świątynia wyciąga moce, które już były użyte – powiedziała Maja.
- Mniejsza o to ! Czas już iść, prawda, Maju? No, chodźmy – powiedziała Krynik.

Maja nagle przystanęła oglądając się na nas niepewnie. Odpowiedziałyśmy jej spojrzeniami pełnymi złości, ale jeszcze bardziej zawodu.

– Maju, chodź – krzyknęła Krynik.

– Idę – odpowiedziała Maja i pobiegła za Krynik. Wtedy nauczycielka odezwała się do nas:

– Ups! Zapomniałam wam powiedzieć, że obudziłam smoka. Ale ze mnie gapa. Powodzenia w utrzymaniu się przy życiu – i wyszła, a za nią Maja.

Kiedy tylko ucichły ich kroki usłyszaliśmy potężny ryk i miarowe człapanie gdzieś w oddali. Zaczęłam płakać

– I co teraz zrobimy... To koniec. Maja nas zdradziła, Krynik obudziła smoka, a smok nas zeżre. Zawiodłyśmy wszystkich: babcię, dziadka, Lirę, siebie i cały świat. Jak mogłyśmy nie zauważyć, że Maja pracuje dla Krynik? Jak? – i znów zaczęłam płakać.

– Spokojnie, to nie nasza wina – powiedziała Marysia, chociaż sama wiedziała, że to nasza wina. Jej też łzy napływały do oczu. Ryk był coraz głośniejszy. Podłoga zaczęła tak drżeć, że zaczęłyśmy na niej podskakiwać. I wtedy na schodach zauważyłyśmy ogień...

Robiło się nam coraz cieplej. Płomienie zaczęły sięgać klatki, więc przesunęłyśmy się w tył, ale pręty były już tak nagrzane, że musiałyśmy stanąć na środku. Ze strachem czekałyśmy na swój koniec, kiedy nagle zamiast smoka zobaczyłyśmy Maję !

– Po co tu przyszłaś? Idź sobie do Krynik po szóstkę z esperanckiego, a nas zostaw w spokoju! – zaczęłyśmy się przekrzykiwać z Marysią.

– Nie zostawię was, nie tym razem – powiedziała cicho Maja.

– Nie słyszysz? Nie chcemy, żebyś nam pomagała! Znowu nas gdzieś zaprowadzisz? Znowu będzie niby skrót, tylko tym razem prosto do legowiska smoka, prawda?!

– Nigdzie was nie zaprowadzę. Krynik kłamie. Jeśli nawet dostanę szóstkę, to po co, skoro będzie koniec świata? A poza tym... Was... lubię...

– Niby dlaczego mamy Ci wierzyć? – zapytałam.

– Dlatego – Maja wyjęła pazur. – Zabrałam go Krynik, gdy nie patrzyła.

- A co zrobiła Krynik? – zapytała Marysia, a ja schowałam pazur do plecaka.
- Dostała w głowę ognistą bombą.
- Żyje?
- Jest na jakiś czas ogłuszona. Teraz mi wierzyć?
- Dobra, przede wszystkim musimy oddać pazur.
- Roztopię kłódkę – Maja strzeliła płomieniem z dłoni i za chwilę wyskoczyliśmy z klatki.
- Gdzie dokładnie jest ta komnata, do której musimy iść? – spytałam Majkę.
- Chodźcie, zaprowadzę was – zaczęliśmy za nią zbiegać po schodach.

Ryk na korytarzu był tak głośny, że musiałyśmy zatykać uszy. Wtedy zobaczyliśmy smoka... Był wysoki jak dwa autobusy, a długi jak całe trzy. Pociągnął głośno nosem i nagle odwrócił się w naszą stronę. Warknął i zaczął się do nas zbliżać. Stałyśmy, nie wiedząc, co zrobić.

Nagle przypomniałam sobie o zawartości plecaka. „A co mam do stracenia”? Najszybciej jak mogłam, sięgnęłam do plecaka, wyjęłam jagodziankę i rzuciłam nią w smoka. Chyba się zainteresował, bo zaczął obwąchiwać bułkę, a potem wziął ją do pyska i zaczął przeżuwać.

- Powinnyśmy trochę zyskać na czasie – powiedziałam do dziewczyn.

Zaczęliśmy biec w kierunku, który wskazała Maja. Zobaczyliśmy przed sobą drzwi do komnaty, gdy nagle drogę zastąpiła nam Krynik. Momentalnie zawróciliśmy, ale tylko po to, by zobaczyć, że tuż za nami stoi smok!

- Proszę, proszę, kogo my tu mamy – wysyczała osmalona Krynik.
- Kogoś, kto cię pokona – Maja próbowała dodać odwagi sobie i nam.
- Doprawdy? Maju, nieładnie tak zdradzać jedyną osobę, która cię lubi, która da ci szóstkę z...
- Ty jej wcale nie lubisz! I nie dasz jej żadnej szóstki! – krzyknęła Marysia.
- No to umrzecie w przyjaźni, niech smok się wami zajmie – złośliwie uśmiechnęła się Krynik.

Stałam, nie wiedząc, co zrobić.

- Klara, plecak – szepnęła Marysia.

– Co? – początkowo nie zrozumiałam, ale momentalnie mnie olśniło. Zanim Krynik się zorientowała, rzuciłam w nią plecakiem. Smok, mimo że stał za naszymi plecami, wcale

nie był zainteresowany kłótnią. Wytrwale niuchał za jagodziankami. Teraz na nowo poczuł ich zapach w powietrzu. Powoli zaczął człapać w stronę Krynik.

– Dobry smoczek, dobry... – zaczęła się jękać przerażona Krynik. Zanim skończyła, smok pochylił się nad nią i wkrótce wylądowała w jego paszczy wraz z plecakiem. Smok zaczął przeżuwać tak jak za pierwszym razem, ale teraz trwało to dłużej bo musiał przeżuć jagodzianki, plecak, panią Krynik i... No właśnie, nagle smok przestał ruszać paszczą i... Wypluł prosto na moją rękę... smoczy pazur! A później po prostu odwrócił się i poszedł do legowiska. Widać pani Kryniki była zbyt ciężkostrawna.

Otworzyliśmy drzwi do komnaty.

– Kto odnosi? – zapytałam, bo bałam się, że jeszcze coś złego nas spotka na sam koniec.

– Może ty, Klara? – spytała Marysia.

– A niby dlaczego ja? – oburzyłam się.

– Bo masz pazur w ręce – wypunktowała mnie Marysia i obie z Mają parsknęły śmiechem.

– Bardzo śmieszne – mruknęłam i ruszyłam w stronę gabloty znajdującej się na środku komnaty.

– Poczekaj – dziewczyny zaczęły iść za mną.

– Dzięki – powiedziałam, chociaż wcale nie dodawało mi to odwagi. Powoli i delikatnie odłożyłam pazur do gabloty. W milczeniu wracałyśmy do wrót świątyni czekając kiedy wpadniemy w jakąś pułapkę...

– No to wracamy – powiedziałam do dziewczyn.

– Ruszajmy – Marysia już była na przedzie.

– Pieszo? Nie możecie mnie ponieść? – Maja popatrzyła na nas wyczekująco.

– Och, zamknij się, Maja – parsknęłyśmy śmiechem i wszystkie trzy ruszyłyśmy po schodach...

Koniec

Zuzanna Rosińska

lat 11

Nietypowa przygoda

pod redakcją Lidii Mikockiej-Rosińskiej

1

Dzień jak co dzień. Mama wyrwała z łóżka mnie i moją starszą siostrę do szkoły, ale stało się coś nieoczekiwanego...

- Mamo, daj jeszcze pospać – poprosiłam.
- Wstawaj! Za dziesięć minut lekcje! I ty tak samo, Dagmara! – zawołała mama.
- Eee... – odpowiedziała moja siostra.

W końcu spełłam z łóżka, sprawdziłam, czy mam wszystko w tornistrze, przebrałam się. Śniadania nie zdążyłam już zjeść i pobiegłam do szkoły. Po lekcjach poszłam na targ, ulicę obok szkoły, gdzie spotkałam Dagmarę.

– Hej – powiedziałam, ale ona spojrzała na mnie groźnie, jak to zawsze w takich chwilach robi.

Kiedy byliśmy w domu, zaczęło się.

- Mamo, Zuzia znowu to zrobiła przy chłopakach!!! – krzyknęła Dagmara.
- Przepraszam, ale nie musisz być ciągle taka zła o wszystko. Chcę z tobą normalnie gadać – powiedziałam.
- Taa, jasne, gówniaro!!! Nie chcę cię już widzieć!!! – wykrzyczała Dagmara.
- Nie znoszę cię – wyrwało mi się.
- Zamknij się!
- I wtedy wkroczyła mama.

– Dość!!! Do pokoju, ale już! – krzyknęła i poszłyśmy do naszego pokoju.

– I co, zadowolona? – kąśliwie zapytała Dagmara.

– O co ci chodzi? To tobie się nic nie podoba, a nie mnie – rzuciłam.

– Taa, na pewno – warknęła i zanurzyła się w „wirtualu”. Ja zaczęłam odrabiać lekcje i zapanowała cisza. Po zakończonej pracy rozmyślałam, o co jej „kaman”... Przecież nie zaczarowałam jej w klauna albo coś. Nie zamierzam dać się tak traktować, tym bardziej, że to nie pierwszy raz. Jej oczy są czerwone, a ręce takie sztywne. Płakała? Co mam o niej sądzić? Chyba za dużo o niej myślę. Zajmę się teraz sobą, a jej może jej przejdzie. A może nie i mnie zagryzie? No, nieważne. Najlepiej jakby sobie stąd poszła.

Poszłam zjeść owsiankę, którą przygotowała mi mama. Kiedy skończyłam, postanowiłam pograć w swoją ulubioną grę Wildcraft. Po chwili przyszła Dagmara i patrzyła na mnie długą minutę, aż zapytałam:

– Coś nie tak?

Odpowiedziała mi cisza, a Dagmara wciąż na mnie patrzyła. To mnie trochę zestresowało, nie wiedziałam co robić, więc znowu zatopiłam się w grze.

– Dużo – odpowiedziała po dłuższej chwili i mówiła dalej. – To z tobą jest coś nie tak. Jesteś tylko takim robakiem, którego zgniotę.

Starałam się nie zwracać na nią uwagi. Grałam dalej.

– Słyszałaś?! – nalegała Dagmara.

Wreszcie odpowiedziałam ze spokojem w głosie.

– Tak. Przecież wiesz, że nie jestem głucha.

Wtedy Dagmara warknęła nerwowo.

– Idź sobie. Słyszysz mnie!?

– Taaaak – odpowiedziałam i poszłam. Schowałam się w swojej części naszego wspólnego pokoju i rozmyślałam o tym, że chętnie rozszarpałabym moją siostrę na małe kawałeczki. Dlatego napisałam jej nick z gry Wildcraft – Datrix, a potem tę kartkę z napisem porwałam, kiedy akurat przyszły mama z naszą najmłodszą siostrą Kasią. Uspokoiliłam się trochę i całe popołudnie bawiłam się z Kasią. O dziewiętnastej przyjechał tata, jak zwykle zmęczony i szybko poszedł spać. Wieczorem, gdy Dagmara chciała już spać, a ja jeszcze nie, i zapaliłam światło, zaczęło się...

- Zgaś to światło!!! – warknęła moja starsza siostra.
- Nie – zaprotestowałam, bo chciałam jeszcze poukładać poduszki, którymi Kasia bawiła się za dnia. Ale i mnie chciało się spać.
- No zgaś to światło, chyba że chcesz, żebym nafrajerzyła rodzicom!!!
- Jeśli ktoś nie wie, to nafrajerzyć znaczy naskarżyć. I Dagmara chciała – jak zawsze – właśnie to robić.
- Nie chcę! Mnie też chce się spać, ale muszę ułożyć te poduszki, a kłótnię tylko przedłużamy czas palenia się światła!
- No i przegięłaś. Idę!
- A to idź – wzruszyłam ramionami i zaczęłam przestawiać poduszki. Akurat położyłam się spać, kiedy przyszła Dagmara z mamą.
- No, ale co ona ci przeszkadza? Leży sobie – powiedziała zaspana mama.
- Ale mamo! – nalegała Dagmara.
- Już uspokój się i kładź się spać – powiedziała mama chcąc zakończyć kłótnię.
- Aż tu nagle Dagmara, jeszcze przy mamie, dała mi plaskacza, czyli wałnęła w twarz.
- No, Dagmara! Oddaj za karę telefon! – zażądała rozeźlona mama.
- Mamo!
- Dosyć! Oddaj i kładź się spać!
- I mama zgasiła światło palące się do tej pory, więc nareszcie można było spokojnie spać po tym durnym, wkurzającym, denerwującym i męczącym dniu.

2

Następnego dnia czułam, jak dziwnie swędzi mnie brzuch i słyszałam, jak ktoś chrapie. Czułam, że moje łóżko jest miejscami kłujące, ale przeważnie dziwnie miękkie, zupełnie jak trawa. I mama nie budziła nas do szkoły, choć wiedziałam, że to już pora, bo miałam takie poczucie czasu, jakiego nie posiadam normalnie na co dzień. Czułam, że jest grubo po dziewiątej, a do szkoły mam na 7:55. Kiedy otworzyłam oczy, dość szybko spostrzegłam, że wcale nie jestem w domu ani u siebie w pokoju. Wszystko dookoła wyglądało inaczej, jakbym znajdowała się w zupełnie innym świecie. Obok mnie leżał wilk, którego chrapanie właśnie słyszałam i doszłam do wniosku, że coś mi to przypomina. Wyglądało na to, że jestem... w grze Wildcraft. I to wcale nie wyglądało jak sen. To gra, w której się

jest dzikim zwierzęciem i trzeba się zachowywać tak jak ono. Ale jakim cudem ja się w niej znalazłam? Spojrzałam na swoje łapy. Byłam rysiem.

Odezwałam się do wilka i spytałam, kim jest, a kiedy on znanym mi głosem powiedział do mnie to samo, poczułam, że już nic nie rozumiem. Wilk dodał, że jest strasznie zdenerwowany i rzucił się do ucieczki. Nie mogłam pozwolić mu odejść, pobiegłam więc za nim, dogoniłam go, aż w końcu przemógł się i zaczął ze mną rozmawiać.

– Jestem Dagmara i nie powinnam... Zuzia!?

– Skąd wiesz, kim jestem!? – przestraszyłam się. – Zaraz, chwileczkę... Dagmara!? – wykrzyknęłam.

– Cicho. Nie drzyj się, bo wszystkie zwierzęta nas usłyszą – uciszyła mnie jak zwykle moja siostra i już wiedziałam, że to na pewno ona.

– Ale jak? Skąd? Dlaczego my? – zapytałam zdezorientowana.

– Chodźmy stąd do DENU, bo jeszcze nas dziki zjedzą – zarządziła Dagmara.

DEN to określenie domu w tej grze. Dagmara też w nią grała, też miała swój awatar i знаła wszystko na pamięć. Żadna plansza w Wildcrafcie, zwana mapką, nie miała dla niej tajemnic. Ja też je znałam, ale byłam w szoku aż zemdlałam. W końcu dotarliśmy do DENU, a Dagmara wytłumaczyła mi swoim rozkazującym tonem, żebym więcej tak nie mdlała na środku mapy, bo kiedy wilk zaciąga rysia do jakiegoś miejsca, wygląda to co najmniej nieciekawie.

– Zwracajmy się do siebie i w towarzystwie innych osobników pseudonimami, oki? – zaproponowała Dagmara. – Od tej chwili jestem Datrix – dodała.

– No dobra – zgodziłam się. – A tak w ogóle, czy ty wiesz, jak polować?

Spytałam, bo już trochę zgłodniałam, a przecież skoro jesteśmy w grze, a nie na zewnątrz, to polowanie będzie na pewno trudniejsze niż wtedy, gdy znajdowaliśmy się poza nią...

– Chodź, Wira, przekonamy się – Datrix zawołała mnie moim imieniem z gry. Zapolujemy na wiewiórkę albo coś podobnego. Byleby nie było za duże, bo jeszcze by nas zabiło i nie wiem, co wtedy stałoby się z nami w prawdziwym życiu...

– Oki – powiedziałam i wyszliśmy z DEN.

Bałam się, że nas napadną lisy albo inne złośliwe zwierzęta.

– Na pewno nic nam nie grozi? – wciąż pytałam Datrix. – Przecież na tej mapie normalnie nie ma na przykład wilków, a tu są.

– W sumie to nie wiem – przyznała Datrix. – Udawaj normalne zwierzę i może ukradkiem wydostaniemy się stąd. Pewnie to jakaś anomalia.

– Nie – zaprzeczyłam. – Moim zdaniem to nie jest „zwykła” anomalia. Spójrz, te zwierzęta mają jakieś zachowania, a z normalnymi, znaczy się takimi z gry, tak nie jest. O, widzisz tamtego z prawej?

– No widzę, ślepa nie jestem. Idźmy do tamtej góry przy BOSSie, tam też jest coś do upolowania.

BOSS to bardzo silny przeciwnik w grze, większy i groźniejszy niż inne zwierzęta. Gdy się go upoluje, można przejść dalej, ale my nie byłyśmy dość mocne. Przemknęłyśmy obok, starając się wyglądać jak zwykłe zwierzęta.

– No i gdzie te wiewiory i króliki? – rozglądałam się. – Wiesz, jak... Eee... Datrix?

– Auuu! – zawyła moja siostra. – Chodź tędy. Wira?

– Eee... Co? A nie, nic. Prowadź – zgodziłam się.

Zamurowało mnie. Ledwie chwilę siedzimy w tej grze, a ona już tak wszystko opanowuje. Jak ona to robi?

– Spróbuj sama, to nie jest trudne – powiedziała do mnie Datrix.

– No dobra. Ale jak by co, to się nie śmiej – poprosiłam.

– Dobra, nie będę – obiecała, chociaż zawsze korzystała z okazji, by mi dopiec.

Nadęłam się i nagle wydałam z siebie dźwięk.

– Wrrr... Udało się! No to którędy biegniemy?

– Chodź za mną, jest niedaleko – powiedziała Datrix.

Parę minut później dobiegłyśmy do celu.

– Ja idę za tą wiewiórą z prawej, ty idź upoluj tę z lewej – wskazała Datrix.

– Dobra. Daj znak, kiedy zaczynamy!

– Teraz! – wrzasnęła nagle Datrix. – Mam cię!

– Wrrr!!! Wrrr!!!

– No, nareszcie udało się coś upolować – czułam, że nadal burczy mi w brzuchu. – Hej, idziemy zapolować na BOSSa?

– Zwariowałaś?! – Datrix, gdyby mogła, popukałaby się w czoło. – Jesteśmy za słabe, zabije nas!

– He, tak tylko żartowałam.

– Spójrz!!! – krzyknęła nagle do mnie siostra. – Tam, za drzewem! To te wilki! Spadamy stąd!

Zaczęłam za nią biec ile sił w łapach.

– Czego one od nas chcą? – zdyszana próbowałam się dowiedzieć.

– Nie wiem, Wira, ale nie gadajmy w biegu.

– Auu...

Zaczęły za nami wyć jak opętane. Po drugiej stronie góry, gdy wreszcie mogliśmy zwolnić, Datrix spytała mnie, czy umiem się wspinać...

– Nie wiem. Spróbuję.

Udało mi się. Datrix zawołała z dołu.

– Jesteś w stanie mnie tam wciągnąć?

– Wrrr... Nie! Nie uda mi się.

– Czekaj, sama spróbuję.

– Szybko!

Krzyknęłam, bo zobaczyłam zbliżające się wilki. Na szczęście Datrix zdążyła. Przyciąliśmy się i patrzyliśmy, jak zbliżają się i rozmawiają ze sobą.

– Wywuchamy ich – powiedział największy ze stada. – Przecież nieźle tropimy.

– O nie... – wyszeptała Datrix. – Zapomniałam, że wilki świetnie tropią i mają znakomity węch.

– Może wyskoczymy znenacka i pobiegniemy co sił tam, w stronę tej góry? – zaproponowałam cicho.

– Okej, Wira – zgodziła się Datrix. – Najpierw ja, potem ty. Teraz!

Szybko zaczęliśmy uciekać do DENU. A mnie przyszedł do głowy świetny pomysł.

– Hej, Datrix! Możemy się przecież teleportować. Wiesz jak?

– Nie wiem, ale spróbuję. Kładź się obok i „na trzy” robimy teleport. O ile wiesz jak.

– Ale...

– 1, 2, 3, teleport! – nie czekała na mnie.

– Eeee... Teleport!

Udało się. Znalazliśmy się przy chatce w lesie zwanej w grze DENem.

– Było blisko – powiedziałam zdyszana. Datrix w tym czasie rozmyślała już nad kolejnymi zadaniami z gry.

– Wira, jakiego PETa wybrać?

PET to zwierzątko, które można kupić sobie w grze.

– A mamy w ogóle jakieś diamenty? – zapytałam, bo za coś trzeba te PETy kupować.

– Tak, za odnalezienie domu 10.

– No... Nie wiem – zastanawiałam się. – Może „rysielka” dla mnie i dla ciebie „wilczeła”?

– Oki. A później kupimy jakieś mistyki. No wiesz, smoki?

– Pewnie! Ja wezmę czarniucha, a ty jakiego tam chcesz.

– To wezmę tego różowego, jak ten youtuber w szlafroku różowego smoka.

Weszliśmy do chaty. Wyglądała tak samo jak w naszych telefonach, gdy grałyśmy w Wildcraft, tyle że na ekranie wydawała się mniejsza niż teraz i nie była umeblowana. Miała drewniane schody przy wejściu, drewniane ramy okienne, a ściany białe z delikatnym szarym kurzem. Dach był również drewniany. Zbudowano go z belek, między którymi znajdowała się fajnie pachnąca słoma. Dookoła DENU stał płot, zwykłe drewniane pale połączone ze sobą w kratkę. To było dobre miejsce, żeby zastanowić się, co dalej. Może Datrix ma jakiś plan?

– Co teraz zrobimy? – zapytałam. – Nie możemy przecież tak siedzieć w tej grze.

– Wiem. Chyba trzeba jakoś podnieść poziom, albo...

– Co? Znowu polować? – wzdrygnęłam się.

– A masz lepszy pomysł?

Nie miałam żadnego, więc posłuchałam. Później, po polowaniu, Datrix uznała, że już pora spróbować zaatakować BOSSa, którym był ogromny łoś.

– Wira, musimy iść na BOSSa.

– Czemu? Wiesz, co z nami będzie, kiedy nas zabije?

– Nie wiem, ale prawdopodobnie mam już 26 „level”, a ty chyba 25 i raczej damy radę.

– Bez PETów? – spytałam.

– Tak! A niby jak?!

Zgodziłam się z jej decyzją i pobiegłyśmy. Zastanawiałam się, co będzie dalej, kiedy już go zniszczymy, o ile nam się to uda. Może tylko dostaniemy nowy poziom? Może nas gdzieś przeteleportuje? A może w końcu znajdziemy się z powrotem w domu? A co, jeśli się w ogóle nie uda...

– Chodź tędy – szepnęła do mnie Datrix. Przeszłyśmy za jednym z kamieni, którymi okrążony był łoś.

– Dobra, to ja idę na drugą stronę i zajdziemy go z dwóch stron – powiedziałam do niej i tak zrobiłam, ale nagle znieruchomiałam, bo wyczułam, że ktoś za mną stoi. Rozejrzałam się i okazało się, że to był łoś!

– Słyszałem cię – warknął.

– Teraz! – wrzasnęła Datrix, po czym na niego skoczyłyśmy i zaczęłyśmy go bić.

– Wira, nie!!! – Datrix znów krzyknęła, kiedy ja z niechęcią i niesmakiem wgrzyłam się w jego kark, zadrapałam go, a następnie skierowałam swoje łapy na jego oczy. Jednocześnie tylnymi próbowałam go bardziej drapać i bujać nim na boki, by go przewrócić. W tym samym czasie Datrix wbiegła mu pod racice i gryzła go w całe nogi, aż wreszcie runął, dzięki czemu łatwiej się go zabijało. Kiedy przestałam gryźć go w kark, nagle coś się ze mną stało i zaczęłam myśleć zupełnie inaczej. Kiedy łoś miał zamiar się podnieść, żeby uciec, te inne myśli, moje, chociaż jakby nie moje, pokierowały mną. Uśmiechnęłam się morderczo. Wgrzyłam się z radością w jego szyję i zaczęłam go rozrywać – byle szybciej, by sprawić, żeby zdechł. Podczas tego zabijania czułam, że rozkoszuję się jego cierpieniem.

– Wira!!! Co ty do cholery robisz?! – Datrix wyła, bo widziała, że robię coś, co jest do mnie w ogóle niepodobne.

– Co, boisz się? – warknęłam do niej.

– Wira, skończ ten cyrk – zażądała, ale ja jej nie posłuchałam i dalej go zabijałam z dziką satysfakcją.

– Wira, przestań!!!

Upadłam. Po chwili wstałam i spojrzałam na Datrix. Właśnie wtedy uświadomiłam sobie, co robię i spojrzałam na ledwo żywego łośa. Rozejrzałam się. Nie do końca wiedziałam, co się wydarzyło.

– Chodź do DENU, nagle odechciało mi się jeść – cicho powiedziała do mnie Datrix, ale zrozumiałam to z opóźnieniem. Wszystko docierało do mnie wolniej. Kiedy znalazłyśmy się w chacie, każda z nas znalazła jakiś kąć i poszła spać.

3

– Zostaw mnie! – krzyczałam do Datrix. Wydawała się jakoś nawiedzona i uciekałam przed nią. Nagle usłyszałam głos.

– Chodź do mnie! Jestem jednym z Turbo Rocked Gamesów, współtwórcą gry.

Kiedy chciałam do niego pobiec, wpadłam w jakąś dziurę.

– Neeeeeee!!! Pomóż mi!!! – darłam się, ale nic nie pomagało.

– Przykro mi, miałaś podbiec – powiedział do mnie twórca, kiedy leżałam.

– Wira! Wira! – dobiegł mnie z oddali głos Datrix.

Otworzyłam oczy i uświadomiłam sobie, że to był tylko sen.

– Zostań – powiedziała moja siostra. – Idę upolować nam śniadanie.

– Czemu sama? Ja też chcę. Dati, proszę – bardzo chciałam z nią pójść, ale przypomniałam sobie wczorajszy dzień i zamilkłam.

– Idę z Fatrixem – oznajmiła Datrix.

– Z kim? – zupełnie nie wiedziałam, o co albo o kogo jej chodzi.

– No PET. Wczoraj z CHESTa wypadły mi „liseł” i „wilczeł”. Liska nazwałam Fatrix.

– A wilczek gdzie jest? – spytałam.

– Nie pamiętasz, że naraz można mieć ze sobą jednego PETa? – z wyższością odpowiedziała Datrix i wyszła.

Kiedy jej nie było, przypominałam sobie, że wczoraj Datrix otwierała CHESTy i na dodatek zostawiła mi parę żółędzi za duplikaty, czyli za to, co nam wypadło jeszcze raz. CHEST to taka skrzynka, z której można otrzymać różne rzeczy np. skórki czy eliksir do poprawiania swoich postaci. Za duplikaty, jak wspominałam, można dostać żółędzie, zwierzęta do grania i inne. Oczywiście, nie wypadnie nic tak dużego jak DEN. Bez Datrix było nudno, nie miałam co robić, ale kiedy przypominałam sobie o żółędziach, zdecydowałam, że kupię jakieś meble. Pomyślałam o łózkach i dywanach albo może krzesłach? No, nieważne. Już wiedziałam, co kupię. Przeglądałam łóżka i wybrałam drewniane – ładne i jasne, z ciemną pościelą. Potem oglądałam szafy i stoły. Sobie kupiłam jasne: szafę,

półkę, krzesło słomiane z aktualizacji z gepardami i dwa małe półeczko-stoliki z książkami. A Datrix wzięłam to samo, tyle że ciemne. Kiedy obejrzałam dywany, wybrałam sobie okrągły, szary z czarnym paskiem, a dla Datrix czarny z białym paskiem. Fajnie to wyglądało i w hacie zrobiło się przytulnie. W końcu przyszła Datrix. Ucieszyłam się. Ale ten wilk miał inny głos, który nie przypominał głosu mojej siostry. I nie było z nim Fatrixa.

– Gdzie jest Fatrix? – spytałam.

– Nigdzie. Eee... Uciekł – odrzekł wilk i dziwnie się rozglądał.

– Jak to „uciekł”? Tak po prostu? – coś mi tu nie pasowało.

Postanowiłam go sprawdzić.

– A te meble są nowe czy stare, bo nie pamiętam? – zapytałam nagle. Widziałam po zachowaniu tego wilka, że jest trochę „niekumaty”. Na pewno nie tak, jak moja siostra, dlatego właśnie takie pytanie zadałam.

– No... Stare – burknął wilk. – A czemu pytasz?

– Mam cię!!! Nie jesteś Datrix. Gadaj, gdzie ona jest!?

– Nic nie powiem. Nic a nic. Na pewno nie powiem, że jest u nas, przy najwyższej górze.

– Coo? – zdziwiłam się i przeraziłam. Czemu akurat teraz? Czemu ona? Muszę ją ratować! Szybko wyszłam, nie zważając na wilka podszywającego się pod moją siostrę, ale i tak automatycznie wywaliło go z naszego DENU. Zabiłam jedną wiewiórkę, wzięłam ją w zęby i biegłam ile sił w łapach do najwyższej, najszerszej i największej góry, gdzie prawdopodobnie znajdowała się Datrix.

4

Już z daleka słyszałam głos mojej siostry.

– Zostawcie nas!!! – krzyczała Datrix chcąc się wydostać z łap wilków.

– No a po co cię łapaliśmy? Chyba nie po to, żeby teraz zostawić? – naigrawał się jeden z wilków.

Nagle Datrix wpadła na pomysł.

– BOSS!!! - krzyknęła.

– Kryć się! – krzyknęły spanikowane wilki.

– Fatrix, teraz!!! – zawołała Datrix i oboje zaczęli uciekać. Dogoniłam ich.

– Datrix, mam wiewiórkę! Zjedz, nabierzesz sił. Wszystko ok?

– Tak. A teraz spadamy na drugą stronę mapy.

– Dobra – powiedziałam i zaczęliśmy biec we troje. Później zjadłyśmy wiewiórkę, ale Datrix powiedziała:

– Tym się nie najemy, trzeba jeszcze coś upolować.

– Dobra, to chodź na tamte szopy – pokazałam i je także złapałyśmy.

– Wracajmy do DENU – zaproponowała Datrix.

Przeteleportowaliśmy się: ja, Datrix i Fatix.

– Musimy porozmawiać – powiedziała moja siostra poważnym tonem.

– Co znowu? Meble źle kupiłam?

– Nie, nie o to chodzi. Co ty wczoraj robiłaś? Bawisz się w Jeff The Killera?!

– Nie!!! Co ty w ogóle sobie myślisz? – oburzyłam się.

– Co ja myślę? To ty bawiłaś się wczoraj w zabijanie, a nie ja! – wydarła się na mnie, ale nagle ucichła. – Czekaj. Czy zauważyłaś coś dziwnego? Coś nienormalnego?

– Nie, nic – odpowiedziałam.

– A te meble skąd masz?

– Kupiłam za żołędzie. Ładne?

– No, mogą być – powiedziała i wciąż się rozglądała. Podeszłam do biurka, które zrobiłam z szafy i półeczek z książkami oraz stołu. Usiadłam na krześle i zaczęłam przeglądać książki. Zastanawiałam się sama, co się ze mną stało, kiedy walczyłam z łosiem. To było okropne. Wtedy zobaczyłam jakąś publikację. Na jej nieco naruszonej okładce znajdował się napis „Wolfox”. Odłożyłam książkę. Wtedy Datrix odwróciła się w moją stronę i znieruchomiała.

– Datrix? – powiedziałam niepewnie.

Spostrzegłam, że jej oczy są czarne – nie, nie tylko tęczówki, ale całe oczy. Wtedy rzuciła się na mnie. Na szczęście zrobiłam unik i od razu przeteleportowałam się, żeby jej uciec. Niestety, ona była szybsza i nagle skoczyła na mnie zza moich pleców. Podniosłam się z trudem, zrzucając ją z siebie. Potem znowu powaliła mnie na ziemię. Leżałam grzbietem na ziemi, a ona przytrzymywała mnie łapami – a nie tylko jest silna, ale i ciężka. Jej łapy wbijały się w moje. Wiedziałam, co zamierza zrobić. Ze wszystkich sił próbowałam się uwolnić. Darłam się wiedząc, co mnie czeka. Nagle z drzewa odpadła gałąź i Datrix odskoczyła, a ja miałam szansę, by wstać i ją nie za mocno ugryźć. Bo to przecież nadal

była moja siostra. Skoczyłam na nią, lecz ona tylko przesunęła się w bok i wylądowałam na pyszczku. Wykorzystując chwilę mojej nieuwagi z całej siły ugryzła mnie w kark, potem gryzła moje uszy i wyrwała pazur. Trudno było mi ukryć łzy, bo mocno bolało. Leżałam bezsilna na brzuchu, a ona stanęła na mnie i złapała moją łapę zębami, raniąc ją przy tym. Akurat wtedy, kiedy zamierzała mi ją wygiąć do góry usłyszałam warknięcie.

– Wrr... – to był Fatrix. Nie wiem jak, ale nagle sam się uruchomił i rzucił na moją siostrę.

Schowałam się za kamieniem i patrzyłam z ukrycia, jak Fatrix, już zupełnie żywy zwierzak, chociaż w grze to przecież niemożliwe, próbuje powstrzymać moją siostrę od złego. Po chwili udało mi się znaleźć odpowiedni moment i skoczyłam na Datrix. Przytrzymałam ją i unieszkodliwiłam. Patrzyłam jej głęboko w oczy, w te przerażająco czarne oczy, bardziej przypominające dwie wielkie, głębokie i niekończące się dziury. Nagle uspokoiła się i również spojrzała w moje.

– Złaż ze mnie. Co ty robisz? – jej oczy znormalniały. Przestała mnie atakować.

– Eee... Jak by to powiedzieć, zaatakowałaś Wirę – zaczął Fatrix.

– On gada?! – zdziwiła się Datrix.

– Tak, on gada – z dumą odezwał się lisek.

– Ale ja cię wyłączyłam – przypomniła Datrix.

– Eee... Sorki, że przeszkadzam, ale mamy towarzystwo – powiedziałam, bo właśnie zbliżała się wataha wilków. Mogłyśmy się na to przygotować, że w końcu powrócą i będą chciały nas dopaść. I miały przewagę, bo było ich więcej niż nas...

– Wira, teleport!!! – krzyknęła Datrix i przeteleportowałyśmy się do DENU.

– Gdzie Fatrix? – spytałam, bo lisek powinien być z nami. – On tam został! – dotarło do mnie, że nie przeteleportował się z nami.

Musiałśmy po niego wrócić.

5

– Wrrrrrrrr... Wira, Datrix? Pomocy!!! – Fatrix zaczął uciekać. Był sam i nie miał szans, by przetrwać. Znalazł się w pułapce i nie miał drogi ucieczki. Po chwili złapał go jeden z wilków, a Fatrix znieruchomiał i wyłączył się.

– Datrix, kiedy wyskakujemy? Zaraz mu coś zrobią – powiedziałam z niecierpliwością, zza krzewów obserwując, co się dzieje.

– Mam cię, już nie uciekniesz – powiedział wilk, który wyglądał na szefa tej bandy. Tylko on ciągle się odzywał. Reszta milczała.

– Teraz!!! – krzyknęła Datrix. – Wira, odbij Fatrixa, a ja ich czymś zajmę.

– A to, to moje – powiedziałam do wilka, który trzymał Fatrixa. Wyrwałam go jednak z wilczych łap.

– Dobra. Muszę lecieć pieseczku – rzuciła szybko Datrix do wilka, który się na nią zamierzał. Przteleportowałyśmy się, chociaż wejście do DENU było blisko, ale wtedy zdradziłybyśmy naszą kryjówkę. Kiedy byliśmy już bezpieczni, próbowałyśmy ocucić Fatrixa.

– Ej, wstawaj, nie leń się! – warknęła do niego Datrix.

– Datrix, czemu jesteś mokra? – spytałam, bo nie widziałam, żeby wchodziła do wody.

– Jak odwracałam uwagę wilków, jeden z nich wepchnął mnie do wody.

– Mam pomysł! Otrzep się nad Fatrixem – powiedziałam. – Ocknie się.

Niestety, lisek nadal był nieprzytomny.

– Wilk!!! – krzyknęła Datrix.

– Gdzie?! Chować się!!! – Fatrix zaczął się drzeć, jak rozwyrzyczny dzieciak.

– No i po kłopotcie – powiedziała Datrix i odeszła na bok.

Poszłam za nią.

– Datrix, chodź na chwilę – poprosiłam. – Jak zamierzasz stąd wyjść? Chyba nie chcesz spędzić tu reszty życia?

– No wiem, no wiem. Wymyślę coś – oznajmiła mi, a ja położyłam się na łóżku trochę już zmęczona tym wszystkim.

– Chciałabym zjeść lody waniliowo-czekoladowe – powiedziałam na głos i wyobraziłam sobie, jak jem jeden z moich ulubionych przysmaków.

– Co to lody? – spytał Fatrix, bo przecież skąd miał wiedzieć, co to takiego. W grze ich w ogóle nie było.

– Lody to taka pyszna zimna masa o fajnych i różnych smakach – odpowiedziałam.

– Na przykład o smaku wiewiórki albo szopa? – spytał lisek.

– Nie! Sorry za to, ale nie wyrabia się lodów o smaku mięsa. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak niedobre by wtedy były. W naszym świecie byłyby niejadalne...

– Ehe... A skąd jesteście, jeśli nie stąd? – zapytał zaciekawiony.

– Ty jesteś stąd, czyli z gry, którą stworzyło Turbo Rocket Games, a my mieszkamy w świecie... jakby na wierzchu. Kumasz? Bo nie wiem, jak to inaczej wytłumaczyć... – powiedziałam.

Zrobiło się ciemno, trzeba było iść spać. Kiedy tak leżałam, spoglądałam na Datrix i na Fatrixa, by wiedzieć, czy już zasnęli. Tak było. A ja leżałam i leżałam. Nie mogłam spać, a przecież koty, w tym rysie, lubią się lenić i drzemać. A ja narzekam na bezsenność. Wysłam na chwilę na zewnątrz. Pomyślałam, że kiedy się zmęcę, to szybciej zasnę. Poszłam na spacer, nie chciałam polować. Nie byłam głodna. Patrzyłam na księżyc, góry i gwiazdy, ale nie czułam się ani trochę śpiąca. Postanowiłam pobiegać z myślą, że to mi pomoże. Wspięłam się na dwie góry i poczułam zmęczenie, więc przeteleportowałam się do DENU i zasnęłam.

Następnego dnia wstałam pierwsza i postanowiłam upolować śniadanie. Znalazłam trzy skunksy, które – jak już się przyzwyczaić – nie śmierdzą aż tak bardzo, i sześć szopów. Kiedy wróciłam, Datrix i Fatrix już nie spali i zastanawiali się, gdzie jestem. Zjedliśmy, wyszliśmy, a przy wejściu do DENU znaleźliśmy ślady łap zwierzęcia z gry prowadzące na sam środek mapy. Kiedy tak za nimi szliśmy, urwały się nagle, jakby to zwierzę odleciało, co przecież jest zupełnie niemożliwe.

– What the fuck?

– Datrix, nie klnij – upomniłam moją siostrę.

– Co to mogło być? – spytał Fatrix.

Nagle za Datrix pojawił się duży dzik, który wyraźnie zamierzał ją zaatakować.

– Datrix za tobą! Dzik! – krzyknęłam ostrzegawczo.

– Wira, nie wkręcasz mnie...

– Datrix!!!

Właśnie w tym momencie, kiedy chciał ją przebić swoim ostrym kłem, wbiegłam przed nią tak szybko, jak tylko mogłam i już czułam, jak dotyka mnie ten kiel, gdy...

Znalazłyśmy się w domu. Spojrzałam na swoje łapy, ale to były moje ludzkie ręce. Poszukałam wzrokiem Datrix. Była sobą, nie wilkiem. Była moją siostrą Dagmarą, która po raz pierwszy od dawna patrzyła na mnie przyjaźnie. Siedziałyśmy w ciemności na łóżkach. Dagmara sięgnęła powoli do włącznika lampki i zapaliła światło. Spojrzałyśmy obie

jednocześnie na zegarek. Okazało się, że minęły cztery minuty odkąd mama kazała nam iść spać. Była tylko jedna rzecz, która się nie zgadzała. Na moich kolanach leżała podniszczona książka z napisem „Wolfox”. Podniosłam ją i pokazałam Dagmarze. Pokiwała głową i mruknęła.

- Coś mi się wydaje, że jeszcze tam wrócimy. Razem?
- Razem – uśmiechnęłam się do siostry. – Ale nie dziś, dobra? Dziś już chodźmy spać.
- Ok. Dobranoc, Wira.
- Dobranoc, Datrix.

Koniec

KRYMINAŁ

prowadzący:

Marcin Wroński

Wymyślanie fabuł kryminalnych wydaje się banalne: potrzeba trupa, detektywa i odrobinę inteligencji, żeby skomplikować zagadkę. Można pisać to lewą ręką, gdy prawą będziemy podążać tropem którejś z polskich noblistek — podobne słowa słyszałem już od kilku pisarzy, których łączy jedno: nigdy nie próbowali zmierzyć się z gatunkiem, oprócz kreatywności wymagającym od autora uwagi detektywa, architektonicznego planowania i kaprałskiej dyscypliny. Natomiast wiedzą to już uczestnicy warsztatów w radomskim Amfiteatrze, gdzie łąły się pot, krew i łzy i było prawie jak w *Dziesięciu Murzynkach* Agathy Christie. W tej kanonicznej powieści po kolei padają trupem goście zaproszeni na wyspę odciętą od świata, u nas jedna z najzdolniejszych uczestniczek trafiła do szpitala, instruktor na tydzień prawie stracił wzrok i z siedmiu osób, które przyszły na pierwsze zajęcia, na ostatnie dotarli cztery. Tyle też powstało opowiadań.

Ciekawe, że w żadnym z nich czytelnik nie znajdzie klasycznej postaci detektywa, tylko zwykłych ludzi, którym przestępstwo niszczy życie lub zaburza codzienną rutynę. I – czy to nie życiowe? – bohaterowie mogą i muszą liczyć głównie na siebie. Najbliższy tradycyjnej zagadce jest koncept Katarzyny Chołuj, która wymyśliła wyjątkowo precyzyjną zbrodnię dyktowaną jedną z najstarszych motywacji ludzkich. Z kolei Lidia Mikocka-Rosińska napisała humorystyczny antykryminał, a jej niewiara w skuteczność stróżów prawa okazała się zaraźliwa. Odcisnęła się także na dwóch najlepszych tekstach, jakie powstały podczas zajęć: Elizy Mikulskiej i Cezarego Gawora. Oba łączą realizm i mocny akcent na wątek obyczajowy: E. Mikulska wnika w środowisko dobrych i złych policjantów, C. Gawor przeciwnie, przedstawia byłego przestępcę, którego dopadają cienie przeszłości. Tak jak różne oblicza ma współczesna literatura kryminalna, tak i poszukiwanie własnej drogi do gatunku zobaczą Państwo u radomskiej czwórki kryminalistów.

Zapraszam do lektury, wcale nie prosząc czytelników o wyrozumiałość dla debiutantów. Po pierwsze, nie ma takiej potrzeby, a po drugie, kryminał nie jest dla mięczaków!

Marcin Wroński

Katarzyna Chołuj

Cukierniczka

Zanim zemdlą, dotknęła blond włosów Marty.

Kilka minut później Joanna siedziała przy biurku siostry w pracowni chemicznej radomskiego uniwersytetu. Ze wzrokiem wbitym w zielonkawą gumoleum wyszarpywała kawałki dermy ze zniszczonego krzesła.

– Muszę spisać zeznania – usłyszała po chwili męski głos. Nie podniosła nawet głowy.

– Zbliżała się dwudziesta. O tej porze w budynku zazwyczaj jestem już tylko ja. Od godziny bezskutecznie nastrojałem trzeszczące radio – powiedział portier Zdzisław.

– Pana radio najmniej mnie interesuje.

– Zerknąłem w zeszyt. Zaniepokoiłem się. Jedynie pani Marta Porada nie zdała kluczy. „Owszem jest pracoholiczką, ale żeby do dwudziestej”, pomyślałem i zacząłem obchód wcześniej. Od jej pomieszczeń. Drugie przeszkłone drzwi do laboratorium były otwarte. Zdziwiłem się. Dygestoria huczały. Derywatograf działał. Suszarki też włączone. Nawet kran odkręcony, a woda rozbryzgiwała zawartość zlewek.

– Dyge... co?

– Dygestoria – powtórzył portier.

– Co pan taki mądry? – obruszył się policjant.

Zdzisław nie odpowiedział. Owszem, pracował jako zwykły portier, ale chemia od zawsze była jego pasją. Mało brakowało, a sam miałby dyplom technologa. Niestety, choroba matki zmusiła go do przerwania studiów.

– Dalej proszę – mruknął policjant.

– Zlewki nigdy nie były wypełnione brudnymi kolbami czy zlewkami. Niech pan spojrzy – Zdzisław otworzył szerzej wewnętrzne drzwi oddzielające pokój od przestronnego laboratorium. – Na każdej szafce alfabetyczny spis chemikaliów. Ceramiczne stoły błyszczą. Pani Marta ceniła pracę w schludnych warunkach. Tego samego wymagała od studentów.

Wiem od wnuczki – dodał podchodząc do jednej z szafek oznaczonej żółtą naklejką z trupią czaszką i napisem „Uwaga. Związki toksyczne”.

– Konkrety. Rozumie pan?

Portier skinął głową.

– To są konkrety! – wrzasnęła nagle Joanna i sięgnęła po paczkę papierosów siostry.

– Marta nie zostawiłaby laboratorium w takim stanie. Nie ona. Poza tym... – nie dokończyła.

Policjant przewrócił kartkę w notesie.

– W takim razie proszę kontynuować.

– Zauważyłem zapalone światło w pokoju. Idąc, powiedziałem głośno: „Pani Marto, już chyba nie warto?”. Nie usłyszałem odpowiedzi. Zahaczyłem pękiem kluczy o wiszące kolby. Stłukłem kilka. Zapukałem do pokoju. Po chwili uchyliłem drzwi. Zobaczyłem siedzącą przy biurku kobietę. Głowę miała opartą o blat. W pierwszej chwili nie poznałem

– zawiesił głos.

– Nie poznał pan, bo?

– Była łysa. Obok peruka, kubek po kawie, cukierniczka i puste opakowania po lekach

– Zdzisław spojrzał na Joannę. Czuł się niezręcznie po tym, co zeznał.

– W porządku – wyszeptała i zapaliła następnego papierosa.

– Zadzwońm po pogotowie. Reanimowali panią Martę ponad pół godziny.

– Nie zrobiłaby tego! – Joanna rzuciła na podłogę kilka wyrwanych z krzesła kawałków gąbki i wstała.

– Nie rozumiem – policjant spojrzał na zegarek.

– Martusia nigdy nie zdjęłaby peruki. Nigdy! – krzyknęła i zgasiła niedopałek w kubku z wodą.

– Niemniej jednak wszystko wskazuje na to, że pani siostra popełniła samobójstwo, proszę spojrzeć – funkcjonariusz pokazał Joannie opakowania po ketonalu, tramadolu i estazolamie, silnym leku nasennym.

– Nie. Nie wierzę! – powiedziała stanowczo. – Martusia urodziła się zupełnie bez włosów. Dopóki nie poszła do przedszkola, nie rozumiała, że coś jest nie tak. Przeszła zabieg rekonstrukcji brwi i rzęs. Perukę musiała zaakceptować. Ściągała ją tuż przed zaśnięciem przy zgaszonym świetle – kontynuowała głaszcząc włosy siostry. – Nie pozwoliłaby na to, by ktoś ją taką zobaczył. Rozumie pan! – wrzasnęła i uderzyła pięścią w biurko.

– Proszę się uspokoić.

– Uspokoić? Ja mam się uspokoić? – zirytowała się i zaczęła chodzić od drzwi do biurka i z powrotem.

– Czy ktoś w pracy wiedział o chorobie pani siostry? – zapytał po chwili policjant.

– Prawie nikt. Dwie najbliższe koleżanki. Nikt więcej.

Tydzień później na radomski cmentarz przyszły tłumy, by pożegnać zmarłą adiunkt.

– Marta prowadziła zajęcia z technologii chemicznej. Za badania dotyczące segmentowej budowy polibutylenouretanów kondensacyjnych otrzymała nagrodę Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej zwaną polskim noblem. Potrafiła kilka godzin dopracowywać wymyśloną recepturę, tak by spełniała jej założenia. Podziwialiśmy jej upór. Będzie nam Ciebie brakować – odczytał drżącym głosem dziekan. – Wiem, że studenci marzyli, by została ich promotorką. Ale o tym, jakim była dydaktykiem, wypowiedzą się sami – dodał i ustąpił miejsca drobnej studentce.

– Tak. Marzyłam, by pani doktor Porada została moją promotorką. Każdy wiedział, że dyplom zrobiony u pani adiunkt jest przepustką do dobrej pracy – studentka zawiesiła głos i sięgnęła do torebki po zwiniętą w rulonik kartkę. – Nikt nie potrafił tak jak pani doktor wyjaśnić procesów technologicznych i przebiegu reakcji. Owszem, była wymagająca. Zawsze skrupulatnie sprawdzała, czy biurety są prawidłowo wypełnione, czy miareczkowanie jest starannie wykonywane, czy zachowany jest menisk. Zdarzało się, że nas wzywała, byśmy domyli szkło. Potrafiła też wyrzucić z zajęć. Wysłałam kiedyś na chwilę z laboratorium. Zostawiłam włączony płaszcz grzejny. Zlewka pękła z przegrzania i roztwór rozlał się wprost do czaszy grzewczej. Tego dnia pożegnałam się z laboratorium. Kolega z kolei na jakichś zajęciach wsadził termometr do kolby nie zatrzymując wcześniej działającego mieszańca. Wtedy, miesiąc temu, dwa czy trzy to nas wkurzało. Dziś żegnamy naszą doktor i już tęsknimy. Nawet za tym, by nas pani Marta wyrzuciła z zajęć. Niestety, to już się nie wydarzy – zakończyła ze łzami w oczach i dołączyła do znajomych.

Przytuliła się do Anki.

– Ewa, już dobrze – wyszeptał Wojtek i objął koleżankę.

Ewa, Wojtek i Anka znali się od liceum. Ewa, wnuczka portiera, mieszkała z Anką w akademiku. Przyjaźnili się. Anka od dawna kochała Wojtkę. Ten nie widział lub nie chciał

widzieć jej miłości. Znajomi często podważali ich koleżeńską relację. Wojtek zapewniał, że przyjaźń damsko-męska istnieje. A on i Anka są jej przykładem.

Dzień po pogrzebie Joanna przysłała na wydział. Nawet na moment nie uwierzyła w samobójstwo siostry. Próbowwała dowiedzieć się czegośkolwiek.

– Drugie, przeszklone drzwi do laboratorium zastałem uchylone, ale światło było zgaszone – powiedział portier przy kolejnej serii pytań Joanny.

Joanna wiedziała, że Marta była niezwykle dokładna i pedantyczna. Obie takie były. Przesadnego porządku nauczył ich ojciec, emerytowany wojskowy. Śmiały się, że jego drugie imię to Rygor. Czasem ponad godzinę składały pościel. Ojciec mierzył linijką, czy koc jest idealnie złożony w kostkę. Matka uważała, że córkom przyda się w życiu dyscyplina i nie stawiała w obronie dziewczynek. Nie wzruszało ją nawet, gdy obie płakały, że chcą obejrzeć bajkę, czy zjeść podwieczorek.

„Czwartkowe zajęcia skończyły się o trzynastej. Drzwi do laboratorium musiały być już zamknięte od kilku godzin”, pomyślała Joanna.

Czasem odwiedzała Martę. Widziała, jak siostra sprawdza, czy na pewno przekręciła klucz w zamku. Potem kilkakrotnie szarpała za klamkę. Laboratorium natomiast zamykała zawsze tuż po zakończeniu zajęć.

– Około osiemnastej z budynku wyszedł ostatni student – powiedział Zdzisław po chwili.

– Zeznał to pan policjantom?

– Nie. Teraz sobie przypomniałem.

– Pozna go pan?

– Tak. Raczej tak.

– Proszę mi pomóc. Śledczy nadal uważają, że to samobójstwo. A ja w to nigdy nie uwierzę – powiedziała podając portierowi wizytówkę.

Zadzwonił kilka dni później.

– Pani Joanno, ten student to Wojciech Krakowiak.

– Dziękuję. Bardzo panu dziękuję – powtórzyła.

Przyjechała po kilkunastu minutach. Sprawdziła w dziekanacie plan zajęć. Bez trudu odnalazła Wojtkę. Podeszła do niego na korytarzu.

– Byłeś tego dnia u mojej siostry w laboratorium? Po co?

– Zaliczyć zaległe kolokwium.

– Udało się?

Wojtek skinął głową.

– Możemy pójść gdzieś usiąść? – zapytał mieszany.

– A to złe miejsce na rozmowę?

– Dobre, ale... – uciął w połowie. – Idźcie sami. Dołączę do was – powiedział do kolegi, który stanął pomiędzy nimi. – Niedaleko jest kafejka – spojrzał na Joannę.

Odległość stu metrów, która dzieliła wydział od pobliskiej kawiarni wydawała się Joannie dystansem kilkukrotnie dłuższym. Szli w milczeniu. Zajęli stolik tuż pod oknem. Zamówili kawę. Zanim usiedli, Wojtek dokupił wodę. Wypił duszkiem pełną szklankę.

– Kochałem ją – powiedział ze wzruszeniem na jednym wydechu.

Joanna znieruchomiała.

– Że co? – zapytała po chwili.

– Kochałem Martę – powtórzył. – Spotykaliśmy się od ponad siedmiu miesięcy – mówił powoli przełykając ślinę po każdej sylabie.

– Nie wierzę! Ile ty masz lat?

– Dwadzieścia jeden.

– Marta nie związała by się z prawie dwadzieścia lat młodszym facetem. Niby co miałyby w tobie widzieć?

– Na przykład spontaniczność. Wolność. Że nie musiała myć szklanki zaraz po tym, gdy wstawiła ją do zlewu. Że mogła nie ścielić łóżka. Zresztą sam nie wiem, jak to się stało. Po prostu. Poznaliśmy się na wycieczce do puławskich zakładów azotowych. Ona samotna i ja gówniarz, który musiał być zawsze dorosły. Mój ojciec odszedł. I dobrze. Bił mamę. Czułem się synem, opiekunem i przyjacielem jednocześnie.

Joanna bujała się na plastikowym kawiarnianym krześle.

– Kochałem ją. Jak mógłbym chcieć jej śmierci?

– Tego nie wiem. Ale się dowiem – powiedziała i podeszła do baru zapłacić za siebie.

– Kochałem ją! Słyszysz? Kochałem! Tydzień temu po raz pierwszy! – wrzasnął do stojącej w drzwiach Joanny.

– Co po raz pierwszy?

– Pozwoliła, żebym to ja założył jej perukę.

Joanna zaniemówiła. Wyjęła paczkę papierosów i kiwnęła na niego, by wyszli na zewnątrz. Wypaliła dwa z rzędu.

– Jak myślisz? Jak wyglądała? Tak, jak nigdy nie chciała. Była łysa. Peruka leżała obok.

– Nie pozwoliłaby na to – zareagował identycznie jak Joanna. – Zwłaszcza, gdyby chciała się zabić.

Przez kolejne dni Wojtek próbował znaleźć cokolwiek, co pomogłoby mu rozwiązać zagadkę śmierci Marty. Nie powiedział nikomu. Nawet Ance. Znajomi wiedzieli tylko tyle, że nie wierzy on w samobójstwo doktor Porady.

– Martwię się o ciebie – powiedziała Anka do Wojtka, gdy odwiedziła go w akademiku. – Nie możesz żyć tylko tym. Ona najwyraźniej miała powód, by się zabić – dodała. Kucnęła i położyła głowę na kolanach Wojtka. – Może teraz... – nie dokończyła i zaczęła go namiętnie całować.

– Przestań! – odepchnął Ankę.

– Ogarnij się. Ona nie żyje. Rozumiesz?! Zabiła się. I wiesz co. Nawet mnie to nie dziwi.

– Co ty mówisz?! – Wojtek poderwał się z tapczanu.

– Wiem, co was łączyło. I nie tylko to. Czytałam esemesy.

– Jak mogłaś! – Wojtek zamachnął się. Nie uderzył Anki. – Jak mogłaś! – powtórzył. Trzasnął drzwiami i wyszedł z pokoju.

Tydzień po pogrzebie Marty Joanna poszła spakować rzeczy siostry. Chciała przeszu-
kać raz jeszcze każdy kąt. Zdążyła przejrzeć tylko biurko.

– Proszę przyjechać na komisariat – usłyszała w słuchawce telefonu.

Kilkanaście minut później wbiegła po zapiaszczonych schodach na czwarte piętro komendy. Zapukała do drzwi prowadzącego śledztwo. Na jej widok funkcjonariusz leniwie odłożył kanapkę cuchnącą jajkiem i wyjął z koperty wyniki sekcji zwłok Marty.

– Pani siostra zmarła w wyniku zatrucia. Sądzę, że śledztwo będzie umorzone.

– Nie zrobicie tego. A co ze szczegółową analizą związków toksycznych?

– To drogie badania. Nikt nie wyrazi na nie zgody. Poza tym wszystko wskazuje na samobójstwo – policjant ugryzł bułkę.

– Nic nie wskazuje na samobójstwo! – krzyknęła, spoglądając z obrzydzeniem na ciekący z bułki sok z pomidora.

Jeszcze tego samego dnia Joanna wróciła do laboratorium siostry. Pod jednym z dygestoriów znalazła fragment stłuczonej śmielowskiej porcelany o takim samym kwiecistym wzorze, jaki miała cukierniczka Marty. Pobiegła do pokoju, żeby się upewnić. Przyłożyła. Tak, skorupa pochodziła z identycznego naczynia! Schowała ją do kieszeni i wybiegła.

– Proszę spojrzeć – podała policjantowi odłamek porcelany.

– Jaki to ma związek ze sprawą?

– To ja mam wiedzieć?! – krzyknęła, widząc obojętną minę funkcjonariusza.

– Jak przeszukaliście laboratorium mojej siostry?!

– Dokładnie – policjant odsunął szufladę i wyjął teczkę z aktami Marty.

– Naprawdę? Znalazłam ten kawałek pod jednym ze stołów w laboratorium Marty. Tylko że ani kubek, ani cukierniczka nie są potłuczone.

– To wszystko?

– To mało?

– Pytam tylko, czy to koniec pani zeznań.

– Moich tak. Ale dla was to początek! Ruszcie tyłki i zacznijcie prawdziwe dochodzenie.

– Dziękuję za cenną radę – zirytował się. – Przekażę przełożonemu – funkcjonariusz przestał notować. Wstał i wskazał Joannie drzwi.

– A jak? Przesłuchujecie jak na spraczkę portiera, studentki i studentów. Tylko tyle robicie! Nic więcej! – rzuciła, zanim wyszła.

Po miesiącu od niewyjaśnionej śmierci Marty Joanna postanowiła po raz kolejny porozmawiać z Ewą i Anką. Anki nie zastała w akademiku ani na wydziale. Ewę spotkała na korytarzu. Wyjęła notes. Od feralnego dnia z precyzją księgowej zapisywała każdą nową informację.

– Przypomniawsz sobie coś?

– Nie. Raczej nie – odpowiedziała Ewa. – Chociaż... – zawiesiła głos. – Pamiętam dziwną rozmowę z Wojtkiem.

– Moment – Joanna grubą linią oddzieliła wcześniejszy wpis i zaczęła notować.

„Jak tam kwiatki?“, spytałam kiedyś Wojtka przed wykładem. Zdziwił się: „Jakie kwiatki?”. „No te, dla których robięś nawóz z siarczanów, jodków czy azotanów“, wytłumaczyłam. „A skąd ci to przyszło do głowy? Ja nawet kaktusów nie umiem utrzymać przy życiu“. Wtedy wtrąciła się Anka: „A kwiatki, super, liście już im nie żółkną, świetny pomysł, spróbuj sama“, powiedziała i odciągnęła Wojtka.”

– Jedziemy na policję. – Joanna wsunęła notes do torebki i wezwała taksówkę.

Zanim dojechały, sięgnęła po wizytówkę prokuratora. Dostała kontakt od znajomych. Nie sądziła, że będzie z niego korzystać. Teraz jednak była już tak zirytowana opieszałością policji, że bez zastanowienia wstukała numer. Mówiła szybko, co chwilę upewniając się, czy rozmówca jest wciąż na linii.

– Jeszcze dziś zlecę szczegółową analizę związków toksycznych we krwi pani siostry – powiedział prokurator, gdy w końcu udało mu się przerwać monolog Joanny.

– Cieszę się – odparła spokojnie i cicho.

Trzy tygodnie później Joanna pojechała do prokuratury.

– Właśnie miałem dzwonić – prokurator wstał na jej widok. Zapiął guzik marynarki i wskazał krzesło naprzeciwko swojego.

Joanna nie usiadła. Nerwowo stukała palcami w metalowe oparcie.

– We krwi denatki nie stwierdzono związków leków, których opakowania przy niej znaleziono – usłyszała po chwili.

– Wiedziałam – odparła. – Co dalej? – zapytała stanowczo.

– Śledztwo trwa. Na tę chwilę na pewno po raz kolejny przesłuchamy Annę.

– Kiedy?

– Pojutrze – odpowiedział zerkając w kalendarz.

Joanna jeszcze chwilę stała kurczowo trzymając się metalowego oparcia krzesła.

Tego samego dnia Anka obchodziła dwudzieste pierwsze urodziny. Chciała zobaczyć się z Wojtkiem, ale on nie odpisał na ani jeden sms. Poprosiła Ewę, by go przekonała. Wojtek niechętnie, ale zgodził się spotkać wieczorem. W akademiku kupił czekoladę w automacie.

– Śpisz? – zapytał po wejściu do pokoju.

Nie usłyszał odpowiedzi. Podeszedł bliżej.

– Co ty zrobiłaś! – krzyknął na widok pustej fiolki po lekach. – Co ty zrobiłaś! – powtórzył i potrząsnął nią.

– Nie oddycha. Coś połknęła. Nie wiem co! Akademik. Ulica Chrobrego. Za ile? – powiedział po chwili do telefonu. – Zaraz będą. Nie umieraj – krzyczał potrząsając Anką coraz mocniej.

Nagle zauważył zaciśniętą kopertę w jej dłoni. Delikatnie ją wysunął i schował do kieszeni.

– Żyje – powiedział lekarz kilkanaście minut później.

– Nic jej nie będzie? – zapytał Wojtek nie spuszczać wzroku z Anki. Miała na sobie kolorową pidżamę z myszką Miki, którą sam jej kupił dwa lata temu na urodziny.

– Tego nie umiem powiedzieć.

Gdy zabrali Ankę, Wojtek otworzył szeroko okno i zapalił papierosa. Sięgnął do kieszeni. „Tego dnia po zajęciach wróciłam po celowo zostawiony telefon. Schowałam się pod stołem w laboratorium. Słuchałam waszej rozmowy. Jak wyszedłeś, Porada nastawiła wodę na kawę i poszła do łazienki. Ja w tym czasie podmieniłam cukierniczkę. Wysłałam tylnymi drzwiami. Kochałam cię” – przeczytał nerwowo gasząc drugiego z rzędu papierosa. Zapalił następnego i wybiegł z akademika.

– Poza listem jest jeszcze to – wybełkotał kilka godzin później w prokuraturze. Prowadzący śledztwo nie skomentował wyczuwalnej od Wojtka woni alkoholu. Wziął do ręki paragon z cepelii oraz trzy puste foliowe torebki z napisami: azotan rtęci, siarczan amonu i jodek potasu. W myślach już układał postanowienie o przedstawieniu zarzutów.

Napisać go nie zdążył. Anka zmarła.

Cezary Gawor

Łada

Stukanie dobiegało z bagażnika. Mężczyzna, który dalej miał problemy z oddychaniem po kopniaku otrzymanym w brzuch, oparł się o klapę auta.

– Cicho gnoju – wycodził przez zęby. – Zaraz cię wrzucą do rzeki.

Załomotał pięścią w karoserię, zostawiając ślady oleju i krwi. Usłyszał przytłumiony szloch.

– Czego się mażesz, cipo? – usiadł za kierownicą i wybrał numer.

– Zrobione, co z autem?

4 godziny wcześniej.

– Kto się mi pod sam dom wpięprza z tym gratem, jeszcze w Wigilię? – Adam pytanie to zadał bardziej sobie, niż szykującej się do wyjścia z domu żonie. Stojąc w oknie niewielkiego salonu mechanik układał w głowie listę klientów i spraw na dziś.

– Nie wiem, nie było go tu wieczorem. Ale lepiej już tu niż na ulicy.

Czerwona łada stała pod kasztanem, w niewielkiej, ogrodowej części działki po zachodniej stronie domu. Ktoś zadał sobie trud, aby przejechać obok porozrzucanych zabawek na szerokim chodniku biegnącym wzdłuż ogrodzenia. Rząd krzewów: berberyśków i ogników posadzonych wzdłuż ogrodzenia także nie ułatwiał zadania. Klienci parkowali jednak z boku domu mechanika Adama Śmietanki, bo sąsiedzi skarżyli się, jeśli auta pozostawiane były bezładnie na ulicy.

– Zabierz mi ten kubek z parapetu – głos Anny dogonił go już w progu garażu, gdzie znajdował się dwustanowiskowy warsztat. Wrócił posłusznie, dziś nie był w nastroju do kłótni. Z radia dobiegł sygnał godziny ósmej, a po nim informacja:

„Wczoraj w godzinach wieczornych przed klubem „Atrium” doszło do strzelaniny. Policja podejrzewa porachunki gangów, jeden mężczyzna zmarł w wyniku postrzału. Poszukiwana jest szara furgonetka i ...”

- Słuchaj, babcia zabierze Alunię około dziesiątej, miej na nią oko do tej pory.
- Tata, a dasz mi mambę? – czteroletnia córka uśmiechnęła się umazaną buzią.
- Dam, mam w samochodzie.
- A dla Antosia też masz?

Próbując wycygnąć cokolwiek dla siebie, dziewczynka zawsze myślała od razu o starszym bracie. Ojciec uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Tak, Antoś też niech przyjdzie.

Objął żonę, a ona prędko zdjęła jego ręce ze swoich pośladków, z których przestała być dumna kilkanaście kilogramów temu. Talia po urodzeniu dwójki dzieci zaginęła i jej los pozostawał nieznany. Adamowi jednak, choć sam w średnim wieku pozostawał wciąż szczupły, podobały się coraz obfitsze kształty żony.

- Zostaw.

- A prezent na imieniny?

– Wczoraj miałeś. Ostatni z twoich moczymordów wyszedł po północy. Idę po Antosia, coś długo jest w łazience – Anna zniknęła na schodach odprowadzona wzrokiem przez męża, śledzącego poruszanie się bioder w czarnych spodniach.

Adam poprawił szelki roboczych ogrodniczek, wszedł do garażu, podszedł do ciemno-zielonego passata kombi z podniesioną maską i schylonym pod nią metr dziewięćdziesiąt pomocnika. Stojącemu obok zniecierpliwionemu właścicielowi, siwowłosemu mężczyźnie przyglądającemu się mu bacznie zza okularów grubych jak denka od literatek, w których spożywali wczoraj imieninową wódkę, mechanik podał rękę.

- No, co tam? – spytał chłopaka.

- Skończony, jeszcze tylko akumulator... Ciasno tu.

– Pokaż, Zbysiu – Adam przejął baterię i sprawnym ruchem wstawił ją na miejsce wśród gąszczu przewodów. – Tu nie ma się co pieścić, to się musi zmieścić.

- Szef to ma sporo pary w tych rączkach.

– Dobra, nie podlizuj się, tylko odpalaj. A i słuchaj no... Kto przyprowadził tę czerwoną ładę i co tam jest do roboty?

Zbyszek za kierownicą wzruszył ramionami.

- Nie wiem, myślałem, że to szef po pijaku te zabawki zdemolował.

Anna zajrzała przez drzwi z wiatrołapu.

– Jadę, zostawiam ci golfa, ale pilnuj dzieci, bo Antoś... - jej słowa zagłuszyło kręcenie rozrusznikiem. Passat zaskoczył i podgazowany na wysokie obroty puścił kłęby dymu z rury wydechowej. Adam machnął żonie ręką na wpół ze zniecierpliwieniem, na wpół na pożegnanie. Otworzył bramę garażową.

– Gra i trąbi zespół Kombi, panie sąsiad.

– Miłeś to zrobić na wczoraj, panie Adaś.

– Nie wyszło.

– Pewnie, trudno pracować w takich warunkach – narzędzia na stole przemieszane były z butelkami. Mechanik podrapał się po zaroście.

– Panie Mieczysławie, kto nie smaruje, ten nie jedzie.

– Uważaj na kolegów od smarowania. Wczoraj jeden w czarnej bejsbolówce przeska-kiwał przez ogrodzenie, a dziś rano sobie bramę otwierał. Łomem.

– Zbychu! Nie ty otwierałeś bramę?

– Była otwarta, myślałem...

– ...że to szef, jasne. Bierz „renówkę”, tam tylko olej i pasek.

Adam wyszedł na podwórko, zapalił. Znalazł przy płocie wyłamany kątownik z wiszącą na nim zapiętą kłódką. Rozejrzał się. Na szarej kostce leżały porozrzucone kolorowe zabawki, a raczej to, co z nich zostało po zmiażdżeniu kołami. Co za skurwysyn? Niech się tylko pojawi. Na dziś nie umawiał żadnej nowej roboty, planował skończyć i oddać auta właścicielom do południa. Zgasił papierosa w doniczce na parapecie zewnętrznego okna. Zimą wegetowała tu tylko w celu kolekcjonowania niedopałków.

– Pada już śnieg? – zapytał Zbyszek pełnymi ustami. Siorbał herbatę z półlitrowego kubka.

– Jeszcze nie, a ma padać?

– No. Na święta będzie biało jak w Finlandii.

– Gdzie?!

– Na północy, u świętego Mikoła... - Adam już nie słyszał reszty. Wpadł do domu, minął Alunię siedzącą na dywanie przed telewizorem i przez drzwi balkonowe wyszedł na taras.

– Tata... zimno – wiatr wydymał franke.

Adam zamknął drzwi. Podszedł od strony maski do prawie dotykającej drewnianych barierek czerwonej łady, schylił się, zajrzał pod zderzak. Jest. Wersja fińska. Kabel od

podgrzewania akumulatora ułatwiający rozruch w zimnym klimacie smutno zwieszał wtyczkę. Zajrzał do środka. Wygodne siedzenia lotnicze, w których zwiedził pół Europy. Drzwi nie były zamknięte. Pociągnął rączkę otwierania bagażnika, ale nie otworzył się. Zawsze działał niestandardowo, w nieoczekiwanych momentach, nawet podczas jazdy. Popsuli go dziesięć lat temu, usiłując ukraść tylko koło i lewarek, ale zdobycz okazała się obfitsza.

Zza firanki patrzyły na niego oczy wysokiego mężczyzny w bejsbolówce.

– Co, kurwa? – prawie bezgłośnie powiedział do niego. Dосkoczył do drzwi, a właściciel czarnej kurtki przekręcił klamkę w dół nie spuszczaając Adama z oka.

– Jakiś facet przyszedł do szefa – zderzył się ze Zbyszkciem w drzwiach garażu.

– Wpuściłeś go do domu?

– Sam wszedł. O, jest.

W progu drzwi stanął gość trzymając dziewczynkę za rękę.

– Spakojna Adaś. Niciewo nie słuciłoś.

– Kto ty jesteś? Czego, kurwa, chcesz?

– Dočka słuha – mężczyzna ukucnął przy dziewczynce. – Żuwačku chcesz?

– Puść ją – Ala z gumą do żucia w ręce podeszła do ojca i wczepiła się w nogawkę kombinezonu.

– Weź Alę do kuchni – polecił Adam. – No, idź ze Zbysiem.

– Ty choroszyj otec, myślisz o dzieckach, da?

– Nie twój jebany interes. Kto cię przysłał?

– No kak, maszyny ty nie poznał?

– Poznałem, ale ja już sam nie kroję ani nie handluję trefnym towarem.

– Ot i choroszo, ale koledze możesz pomóc.

– Komu?

– Bartosiak, znajesz?

– Ten bydlak? Okradł nas... Powiedz temu grubasowi, że jest cienki jak dupa węża i niech spierdala...

Kopnięcie z półobrotu w brzuch rzuciło Adama na stół z narzędziami. Złapał za szyjkę rozbitą butelkę, ale cios w podbródek powalił go z powrotem do tyłu. Rosjanin złapał go za włosy i trzasnął jego twarzą w uniesione kolano.

– No, Adaś, słyszysz? – powiedział teraz czystą polszczyzną z lekkim wschodnim akcentem. – Bartosiak teraz pracuje dla nas. Trzymał maszynę, jak siedział w pierdlu, a teraz ona nam nużna. Ty jej mały przeglądzik zrobisz, pania?

Napastnik puścił kręcone włosy Adama.

– No wstawaj, Adaś. Kluczyki.

– W stacyjce...

– Do golfa. Oddasz „żiguli”, dostaniesz swaju.

Adam wyciągnął z kieszeni kluczyki. Kątem zakrwawionego oka zobaczył wysoką postać pomocnika. Może we dwóch dadzą radę?

– O, Zbyszek, posprzątać tu nada. Adaś się poślizgnął na oleju i wot nieszczęście.

Chłopak stał Rosjaninowi na drodze do bramy garażu, ale bez słowa usunął się, gdy tamten podszedł do niego. Adam gorączkowo zaczął otwierać szuflady warsztatu i przerzucać narzędzia. Brama uchyliła się z powrotem.

– Adaś, nie najdziesz – Rosjanin uchylił kurtkę, zza paska wystawała kolba pistoletu.

– Jak pijosz, ty dom zakrywaj – okrąglą twarz wyszczerzyła mocne zęby i znikła.

– Szefie? Dzwonić na policję?

– Nie – stęknął Adam. – Dawaj ładę.

Podszedł do kranu, przepłukał usta i twarz zimną wodą, wytarł się świeżym ściściwem. Sięgnął do kieszeni po nokię.

– Anula, wróć szybko – starał się nadać głosowi spokój, czołem oparł się o płytki nad zlewem. – Potem ci powiem, o co chodzi, bateria mi pada. Tylko odbierz Antosia.

Opanował drżenie rąk, chyba poszło mu nieźle. Głos w słuchawce był bardziej zniecierpliwiony niż zaniepokojony.

– Ty znowu coś wymyślasz. Jak tylko znowu się uchlałeś, to sam pojedziesz do matki na wigilię. I mówiłam ci, że Antoś...

Wyświetlacz zgasł, Adam cisnął telefon o ścianę. Zbyszek otworzył bramę i wprowadził do środka terkoczącą ładę. Spojrzał pytająco na szefa.

– Nie słyszysz silnika? Przerywa na zapłonie. Sprawdź świece, kopułkę i palec rozdzielacza.

Ten gruchot zawsze miał problemy z odpalaniem. Mała rączka złapała za jego dłoń.

– Tatusiu...

– Alusia, nie teraz. Dam ci później tę mambę.

– Ale Antoś...

– Pamiętam, jemu też dam. O, zobacz. Babcia po ciebie przyszła...

„W samą porę, przynajmniej raz”, pomyślał Adam.

– Wyglądasz jak ostatni menel – kobieta spojrzała na jego poobijaną twarz. Potłuczone butelki na podłodze, ślady krwi. – Co ty z domu robisz? A ja ostrzegałam Anulkę przed kryminalistą. I jeszcze dzieci patrzą na taką spelunę.

– To nie tak, jak mama myśli.

– A jak? Chodźmy, Ala, tatuś tu musi trochę posprzątać.

Adam usiadł na schodku, ukrył twarz w dłoniach. Cholerna przeszłość wróciła. Myślał, że jeśli pospłaca długi wobec świata przestępczego, będzie mógł żyć spokojnie. Tak było do dziś. Ale skąd wziął się na wolności Bartosiak? Za ostatni rozbój dostał osiem lat, czyli tyle, co ma Antoś, a Adam wycofał się rok, dwa po narodzinach syna. I wtedy już zajmował się wyłącznie paserstwem. Bartosiak natomiast zaczął się rozkręcać, wchodzić w rozboje i haracze. W tym biznesie nie trzeba było męczyć się w smarach po nocach w garażu, wystarczyło pomachać przed nosem „klamką” wystraszonemu sklepikarzom i kasa płynęła sama.

Łada to był ich pierwszy łup, właściwie wakacyjna przygoda. Wystarczył płaski śrubokręt, spięcie przewodów rozruchowych i oryginalnie niebieski „model 2107” popłynął w lipcową noc. Po przebicium numerów i przemalowaniu na czerwono posłużyła jako własny transport młodych gangsterów.

– Szeffie, gotowe – silnik chodził równo i dynamicznie. Adam wstał. – Chyba trzeba zadzwonić – odpowiedział Zbyszek.

– Tylko gdzie?

– Ruski dał mi numer, zanim wsiadł do szarego transita.

Adamowi pociemniało w oczach, zbierało mu się na wymioty.

– Zbysiu, to zadzwoń ze swojego – schylił się po nokię. – I odstaw samochód, gdzie będą chcieli. I uciekaj.

– Szeffie, tam ktoś jest – chłopak wskazał na kufer łady. Dudnienie w karoserię było słabe, ale wyraźne. – O nie, sorry, szeffie, ale ja z ludźmi w bagażniku nie będę jeździł.

– Ty cipo grochowa... Nawet byś się nie ruszył, gdyby nas Ruski powyrzynał... Telefon mi pożycz.

Stukanie powtórzyło się. Adam, który dalej miał problemy z oddychaniem po kopniaku otrzymanym w brzuch, oparł się o klapę auta...

Anna weszła do kuchni taszcząc siatki z zakupami. Zapachniało świerkiem. Usiadła przy stole obok męża.

– Jak ty wyglądasz? Nie mogłam się do ciebie dodzwonić – spojrzała na popękany wyświetlacz męzowskiej komórki. – Co ty żeś nawywiijał?

– Aniu, potem ci opowiem, miałem kurewski dzień – Adam mówił z trudem.

– Zamknąłeś warsztat?

– Tak. Zbycho wydał samochody, na komodzie zostawił pieniądze. Pojechał umyć golfa.

– A dzieci?

– Alunia u dziadków, a Antosia ty miałaś odebrać.

– Adam, ty znowu jesteś nieprzytomny. Mówiłam ci rano, że zostaje w domu. Nie widziałeś butów i kurtki w wiatrołapie?

Anna westchnęła i poszła na piętro. Do uszu Adama doleciał głos otwieranych kolejno drzwi do dwóch pokoi i łazienki i coraz bardziej zniecierpliwiony głos żony wołającej syna.

– Adam! Gdzie jest Antoś?

– Może poszedł na dwór, zaraz zobaczę.

– W ciapach? Nawet ubrania nie założył!

Nogi, które do tej pory miał jak z waty, nagle zaczęły ważyć tonę. Mężczyzna nie mógł ruszyć się z miejsca. Łzy same zaczęły ściekać po zarośniętych policzkach. Stanął mu przed oczami obraz Ruskiego trzymającego za rękę Alusię. Zabrał Antosia...

– Adam, no rusz się, idź do garażu...

– Tam go nie ma.

– Co ty? Adam! Co tu się do cholery działo! Gdzie jest moje dziecko! – trzęsącymi rękami zaczęła przeszukiwać torebkę – Może sam gdzieś poszedł... Trzeba go szukać, dzwoń na policję.

– Nie! Bez policji!

– W co ty nas znowu wplątałeś, pieprzony złodzieju!

– Aniu, spokojnie... Znajdziemy go. Nic nie zrobiłem. Bartosiak nasłał na mnie Ruskich, miałem im tę ładę naprawić, ale najpierw dostałem łomot. Ale już załatwione. Tylko dla czego ten pojeb uprowadził mi dziecko!

– Co?!

– Ruski sam wszedł do domu, a wczoraj włamał się do garażu i...

– I co?!

– Zaraz, zaraz... Może Alusia coś wie, chciała mi coś powiedzieć o Antosiu...

Kobieta płacząc wybrała numer, podeszła do okna kuchennego wychodzącego na ulicę. Pierwsze płatki śniegu zaczęły powoli opadać i topnieć na asfalcie.

– Mamo, daj mi Alę. Córciu, powiedz... powiedz... Gdzie jest Antoś?

Anna odwróciła się w stronę męża, stał tuż za nią.

– Mówi, że wszedł do bagażnika, jak ten zły pan pobił tatę. Chciał tacie pomóc, bo myślał, że to złodziej samochodów...

– Do którego auta? – wychrypiął Adam.

– Do łady.

Oprzytomniał po przebiegnięciu kilometra, płuca palacza nie były w stanie przerobić na niespodziewany wysiłek takiej ilości świeżego powietrza. Zwolnił. Ładę odstawił godzinę temu w umówione miejsce, odebrał golfa i wrócił do domu. Obliczył odległość od domu do parkingu pod urzędem miasta, gdzie nastąpiła wymiana aut. Jakies pięć kilometrów, czyli około pół godziny. Rozejrzał się za taksówką. Na osiedlu pustawo, przecież Wigilia. Może na głównej ulicy. Przyspieszył kroku i skręcił w zwykle ruchliwą arterię miasta.

– Człowieku, uważaj – wpadł na idącą chodnikiem parę.

Rozejrzał się. Najeżdżał autobus, „czwórka” jedzie w tamtą stronę. Puścił się znowu biegiem w stronę przystanku, przekraczając w poprzek dwupasmówkę. Dopadł zdyszany do drzwi, tylko kilkoro pasażerów w środku. Zajął pierwsze wolne siedzenie, oparł łokcie na kolanach i zwiesił głowę.

Jak do tego doszło? Kurwa, jak! Alusia musiała widzieć, jak Antoś wchodzi do bagażnika i chciała mu to powiedzieć. Sam ich tego nauczył, a dzieci uważały to za dobrą zabawę mogąc rozłożyć siedzenia i przejść z bagażnika do wnętrza auta. W golfie to było możliwe, ale ten ruski rupieć miał zamkniętą, blaszaną skrzynię! Żeby tam Antoś nie zamarzł, żeby tam jeszcze wóz stał tak, jak go zostawił, z kluczykami. To już nie będę pił w święta, nie, nie, nawet dłużej, nie będę...

– Bileciki do kontroli.

Poczuł jak autobus zwalnia przed przystankiem.

– Głuchy jesteś? Dowód jakiś masz, czy od razu jedziemy na komendę?

Kątem oka przez szyby widział przystanek. Syk pneumatyki siłowej. Teraz!

– Marcin, zamknij drzwi! – kanar zdążył krzyknąć zanim Adam, poderwawszy się z miejsca, uderzył go z byka.

Drzwi przytrzasnęły mu nogę, ale zdołał ją oswobodzić. But został w środku. To jeszcze dwa kilometry. Widać z daleka cały, jasno oświetlony miejski deptak na głównej, spacerowej, ulicy miasta. Jeszcze jego trzeba przebiec.

– Łapaj złodzieja! – krzyknął ktoś szyderczo z ciemnej bramy, ale nikt nie ruszył w pościg.

Jeszcze kawałek. Na opustoszałym parkingu przed gmachem tylko kilka aut. W zapadającym zmroku trudno rozróżnić marki zażawionymi oczami. Zwolnił, splunął. Mijając dwóch przyglądających mu się mężczyzn wyszukał w kieszeni nóż. Jest! Łada stoi tam, gdzie ją zaparkował. Podeszedł do drzwi, są kluczyki. Wprostował się.

– To pana auto? – pytanie padło zza pleców Adama.

– Tak. Czego...

– Policja. Połóż ręce na dachu i stań w rozkroku. Nie odwracaj się!

Adam poczuł popchnięcie w plecy i ręce, które wykręciły mu ramiona nakładając kajdanki na przeguby dłoni.

– Panowie... to pomyłka. Wszystko wyjaśnię, tylko otwórzcie bagażnik.

– Samochodem ktoś się zajmie później, ty jedziesz z nami – wyższy z mężczyzn pociągnął go za sobą, drugi policjant włożył z powrotem kluczyki do stacyjki i zamknął dokładnie drzwi auta.

– Błagam, tam jest mój syn!

– Sprawdź – rzucił wyższy.

Adam widział, jak gliniarz otwiera klapę i zmienia mu się wyraz twarzy.

– O ja pierdołę! Ja to bym cię skurwysynu... – wyciągnął z kieszeni kurtki komórkę i wybrał numer. – Dawaj karetkę na plac przed urzędem. Migiem!

Ciemnozielony passat kombi przedzierał się przez śnieg, którego w ciągu kilku godzin przybyło prawie pół metra.

– Jak w Finlandii – zagał kierowca. Mężczyzna siedzący na przednim fotelu pasażera milczał.

– Wiesz, że spierdoliłeś nam akcję? Mielibyśmy ich wszystkich zgarniętych od razu, a tak to całą komendę trzeba było od wigilijnego stołu odrywać.

Adam Śmietanka nie miał nic na swoje usprawiedliwienie. To znaczy jako ojciec mógłby użyć argumentu o ratowaniu syna, ale wołał już nie poruszać tematu i okoliczności, w jakich doszło do rzekomego porwania Antosia.

– Nie wiedziałem, że jest pan policjantem.

– Emerytowanym. Tym razem tylko zgłosiłem sprawę kolegom.

– Skąd pan wiedział, że...?

– Widziałem, jak Zbyszek wjeżdżał dziś rano łądą do garażu. Ona też była poszukiwana. Rusczy wstawili ją do ciebie, abys zreperował, zgadza się?

– Tak.

– A wczoraj jeden z nich był u ciebie, wysiadł z szarej furgonetki. Czego chciał?

Adam gorączkowo szukał w myślach kłamstwa, które byłoby w miarę wiarygodne.

– Nie kombinuj. Albo to zostanie między nami sąsiadami, albo odpowiesz na komendzie.

– Zabrał mi broń. Pan stoi cały czas przy oknie czy jak?

Mieczysław gwizdnął cicho.

– Ty jesteś lepsze ziółko niż myślałem. Mam kamerę na ulicę, w wydziale przejrżeli nagrania.

– Ja z tym dawno skończyłem. O broni wiedział tylko mój były wspólnik.

– Masz szczęście, że to nie z niej strzelali. W ogóle masz więcej szczęścia niż rozumu. Nie będą cię podejrzewać, że ich sypnąłeś, bo tylko debil zamknąłby własne dziecko w bagażniku trefnego auta, a potem leciał pół miasta w roboczych spodniach i skarpetce. Choć ty na debila mi nie wyglądasz.

– Panie Mieczysławie...

– No?

– Dziękuję, że poręczył pan za mnie.

– Prezent. Na święta. I dobrze zrobiłeś passata.

Adam pomyślał, że przydałoby się jeszcze wyregulować zawory. Odwrócił się do śpiącego na tylnym siedzeniu, owiniętego w koce ośmioletniego syna. Sięgnął do kieszeni i w dłoń dziecka włożył paczkę malinowych gum rozpuszczalnych mamba. A potem zamknął małą piąstkę w swojej dłoni.

Lidia Mikocka-Rosińska

Trup w kadrze

Noc powoli otulała radomski Michałów. Ilona wracała z drugiej zmiany. W zajezdni, oprócz autobusu i kierowcy, nie było żywego ducha. Kobieta, dochodząc do parku, zamierzała skręcić w prawo. W pewnym momencie stanęła jak wryta. Oblał ją zimny pot, a potem poczuła przypływ gorąca. Odzyskując władzę nad swym szczupłym ciałem, odskoczyła na bok, kryjąc się za ogrodzeniem pobliskiego budynku. Starła się odzyskać miarowy oddech, jednocześnie spoglądała zza siatki tak, aby móc zobaczyć, co się dzieje w oddali, przy oczku wodnym.

„Jezu, przecież oni go zabijają” – jęknęła sama do siebie. Biła się z myślami. Nerwowo zaczęła szukać komórki w torebce, zerkając co chwilę w stronę rozgrywającej się sceny. Nagle usłyszała chłupot wody. Telefon wypadł jej na trawę, a z niego bateria. Zaczęła zbierać części i wreszcie wybrała numer alarmowy.

– Halo, dzień dobry. Niech ktoś tu szybko przyjedzie. Oni go zabili – mówiła zdenerwowana i roztrzęsiona.

– Proszę się uspokoić. Jak się pani nazywa?

– Ilona Kiraga.

– Skąd pani dzwoni?

– Z parku.

– Proszę podać dokładną lokalizację, w jakim pani jest mieście, na jakiej ulicy – próbowała naprowadzić ją dyspozytorka.

– No, no jak to gdzie, w Radomiu, na Michałowie, przy parku koło zajezdni. Zaraz, jaka to jest ulica? O matko, zapomniałam – ze zdenerwowania zaczęła nerwowo pocierać ręką czoło.

- Spokojnie. Proszę poszukać jakiejś tabliczki z nazwą ulicy. Może jest w pobliżu?
- kobieta po drugiej stronie starała się wpłynąć na Ilonę.

Ilona zdenerwowana zastanawiała się, o jakiej tabliczce mówi ta kobieta.

- Tak, już widzę. Królowej Jadwigi. Tu na zajezdni jest bank, a naprzeciwko zieleniak i kawałek dalej kościół. – Zdołała się opanować. W tym samym momencie poczuła, jak po plecach spływa jej ciurkiem strużka potu.

– W porządku. Teraz proszę powiedzieć, co się stało.

– Oni go zabili i utopili – wydusiła z siebie trzymając się ogrodzenia.

– Czy coś więcej pani może powiedzieć?

– Co więcej?! Mówię, że go zabili, a potem wrzucili do wody i chyba uciekli, bo nikogo nie widzę! – zdenerwowana próbowała opisać sytuację.

– Dobrze. Wysłałam radiowóz, ale musi pani być świadoma, że jeżeli to głupi żart, zostanie pani pociągnięta do odpowiedzialności za fałszywy alarm – zagroziła dyspozytorka.

„Jakaś wariatka” – pomyślała Ilona oczekując na policję.

Dzień zaczął się koszmarnie. Kobieta dostała telefoniczne powiadomienie z komisariatu z prośbą o jak najszybsze stawienie się w celu uzupełnienia zeznań. Była wściekła, że kazali jej przyjść. Zjadła szybkie śniadanie, pomalowała twarz, ubrała się i wyszła. Za dziesięć minut miała siódmkę, więc czym prędzej wskoczyła do windy. Kiedy znalazła się na dole, szybkim krokiem dotarła na przystanek.

Na miejscu okazało się, że wcale nie jest lepiej. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

– Ale jak to? Przecież widziałam na własne oczy, jak go szarpali, potem bili, ten jeden miał nóż – mówiła zdezorientowana. – A potem ten chlupot.

– A jak pani wyjaśni fakt, że nie ma tam nic, co mogłoby wskazywać, że doszło do jakiegokolwiek incydentu? – zapytał komisarz Adam Brzeziński patrząc jej prosto w oczy. Na pierwszy rzut oka koło pięćdziesiątki.

– Nie mam pojęcia – zdziwiła się. – To niemożliwe. Szukaliście dobrze? Musi przecież być jakiś ślad. Zwłoki tak same nie znikają.

– Dokładnie. Jest tak, jak pani mówi. Nie znikają. Gdyby nie fakt, że była i nadal jest pani przekonująca i przejęta tym faktem, ukarałbym panią grzywną za fałszywe zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa. Może wtedy powiedziałaaby pani prawdę – próbował ją wybadać śledczy.

– Ile razy mam panu powtarzać? Było ich dwóch i ten trzeci, co go bili. Ciemno było i dosyć daleko, więc ich dokładnie nie opiszę, ale to nie była zabawa.

– A co pani w ogóle tam robiła o tej porze? – podejrzliwie zapytał mężczyzna.

– Jak to co? Już mówiłam. Wracalam z pracy. Mialam druga zmianę. Pracuję w Biedronce pod Słoneczną, to przyjechałam siódmką. – powiedziała zirytowana.

– Za chwilę może mi jeszcze pan powie, że to sobie wymyśliłam?

Komisarz już otwierał usta, gdy w tym samym momencie otworzyły się drzwi do jego gabinetu. Wszedł młody, dobrze zbudowany policjant.

– Mamy coś – podszedł bliżej i przekazał jakiś dokument śledczemu.

– Jest pani wolna. Tylko proszę być pod telefonem. W każdej chwili możemy potrzebować pani w sprawie – pożegnał ją i zanurzył się w nowo dostarczonej lekturze.

Ilona wracając do domu, przeszła spokojnie koło miejsca wczorajszej zbrodni. Kręcili się tam policjanci, a oczko wodne było ogrodzone taśmą. „Przecież musi tu gdzieś być monitoring! – uzmysłowiła sobie nagle. – Niedaleko jest bank, a tam po drugiej stronie są sklepy i bankomat. Czy oni to sprawdzili?”

Mineły zaledwie dwadzieścia cztery godziny, a trzydziestopięciolatka znowu siedziała u Brzezińskiego w gabinecie.

– Pani Ilono, nie ma pani szczęścia – z politowaniem pokręcił głową. – Sprawdziliśmy ten monitoring, który pani nam wskazała.

– No? Nagrało się, tak?

– Cóż, nagranie jest bardzo słabej jakości. Nasi technicy próbowali oczyścić obraz, ale bez skutku.

– Co pan mówi? To niemożliwe! – powoli traciła wiarę.

– Fakt, coś tam widać. Rzeczywiście jakieś sylwetki, ale zasłonięte przez krzaki i drzewa. Niewiele widać, a na dodatek w kluczowym momencie obraz się urywa. Kamera się zepsuła. Ale jest jeden plus.

– Jaki? – zapytała z nadzieją w głosie.

– Z całą pewnością możemy panią wykluczyć z kręgu podejrzanych. Kamera zarejestrowała moment, gdy schowała się pani za ogrodzeniem, a potem, jak pani rozmawia przez telefon – z oszczędnym uśmiechem oznajmił jej brązowooki komisarz.

– Chociaż tyle dobrego – odetchnęła z ulgą, poprawiając się na niewygodnym krześle. – I co dalej?

– Wczoraj technicy znaleźli substancję przypominającą krew.

– I co? To pewnie krew tego zabitego? – z nadzieją zapytała.

– Niestety, muszę panią zmartwić. To była mieszanina wody, gliceryny, żelatyny i farby. Nic szczególnego.

– Żarty pan sobie ze mnie robi? – zachnęła się zirytowana.

– Ależ skąd. To jest ekspertyza prosto z laboratorium kryminalistycznego. Dzisiaj rano trafiła na moje biurko – podniósł do góry dokument.

Załamana Ilona oparła głowę o rękę spoczywającą na biurku, a jej blond włosy zsuwały się do przodu otulając twarz. Podskoczyła przestraszona, gdyż nagle z impetem do gabinetu wpadł ten sam policjant, co poprzednio.

Podekscytowany zawołał:

– Panie komisarzu, musi to pan zobaczyć!

– Co się stało, Filipiuk, oszalałeś?

– Ale panie komisarzu, nie uwierzy pan w to, co znaleźliśmy. Proszę za mną – przekonywał młody.

– No dobrze. Pokażcie, co tam macie takiego ciekawego – ruszył za policjantem, a Ilona za nim.

– Jasna cholera! Co to wszystko ma znaczyć?!

– Mówiłem, że pan nie uwierzy.

– No mówiłeś. I co z tego? Jak i tak nic nie mamy!

– A to co? – odezwała się kobieta. – Jak wół widać tych dwóch, jak biją tamtego i nożem go pchną! O! A ten jeden, taki wysoki, całkiem jak mój sąsiad. I jeszcze niech pan patrzy: wrzucają go do wody! Mówiłam, mówiłam! Nie chcieliście mi wierzyć! Teraz ma pan wszystko na ekranie i też coś nie pasuje?! – wkurzyła się Ilona.

– Proszę o spokój! – rozkazał Brzeziński. – Młody, sprawdź, do kogo należy to konto i sprowadź mi tu tych gagatków! O co tu chodzi? Kto zabija, nagrywa to, a potem wrzuca do sieci? To jakaś paranoja.

Odwrocił się energicznie z zamiarem powrotu do swojego biura, wpadając przy okazji na Ilonę.

– Pani jeszcze tutaj?! – krzyknął poirytowany. – Żegnam!

– Panie komisarzu! – zawołał ledwo unikając potknięcia się o krzesło posterunkowy. Brzeziński odwrócił się na pięcie.

– O co chodzi?!

– Jest! Niech pan zobaczy, jest! – zadowolony z siebie pędził przez komisariat z wyciągniętą przed siebie ręką. W niej, w dyndającym worku foliowym, był nóż.

Błada z emocji Ilona czym prędzej ulotniła się z komisariatu. Będąc już przed budynkiem, oparła się o ścianę, żeby złapać miarowy oddech. Po chwili pewnie stanęła na nogach i szybkim krokiem poszła w stronę galerii handlowej, bo w ciągu godziny miała zacząć pracę. Będąc koło teatru, nie wytrzymała i zadzwoniła do kolegi. „Ale ja durna jestem. Przez ten mój niewyparzony język chyba wkopałam Andrzeja” – pomyślała czekając na połączenie. Niestety, odpowiedziała jej tylko automatyczna sekretarka. Czas w pracy dłużył się kobiecie jak spaghetti na talerzu Włocha. Gdy wybiła dwudziesta pierwsza, kierowniczka zmiany rozliczyła ją z kasy, a Ilona w mgnieniu oka przebrała się i pobiegła na przystanek. Na zajezdni wyskoczyła z siódemki i pobiegła w stronę swojego bloku. Tam czekała na nią kolejna niespodzianka. Serce waliło jej niczym młot kowalski i mogłoby się wydawać, że jego odgłosy słychać na całym osiedlu. Przy ulicy Piastowskiej stał radiowóz. Po wejściu do klatki pobiegła czym prędzej do windy. Niestety, ta była zablokowana, więc zaczęła wchodzić schodami na górę. Przed sobą miała jeszcze jedno piętro. Nagle usłyszała walenie do drzwi Andrzeja.

– Policja, proszę otworzyć!

Nagle drzwi się otworzyły. Ilona ostrożnie podeszła na samą górę schodów i przycupnąwszy obserwowała rozwój sytuacji. W drzwiach stanął wysoki, młody mężczyzna.

– Posterunkowi Adrian Filipiuk i Witold Dąbrowski. Andrzej Warchoń?

– Tak. O co chodzi? – zapytał wyraźnie zdziwiony.

– Pan pójdzie z nami – oznajmił policjant.

– Ale jak to? Co ja zrobiłem? – zdezorientowany próbował się dowiedzieć.

– Jeszcze się będzie pytał. Głupiego udaje – z wyraźnym rozbawieniem powiedział Filipiuk do drugiego policjanta. – Jest pan aresztowany pod zarzutem pobicia ze skutkiem śmiertelnym.

– To jakiś żart? Ukryta kamera, tak? – próbował odnaleźć się w sytuacji przystojny brunet.

Nagle z ukrycia wyskoczyła Ilona.

– Panowie, to jakaś pomyłka! To nie Andrzej! Nie wierzę, że to on! – próbowała ratować sytuację. – Ja go znam! To bardzo miły i uczynny człowiek!

– Pani tu? Proszę się odsunąć, bo będę musiał i panią zatrzymać za utrudnianie śledztwa – zareagował Filipiuk. – A może pani jednak brała w tym udział, skoro tak usilnie broni podejrzanego?

– Niedoczekanie pańskie! – oburzyła się. – Jutro pójde z skargą do komisarza.

Mundurowi zabrali sąsiada Ilony, a ona oszołomiona poszła do siebie. Nie wiedziała, co ma o tym wszystkim sądzić. Do myśli nie dopuszczała, że Andrzej, taki uroczy, fajny gość, mógłby tak po prostu kogoś zabić. Ale z drugiej strony ten nóż? Miał taki sam. A w noc zabójstwa nie było go w domu, gdy chciała z nim pogadać.

Tymczasem na posterunku Brzeziński maglował Warchoła.

– Jak pan wyjaśni fakt, że pański nóż znaleziono na miejscu zbrodni?

– Ale jakiej zbrodni? Wszyscy się z was śmieją, że nawet trupa nie potraficie znaleźć, a co dopiero przestępców. Zabili go i uciekł. Ładne rzeczy – drwił z policjantów.

– Panie Warchoły, niech pan się liczy ze słowami, bo za takie coś to ja pana od razu na dołek mogę wysłać! – odpalił Andrzejowi.

– Ja nikogo nie zabiłem. Nawet mnie tam nie było.

– A gdzie pan był w takim razie?

– Biegałem. Przygotowuję się do maratonu.

– Gdzie pan biegał?

– Chodnikiem w stronę Józefowa i z powrotem.

– Widział ktoś pana?

– No, nie wiem. Przejeżdżający kierowcy, inni biegacze? – zastanawiał się.

– Sprawdzimy to. A teraz zapraszamy na pokoje. Filipiuk! – zawołał młodego.

– Tak panie komisarzy? – wparował młody.

– Zabrać go do aresztu.

– Ale panie komisarzy... – zawiesił się Adrian.

- Co znowu, do cholery?!
- Na dole nie ma miejsca.
- Że co? Kurwa mać! Czy ja za wszystkich muszę myśleć w tym pierdolniku?!
- wyraźnie się zirytował. – Przenieście tego pijanego do celi z tym drugim. Razem będzie im rażniej. A tego tu do tej, co zwolnicie.
- Dąbrowski do mnie! – przywołał drugiego posterunkowego.
- Tak panie komisarzu? – zameldował się zestresowany.
- Szoruj z tym na Limanowskiego! Niech to zrobią na CITO, jak w szpitalu – wskazał na nóż.
- Tak jest, panie komisarzu – odmeldował się Witek. Zabrał dowód i zniknął tak szybko, jak się pojawił.

Brzeziński siedział i bujał się na fotelu, główkując. „O co w tym wszystkim chodzi? Nagranie ewidentnie dowodzi, że doszło do przestępstwa. Numerów IP jeszcze nie ma, ale to tylko kwestia czasu. Informatycy jeszcze nigdy nie zawiedli. Jedyne system może nawalić. Czerwona substancja, ślepy trop. Jedyne ratunek to ten nóż, ale na wyniki trzeba trochę poczekać. Trzeba jeszcze popytać o tego młodego i sprawdzić okoliczny monitoring. Ta noc będzie długa”.

Ilona też miała ciężką noc. Nie mogła spokojnie spać. Co przysnęła, to za chwilę się budziła, bo miała wrażenie, że ktoś wali do jej drzwi. Ale to tylko wyobrażenia płała jej figle. Wstała z łóżka i poczuła, że musi zejść na dół. Wskoczyła w spodnie od dresu, zarzuciła na plecy bluzę, zabrała ze sobą jeszcze latarkę i udała się w kierunku oczka wodnego. Ciarki przechodziły jej po plecach, lecz w pewnym momencie coś niewielkiego odbiło światło latarki i przykuło uwagę kobiety. Podeszła bliżej, poświeciła i podniosła przedmiot. W rękę trzymała pendrive. Rozejrzała się dokoła, żeby upewnić się, czy ktoś ją widział i pobiegła szybko do domu. Ciekawość nie pozwoliła jej położyć się do łóżka. Uruchomiła laptop i otworzyła zawartość znaleziska. To, co ukazało się na ekranie wbiło ją w fotel. Mnóstwo zdjęć różnych noży, sztyletów, informacji o ich zastosowaniu i dokonanych przestępstwach przy ich użyciu. Dopiero nad ranem usnęła, ale nie na długo, bo po trzech godzinach musiała wstać do pracy. „To nie będzie łatwa zmiana” – pomyślała, zwlekając się z łóżka. I rzeczywiście. Dobrze, że nie siedziała na kasie, bo mogła w krytycznym

momencie zejść ze sklepu do pokoju socjalnego i zaparzyć sobie kawę. Nie mogła skupić się na pracy, bo cały czas myślała o Andrzeju i tym cholernym pendrivie. „A może to on? Ten, co pchnął nożem tamtego, wzrostem i sylwetką przypominał Andrzeja. W domu go nie było. Może przestraszył się i uciekł? A może zauważył mnie i tylko udawał, że go nie ma? To jest możliwe. Jezu kochany, a jak to prawdziwy morderca? A ja go wpuszczalam do domu. Przecież mógł mnie zabić. Nie raz mógł wciągnąć w krzaki i poćwiartować. Części zapakować do jakiejś walizki i wywieźć na jakieś wysypisko albo w kilka toreb i każdą w innym miejscu ukryć. Na przykład głowę wrzucić do Mlecznej, a korpus zakopać w Lesie Kapturskim. Nogi i ręce wywieźć do Siczek i utopić w zalewie”. Takie rozmyślenia towarzyszyły jej w pracy, ale – choć czas ciągnął się jak guma od majtek – w końcu mogła udać się do domu na upragniony odpoczynek.

Ilona zasiadła przed telewizorem z lampką wina na złagodzenie stresu po ostatnich wydarzeniach i przeskakiwała kanały w poszukiwaniu czegoś ciekawego. W pewnym momencie usłyszała dzwonek do drzwi. Podniosła się, ale coś ją tknęło i do drzwi podeszła bardzo cicho. Spojrzała przez wizjer i o mało nie zemdlała. „Cholera, przyszedł po mnie. Zabije mnie teraz”. Panikowała w myślach. Dzwonek odezwał się ponownie z dodatkowym waleniem w drzwi.

– Ilona, otwórz. To ja, Andrzej – odpowiadała mu tylko głucha cisza. - Wiem, że jesteś w domu, światło się pali. Nic ci nie zrobię. Jestem niewinny. Inaczej by mnie nie wypuścili.

Ilona po chwili uchyliła drzwi i niepewnie wpuściła sąsiada do środka.

– Andrzej, ja cię przepraszam, gdyby nie ta moja niewyparzona gęba, nie zabrałiby cię – odezwała się skruszona.

– Daj spokój. To nie twoja wina. Gdyby nie ten nóż, nie zatrzymaliby mnie, tylko po przesłuchaniu wypuścili do domu.

– Jak to? – zdziwiła się.

– Podobieństwo do osoby na kiepskiej jakości filmie to jeszcze nie powód, żeby kogoś zamykać. Gdyby mój siostrzeniec nie zgubił tego noża, byłoby po sprawie.

– A dlaczego on miał twój nóż?

– Pożyczyłem mu go na rajd harcerski, a on mu po drodze wypadł. Traf chciał, że na miejscu zbrodni.

– No i co dalej?

– Ekspertyza wykazała, że na ostrzu nie było żadnych śladów, nawet najmniejszej obecności ludzkiej tkanki. Znaleźli tam jedynie odciski palców – moje i jego. No i jeszcze monitoring koło Lidla mnie zarejestrował. Mam niezbite alibi.

Ilona była tak zaaferowana opowieścią, że z wrażenia zapomniała, że mogliby usiąść. Byłoby przecież wygodniej rozmawiać. W pewnym momencie dyskusję przerwał im głos komisarza, Adama Brzezińskiego dochodzący z telewizora.

– Proszę państwa, sytuacja rzeczywiście wyglądała dość poważnie. Jednak przy pełnej współpracy i zaangażowaniu moich ludzi sprawa została rozwiązana błyskawicznie.

– Tak. Zdecydowanie – wściekła Ilona wyrzucała do obrazu. – I te zdjęcia co wam zaniósłam, też pewnie posterunkowy Filipiuk znalazł albo Witold Dąbrowski? Jasne! Nie wspomnę już o monitoringu!

– Proszę państwa, to nie wszystko – mówiła uśmiechnięta dziennikarka.

Ilona jak zaczarowana stała i gapiła się w ekran. Myślała, że doznaje déjà vu.

– Widzicie państwo teraz fragment filmu krążącego w sieci. Ukazuje on napad i zabójstwo młodego człowieka przez dwóch innych mężczyzn – relacjonowała dalej zadowolona z siebie dziennikarka. – Dzięki naszym zaradnym stróżom prawa wszystko się wyjaśniło. Prosimy o komentarz, panie komisarzu.

– Tak jak już wcześniej wspominałem, moi ludzie skrupulatnie prowadzili śledztwo. Po sprawdzeniu wszystkich materiałów technicy swoimi sposobami dotarli do źródła.

– No tak, ale tu widzimy, że dochodzi do zabójstwa, a zwłok w rzeczywistości nie ma – drążyła temat kobieta.

– Jak najbardziej. Okazało się, że sprawa ma happy end. Tak naprawdę nie było żadnego zabójstwa.

– Jak to możliwe?

– Ci trzej młodzi ludzie, których widzimy na filmie, to studenci łódzkiej filmówki. To była taka forma zaliczenia semestru. Mieli zainicjować i nagrać scenkę, która będzie przestrzegać obywateli przed czyhającymi na nich nocnymi niebezpieczeństwami.

– Dziękujemy panie komisarzu. Oby więcej takich projektów, a praca policji będzie lżejsza.

Ilona i Andrzej spojrzeli po sobie.

– Zmień kanał, bo mnie szlag trafi – poprosiła sąsiada.

Mężczyźnie nie trzeba było dwa razy powtarzać. Chwycił za pilot od telewizora. Najpierw trafił na horror *Tańczący z nożami*.

– Beznadzieja – pokręciła głową.

Nudziły ich też dokumenty o gwałcicielach i psychopatach, nawet jeśli ćwiartowali ofiary, a fragmenty ciał ukrywali w beczkach z odpadami toksycznymi. Ilona odebrała Andrzejowi pilot i wreszcie trafiła na coś, co ich zainteresowało. *Rzeź kosmitów na ziemi* to było to! Siedząc wygodnie przed telewizorem, popijali wino sycylijskie za siedemnaście dziewięćdziesiąt.

Eliza Mikulska

Latarka

Z sypialni wpada do łazienki. Myje zakrwawione ręce. Ubranie czyste, na szczęście. Musi uciekać. Powietrze tego ranka rześkie – wiadomo, kwiecień. Wsiada do auta. Sprawy się skomplikowały. Ręce się trzęsą, klucz nie chce trafić w stacyjkę. Wreszcie przekręca. Co ma być, to będzie.

Tomek skończył nocny dyżur w Miejskim Stanowisku Kierowania. W policji pracował od siedmiu lat, od dwóch nie patrolował ulic, tylko dysponował patrole stosownie do formatek przychodzących z Centrum Powiadamiania Ratunkowego. Nie mógł doczekać się powrotu do domu i przytulenia do Beaty, która wkrótce urodzi ich pierworodnego syna. Małżeństwem byli od czterech lat, najpierw chcieli kupić mieszkanie, dopiero potem mieć dzieci.

Karol – jego zmiennik i przyjaciel z czasów liceum – spóźnił się. Była sobota, o tej porze miasto przejezdne. W końcu zdyszany wpadł do dyżurki.

– Sorry, stary. Zasnęłam, bo matka jest chora. Wczoraj tłułem się od niej do domu po nocy, no i... sam rozumiesz – otarł pot z czoła.

– Nie tłumacz się. Następnym razem ty posiedzisz dłużej. Na przykład jak moja Becia zacznie rodzić – zaśmiał się i rozpiął mundur.

– Właśnie, to już chyba niedługo?

– Nie odwiedzasz nas ostatnio, to nie wiesz. Został jeszcze miesiąc. W środę jedziemy wybierać wózek. Prawdziwe Lamborghini.

– Zazdroszczę ci, stary.

– To się w końcu ożeń. Przecież na brak kandydatek nie narzekasz. Trzy lata temu stuknęła ci trzydziestka. Najwyższy czas.

– Łatwo powiedzieć. Nie ma takich jak twoja Beata.

– Są, są... Tylko musisz lepiej szukać. Spadam. Trzymaj się.

Wyszedł na parking. Był zmęczony, bo w nocy odbierał też telefony z miasta. Jeden był szczególnie – mężczyzna, który chciał popełnić samobójstwo, bo zdradziła go żona i nie umiał poradzić sobie z tą sytuacją. Facet był w podobnym do niego wieku, rozmawiali dobre pół godziny, zanim podał mu adres. Teraz, mijając kolejne ulice miasta myślał, co by zrobił, będąc na miejscu tamtego. Czy jego psychika jest na tyle wytrzymała, że potrafiłby wyrzucić Beatę z głowy? Jest o nią zazdrosny, czasem przesadnie. Całe życie towarzyszyło mu to uczucie. To za sprawą rodziców, którzy traktowali jego młodszą siostrę jak oczko w głowie. On musiał radzić sobie sam. Tylko Beata zna prawdę. Dzięki temu są razem. Wybacz mu, toleruje i radzi sobie z tym za niego. Czy o własne dziecko też będzie zazdrosny? O to, że żona poświęca małżeństwu więcej czasu niż jemu? Niedługo się przekona.

Dojechał na Młodzianów i zaparkował pod blokiem. Wbiegł po schodach. Beata o tej porze spała, zwłaszcza w ostatnich tygodniach. Cięża męczyła, a przybywające kilogramy powodowały, że puchły jej nogi. Często unosiła je do góry na oparcie kanapy.

Czemu drzwi nie są zamknięte na klucz? Wychodząc do pracy z pewnością je zamykał. Mamy gości? Beata wyszła wyrzucić śmieci? O tej porze? Wewnątrz wszystko wygląda jak wczoraj. Drzwi do sypialni uchylone, idealna cisza. Patrzy na łóżko i uśmiecha się. Beatka leży na plecach nieprzykryta kołdrą. Podchodzi bliżej. Już za chwilę wtuli się w ukochane ciało i kołysany miarowym oddechem żony, zaśnie. W półmroku dostrzega, że nie zgadzają się szczegóły: rozrzucone ręce, podwinięta koszula ukazująca zakrwawione nogi, krew na pościeli i obok łóżka.

Zmęczony umysł rejestruje to wszystko i nagle dociera do niego, co tu się stało. Podbiega do Beaty, próbuje ją cucić, próbuje wyczuć puls, łapie za leżący na podłodze telefon i wybiera numer na pogotowie. Klęka obok łóżka i przeraźliwie krzyczy. Buja się do przodu i tyłu jak dziecko z chorobą sierocą.

Czas oczekiwania na karetkę zdawał się trwać wieki. Ratownicy stwierdzili zgon z powodu utraty zbyt dużej ilości krwi.

– Wezwał pan policję? – spytał jeden z nich, a widząc w jakim Tomek jest stanie, sam wybrał numer.

Potem wszystko toczy się błyskawicznie: radiowóz, prokurator, patolog. Na pierwszy rzut oka potwierdzają przyczynę zgonu podaną przez ratowników. Resztę wykaże sekcja.

Wypytyują go czego dotyczył, gdzie chodził, zabezpieczają ślady. Ma niepodważalne alibi: był w pracy, bo pewnie stałby się głównym podejrzanym. Nieraz podniósł na nią rękę, lecz nigdy nie uderzył. Powinien czuć się winien?

– Cześć, Tomek – ktoś wszedł do pokoju na komisariacie, w którym go posadzono. Nie pamiętał, jak się tu znalazł i kiedy. W mieszkaniu zbierane były ślady, więc nie mógł tam zostać.

– Cześć – odpowiedział mechanicznie i tylko przez sekundę zawiesił wzrok na Marcie, która pracowała w firmie od dwóch lat. Potem wrócił do wpatrywania się w ścianę i skubania skórki przy kciuku.

– Jak się czujesz? – zdawała sobie sprawę, że to idiotyczne pytanie, lecz chciała jakoś zagać rozmowę, tym bardziej, że z Tomkiem nie знаła się właściwie wcale.

Nie raczył nic odpowiedzieć.

– Pomogę ci, tylko musisz mi zaufać.

Znów brak odpowiedzi.

– Wiem, że to trudne, ale dasz sobie radę. Potrzebujesz czasu – jako psycholog uważała, że wypada to powiedzieć.

– Co ty możesz o tym wiedzieć? Straciłaś kiedyś męża? Chłopaka? A może dziecko? Zaufać? Kpiś z mnie? Pomóc? Jak ty mi możesz pomóc? Wrócisz ich do życia? Tak? Potrafisz to? – Zerwał się z krzesła i wybiegł na korytarz, a potem przed budynek.

– Tomek! Zaczekaj!

Chciał być sam. Schował się z drugiej strony komisariatu na ławce. Czasem korzystali z niej palacze. Pragnął wrócić do domu, przytulić się do Beaty... to znaczy do zielonego szalika, który nosiła zimą, a dostała od niego, wdychać jej zapach, a potem zwinąć się na łóżku i usnąć na zawsze. Zauważył, że z kciuka płynie krew. Znowu. Owinął go znalezioną w kieszeni chusteczką.

Na żwirku zachrząściły kroki. Ktoś usiadł obok niego.

– Przykro mi, stary. Gdybyś czegoś potrzebował, wiesz, gdzie mnie znaleźć – Karol poklepał go po ramieniu.

– Czy możesz z kimś pogadać, żeby przyspieszyli pracę techników? Chcę jechać do domu.

– A nie powinienes może odwiedzić rodziców?

– Nie mówcie mi, co powinienem, a czego nie. Właśnie straciłem dwoje najukochańszych ludzi. Jednego z nich nie zdążyłem nawet poznać!

– Ok, stary, nie chcę zwady. Idę. W razie co, dzwoń.

Jest potwornie zmęczony. Ile to jeszcze potrwa? Poszedł do komendanta z pismem o przeniesienie w trybie natychmiastowym i udział w czynnościach dochodzeniowo-śledczych dotyczących tej sprawy.

Odpowiedź przełożonego była odmowna: bo jest zbyt związany emocjonalnie, bo nie myślałby racjonalnie, bo przepisy nie pozwalają. Poza tym jeszcze nic nie wiadomo. Może po prostu dostała krwotoku i poroniła i stąd tyle krwi? Trzeba poczekać na wyniki sekcji. Będą go informować na bieżąco. Na tyle, na ile to możliwe, by nie zaszkodzić śledztwu.

Wyszedł trzaskając drzwiami. Wrócił na ławkę. Tego dnia palacze chyba domyślili się, że lepiej mu nie przeszkadzać. Ściemniało się już, gdy obok niego ktoś usiadł:

– Chodź, zawiozę cię do domu.

To Marek, z którym kiedyś jeździł w jednym patrolu. Starszy od niego o jakieś dziesięć lat i z większym doświadczeniem. Dużo go nauczył. Zawsze był jak brat.

Wsiedli do nissana i ruszyli przez miasto. Po chwili ktoś szarpnął go za ramię.

– Wstawaj, jesteśmy na miejscu. Szef wysłał cię na przymusowy urlop. W tych okolicznościach... sam rozumiesz.

Nie rozumiał, ale nie przeszkadzało mu to ani trochę.

– Zaprowadzić cię?

– Dzięki, poradzę sobie.

Obudził się na łóżku w salonie z potwornym bólem głowy. Chciało mu się pić. Nie wiedział, która jest godzina. I jeszcze ten dźwięk, który nie dawał spokoju i kazał otworzyć oczy i sprawdzić, kto tak natarczywie dzwoni do drzwi. Nie miał na to ochoty. Dzwonek był stary, jeszcze po poprzednich właścicielach i teraz żałował, że nie wymienił go wcześniej. Nie pomogło nawet zakrywanie uszu poduszką. Wściekły zwiłkł się otworzyć.

– Myśleliśmy, że coś ci się stało. Od wczoraj nie odbierasz telefonów – Marek przecisnął się obok niego.

– Dziś jest wtorek – Karol wszedł tuż za nim i zamknął drzwi.

– Niemożliwe. Aż tyle spałem?

– A spałeś? No... Ale właśnie... Są wyniki sekcji – Karol rozsiadł się na kanapie, na której on przed chwilą spał.

Tomek naprzeciwno w fotelu czekał na ciąg dalszy.

– To nie był zgon naturalny. W sensie... nie umarła sama – Marek starał się delikatnie dobierać słowa.

– Ktoś ją zamordował? No, mówcie wreszcie!

– Zgwałcono ją i zamordowano. Najprawdopodobniej знаła sprawcę.

– Mogę ją zobaczyć?

– Tak, jutro możesz zacząć przygotowania do pogrzebu. Potrzebujesz czegoś?

– Nie, dzięki. Radzę sobie.

– To... trzymaj się. Znajdziemy go.

Po ich wyjściu zaczyna intensywnie myśleć. Znów skubie skórę okalającą kciuk, płynie krew. Wkłada palec do ust, idzie do sypialni i kawałek po kawałku przygląda się łóżku, podłodze i całej reszcie. Technicy na pewno skrupulatnie wszystko sprawdzili, lecz chce mieć pewność. Ogląda pokój milimetr po milimetrze jakby nieuchwytna wskazówka mogąca doprowadzić go do mordercy znajdowała się właśnie tu, w tym pomieszczeniu. Po kilku godzinach poszukiwań ma dość.

Pod zasłoną coś błysnęło. Serce забиło mocniej. Schyla się i podnosi kolczyk. Skąd się tu wziął? Beata nie miała przekłutych uszu. Czyżby prowadziła bardziej towarzyskie życie niż przypuszczał? Jeśli zaprasza się gości, to do salonu. Takich srebrnych dżetów jak ten, jest mnóstwo. Skąd u niej taka biżuteria? Musi zająć się robotą, bo inaczej zwariuje od tego myślenia. Znajdzie sprawcę, żeby nie wiem co.

Komendant zgodził się na jego powrót, lecz przydzielił do patrolu. Stwierdził, że mają braki kadrowe, posypały się zwolnienia, a ktoś musi jeździć na interwencje. Jemu w obecnej chwili wszystko jedno. Mogą być patrole. Ważne, że będzie w firmie na bieżąco i koledzy poinformują go o postępach śledztwa. Pojedzie teraz do prosektorium zobaczyć Beatę. Może znajomy patolog da mu do przeczytania wyniki sekcji?

W kostnicy pusto. Beata na lewym nadgarstku ma wyraźny ślad po ściśnięciu, wskazujący, że się broniła. A może podrapała sprawcę? Fragmenty naskórka za jej paznokciami mogłyby być świetnym dowodem. W aktach sprawy, które kumpel wychodząc do łazienki zostawił otwarte niby przypadkiem, niczego takiego nie znalazł. Śladów nasienia

też nie ma. Została zgwałcona i zaczęła krwawić. Ten skurwiel widocznie przyglądał się temu i nie wezwał pogotowia. Może w obawie, że go wyda? A może spanikował, dotarło do niego co zrobił? Linie papilarne rozmyte. Jakby rozmyślnie ktoś je wytarł. Zaplanował wszystko? Jak go znaleźć? Co teraz? – myśli gorączkowo i jednocześnie przygotowuje ceremonię pogrzebową.

Na cmentarzu mnóstwo ludzi. Urna z prochami spoczęła w grobie jej babci przy Limanowskiego. Pamiętał, że ktoś klepał go po ramieniu, składał kondolencje. Gdyby jednak miał wskazać konkretne osoby, które przyszły pożegnać Beatę, czy szczegóły z uroczystości, pokręciłby bezzadnie głową.

Po pogrzebie matka została na kilka dni. Był jej za to wdzięczny, choć nie rozmawiali wiele. Zaczęło do niego docierać, co się właściwie stało i że to mieszkanie będzie już zawsze puste. W śledztwie brak nowych tropów. Nie zgłosił się też żaden świadek. Jednym słowem: zbrodnia doskonała. Zabezpieczono ich komputer i jej telefon. Miał nadzieję, że technicy coś wreszcie odkryją.

Leżał na kanapie w salonie. Łóżko w sypialni za bardzo przypominało mu o ostatnich zdarzeniach. Nie może spać. Kładzie na dłoni koleczek i ogląda. Bierze notes, by wypisać tych, którzy mogli życzyć śmierci Beacie. Długopis zastyga nad kartką. Ona nie miała wrogów! To może jemu ktoś źle życzył? Ale kto? Sąsiadów jeszcze nie znali. Na podwórku, gdzie się wychowywał, nie został już prawie nikt: wszyscy przeprowadzili się, ożenili. Na początku pracy w firmie zatrzymał jednego diler. Okazało się, że ma powiązania z mafią. Odgrzązał się. Jak on się nazywał? Chyba Wiśniewski. Ale skąd miałby znać Beatę? Przesłuchani przez policję sąsiedzi niczego nie zauważyli. W bloku nie ma monitoringu. Beznadziejna sprawa...

Zanotował na kartce imiona kumpli, którym podobała się Beata. W zeszłym roku byli na imprezie integracyjnej. Wystarczyło, że oddalił się na chwilę za potrzebą, a ona miała wianuszek adoratorów: Karol, Marek, Daniel, Kuba – wszyscy z nią flirtowali. Oj, jak się wtedy wściekł! Chciał ich pobić. Wtedy Beata przylgnęła do niego całym ciałem, jakby chciała oznajmić, że jest tylko jego. Wie, że po powrocie z wyjazdu jakiś czas podśmiewali się za jego plecami i nazywali „Rycerzem Lwie Serce”. Kto wie, czy któryś się teraz nie zemścił? Jakim trzeba być potworem, by zamordować ciążarną?

A może to nie oni? Zresztą kolczyk damski. Beata nie miała wielu koleżanek i jakoś nie kojarzy, by któraś takie nosiła. Nie to, żeby aż tak się przyglądał obcym kobietom, ale umysł policjanta bezwiednie rejestruje takie rzeczy. Może kolczyk należy do jego siostry? Kontakty między nimi uległy tylko pozornej poprawie. Ale to raczej on mógłby mieć jej coś za złe niż odwrotnie. Jego siostra mordercą? Trzeba to sprawdzić, najlepiej od razu.

Pojechał na Michałów. Drzwi mieszkania na Królewskiej otworzył szwagier. Zdziwiony wpuścił go do środka.

– Ty? Tutaj?

– Jest Anka?

– Nnie... Wraca jutro.

– A to jej kolczyk? – wyjął małe zawiniątko z kieszeni.

– Nnie wiem. Poczekaj. Sprawdzę – szwagier poszedł do sypialni.

Tomek w przedpokoju słyszał dźwięk wysuwanych szuflad, odkrywanych wieczek, szperania w biżuterii.

– Chyba taki sam – szwagier otworzył dłoń i pokazał identyczny dżet. – Dziwne, bo jest tylko jeden. Skąd go masz?

– Nieważne. Kiedy dokładnie wraca Anka?

– Będzie jutro wieczorem, jest w Poznaniu.

– Zawsze wiedziałem, że z niej niezłe ziółko – z satysfakcją zbiegł po schodach.

Nazajutrz po Ankę przyjechało dwóch policjantów. On stał obok. Chciał zobaczyć jej minę. Najciemniej pod latarnią.

– Ale o co chodzi? To jakaś pomyłka! To twoja sprawka?

Uśmiechał się, gdy wsadzili ją do radiowozu. Wreszcie to on był górą. Rodzice tym razem nie pomogą. Zemsta bywa słodka.

Prysznic przyniósł ulgę. Jakby z brudem zmył ciężar z ramion. Szorstki ręcznik pobudził krążenie. Na płytce upada ślubna obrączka i z brzękiem toczy się pod umywalkę. Nie! Tylko nie to! Najpierw stracił żonę, a teraz obrączkę! Schyla się gwałtownie, by ją pochwycić. Obok umywalki, tuż za koszem na pranie coś błysnęło. Znowu kolczyk? Pierścione? Nie, to coś większego. Sięga ręką i wydostaje breloczek, a właściwie srebrną minilatarkę, która nim kiedyś była. Do kogo może należeć? Beata na pewno nie miała takich gadżetów. Do jej ojca? Do brata? Może to jakiś trop? Może właściciel ma resztę?

Coś za dużo ostatnio tych obcych przedmiotów w ich mieszkaniu. Może Becia nie była tak święta, jak myślał? Zazdrość dopadła go po jej śmierci. Znow zaczyna skubać skórę przy kciuku.

Kolejny dzień przyniósł nową nadzieję związaną z przesłuchaniem Anki. Patrzył przez lustro weneckie z satysfakcją. Nigdy nie widział jej tak zdenerwowanej: była roztrzęsiona, płakała. Ma za swoje!

Zeznała, że widywały się z Beatą od czasu do czasu pod jego nieobecność. Rozmawiały o nim, o jego zazdrości. Podtrzymywała Beatę na duchu. Nikt nie zrozumie go lepiej jak dwie bliskie kobiety. Anka cały tydzień spędziła w Poznaniu. Nie mogła zamordować.

Słyszac to, znów kaleczy kciuk. A już miał mordercę! Kto zabrał mu Beatę? Może trzeba zająć się latarką? Zrobi to jutro, bo dziś skończyli dyżur i Piotrek zaprasza na wódeczkę, by pożegnać stan kawalerski. Nie przyjmuje odmowy. Co robić? Może gdy się upije będzie bolało mniej? Może da się o tym zapomnieć?

Miał już nieźle w czubie. Zamknął oczy. Kumple pili dalej. Już po północy, czas wracać. Chwiejnym krokiem wyszli na zewnątrz.

– Trzeba zamówić taksówkę.
– I to nie jedną.
– Ja zadzwonię – mówi Karol, sięga do kieszeni po telefon i wysypuje całą jej zawartość na chodnik.

Na szczęście wyświetlacz smartfona ocalał. Tomek chwiejąc się pomógł przyjacielowi pozbierać z bruku dobytek: portfel, kluczyki od auta, klucze do domu i breloczek, a właściwie tylko kółeczko i końcówkę srebrnej minilatarki.

Do zamroczonego alkoholem umysłu dociera, że gdzieś już go widział.

– Ty skurwielu! – rzuca się na niego z pięściami.

Kumple, nic nie rozumiejąc, rozdzielają ich.

– Jak mogłeś? – pluje mu w twarz. Próbuje się wyrwać, tamci trzymają mocno.

– Odbiło ci? – jeden z kumpli chce przywołać go do porządku.

– Ten skurwiel zabrał mi Beatę!

– Przecież ona nie żyje! Naprawdę ci odbiło. Poza tym, gdy zginęła wracał od ojca – Piotrek próbuje załagodzić sytuację.

– Zabiję cię! – Tomek rzuca się na Karola i chwyta go za krtań. – Od ojca? Mnie powiedziałeś, że od matki! Ty gnoju!

– Przestańcie! – koledzy próbują rozdzielić szamoczących się. – Przecież technicy znaleźli włos mordercy. Jutro się wszystko wyjaśni.

– Jaki włos?

– No... jego analiza nie została dołączona do akt. Zawieruszył się. Ale Tomek... Mam go. Już się nie wywinie. Słyszysz? Zgnije w kryminale.

– Nie jesteś wart, żebym cię zabił – luzuje uchwyt i uderza głową w nos Karola.

Nadjeżdża taksówka. Karol wykorzystuje chwilę nieuwagi kolegów i wsiada do niej.

– Na Cisową, tylko szybko.

Trzęsą mu się ręce. Z nosa płynie krew. Przykłada do niego chusteczkę. Wpatruje się w szybę: „Odkryli, że zabrałem włos. Teraz prokurator postawi mi zarzuty. Chciałem, żeby Beata była moja. To był wypadek. Niepotrzebnie się broniła. Straciłem nad sobą panowanie i było za późno”. Zaciska dłonie w pięści.

Taksówka zatrzymuje się. Drżącymi dłońmi płaci i wysiada. W mieszkaniu kieruje się do schowka, wstukuje kod i wyjmuje P-99. Przeładowuje, siada na łóżku. W pierdlu go zniszczą, jest tylko jedno wyjście. Oddaje strzał. Kula przelatuje przez czaszkę i zatrzymuje się w przeciwległej ścianie. Krew, tkanki i odłamki kości rozbryzgują się dookoła. Czerwone stróżki spływają ze stojącego na szafce zdjęcia – jedyne, na którym są on, Tomek i Beata.

POEZJA

prowadzący:

Michał Zabłocki

Pisaliśmy osobno, ale poprawialiśmy razem. Myślał każdy na własny rachunek, ale rozmawialiśmy wszyscy we wspólnym interesie. Siadałem u szczytu stołu, jak to chyba zwykle bywa w takich razach, żeby zaakcentować swoją ważność, która w przeciwnym wypadku mogła być z łatwością zakwestionowana. Na początku było nieźle, ale jest znacznie lepiej – oczywiście z mojego punktu widzenia, który w żadnym razie nie może być obiektywny, ale z pewnością musi zostać uznany za miarodajny mocą umowy zawartej z organizatorem. Z wielu bardzo długich wierszy udało się stworzyć niewiele krótkich. To bardzo dobry sygnał. Bo czy warto tworzyć wiersze długie? Zupełnie nie warto. Jakaż to oszczędność czasu z uwagi na tych, których i tak nigdy nie będzie stać na przeczytanie czegokolwiek! Jakaż to oszczędność w przygotowaniu, w redakcji, w korekcie, w druku! Skróty, to czysty zysk. Więc głównie tym się bawiliśmy. Siłą rzeczy nie powstały wcale żadne piosenki! Chociaż do napisania wspólnych piosenek mnie wynajęto. Powstały „Wiersze na murach”, wyświetlone w Krakowie przy ulicy Brackiej jedną wielką radomską falangą od 1 do 30 czerwca 2019. I powstały inne jeszcze wiersze, a w zasadzie skróty i przetworzenia oryginałów, bardziej lub mniej wybebeszone, obrócone przodem do tyłu, do góry nogami. Czasem – rzadziej – wcale nie ruszone. Teraz już trudno. A nawet bardzo trudno je rozróżnić. Przyjemnej lektury!

Michał Zabłocki

Radom

Wiersze na murach

Maciej Bujanowicz

patrzę w portfel
i nie widzę pieniędzy
ty patrzysz w chmury
i nie widzisz kształtów
który z nas jest uboższy

kolacja bez tłuszczu
mleko bez laktozy
makaron bez glutenu
burger bez mięsa
seks bez miłości

twój oddech jak powiew wiatru
wzmagający się przed burzą
by ostatecznie wygiąć się
w łuk triumfalny
zwyćśko opaść w moje ramiona

Katarzyna Chotulaj

Kimkolwiek jesteś
usłysz mnie proszę
i naucz
żyć życiem
którego nie znoszę

W pociągu – pasażerowie
kolei losu proszą o uśmiech
o zwyczajną rozmowę
nie słuchać
to nie jechać... a stać

Dym
przeniknął powietrze
zniknęły sny i wspomnienia
papierosa i życia
już nie ma

Monika Daszkowska

jak nam siebie ubyto
dwie połówki
zjednoczone nienawiścią
rozpaczliwie rzucają się
w inne przeznaczenia

odchodząc
zabrałam ciebie
z bagażem złych doświadczeń
i kredytem braku zaufania
na trzydzieści lat

pod długą spódnicą stołu
trącają się nasze stopy
wzrasta napięcie
gubimy buty
wciąga nas chaos

Robert Jabłoński

targujesz się ze światem
o pietruszkę, potrafisz
sprzedać szklane domy
harujesz jak wół i tylko
duszę oddajesz za darmo

nie słuchasz mnie
jak wyglądam
mówisz prawdę
co to jest prawda
czy to jakieś wino

dźwięk kropli rozrywa
moje uszy, cięcie duszy
błądzą po śladach istnienia
niedokonanych pragnieniach
miłości, których nie dałem

Lidia Mikocka-Rosińska

Poezja twoja przyjaciółka
wszystkich przyjmie w ramiona
zdradzi Cię jak dziwka
zwłaszcza
że niezapłacona

powieki opadają
pióro umyka z rąk
grawitacja znów zadziałała
troski ustępują obrazom
siedzisz chociaż oddalasz się

Nic nie spłodzę
Wielka pustka
Serca tylko czuję ból
Po co mi to było wszystko
Pozostanie pusty mur

Wściekłość wypełnia ramy
Nic powiększa swój byt
Mam dość pustki krzyczącej
Jak żyć Panie Michale
Jak żyć

Eliza Mikulska

Afryka zmieniła się w pustynię
doprowadziliśmy do tego oboje
po omacku szukamy oazy
wokół tumany kurzu
wróćmy do źródła

Urzekły mnie krzywizny
twoich nóg, choć przyznaję,
że ładniejszy jest twój blat.
Muśnięty pieścizną
przyprawia mnie o dreszcze.

Pustka wokoło, we mnie,
W przestrzeni echo dobija,
Odbija się od ściany.
Jakby chciało mi powiedzieć,
Że sama sobie jestem winna.

Amelia Pudzianowska

zliziałaś całą szminkę
oparta o ścianę
liczyłaś straty w paznokciach
być może są gwiazdy
które nie świecą

para znoszonych kochanków
czekających na osobne trumny
z wyrzutem cięższym od duszy
kochają się jak nie wiem co
chyba nic

dostałam czasową licencję
na oddech luźno bezterminowy
nawleczona na boską igłę
myślę, że umrzeć jest niełatwo
żyje się przeważnie

Ryszard Ryzewicz

Zdobyłeś już wszystkie kobiety
Pokonałeś nawet nieprzyjaciół
Pijesz wino z Aszerą i Jahwe
Tajemnice są puste
Nikt tego nie dostrzega

Masz długie zgrabne nogi
I takie wielkie czerwone usta,
I białą pierś,
I głos wywołujący wiosnę.
Mazowiecki boćku.

Zwariowanie zieloną zieloność.
Prześwietlony lazuruwy błękit.
Rzucone? Na zieloną zieloność.
Ciało białe, stęsknione słońca
Z czerwoną? ...dominantą warg.

Aneta Kamila Sieradz

jesteś, wyginam usta
rozkładam ramiona
choć w mojej głowie
rozchylałam wargi
rozkładałam nogi

runął świat, a tymczasem
płacę nad tym, że
nie wchodzi mi M w klawiaturze
chyba od tego ile razy
pisałam jego imię

płoną nasze święte miejsca
a ja mam nadzieję
może chociaż w oceanie
krokodylich łez
ocalimy wieloryby

Aneta Wygonna

Jak jest? Jest: tak: o!
Jako tako?
Nie. Jest tak, o!
Tak, o? O, tak!
Jest właśnie tak. Tak: o!

Przydałby się urlop.
Od narzekania.
Obgadywania innych.
Osądzania.
Przydałby się urlop. Od życia.

Wszedłeś w moje życie
nieproszony.
Wypełniłeś moje serce czymś,
czego nie chciałam. Zabrałeś
spokój, którego nie miałam.

Wiersze własne

Maciej Bujanowicz

Z poezją u nogi

marmurową płytą zasłaniam się przed słońcem
a ciepła ziemia przyjmuje mnie w milczeniu
jej czarne usta pełne są pokory
mamrocze imiona martwych na przemian z przekleństwami
tak że nie sposób ich odróżnić

lód mnie otacza a lud osądza
pamiętaj że ręka która niesie do chrztu
musi mieć również siłę utopić

a przecież i tak każdy wyznaje swoją religię
składając ofiary w barze siłowni na boisku

nie uciekaj
będziesz się czuł rozdarty jak matka mordercy
z poezją u nogi nie uciekniesz
nigdy

Maciej Bujanowicz

Coming out

niewysłowna noc zamieszkała we krwi
światło wypełniło gorejącą wodę
na brzuchu krzyżują się
blizny
droga prawda i życie

Jesień

liczę stopnie do piwnicy tak że straciłem rachubę
wybacz że nie jestem Jasińskim ani Tuwimem
posadziłem mech na wszystkich wielkich urządzeniach
widziałem jak tłum pożarł i wypłuł naród

na swoich drzwiach znajduję klepsydrę
za nimi jest tylko ciemna i pusta szatnia
spośród wszystkich kostiumów najtrudniej ubrać
twarz Chrystusa i dostrzec ją w sobie

księżyc zapalił się na czarnym suficie
jedyną przydzieloną nam rolę jest milczeć i pamiętać
być częścią i działać się
razem z historią

Katarzyna Chołuj

Dziś te oczy nie widzą zieleni
Stopy nie czują mokrej trawy
Wciąż pamiętają fale na gumoleum
I brudne okno i pręty krat

Dziś na tej twarzy grymas zmęczenia
A wykrzywione usta wolą nie mówić nic
Niż wypływać mętne słowa
Milczą boleśnie zagryzione wargi

Kiedyś to ciało odważnie płynęło
Pokonując najtrudniejsze zakręty

Dziś to samo ciało ostrożnie dryfuje
By nie utonąć na prostej

nocą otwiera mi się żal
a po nim życie całe
tlący papieros spadł
i spalił brwi kawałek

a moje ciało jest jak lep
ciężko mu nawet w nocy
karmi się podłym dniem
śniąc pokonuje schody

Monika Daszkowska

odchodząc
zostawiam
kota
tapczan
parasol granatowy
nie wiem czy wiesz
w tapczanie pękła sprężyna
parasol ma małą dziurę
kot złapał pchły

oswojeni ze śmiercią
stoją w dwuszeregu
odliczając
dni do jej nadejścia
spakowane już walizki
dobrych uczynków
stoją na progu życia
w małym dusznym pokoju

a gdybym tak rybą była
w najgłębszych toniach
gdzie sekretne życie ławicy
usypia wrogów
a chłód
co do szpiku przenika
uwalnia z obłądu
to co?

Robert Jabłoński

cierpienie, okrutny nauczycielu
nasz, trudne testy z ludzkich
więzi robisz, do domu zadajesz
kochać bliskich, oblewasz i repetujesz
broń

wojny ze sobą toczę
mojego świata powoli
ubywa męczy mnie pustka
po utracie marności boję się
abym z kretesem nie wygrał

Lidia Mikocka-Rosińska

Poezja, twoja przyjaciółka,
wszystkich przyjmie w ramiona.
Zdradzi Cię, jak dziwka.
Zwłaszcza,
że niezapłacona.

Eliza Mikulska

Koszmar

Leżysz na podłodze w łazience zwijając
się z bólu, a ja przerażona, nie wiem, co
robić. Pomoc nie przyjeżdża, chodzę od
okna do okna. Gdy już cię zabiorą,
a ja zostanę, nie zmruję oka do świtu.
I dopiero nad ranem ktoś zadzwoni
i powie, że śniłam.

Trach

Przyszłaś do mnie cała rozpromieniona,
podzieliłaś się nowiną. Twoje szczęście
rosło jak powiększający się brzuch
– z tygodnia na tydzień, z miesiąca na
miesiąc. I nagle znikł twój blask. Teraz
nie wiesz, czy podolasz samotnemu
macierzyństwu.

Miasto nocą

Miasto nocą jest wymarłe. Tylko blask
kolorowych neonów i światło lamp.
W tej pustej ciszy ludzie śnią najskrytsze
marzenia, uśmiechają się, a potem
zapominają wcielić w życie to, co im się
przyśniło. I tylko nieliczni promienieją
światłem, choć w nocy jechali taksówką,
przed którą przebiegł czarny kot.

Amelia Pudzianowska

Nauka pływania w łyżeczce wody

jej wnętrze miało aranżację jakby rodem z piekła
pragnęła poczuć się jak jedno z ożywionych stworzeń
on jej serce ziębił, więc szybko uciekła
potem mówiła, że szła tylko przejrzeć się w jeziorze

chciała odnaleźć świętość na ziemi lub w niebie
tam był taki stromy brzeg, mój dobry Boże
złapał ją za ramię, przyciągnął do siebie
a ona tak pragnęła zobaczyć się w wodzie

potem już w szale biegła, a wokół psy wyły
gwiazdy się paliły jak żałobne świece
i choć na nią czekał, bez łez i bez siły
wróciła. nie dała rady utopić się w rzece

Ryszard Ryzewicz

Starcy i Zuzanna

Wtem Zuzanna przepadła jak kamień w potoku
Ratunek jej przynieśli łyśi podglądacze
Rozłożyli swe szaty, by ogrzać jej ciało
Wyziębione, zsiniałe, bezkształtnie skulone
Ona wdzięczna im obu, przymknęła oczęta

Ryszard Ryzewicz

Wenus

Usiadłaś na skraju nieba
 Jak kurwa w miejskim burdelu
 Wieczorem twoich siostr nie widać
 Ty jedna bezwstydnie świecisz
 Pomykasz inaczej niż reszta
 Idzie świt, siostry bledną
 Ty zostajesz do początków dnia

Kuchnia niby francuska

a okrągła jak ciasto włoskie,
 z podziałem na pół.
 Zobaczyłem i posmakowałem
 z talerza pełnego rozkoszy.
 Ach czego tam nie było.
 Były rosy krople
 spływające po zgrubiałych brzegach.
 Był aromat pękających ziaren kawioru
 i truskawek? Nie, poziomek.
 Czarne, bardzo czarne
 rozłożone na kosmatym rózu fig oliwki.
 Oliwki twarde, figi miękkie,
 koronki tu, falbanki tam.

Aneta Kamila Sieradz

wybielamy się
 z wad
 z ran z nieładu

 kolorujemy się
 za sobą rzucamy
 kamienie w odbicia lustrzane

czyścimy się
 łzami złotem jak słońcem
 w lato

wypalamy się
 z pustki
 z przymusu z braku

Cztery pory siebie – zima

czekam patrząc jak do mnie nie dzwoni

Afrodyto, rozkoszy zabrakło
i ust w półśmiechu
w cieniu splecionych ciał
oddechy zabrane i nie ma muzyki
wiatr w uszach

nie boli mnie nic,
prócz poranków chłodniejszych niż twoje spojrzenie
i jego palców wplatanych we włosy

przyszłabym do ciebie
w tych butach za małych co ścierają mnie do
krwi
albo na boso
może na rękach

przyszłabym do ciebie
we śnie i leżała obok byś nie śnił że się boisz
samotności
albo bólu
czasem szaleństwa

przyszłabym do ciebie
i zimnymi dłońmi schłodziła kubek gdy się
śpieszysz
albo herbaty
a nawet mięty

przyszłabym do ciebie
ale nie wołasz

Katarzyna Wiśniewska

Cierpienia młodego Karola Kota

Czy pan wie, że najłatwiejsza droga do serca prowadzi przez plecy?

w kościele jest przyjemnie
chłodno cisza – warunki idealne
dla starych kobiet które chcą
być bliżej boga

nie przebiłem jej serca
jasnym promieniem jak on
ale czyż nie wyszło na to samo?

dzieci były jak małe koty
naiwne i chciwe pieszczot
ich miękkie brzuchy czule witały
mój nóż – uwielbiałem
jego nienaganny profil

był przedłużeniem
mojej woli:
przekłuta deska lub przecięty na pół
uśmiech dziewczyny
która z własnych wnętrzności
nie wyrzuciła sobie nic dobrego

gdybym tylko mógł
poderznąłbym temu miastu
wszystkie ulice

życie zaczyna się po osiemdziesiątce

już prawie północ pora niewyraźnego
po drugiej stronie ściany pukanie
ktoś obcy mógłby się przestraszyć
ale my wiemy
dziadek znów zabija

pająki
to jego domowy sposób
na zachowanie równowagi
w przyrodzie

te skurwysyny mają w sobie więcej wody
niż mój pęcherz nad ranem
krzyczy i musimy mu wierzyć
odkąd leki na sen też nie działają

czekamy na balkonie aż się uspokoi
papierosy są złe
i zamarzają nam w ustach
jest zimno będzie lepiej
jeśli nie padną żadne słowa

spacer po gorącym blaszanym dachu

wymagał dużo opieki bo sam nie mógł
nic

czipsy przyjmował z mojej dłoni jak komunię
piwo piliśmy razem -
dżentelmeni szanujący nawet ciszę

kiedy kręciło mu się już w głowie
prosił o transport do łóżka
opowiadałem mu o zwycięstwie
newcastle i dziewczynie z autobusu
która nie nosi majtek

cieszył się jednakowo
zdradził że zanim postanowił
jeździć na wózku
miał wiele kotów
i kociaków
ale wszystkie uciekły

dzwoniłem do niego niedawno
nikt nie odbierał
pewnie strzela z wiatrówki
do cholernych dachowców
lub współlokatorów

mówił przecież nie raz że krępuje go
niepogarszanie się
stanu innych

Aneta Wygonna

Komputer jest

Komputer jest moim pasterzem,
 niczego mi nie zabraknie.
 Na barwnych portalach pasie mnie.
 Pozwala mi wertować strony Facebooka,
 lenić się na wygodnym fotelu.
 Ale choćbym miał najlepszy tablet,
 i zupełnie za darmo wszystkie apki świata,
 a prądu bym nie miał
 nic bym nie zyskał.
 Zwłaszcza drugiego życia.

W poniewierce

Przyjdź, usiądź i odpocznij,
 drogi przyjacielu!
 I wyjdź ludziom naprzeciw,
 bo bardzo jest ich wielu.
 Przypomnij sobie, ile razy
 będziesz w poniewierce,
 że gdzie twój skarb, tam miało
 mieszkać twoje serce.

Linia Krzywa

Czasem niewiele trzeba.
 pycha huknęła jak ryczący lew.
 Dziewczyna odeszła.
 Z linią krzywą na ustach.

AKADEMIA MŁODYCH AUTOREK

prowadzący:
***Katarzyna
Chołuj***

W powietrzu unosi się aromat kawy. Od kilku godzin próbuję zmieścić ostatnie miesiące na jednej stronie. Piszę. Kasuję. Tęsknię. Już tęsknię. Za dziewczynkami, za warsztatami, za wzruszającymi wiadomościami od nich, wreszcie – za ich tekstami. Ostatni łyk mlecznego napoju jest zupełnie zimny. Robię kolejną kawę i mam cel – na dziś koniec wzruszeń.

Marzyłam, by poprowadzić warsztaty kreatywnego pisania dla dzieci i młodzieży. Pomysł tkwił we mnie od kilku lat. Jako absolwentka podyplomowych studiów pisarskich na Uniwersytecie Warszawskim oraz w Collegium Civitas wiem, że pisanie można się nauczyć. W marcu 2018 roku wysłałam zgłoszenie na konkurs organizowany przez MOK „Amfiteatr” w Radomiu. Nie mogłam uwierzyć, że moja inicjatywa została nagrodzona.

Nie zapomnę pierwszego spotkania Szkoły Młodych Mistrzów Pióra we wrześniu 2018 roku. Na warsztaty zgłosiło się dziesięć dziewczynek. Pamiętam, że wymieniałam niektóre tematy zajęć – bohater, jego cel i pragnienie, sztuka dialogu, arystotelesowska struktura trzyaktowa, myślenie obrazem i wydarzeniem, przyjaźń z „ale” i „dlaczego”, a one – słuchały w skupieniu. Nie zerkwały do telefonu. Nie ziewały. Zaakceptowały też propozycję prac domowych. Z tygodnia na tydzień powstawały niezwykle teksty. Ambicja i talent moich podopiecznych przerosły moje oczekiwania. Dzięki wsparciu MOK „Amfiteatr” teksty dziewczynek zostały wydane w antologii „Szkoła Młodych Mistrzów Pióra”.

– Jesteście niesamowite. Nie przestawajcie pisać. Mam nadzieję, że do szybkiego zobaczenia – powiedziałam na ostatnim spotkaniu w styczniu 2019 roku. – To brzmi jak koniec – pomyślałam w tamtej chwili.

Końca nie było. Już w lutym 2019 roku odbyły się nasze kolejne warsztaty. Na prośbę uczestniczek zmieniłyśmy nazwę – Akademia Młodych Auterek – tak brzmiała ich propozycja. Niestety nie każdej z dziewczynek udało się jesienią tego roku pogodzić szkołę, dodatkowe zajęcia i naszą Akademię. Nie wszystkie opowiadania zostały dopracowane na tyle, by mogły znaleźć się w antologii. Wszystkie natomiast zapowiadały się na naprawdę bardzo dobre.

W tej publikacji – zawierającej utwory dorosłych autorów, także moje teksty – jest jedynie mały wycinek twórczości każdej dziewczynki, krótkie historie pt. „Pan Piątek” napisane tylko ze słów na literę „P” oraz zupełnie nowe, niepublikowane wcześniej opowiadania Amelki, Ami, Marysi i Matysi.

Tolerancja lub jej brak – takie hasło zaproponowałam. Amelka, Ami, Marysia i Matysia po raz kolejny pokazały niezwykłą wrażliwość i dojrzałość. Każda wybrała drugą opcję. One już wiedzą, że smutek się lepiej sprzedaje niż radość.

Chciałabym napisać wiele o każdej z moich podopiecznych, ale i tak byłoby to za mało. Wierzę, że ich teksty opowiedzą o nich najwięcej. Pokażą ich talent, pracowitość i wrażliwość.

Zanim jednak postawię ostatnią kropkę, chcę podziękować dyrekcji i całej załodze MOK „Amfiteatr” za możliwość poprowadzenia warsztatów, Rodzicom za nieustające wsparcie, wszystkim dotychczasowym mentorom, a w szczególności Ewie Madeyskiej, której warsztat doprowadził mnie właśnie tutaj, oraz Wam, Dziewczyny.

– Jesteście świetne. Nie pozwólcie sobie nigdy wmówić, że jest inaczej – powtarzałam wam do znudzenia na każdych zajęciach. – Jesteście świetne. Nie zapominajcie o tym – powtarzam też dzisiaj.

W powietrzu unosi się aromat kawy. Rozpuszczalna z mlekiem smakuje dziwnie. Jest słona.

Katarzyna Chołuj

Przygody Pana Piątka

Maja Urbańska & Dominika Chudoń

Pan Piątek przyjaźnił się z panią Pamelą. Podróżował z nią po Portugalii przez Przełęcz Perską. Przyjaciel Patryk pomagał im w pracy. Po powrocie do państwa pomyślał o ponurej pogodzie panującej w Poznaniu. W Polsce pojawił się polityczny problem. Polegał na pokłóceniu się pięciu Polaków z pięćdziesięcioma Portugalczykami o piętnaście parówek, podczas gdy pomarańczowe pomidory Pameli przerodziły się w piękne porzeczki.

Oliwia Paciorek & Maria Wierzbicka

Pan Piątek powiedział pani Poniedziałek, że polubił pająki. Pani Poniedziałek przyznała się, że polubiła papugi. Piątek pooglądał programy i postanowił pokupować pani Poniedziałek papugi. Pięć papug i piętnaście pajaków. Polubił papugi. Pan Piątek puścił papugi. Poleciały do pani Poniedziałek. Pan Piątek i pani Poniedziałek pokochali pupilów. Pani Poniedziałek piekła pierniki dla papug, pajaków i poślubionego pana Piątka.

Matylda Wilkowska

Pan Piątek powiedział „popis” po popiciu piwa. Pomyślał „pętla” po pierdzeniu. Pan Poniedziałek po pierogach pomyślał o panu Piątku i puknął Piątka parasolem. Psycholog pasjonował się polityką, a pan Piątek pasjonował się pieniędzmi. Pan Piątek polubił psychologa. Pan Piątek posiadał papugę Polę. Piła z pomarańczowego poidła. Pan Piątek i pan psycholog pozostali przyjaciółmi. Pies psychologa pokochał Polę i pięć razy pocałował ją w policzek. W pewien pochmurny poniedziałek pan Piątek połknął pięćset pączków i pękł z przejedzenia.

Antonina Kot

Pan Piątek pomieszkuje u przyjaciela Piotra w Poznaniu. Pracuje w pizzerii. Pasjonuje się pisaniem poezji i powieści psychologicznych. Posiada pianino, perukę, patefon i psa. Popołudniami po parku prowadzi pupila, pekińczyka – Pupcia. Pupcio przedrzeźnia

pisqliwie poszczekiwania poznanych psich przyjaciół. Przechadzki Pana Przemysława Piątka to przeraźliwe popisy pekińczyka. Postępowanie pupila pakuje ich w problemy. Pan Piątek pokazuje Pupciowi jak porządnie postępować. Pobiera porady od poznanych przyjaciół psiarzy. Pupcio nie posiadał przychylności poznaniaków. Pan Piątek postanowił przeprowadzić się do posiadłości z parkiem, polem, pastwiskiem i porządnym parkanem. Pragnie przemienić pupila. Pupcio nie przysporzy już problemów.

Amelia Żurowska

Pan Piątek poszedł pozbierać pietruszki przy przeogromnym pałacyku. Po popołudniowej partyjce pokera poszedł z przyjacielem Piotrem pograć w „pinezki”. Prawie przegrał. Później postanowił, że pójdzie pooglądać piosenkarzy przygotowujących premierowe piosenki. Prezentowali się przebojowo. Potem, po pełnym psot popołudniu, przebrał się za pisarza powieści pełnych pomyłonych przygód. „To się popisałem!” – pomyślał. Późno po północy poszedł podzemać.

Amelia Brodnicka & Marta Pudzianowska

Pan Piątek poszedł do parku poczytać powieść o przemysłeniach. Pierwszy pomysł po przeczytaniu, a przemysliwał pomysł przez przedostatni piątek pod prysznicem, polegał na pójściu do piwowarni i poproszeniu o pomarańczowe przysmaczki. Pospieszenie przegadał pomysł z przyjaciółką Patrycją. Pojechali na przysmaczki, potańczyli, pośpiewali i poszli na podwórko przewietrzyć się.

Alicja Bąk

Pan Piątek postanowił, że popróbuje potrenować ping-ponga, patrząc na pączka w policyjnej piekarni. Przeżył pięć piątków pod patrolem. Pani Paulina postanowiła podjąć się przyjaźni z Panem Piotrem. Pogwizdywali, podskakując pewnie przez Podlasie. Pokochali się. Płomień przyjaźni przenikał przez przeszkłony patrol. Przyjaźń przerodziła się w przepiękne uczucie paraliżujące palce i przełyk. Paulina prawnie przejęła przydomek Piątek. Podjadając pączki policjantów, przewidzieli poród. Pojechali pędem do pani Patrycji, powiedzieć o porodzie Pauliny i Piotra.

Amelia Brodnicka

W ciemności

Jak ja nienawidzę ciemności. Siedziałam w małym ciemnym pokoju. Jedynym źródłem światła były malutkie, ledwo palące się świece ustawione wokół krzesła. Oświeślały tylko niektóre miejsca w pokoju, tworząc fantazyjne wzory na podłodze i ścianach. Spojrzałam w dół, by dokładnie im się przyjrzeć. Poczułam piekący ból w nadgarstkach. Dłonie i kostki miałam przywiązane do krzesła. Spróbowałam ruszyć nogami tak, by przesunąć się bliżej drzwi. Chciałam zajrzeć przez dziurkę od klucza. Nagle usłyszałam szczęk klucza.

– Cholera – przeklełam w myślach. Gdybym obudziła się wcześniej, może zdążyłabym się uwolnić.

W drzwiach spostrzegłam dwóch mężczyzn.

Jeden trochę wyższy od drugiego. Nie mogli mieć więcej niż dwadzieścia lat. Ubrani w zwiewne długie płaszcze, jakby szaty, ale krótsze. Twarze mieli zakryte kapturami.

– To ta cela, prawda? Ta, w której mieliśmy znaleźć skazanego na egzekucję? – zapytał wyższy, robiąc kilka niepewnych kroków w moją stronę.

– Hiroshi, czy ty wiesz jak wygląda człowiek po sześćdziesiątce? Przecież to ewidentnie nimfa – powiedział bez krztyny sarkazmu.

„Nimfa?” – wygrzebałam z pamięci znaczenie tego słowa. To zabójczo piękne kobiety, duchy drzew czy coś takiego. To porównanie nie pasowało do mnie.

– Czy ona jeszcze żyje? – zapytał ten wyższy, szturchając mnie palcem.

– Tak. Żyje. Chyba, że jestem w niebie, jeśli zasłużyłam – powiedziałam słabym głosem.

– Czy zasłużyłaś, nie wiem. Zaraz się okaże – zaśmiał się niższy, po czym pochylił się po teczkę, która leżała na podłodze.

– Nazywa się Mei, ma dziewiętnaście lat i rezyduje tutaj już od miesiąca. Zdiagnozowano u niej zaburzenia dwubiegunowe. Uratowano ją z pożaru. Została tu umieszczona bo... – zamknął teczkę z poirytowaniem. – Nie napisali – dokończył i rzucił papiery na podłogę. – Chrząmy egzekucję i przenieśmy ją do pokoju o lepszych standardach – powiedział po chwili ciszy. Pochylił się i z niesmakiem przetarł kurz z podłogi.

– Ale dokąd? Chyba nie do twojego pokoju! – powiedział ten wyższy, patrząc wzrokiem mówiącym „Rozumiem twoje potrzeby, ale nie przekraczaj granicy”.

– Chcę stąd wyjść – szepnęłam błagalnie.

– Nie dasz rady. Jeszcze nikt stąd nie uciekł. A wielu próbowało.

Po tych słowach podszedł do krzesła. W rękę trzymał nóż. Po chwili łańcuch opadł na podłogę, uwalniając moje nadgarstki. Zasyczałam z bólu. Ostrożnie wziął mnie na ręce.

– Nie musisz. Sama dam radę iść – powiedziałam, udając, że nic mi nie jest.

– Muszę. Za takie rzeczy grozi nawet kara śmierci – szepnął.

Zaraz po dotarciu do pokoju rzucił mnie na ziemię.

– Jak długo muszę tutaj zostać? – zapytałam nieśmiało.

– Tak długo, jak reszta klanu nie dowie się, że cię uwolniłem. – Przejechał palcem po krtani, demonstrując, jakie kary obowiązują za zdradę. – Nie wyglądasz za dobrze. Chcesz się umyć? – zapytał po chwili, wskazując na drewniane drzwi.

Otarłam brud z twarzy postrzępionym rękawem.

Powinnam – odpowiedziałam i powlokłam się do łazienki.

Gdy wychodziłam, usłyszałam, jak buteleczki i fiolki obijały się o siebie w jego rękach. Wydawały przyjemny szklany dźwięk. Ostrożnie zamknęłam drzwi. Chłopak pracował przy statywie alchemicznym. Popatrzył na mnie kątem oka i bez słowa wrócił do pracy.

Jeszcze bardziej od ciemności nienawidzę upokorzenia. Zaciągnęłam koszulę najniżej jak się tylko dało. Położyłam się na cienkim kawałku materiału, który miał mi służyć jako łóżko.

– Mogę o coś zapytać? – przewróciłam się na drugi bok.

– Nie – odpowiedział, jakby spodziewał się, o co zapytam.

– Gdy czytałeś moje akta, to może widziałeś, co było tam napisane, skąd jestem, czy mam rodzinę, cokolwiek o mnie? – wyjąkałam.

– Nie mogę powiedzieć. Przynajmniej na razie. Jeśli chodzi o twoją rodzinę, to pewnie starszyzna coś wie.

Mimo że jeszcze dwie godziny temu byłam nieprzytomna, zasnęłam snem godnym śpiącej królowy. Rano obudziłam się przyjemniej niż zakładałam. Rozejrzałam się po pokoju. Zorientowałam się, że leżę na łóżku. Nie na kawałku materiału, który tylko je przypominał. Chłopak wyszedł z jednej z ogromnych biblioteczek, przecierając oczy ze zmęczenia.

– Wczoraj pracowałam do późna. Łóżko i tak nie było mi potrzebne – powiedział, tłumiąc ręką ziewnięcie.

Odkryłam koc i spróbowałam wstać. Natychmiast zakręciło mi się w głowie. Złapał mnie obiema rękami za barki i ostrożnie posadził na łóżku.

– Leż jeszcze. Musisz odpocząć – powiedział. – Za chwilę wrócę – dodał wesoło już zza drzwi.

Nie chciałam odpoczywać. Chciałam mu podziękować. Odczekałam parę minut i pewnym krokiem wyszłam z pokoju.

Maria Wierzbicka

Szczęście na ekranie

Właśnie zaczynała się trzecia lekcja. Opadłem na krzesło w ostatniej ławce. Dziewczyny obok zaczęły szeptać. Byłem pewny, że na mój temat. Nie umiałem nie zwracać na to uwagi. Kiedy zauważyły, że się na nie gapię, spojrzały tak, jakby chciały, żebym umarł. Posłałem im krzywy uśmiech i przewróciłem oczami. Spojrzały jak na dziwoląga i popukały się w czoło. Nie miałem ochoty kontynuować tej wymiany gestów, więc prawie się ucieszyłem na widok nauczyciela od geografii. Niestety, czekała nas kartkówka. Lubi je tylko klasowy prymus Franek. Dla całej reszty to koszmar. Nauczyciel rozdał kartkówki. Zerknąłem na pytania.

Nie mam szansy nawet na trójkę – pomyślałem po przeczytaniu kilku.

Po kilku minutach Franek z dumą podniósł się z miejsca i odłożył na biurko nauczyciela kartkę. Nie miał pojęcia, że klasa sztyletuje go spojrzeniami. Każdy wiedział, że Franek dostanie najwyższą z możliwych ocen. Nikomu z nas nie udało się nigdy choćby zbliżyć do wyniku Franka. Szczególnie Mikołajowi, który sądził, że Francja to inny kontynent. Mikołaj, mimo że jego mózg miał awarię albo został wyłączony, i tak miał przyjać. Większość klasy uważała go za naprawdę zabawnego. Nie to, żebym go nie lubił, ale jego niewiedza często mnie wnerwiała. Był dobry tylko w jednym. Grał w piłkę. Należał do szkolnej drużyny i był najlepszym zawodnikiem.

Mnie nie lubił nikt. Może dlatego, że kiedyś mieszkałem na wsi. A może dlatego, że nie miałem rodziców. Zmarli rok wcześniej, zanim skończyłem szóstą klasę. Miałem tylko babcię. Nie mogła się mną zająć. Od roku walczyła z rakiem płuc. Dyrekcja poprzedniej szkoły zdecydowała, że zamieszkać z wychowawczynią do końca roku. Potem czekał mnie dom dziecka w Radomiu. Trafiłem tam na początku wakacji, najgorszych wakacji w życiu.

We wrześniu poszedłem do siódmej klasy w zupełnie nowej szkole. Większość osób znała się od zerówki. Czułem, że nie chcę nowego kolegi. Po lekcjach słuchałem orkiestry Grandioso. Zawsze chciałem w takiej grać. Raz nawet widziałem ich na żywo. Pierwszego maja na radomskim deptaku, gdy występowali, jak co roku, z okazji wstąpienia Polski do Unii Europejskiej. Potrafiłem godzinami oglądać ich występy na telefonie. Odważyłem się i poszedłem na spotkanie organizacyjne.

Dwa tygodnie później nauczyciel historii jakby się na mnie uwziął. Stałem na środku klasy, a on nie przestawał zadawać mi coraz trudniejszych pytań. Klasa patrzyła na mnie. Kiwali głowami. Od ich wzroku i odpytywania uwolnił mnie dzwonek. Wyszedłem z sali czerwony jak nigdy wcześniej. Zbiegłem do szatni. Tuż po wyjściu ze szkoły sięgnąłem po telefon. „Nowa wiadomość” – zobaczyłem na ekranie. Przeczytałem. Podskoczyłem, klaszcząc nogami. Nie mogłem uwierzyć, że dostałem się do orkiestry Grandioso.

– Może teraz mnie polubią? – pomyślałem po chwili. Schowałem telefon i pogwizdując wróciłem do domu dziecka.

Matylda Wilkowska

Dzień z życia gangsterów

Mam na imię Olek. Należę do „Gangu Nietolerowanych”.

Przyjmujemy wszystkich odmieńców, którzy zostali odrzuceni. Naszą specjalnością jest robienie drobnych psikusów tym, którzy dotkliwie robili je nam. Może to nie w porządku, ale sądzę, że jeżeli oni mogli być tacy okropni dla nas, to my możemy zachowywać się tak wobec nich. Każdy z nas ma ksywkę. Przy ich wymyślaniu odnosimy się do naszych wad, ale pilnujemy, żeby nikt nie czuł się urażony. Uczestników gangu jest ośmiu.

Na mnie mówią „fotograf”, a nienawidzą za aparat ortodontyczny, a raczej za niewyważną mowę. Jest też Seti. W jej klasie wszyscy mają i kochają swoje psy, zaś jej zwierzęciem jest świnka morska właśnie o imieniu Seti. Szpilkę z kolei w szkole przezywają „kujon”. Nawet nie wiedzą, że tracą naprawdę inteligentnego i sympatycznego kolegę. Skazą kolejnej z nas, Kropki, są wielkie okulary i wielki trądzik. Nikt nie chce poznać jej bliżej, tylko dlatego, że nie grzeszy urodą. Ceem natomiast ma prawą nogę o kilka centymetrów krótszą od lewej. Śmieją się, że kołysze się, jak chodzi. Swoją ksywkę wymyślił sobie sam od skrótu „cm”. Moim zdaniem jest świetna. Ceem to mój najlepszy przyjaciel. Lefta jest leworęczna. Co dziwne, nienawidzą jej tylko za to. Ma piękne, kasztanowe włosy sięgające do pasa. Zawsze uśmiechnięta. Sympatyczna, mądra i ciekawa świata. A ja... Chyba się w niejkocham. Hefta z kolei nie ma ojca, który zginął w wypadku samochodowym. Odkąd go nie ma, jej radością jest kupowanie zeszytów z różnorodnymi okładkami. Śmieją się z jej hobby. Hefta uwielbia wyjazdy do cioci do Berlina. Zawsze wraca z kolejnymi kilkunastoma zeszytami, a że zeszyt po niemiecku to heft, więc nazwaliśmy ją Heftą. Ósemkę zamyka Książ. Uwielbia czytać. Nawet na przerwach stoi oparty o ścianę i kartkuje kolejną powieść.

Spotykamy się co tydzień przed lekcjami w nieużywany magazynie na Małczyńskiej obok domu Seti i blisko szkoły. Zawsze o szóstej rano. Obmyślamy różne nowe psikusy i omawiamy powodzenie poprzednich misji.

Tego dnia też zebraliśmy się tuż po szóstej. Nie było jednej osoby. Tej, która już dawno skradła moje serce – Lefty. Czekaliśmy kilkanaście minut. Nie przyszła. Tłumaczyłem sobie, że może zasnęła. Nie mogliśmy dłużej czekać. Rozpoczęliśmy zebranie bez Lefty.

– Witajcie, drodzy przyjaciele – powiedziała uroczystym głosem Seti. Magazyn to własność jej rodziny i ma prawo rozpoczęcia spotkania. – Kto ma jakieś pomysły niech się wypowie, ale po kolei – dodała Seti, gdy sześć osób zaczęło mówić w tym samym czasie.

– Może zrobimy karty, na których będą widniały zdjęcia najgorszych osób, z wielkim napisem WANTED. Tak jak na Dzikim Zachodzie. Będą mieli takie żenujące przydomki. Kartki powiesimy na szkolnym korytarzu, tuż przed otwarciem szkoły – powiedziałem dumny z własnego pomysłu.

Wszyscy zgodnie stwierdzili, że owszem świetny i do zrealizowania. Jednak nie dzisiaj. Zebranie fotografii tyłu osób nie jest łatwym zadaniem. Psikus do wykonania na dzisiaj wymyślił Szpilka. Mieliśmy do jedzenia ze szkolnej stołówki dodać jak najwięcej proszku z chili. Wiedzieliśmy, że wszyscy, którzy zjedzą choć trochę pechowego obiadu do końca dnia będą moczyć języki w mleku. My oczywiście, jako twórcy psikusa, nie zjemy ani krztyny posiłku ze stołówki. Kiloro z nas akurat tego dnia zapomni o obiedzie, kilku będzie coś bolało i w gabinecie pielęgniarki przegapią całą przerwę obiadową. Reszta po kryjomu schowa jedzenie.

Do wykonania misji wyznaczono oczywiście Szpilkę, Seti i mnie. Ucieszyłem się. Uwielbiam robić innym te psikusy. To takie emocjonujące. Ja, Szpilka i Seti chodzimy do różnych klas, ale to nie był dla nas kłopot. Dobra organizacja to nasze drugie imię. Każdy z nas kupił ze wspólnych pieniędzy gangu po dziesięć saszetek papryki chili w proszku.

O umówionej godzinie poszliśmy wykonać misję. Nikt się nie spóźnił. W ciszy zeszliśmy na parter do stołówki. Było cicho. Nawet maluchy nie skończyły jeszcze lekcji. Nie było ani jednego woźnego. Za to przed nami stały trzy wielkie gary z obiadem. Wsypaliśmy do każdego z nich po kilka pełnych woreczków z chili. Już mieliśmy wracać, gdy nagle zobaczyliśmy błysk flesza. Odwróciliśmy się. Za nami stał tłum naszych prześladowców. Zdjęcie zrobił lider całej grupy, najgroźniejszy z nich.

– Te wszystkie szpilki na krzesłach, podarte podręczniki to nie przypadek. Teraz już mam dowód. Nawet dwa. Pokaż się im – wrzasnął.

Z tyłu grupy wyszła Lefta. Moje serce ścisnęło się z przerażenia. Na jej twarzy nie było ani śladu uśmiechu. Jej oczy były czerwone od płaczu. Ubranie podarte i brudne. Wymieniliśmy się szybkimi spojrzzeniami.

Musiała być torturowana. Nie było jej na dzisiejszym spotkaniu. Na pewno złapali ją w drodze do nas – pomyślałem, nie odrywając wzroku od Lefty. „Wiem, co o mnie myślicie” – zdawały się mówić jej oczy. Nie powiedziała jednak nic. Za to ja powiedziałem głośno i najwyraźniej jak umiałem. – Coś ty jej zrobił! – Coś ty jej zrobił, potworze! – powtórzyłem.

Potem wszystko rozegrało się błyskawicznie. Przez sekundę na twarzy oprawcy Lefty odmalowało się ogromne zdziwienie. Nie spodziewał się, że ktoś mu się postawi. Jednak szybko się ogarnął. Wystąpił krok naprzód i walnął mnie mocno pięścią w czoło.

Obudziłem się w szpitalu. Przy mnie siedział Ceem. Kiedy zobaczył moje otwarte oczy, uśmiechnął się radośnie.

– Cześć! – powiedział najzwyczajniej.

– Hej. Długo spałem?

– Cały dzień – odparł.

– A w szkole jak?

– Tego gościa znęcającego się nad Leftą i wszystkich innych, co tam byli, wylali już podobno ze szkoły. A Lefcie wszystko wybaczyliśmy. Przecież nie wydała nas z własnej woli.

– No jasne, że nie – odparłem. – Już nie mogę się doczekać naszego spotkania w komplecie – dodałem.

Naszą rozmowę przerwała mama. Weszła do sali i przekonała Ceema, że powinienem odpocząć. Sama została ze mną aż do wieczornego obchodu. Po kolacji, gdy zostałem sam, ktoś nieśmiało zapukał do drzwi.

Do sali weszła Lefta. Usiadła na krześle obok mojego łóżka.

– Olek... – zaczęła. – Nie chciałam, żeby tak wyszło. Oni mnie...

– Nawet nie chcę wiedzieć – przerwałem jej. – Nie miałaś wyjścia. Wiem, że każdy z nas postąpiłby tak, jak ty. Przecież nie przestanę cię lubić – ciągnąłem i lekko się zaczerwieniłem, mówiąc ostatnie słowa.

Lefta uśmiechnęła się. Wstała i cmoknęła mnie w policzek. Moja twarz zaczerwieniła się do granic możliwości. Lefta też nabrała rumieńców.

– Do zobaczenia w szkole – powiedziała po chwili i wyszła.

Tego wieczoru nie mogłem zasnąć. Snułem wizję kolejnego spotkania z Leftą.

Amelia Żurowska

Idąc w rozpacz

Jestem Rota. Nie mówię od szóstej klasy, a chodzę już do pierwszej liceum. Urodziłam się zdrowa i nadal nic mi nie dolega. Poza tym, że od kilku lat nie wydusiłam z siebie ani jednego słowa.

Szłam spokojnie korytarzem z klasą na lekcję historii. Przede mną stanęły one. Carmen i jej mała grupka.

– Hej, patrzcie! Nasza niemowa – powiedziała Carmen – zaśpiewasz coś dla nas?

– Hmm, może Rotę? – spytał Ernest. I zaczęli się śmiać. Nie wiem z czego, przecież to żałosne.

Uff, zesłi mi z drogi. Aż znowu ktoś przede mną stanął.

– Nie zwracaj na nich uwagi. Nie rozumieją cię. Wiem, jak to jest, stracić kogoś ważnego – zaczęła nauczycielka i mnie objęła – Po prostu bądź sobą.

Ech, każdy mi to mówił. Ale ja zwyczajnie nie umiałam. Wiedziałam, że kiedyś będę musiała zacząć rozmawiać z ludźmi, jeśli chcę być lekarzem. Tylko jak?

Zima była mroźna. W ciepłym kożuchu zmierzałam do domu.

– Jak w szkole? – spytał tata – Na stole jest pomidorowa. Na pewno cię rozgrzeje. Straszny mróz, nie?

– Kochanie! Przynieś mi zszywacz, proszę! – krzyknęła z sąsiedniego pokoju mama.

Posłusznie zaniiosłam przedmiot matce. Parkour, nasz kot, ocierał się o moje nogi. Pogłaskałam go. Zjadłam zupę i zostawiłam na stole karteczkę z napisem „Idę do parku”. Wyszłam z domu, nie zważając na zimno. Pobiegłam do parku Kościuszki. Jak zawsze bawiło się tu wiele dzieci. Usiadłam na ławce i podziwiałam płatki śniegu sypiące się na nos. Nuciłam ulubione piosenki My Chemical Romance. To nie tak, że nie mówiłam, że nie śpiewałam. Po prostu nie umiałam rozmawiać z innymi. Nagle zobaczyłam jadących na hulajnogach Carmen, Ernesta i Kamilę. „Na hulajnodge? O tej porze roku?” – pomyślałam. Weszłam na drzewo. Niestety zobaczyli mnie. Śmiejąc się, podjechali pod ten wielki dąb. Wzięli szyszki i zaczęli we mnie rzucać.

– Schodź z tego drzewa! Co, boisz się nas?! No, dalej! Hej, może zawołasz swojego brata? A, no tak. Ty nie masz brata! – krzyczeli.

Wkurzyłam się. Zaczęłam schodzić z dębu. Stojąc pewnie na dwóch nogach, patrzyłam się na nich diabelsko.

– Co, bez braciszka już nie jesteś taka odważna, jak kiedyś?

– Zamknij się! – Nie wierzyłam. Właśnie pierwszy raz od trzech lat coś do kogoś powiedziałam.

– Łoo! Robi się ostro! Zmusiliśmy niemowę do słów! – odparła Kamila.

Z trudem oddychając, podeszłam bliżej Carmen.

– Jednak się nie boisz, co? Psychopatka – wyszeptała Carmen. Odwróciła się i chciała odejść. Nie zdążyła. Zrobiłam coś, czego sama się nie spodziewałam. Walnęłam ją zaciśniętą pięścią w głowę. Ta upadła i z zakrwawionym nosem spytała:

– Co ty robisz? Jesteś chorr... – nie dokończyła.

Zemdlała. Ernest sięgnął do kieszeni po telefon i zadzwonił na pogotowie. Kamila ze strachem patrzyła to na nią, to na mnie. Pobiegłam do domu.

Nie mogąc pozbierać myśli, wbiegłam do swojego pokoju. Usiadłam w kącie. Płakałam do bólu. „Kim ja jestem?” powtarzałam w myślach. Rodzice weszli i ze zdziwieniem spyali „Co ci jest?”. Podsunęli mi kartkę pod nos, prosząc, żebym to opisała.

– Niepotrzebna mi – powiedziałam łkając – tak strasznie mi go brak... Tyle czasu już minęło. Jako jedyna nie umiem się pozbierać.

Mama się uśmiechnęła.

– Też nie umiem. Ani ja, ani tata, dziadkowie, wujkowie, nawet Parkour. Po prostu trzeba... wiesz, że on zawsze jest przy tobie.

Po tych słowach rodzice przytulili mnie tak mocno, jak nigdy. Nareszcie, już wiedziałam. Mój starszy brat zawsze będzie nade mną czuwał. Musiałam żyć pełnią życia.

Tydzień później pojechaliśmy na Józefów, do szpitala. Odwiedziłam Carmen i dałam jej pudełko czekoladek z karmelem.

– Przepraszam – wydusiłam z siebie.

– Ja też – zaczęła – byłam dla ciebie okropna. Nie powinnam się wyśmiewać, ale to dlatego, że sama nie jestem lepsza. W głębi też mam uczucia, o których nikt za bardzo nie wie...

Przerwałam jej ruchem dłoni, którą potem jej podałam. Na znak zgody. Z uśmiechem wyszliśmy ze szpitala.

Cztery lata później

– Patrząc na ten wykres wiemy, że osoba cierpiąca na malarię nie tylko zaraziła się, ale i ma ciągle przeszkadzającego w wyleczeniu pasożyta – z ciekawością słuchałam wykładu. Tak bardzo się cieszyłam.

Pierwszy dzień na wymarzonych studiach, a już tyle umiem – pomyślałam.

Wróciłam do wynajętego mieszkania i usiadłam przy biurku, na którym stało zdjęcie brata. Czule na nie spojrzałam i zaczęłam się uczyć do testu. „Dasz radę! Już tyle osiągnęłaś” – usłyszałam nagle ciepły męski głos. Włożyłam do odtwarzacza DVD płytę Panic! at the disco i wsłuchując się w słowa piosenki, zasnęłam z długopisem w ręku.

SŁUCHO- WISKO

prowadzący:
Krystyna
Chołoniowska

Dziesięć razy przebyłam drogę między Radomiem a Krakowem. Przez okna autobusu widziałam, jak zmienia się pejzaż – od wczesnej wiosny po początek lata. Bardzo szybko polubiłam uczestników prowadzonych przeze mnie warsztatów – ludzi o różnych doświadczeniach i w różnym wieku. Niektórych z nich łączą wspólne pasje, wszystkich – zainteresowanie pisaniem i chęć poznania całkiem nowej dla nich formy – scenariusza radiowego.

Zaczęliśmy od słuchania fragmentów słuchowisk, skończyliśmy na poprawianiu powstałych tekstów.

W trakcie dwudziestu godzin, które razem spędziliśmy, omawialiśmy kwestie, które miały pomóc początkującym autorom napisać jak najlepiej zbudowany scenariusz radiowego dramatu. Rozmowy i ćwiczenia dotyczyły głównie warsztatu scenarzysty – konstrukcji fabuły, akcji, pojedynczej sceny; pracowaliśmy nad dialogiem, by brzmiał naturalnie, zastanawialiśmy się nad postaciami, aby były wiarygodne i żywe. Próbowaliśmy uchwycić specyfikę słuchowiska i budować w tekstach akustyczną przestrzeń.

Powstały scenariusze różnorodne, jeszcze nie całkiem doskonałe, ale badaj każdy z nich ma w sobie potencjał „dobrego początku”. To ten pierwszy krok, za którym odważnie stawia się następne.

Cieszę się, że niemal wszystkie warsztatowe teksty, z czynnym udziałem autorów, mogły przejść swoją drogę do realizacji akustycznej. Uczestniczyć w powstawaniu słuchowiska i w końcu je usłyszeć – to bezcenne doświadczenie dla autora. Obyście wykorzystali je w następnych scenariuszach.

Życzę Wam – moi kursanci – odwagi, dobrych pomysłów, jak najlepszych ich realizacji i konsekwencji w dalszej pracy nad własnym warsztatem.

Krystyna Chołoniowska

Katarzyna Chołuj

Pociąg

Osoby:

40-letnia Aneta

Kolczyk w nosie

42-letni Paweł, kuzyn Anety

Ciche chrapanie.

Poranny śpiew ptaków.

KOLCZYK W NOSIE

Znamy się od dawna. Ona – Aneta i ja – Kolczyk. Ona chciała kiedyś zostać pisarką, dziś... sam nie wiem. Ja... od dwudziestu lat tkwię w miejscu, gdzie mnie wbiła. W jej nosie. Mieszkamy w kawalerce z balkonem. Kuchnia. Mały przedpokój. Ciasna łazienka. No i pokój. Nasz pokój. Aneta jeszcze śpi. Jestem pewien, że gdy tylko się obudzi, dotknie mnie palcem wskazującym. Kiedyś w nocy wypadłem i poturlałem się pod łóżko. Szukała mnie jakieś dwie godziny. Znalazła. Teraz zawsze sprawdza, czy nie zwaiałem. Dźwięk budzika.

KOLCZYK W NOSIE

Aneta wstaje. Wygląda króciutko obcięte blond włosy. Podchodzi do lustra. Biała podkoszulka z wściekle różowym napisem „Nie ogarniam” sięga do połowy bioder. Wyciąga ją w dół, by zasłonić bieliznę. Patrzy na siebie z pogardą.

ANETA

Współczuję ci, lustro. Wisisz nieruchome, wciśnięte tuż obok drzwi. W ciągu dnia widzisz dwie fotografie na poźółkłej ścianie. Niewiele się różnię od zastygłych na zdjęciach chwil. Zmęczona sobą bardziej niż ty. Nie tak miało być. *Skrzypnięcie drzwi. Kroki. Strumień wody. Zapalenie gazu pod czajnikiem.*

KOLCZYK W NOSIE

Szybka kawa. Kilka papierosów. Prysznic.
Kolejna kawa. Kolejne papierosy. Potem
cały dzień męczy ją metaliczny smak
w ustach. Doskonale zna przyczynę.
Leki, papierosy i kawa. Zero śniadania.
Standard. Kawa, papieros, papieros, kawa.
Tak zaczyna się każdy dzień. Zdziwiłbym
się, gdyby było inaczej.

Gwizdek czajnika. Mieszanie łyżeczką kawy.

Kroki.

KOLCZYK W NOSIE

Za oknem pochmurno. Aneta włącza
komputer.

*Dźwięk mailowego powiadomienia o nowej
wiadomości.*

ANETA

Pani Aneto, w związku ze zmianą daty
publikacji artykułu, proszę o przesłanie
tekstu najpóźniej do północy.

Z pozdrowieniami MediLump.

Odpalenie zapalniczki.

KOLCZYK W NOSIE

Aneta patrzy na ekran. Nerwowo ściska
nos. Kciukiem i wskazującym raz po raz
naciska i odpuszcza. Nie lubię, jak tak
robi. Antidotum na stres. Tak mówi.

Ej, przestań już! To nie jest fajne.

Dźwięk klikania myszką.

No otwórz ten plik i skończ wreszcie ten
artykuł.

Odgłos stukania w klawiaturę.

ANETA

Mammografia twoją szansą. Poszło.

KOLCZYK W NOSIE

Wyłącza komputer. W popielniczce sześć
petów. Nie minęła nawet godzina. Kawa?

Kroki.

*Strumień wody. Zapalenie gazu pod
czajnikiem.*

KOLCZYK W NOSIE

Nie myliłem się. Kawa. Kolejne papierosy.
A śniadanie?

Gwizdek czajnika. Mieszanie łyżeczką kawy.

Kroki.

KOLCZYK W NOSIE

Za oknem wciąż pochmurno. Aneta zerka
w kalendarz. Poniedziałek. Ósmy kwietnia
2019 roku. Czwarta rocznica. Paweł.

Kuzyn. Przyjaciół.

Muzyka.

Aneta włącza komputer. Otwiera i zamyka
kolejne foldery. Domyślał się. Sześć,
siedem lat temu? Może wcześniej.

*Charakterystyczne „plum” jako odgłos
z komputera.*

Delikatne trzaski. Odtworzenie nagrania.

Lekki szum na początku.

ANETA

Uwaga. Włączam dyktafon. Cztery. Trzy.

Dwa. Jeden. Start. Synergia. Miejsce akcji.

Łąka. Występują

PAWEŁ

Kobieta, Usta, Prawa ręka, Lewa ręka.

ANETA

Czyta Aneta i Paweł.

PAWEŁ

Kobieta

ANETA

Wczesną wiosną

Na ciepłej rosie wilgotne stopy

I ja bez butów szczęśliwa

Pełna nadziei

PAWEŁ

Usta

ANETA

Co to w ogóle jest?

PAWEŁ

Prawa ręka

ANETA

Papieros w dłoni.

PAWEŁ

Lewa ręka

ANETA

Zazdroszczę. Też bym chciała potrzymać.

PAWEŁ

Prawa ręka

ANETA

Nie ma czego. Tylko wskazujący żółknie.

PAWEŁ

Usta

ANETA

Powinnyśmy się nazywać pociąg.

Pociągam. Zaciągam. Wypuszczam.

Pociągam. Zaciągam. Wypuszczam.

I znowu. Pociągam. Zaciągam.

Wypuszczam.

Po prostu POCIĄG.

PAWEŁ

Kobieta

ANETA

Późnym latem

Byle nie swojego szukam cienia

Mijam wypalone słońcem rżysko

Parno burzowo a ja zmęczona

Pełna obaw

PAWEŁ

Usta

ANETA

Ja tak, kurde, nie mówię!

PAWEŁ

Kobieta

ANETA

(przedrzeźnia) Ja tak, kurde, nie mówię!

Ja tak, kurde, nie mówię!

Pociągacie. Zaciągacie. Wypuszczacie.

Gadacie. Pociągacie. Zaciągacie.

Wypuszczacie. Gadacie.

PAWEŁ

Prawa ręka

ANETA

Co jest? Rusz się, no!

PAWEŁ

Lewa ręka

ANETA

Nie pomogę. Poproś głowę.

PAWEŁ

Kobieta

ANETA

Pełna obaw

Przed zgniłą jesienią

Nużącymi wieczorami

Przed mroźnym powietrzem

Przed sobą samą

PAWEŁ

Kobieta odkręca słoiczek. Wysypuje

tabletki. Odkręca butelkę. Wypija łyk.

Połyka kilka tabletek. Popija wodą. Zapala

papierosa. Zaciąga się. Połyka kilka

tabletek. Popija wodą.

ANETA

(głos z każdym słowem cichszy, zanikający)

Pociągam. Zaciągam. Wypuszczam.

Połykam. Popijam. Odpuszczam. Połykam.

Popijam. Odpuszczam. Odpuszczam.

Szum...

ANETA

Wystąpili: Aneta – Kobieta oraz Paweł

Trzaski i śmiech Anety i Pawła, szum.

ANETA

Dzięki. Stop. Zakończ nagranie. Plik.

Zapisz jako. Synergia.

KOLCZYK W NOSIE

Jakiś czas temu wysłała tekst na konkurs.

Cały. Jak się uda...

Odpalenie zapalniczki.

Teraz wlepia wzrok w monitor. Na pulpicie

zdjęcie wrocławskich krasnali. Napis.

Niespełnione marzenia chowam

w ciemności. Uśmiecham się do

codzienności. Jej sentencja sprzed...

Nieaktualna. Krasnale za mgłą.

Na klawiaturze łyk. Znowu?

(siąkanie nosa)

Co ja tu robię? Dziwnie. Ciasno. Mokro.

ANETA

Pociągam. Zaciągam. Wypuszczam.

Odpuszczam. Zamknij system.

KOLCZYK W NOSIE

Aneta! Sprawdź, czy jestem. Dotknij.

Widzisz, nie ma mnie. Ciepło, ciepło.

O tu. Delikatnie wyjmuję mnie

z chusteczki i wkłada z powrotem na

miejsce. Zaciąga się. Nie, tylko nie to!

Niestety. Znowu kciukiem i wskazującym

nerwowo ściska nos. Ej, przestań już!

To nie jest fajne.

Muzyka

KOLCZYK W NOSIE

Aneta znów patrzy w kalendarz.

Poniedziałek. Ósmy kwietnia 2019 roku.

Czwarta rocznica. Paweł. Zmarł nagle.

Na pogrzebie strasznie płakała.

A ja myślałem, że nie przetrwam

kilkugodzinnego smarkania.

No już. Przestań ryczeć!

ANETA

I choć się boję, to często marzę, by to się stało dzisiaj.

Dźwięk mailowego powiadomienia o nowej wiadomości.

ANETA

Pani Aneto, poniżej kolejny temat, tym razem dotyczący prostaty. Termin do jutra do północy. Z pozdrowieniami MediLump
Odpalenie zapalniczek.

ANETA

Plik. Zapisz jako. Jaja. Start. Zamknij system.

KOLCZYK W NOSIE

W popielniczce kolejne cztery niedopałki.

Aneta siada na łóżku. Kładzie się i zwija w kłębek. Zamiera w bezruchu. Zamyka oczy. Zasypia.

Muzyka ambientowa.

ANETA

(szepcem, półsennie) Bez okien i drzwi.

Przestronnie. Jestem tu. Nic więcej.

PAWEŁ

Aneta?

ANETA

Paweł! Zapalimy?

PAWEŁ

Nie można. Odgórny zakaz.

ANETA

Pieprzyć to.

PAWEŁ

Co tu robisz?

ANETA

Zdałam za trzecim razem. To mnie przyjęli. Fajnie tu?

PAWEŁ

I tak, i nie. Widziałaś się z Amelką?

ANETA

No jakieś dwa lata. Może trzy. Tęskni.

Bardzo tęskni.

PAWEŁ

Byłem złym ojcem.

ANETA

Złym, dobrym, głupim, mądrym, brzydkim, ładnym, normalnym, nienormalnym.

Wymieniać dalej? Te słowa nic nie znaczą.

Są i tyle. A ojcem to ty byłeś najlepszym!

PAWEŁ

Piłem, odszedłem od jej matki, nie miałem stałej roboty. Wymieniać dalej?

ANETA

Pięś czasem. Z Anką się nie dziwię.
Robota raz jest, raz nie. Mogę ci coś
przeczytać?

PAWEŁ

Spoko. Dawaj!

ANETA

Poprosiła babcię o wazon, jasny w
niebieskie wzory. Żółtym tulipanom co
niedu skróciła nóżki. Wypadł jej z rąk.
Woda strużką popłynęła do twoich stóp.
Przełożyła kwiaty do kubka. Cieszyłeś się.
To były twoje trzydzieste siódme urodziny.
Tulipany nie zdążyły zwiędnąć. Nie straciły
żółtych twarzyczek. Nie wyblakły im
czarne rzęsy. Nóżki też nie zgniły. Dwa dni
później miałeś już swój osobisty dzban.
Nie pozwoliła ani twojej matce, ani
siostrze. Szła ściskając biały dzban, w
którym zmieściłeś się cały ty. Twoja twarz
uśmiechnięta, ciepłe spojrzenie, twoje
czułe dłonie, wszystko spopielone.
Nie wypuściła cię.
Byłbyś dumny. Miała dwanaście lat, a tak
dzielnie niosła twój osobisty dzban.
Szum wiatru.
Grzmi.
Wiatr jeszcze silniejszy.
ANETA
Ale bym zapaliła. Serio nie można?

PAWEŁ

Ani palić, ani pić. Nawet jeść.

Spać też nie.

ANETA

No nie! Nawet spać?

PAWEŁ

Nie czuć zmęczenia. Tu już nic nie czuć.

Chciałem się wzruszyć. Nie mogłem.

Nauczysz się. Właściwie dlaczego
tu jesteś?

ANETA

Już mówiłam. Trzecie podejście. Miałam
więcej odwagi. Żadne tam leki. Pociąg.
Pędzący pociąg.

Muzyka przerwana dzwonkiem telefonu.

ANETA

Tak?

Sygnał zajętości.

KOLCZYK W NOSIE

Pochmurno. Aneta wstaje. Otwiera okno.
Podchodzi do lustra. Patrzy z pogardą na
swoje odbicie. Zapala papierosa. Popiół
strzepuje do doniczki z kaktusem. Zaciąga
się i dmucha dymem w lustro. Płacze. Hej!
Jestem tu!

ANETA

Pociągam. Zaciągam. Wypuszczam.

Pociągam, zaciągam... Odpuszczam.

KOLCZYK W NOSIE

Zapala następnego. Dmucha dymem
w lustro.

ANETA

(Szeptem) I choć się boję, to często marzę, by to się stało dzisiaj.

KOLCZYK W NOSIE

Hej! Nie sprawdzałaś, czy jestem!

Dźwięk wiadomości esemes

ANETA

Miło mi poinformować, że znalazła się pani w gronie laureatów konkursu literackiego. Szczegółowe informacje prześlemy na podany w zgłoszeniu adres e-mail. Pozdrawiam serdecznie i proszę o potwierdzenie przybycia na uroczystość wręczenia nagród.

(powtarza, jakby nie dowierzała)

W gronie laureatów...?

KOLCZYK W NOSIE

Łzy? Teraz? Znowu mam ugrzęznąć w zasmarkanej chusteczce?

ANETA

Potwierdzić obecność...

KOLCZYK W NOSIE

Jestem tu. Jestem z tobą. No już. Wiem. Tęsknisz. Za rodzicami. Za Pawłem. Za tamtym życiem. Minęło. No już. Nie płacz. Hej! Ogarnij się. Minęło! Jeszcze chwilę i nawet potem przeminie. Słyszysz! Przestań ryczeć! I przestań mnie tak nerwowo ścisnąć! Dostałaś nagrodę!

ANETA

(szlocha) Tak bardzo mi was brakuje

KOLCZYK W NOSIE

Słyszysz! Dostałaś nagrodę!

ANETA

Potwierdzić obecność...

KOLCZYK W NOSIE

Ściemnia się. Aneta zamyka okno.

Podchodzi do lustra. Patrzy na swoje odbicie.

ANETA

(szeptem)

Spójrz na mnie, lustro. Stoję we mgle.

Patrzę wciąż bezradnie, lecz pogardy jakby mniej. Na rozmytej od dymu twarzy lekki uśmiech. I papieros nadzieją się tli. Żłudzenie? Oby nie.

KOLCZYK W NOSIE

Aneta zapala papierosa. Popiół strzepuje do doniczki z kaktusem. Zaciąga się i dmucha dymem w lustro. Uśmiecha się. Chyba. Płacze? Nie, to tylko kilka łez. Odstawia doniczkę na parapet. Zapala kolejnego papierosa. Hej! Nie sprawdzałaś, czy jestem! Tylko bez ściskania.

ANETA

Potwierdzić obecność...

(szepciem) Nie mam odwagi na

pędzący pociąg. Pociągam. Zaciągam.

Wypuszczam. Nie mam odwagi wysiąść.

Pociągam. Zaciągam. Wypuszczam.

Poczekam. Aż się wykolei. Stanie.

Przestanie jechać.

Pociągam. Zaciągam. Wypuszczam.

Jeszcze nie odpuszczam. Nie odpuszczam.

Jeszcze nie.

KOLCZYK W NOSIE

(szepciem) Dotyka mnie ... Jestem!

(głośniej) Ja – Kolczyk i ona – Aneta.

Koniec

Lidia Mikocka-Rosińska

Laleczka

16+

Osoby:

Mama – 40 lat

Tosia – córka, 14 lat

Zenek – tata, 45 lat

Oluś – przedszkolak, 6 lat

Dziewczyna I – 16 lat

Dziewczyna II – 17 lat

*Poranne odgłosy: stukanie talerzami,
gwizdanie czajnika, radio w tle – pik, pik,
„godzina siódma”.*

Pokój córki.

MAMA

Tosiu, kochanie. Pora wstawać!

TOSIA

Nie chce mi się.

MAMA

Codziennie ci się nie chce! Wstawaj i bez
dyskusji!

TOSIA

Głowa mnie boli. Brzuch tak samo.

MAMA

Ciągle ten brzuch i brzuch. Badania
wychodzą dobrze. Dam ci tabletkę i do
szkoły.

TOSIA

Naprawdę źle się czuję.

MAMA

Lekcje masz wszystkie odrobione?

TOSIA

Tak.

MAMA

A może jakiś sprawdzian masz?

TOSIA

Nie. Po prostu brzuch mnie boli.

MAMA

Wstawaj. Nie możesz tyle opuszczać. Cały
poprzedni tydzień siedziałaś w domu,
bo byłaś chora. Nie poradzisz sobie, jak
tak dalej pójdzie. A może coś w szkole?

TOSIA

Nie.

MAMA

Wstawaj, bo ja muszę jeszcze Olka
do przedszkola zaprowadzić. Ruszaj się!

Słuchać krzqkanie się mamy.

*Muzyka narasta. Jakiś spokojny jazz albo
muzyka klasyczna.*

*Słuchać szczęk kluczy w zamku, otwierane
drzwi, kroki wchodzącej osoby.*

MAMA

Już jestem. No, Święta Panienko!

Dlaczego jeszcze nie jesteś gotowa?!

TOSIA

W toalecie byłam, ciągle boli mnie brzuch.

MAMA

Matko, ruszaj się za dziesięć minut
dzwonek na lekcję!

TOSIA

Muszę do toalety.

*Słuchać, jak Tosia udaje się w ustronne
miejsce.*

MAMA

Pospiesz się, bo się spóźnisz!

TOSIA

Naprawdę jest mi niedobrze!

MAMA

Masz pierwszą matematykę! Znowu pani
będzie mi pisać, że się spóźniasz!

TOSIA

Ale ja naprawdę źle się czuję. W głowie
mi się kręci.

MAMA

Masz tabletkę. Daj dzienniczek, napiszę
ci zwolnienie z wuefu. Jeśli źle się
poczujesz, zgłosisz to pani i pójdziesz
do pielęgniarki. Ubieraj się, wyjdiesz na
zewnątrz, zrobi cię lepiej. Mogę iść z tobą
do szkoły, jak chcesz.

TOSIA

*(niby do siebie, ale tak, żeby mama
usłyszała)* Super, teraz będzie używanie.

Ok.

MAMA

Coś mówiłaś?

TOSIA

I tak nie zrozumiesz.

MAMA

To mi wytłumacz.

TOSIA

Oj, nic. Daj mi już spokój!

MAMA

Ubieraj się, wychodzimy.

Odgłosy ubierania i wychodzenia.

Muzyka.

Szczęk kluczy, otwieranie drzwi.

Mama odblokowuje telefon i dzwoni.

MAMA

Zenek, znowu to samo. Na matkę
spóźniona, wstać nie chciała, ciągle tylko
ten brzuch i brzuch.

Mhy

Wiem przecież, jak to się może skończyć.

Osobiście ją zaprowadziłam do szkoły.

Na początku ledwo szła, a po chwili jakoś cudownie ozdrowiała. Do szkoły już sama weszła. Pożegnała się ze mną kawałek przed wejściem.

Dla pewności pojechałabym z nią do lekarza. Może rzeczywiście coś jej zaszkodziło.

Mhy

Dobra to zorientuję się, o której przyjmuje nasz lekarz, a ty, jak już się dowiesz, czy będziesz mógł wyjść wcześniej z pracy, to daj znać.

Słysząc westchnienie i wybieranie kolejnego numeru, które cichnie, a muzyka wydobywająca się z tła przechodzi na pierwszy plan.

Słysząc krzątającą się mamę. Po chwili dzwoni telefon.

MAMA

Halo?

Dzień dobry. Tak, to ja. Słucham?

(z zatroskaniem, przestraszona) Jak to?

Co się stało?

Dobrze. Oczywiście, zaraz będę. Dziękuję, do widzenia.

(do siebie) Matko, jak nie jedno, to drugie! Jeszcze tego brakowało.

Słysząc, jak zdenerwowana matka rozłącza telefon i próbuje się ubrać do wyjścia.

MAMA

No jasna cholera, jeszcze ten suwak.

No, rusz się wreszcie.

Mama siłuje się z suwakiem.

Odgłosy zbieranych rzeczy, drzwi, trzaśnięcie, zgrzyt kluczy.

Muzyka.

Odgłosy otwieranych drzwi i powrót dwóch osób.

MAMA

Rozbierz się. Zrobić ci herbaty?

TOSIA

Tak, rumiankową, jeśli jest.

MAMA

Dobrze.

Słysząc odgłos nalewania wody do czajnika, podpalanie gazu.

MAMA

Wstawiłam już wodę. Jak to się stało?

TOSIA

Nie wiem, zrobiło mi się słabo i się potknęłam.

MAMA

Które to koleżanki ci pomogły?

(pauza) Pielęgniarka mówiła, że cię przyprowadziły?

TOSIA

Z innej klasy. Nie znasz.

MAMA

Dobrze, idź się teraz położyć, lekarza mamy umówionego na siedemnastą.

TOSIA

Ale po co? Nic mi nie jest!

MAMA

Chodzi o twoje bóle brzucha, nie o to, ale dobrze będzie, jak cię obejrzy. Połóż się odpocznij, a jak herbata będzie gotowa, to ci przyniosę.

TOSIA

Okej.

Muzyka.

Wyciszanie muzyki, charakterystyczne dźwięki powrotu Olka do domu.

OLUŚ

Cześć Tosia! Gdzie jesteś?!

TOSIA

(z pretensją w głosie typu „daj mi spokój”)

Co znowu?!

OLUŚ

Wiesz, jak było superancko w przedszkolu?

TOSIA

(pod nosem) Co ty nie powiesz? Chociaż ty miałeś farta.

OLUŚ

Mówię ci, Tosia, jakie fajne autka Krzysio przyniósł. Normalnie mega odjazdowe.

TOSIA

No i co z tego?

OLUŚ

No, nie wiem, tak ci mówię. Myślałem, że się ucieszysz. Mama mówiła, że źle się czujesz.

TOSIA

A ty co, myślisz, że autka Krzysia mi pomogą?

OLUŚ

No nie. Ale poczekaj, mam coś dla ciebie.

Słuchać, jak chłopiec przebiega z pokoju do pokoju i wraca.

OLUŚ

Zobacz, przyniosłem ci czekoladkę.

Misia miała dziś urodziny i przyniosła.

A ja poprosiłem i dała mi dodatkową, specjalnie dla ciebie. Trzymaj.

Słuchać, jak czekoladka upada, a chłopiec się po nią schyla.

OLUŚ

Kurcze, przepraszam.

TOSIA

(nerwowo) Co ty tam grzebiesz, wstawaj!

OLUŚ

Nic, tylko podniosłem. Dobrze, że ma papierek, to się nie wybrudziła. Proszę.

TOSIA

Dziękuję i następnym razem uważaj, gapo.

OLUŚ

Nie mów tak na mnie.

TOSIA

Bo co?

MAMA:

(z drugiego pokoju) Tosia, gotowa jesteś?

Za pięć minut wychodzimy!

OLUŚ

Bo mi przykro.

TOSIA

Dobra. Dzięki za czekoladkę i spadaj już.

MAMA

Tośka! Słyszysz?

TOSIA

Słyszę, słyszę!

Słuchać wychodzącego chłopca.

Trzaśnięcie drzwi.

Muzyka

Powrót mamy z Tosią do domu.

W tle słysząc telewizor.

MAMA

Ufff, już dzisiaj nigdzie nie wychodzę.

Głodna jesteś? Zaraz zrobimy kolację...

TOSIA

Mam pełno zadań.

MAMA

Ale poczekaj...

Tosia idzie do siebie i mocno zamyka drzwi.

MAMA

Widziałeś?

ZENEK

Nie przejmuj się. Taki wiek. I co tam?

Co powiedział lekarz?

MAMA:

Nic konkretnego. Przepisał tabletki

i skierowania na kolejne badania.

Trzeba zrobić usg jamy brzusznej, ogólne badanie moczu i posiew.

ZENEK

A to konował jeden, chodźcie tam tyle

razy i jeszcze nie wie, co jej jest? Albo

Tośka udaje, albo z niego taki lekarz,

jak z koziej dupy...

MAMA

Nie przesadzaj. To jest dobry lekarz.

Inaczej nie miałby tylu pacjentów.

Gdyby nie on, nie wiadomo, czym by się skończyło to zapalenie płuc, o którym inny

powiedział, że to tylko lekkie zapalenie

górnych dróg oddechowych.

ZENEK

Niech ci będzie. Coś jeszcze?

MAMA

Trzeba zrobić badanie na lamblię

i do neurologa się zgłosić, żeby sprawdzić

te zawroty i bóle głowy.

ZENEK

No i może jeszcze do ginekologa?

MAMA

Weź przestań. Ty, jak coś powiesz, to nie

wiadomo, czy śmiać się, czy płakać. Tosia

ma ograniczyć słodczy i mleko. Powinna spędzać dużo czasu aktywnie na świeżym powietrzu. Zasugerował, żeby iść do psychologa.

ZENEK

No, jeszcze tego brakowało. Sam nie wie, co jest pacjentowi, to najlepiej do psychologa.

MAMA

Dałbyś już spokój. Ewidentnie coś jej dolega. Nie spoczne, póki się nie dowiem, co. A gdzie Olek?

ZENEK

Bawi się gdzieś.

MAMA

Co to znaczy „gdzieś”? Siedzisz w domu i nie wiesz, co się z dzieckiem dzieje? A sprawdziłeś chociaż, czy przyniósł książkę z pracą domową?

ZENEK

Znowu zaczynasz? Przecież wiesz, że ja do tego głowy nie mam. Zmęczony jestem. Rano do pracy muszę wstać.

MAMA:

No jasne, a ja nic nie robię, tylko leżę i pachnę!

Słysząc, jak mama chodzi po mieszkaniu i szuka syna.

MAMA

Oluś, gdzie jesteś?!

OLUŚ

W łazience! Bawię się w ataki międzyplanetarne!

MAMA

O, to bardzo ciekawe. Mogę się przyłączyć?

OLUŚ

Pewnie, mam. Z tobą zawsze jest super.

MAMA

To pokaż mi, kto kim jest i za co odpowiada.

OLUŚ

Ten to kapitan Piksel, atakuje ekrany komputerowe na planecie Pikselobyczej, a pochodzi z Pikselozy.

MAMA

Rozumiem. A ten mały stworek?

OLUŚ

A, to Kiełbasiński Neuron, bo on wszystkie neurony w kiełbaski zamienia.

MAMA

Aha. A to? Co to takiego? Pokaż.

OLUŚ

Szpikulec głowy...

MAMA

Oluś, skąd ty to masz?

OLUŚ

Znalazłem.

MAMA

Gdzie?

OLUŚ

U Tosi pod łóżkiem. Fajne, nie?

MAMA

Fajne, fajne. Ty się baw, a ja pożyczę
sobie na chwilę tego Szpikul... coś tam.

OLUŚ

Dobrze, mamusiu. Tylko przyjdź zaraz,
bo tu atak się szykuje.

*Mama wychodzi z łazienki. Słysząc jej kroki
po mieszkaniu i odgłosy telewizji.*

MAMA

Zenek, zobacz, co u Tośki Olek znalazł.

ZENEK

No, jakaś kukła.

MAMA:

Jakaś kukła? Nie widzisz, co to jest?

ZENEK

No, niby co?

MAMA

Laleczka voodoo. Nie poznajesz?

ZENEK

Co ty pieprzysz? Jaka laleczka voodoo?

MAMA

Normalna. Taka, co to się uroki rzuca,
jak komuś chcesz krzywdę zrobić.

ZENEK

Wiesz, co? Dorosła jesteś, a w takie
farmazony wierzysz. Weź daj spokój.

Naczytasz się tych swoich książek,
naoglądasz programów od jakiś

amerykańskich naukowców i myślisz, że
taka światowa jesteś. Skończyłaś

te studia, a w głupoty takie wierzysz.

MAMA

(nerwowo, sarkastycznie) Dobra, dobra,
skończ te swoje wywody.

Tośkę trzeba docisnąć. Idę do niej.

*Słysząc szybkie kroki mamy i równoczesne
wołanie.*

MAMA

Tosia!

TOSIA:

(ze swojego pokoju) O co chodzi znowu?

Brzuch mnie boli.

*Mama otwiera drzwi i wchodzi do pokoju
córkę.*

MAMA

Brzuch to cię dopiero zacznie boleć.

Mów, co to jest.

TOSIA

Skąd to masz?! *(oburzona)* Grzebiesz
w moim pokoju?!

MAMA

Po pierwsze nie grzebię, a po drugie
nie krzycz do mnie. Ja pierwsza zadałam
pytanie.

TOSIA

Znalazłam.

MAMA

Jak to: „znalazłam”?

TOSIA

Tak po prostu. Wraciałam ze szkoły, leżało na ławce pod blokiem, to wzięłam. Nigdy czegoś takiego nie widziałam, to mnie zaciekawiło.

MAMA

Tośka, ty wiesz, co to jest?

TOSIA:

Nooo, jakaś paskudna laleczka. To pewnie jakieś dzieciaki zrobiły.

MAMA

Dzieciaki? Laleczkę voodoo? Lepiej gadaj, skąd to masz i po co ci to!

TOSIA

No co ty mamol! Naprawdę znalazłam.

MAMA

Wiesz co, jakoś ci nie wierzę. Przykro mi córeczko, ale to wszystko mi się nie podoba. Jutro idziemy do psychologa.

TOSIA

Mamo, nie!

MAMA

A niby dlaczego? Skoro twierdzisz, że to znalazłaś, to ta rozmowa będzie tylko formalnością.

TOSIA

Mamo, proszę, nie. Życ mi nie dadzą, jak się dowiedzą, że chodzę do psychologa. Wtedy to się dopiero zacznie. *(lekki szloch)*

MAMA

Co się niby dopiero zacznie? Czyli coś już się dzieje, tak?

TOSIA

Oj, mamol, tak tylko powiedziałam.

MAMA

Coś kręcisz.

TOSIA

Mamo. Naprawdę to znalazłam. Oddaj mi tę laleczkę, to jutro odniosę.

MAMA

Przykro mi, ale nie.

Narastają nerwowe emocje. Niektóre kwestie są prawie wykrzyczane. Po prostu awantura.

TOSIA

Daj mi spokój i tak nie wiesz, co mi jest.

Nikt nie wie! Ani ty, ani ten głupi lekarz!

A psycholog może sobie tylko pogadać!

MAMA

Dziecko, opanuj się, co ty w ogóle mówisz?

TOSIA

A co, może nie? Trzęsiesz się nade mną, po lekarzach latasz i jakoś nic z tego.

Nikt mi nie pomoże!

MAMA

Tosiu, co to znaczy, że nikt ci nie pomoże? Staram się, jak mogę...

TOSIA

Jakoś ci to nie wychodzi! Lepiej zajmij się sobą!

MAMA

Tośka, jak ty do mnie mówisz! W tej chwili przestań!

TOSIA

Bo co?! Może ojciec też miał dosyć twojej czułości i dlatego zniknął?!

MAMA

Milcz! Nie masz pojęcia, co się wydarzyło. Za mała byłaś.

TOSIA

Co z tego? Nie ma go i tyle. Trzeba było swoimi kwarkami się zająć, to może by nie zwiął.

MAMA

Tośka, przestań w tej chwili! Jesteś niesprawiedliwa! Nic nie wiesz!

TOSIA

To może mnie oświecisz?

MAMA

Dobrze wiesz, że kochałam twojego ojca. Świata poza nim nie widziałam. On też...

Tak przynajmniej twierdził.

TOSIA

Ciekawe, co tak nagle się zmieniło?

Chyba nie rozpadł się na cząsteczki w jednym z tych twoich akceleratorów?

MAMA

Przestań! Pewnego dnia przyszedł i oświadczył, że pieluchy i kolki nie pozwalają mu pracować, potrzebuje spokoju, żeby odnaleźć natchnienie.

TOSIA

I co? Znalazł?

MAMA

Znalazł, znalazł. Miało nogi po samą szyję, kruczoczarne loki i oczy jak czekolada. Poczuł wenę twórczą i pojechał za tym swoim natchnieniem do Łodzi, scenariusze pisać. Tylko chyba jeszcze nie dojechał, bo ani filmów, ani alimentów nie ma.

TOSIA

To trzeba było coś robić, a nie w domu siedzieć.

MAMA

Tak, zostałam w domu, bo nie wyobrażałam sobie, że będziesz po żłobkach się tułać, albo że obcy ludzie będą się tobą opiekować.

TOSIA

Może tak by było lepiej. Byłabyś panią profesor, a mnie byś głowy nie suszyła.

MAMA

Czy ty słyszysz, co ty w ogóle mówisz?

Gdybym została na uczelni, musiałabym wyjeżdżać. To były bardzo trudne

i mozolne badania. Fizyka pochłania wiele

czasu. Co ja miałam cię do domu dziecka oddać? Jak ty to sobie wyobrażasz?

TOSIA

No, to kurą domową lepiej było zostać, tak?

MAMA

Tośka, jak możesz...?

TOSIA

A co, może dobrze ci tak? Przecież widać, jaka jesteś nieszczęśliwa.

MAMA

Jak to?

TOSIA

Normalnie. Widzę, jak czytasz te swoje „Nowinki naukowe”, ukradkiem łzy ocierasz, a potem siadasz do komputera i lukasz na uniwersytet, jakbyś tam zaraz miała jechać.

MAMA

No tak, trochę mi tego brakuje, ale chciałam, żebyś miała prawdziwy dom i...

TOSIA

I dlatego za Zenka musiałaś wyjść?

MAMA

Nie, to wszystko nie tak. Ja...

TOSIA

No co, tatusia nowego mi chciałaś dać, jak nowy gadżet?

MAMA

Tosiu, przestań! Zenek bardzo nas

wspierał, jak ojciec odszedł. Zajmował się tobą jak własną córką.

TOSIA

To ciekawe, jakoś tego nie widać. Albo w pracy, albo przed telewizorem. Nawet nie zapyta, co u mnie. Myśli, że jak mi rzuci trochę hajsu, to już wszystko ok.

MAMA

Zmęczony jest, przecież wiesz, jak ciężko pracuje.

TOSIA

I co z tego? Jakoś czasami ma siłę, żeby z Olkiem wyskoczyć na miasto. A ja?

Jakby mnie nie było.

MAMA

Córciu, przecież wiesz, że on cię kocha, tylko jakoś w tym wszystkim się pogubił. Jesteś nastolatką...

Dźwięk sygnału sms. Córka odchrząkuje nerwowo.

MAMA

Co się stało?

TOSIA

Nic. Głowa mnie zaczyna boleć. Położę się.

MAMA

Tosiu, poczekaj. Pokaż mi telefon!

TOSIA

Po co?

MAMA

No, pokaż go!

TOSIA

Zaraz. Muszę do toalety.

MAMA

Chwila, chwila. A telefon? Zostaw go!

Tam ci nie jest potrzebny.

TOSIA

No dobra, masz.

Tosia idzie do toalety, mama próbuje odblokować telefon.

MAMA

No jasna pogoda, nie da rady. Założyła hasło. Tośka długo tam?!

TOSIA

Już jestem.

MAMA

Odblokuj mi ten telefon.

TOSIA

Co ci pokazać?

MAMA

Daj mi go, poradzę sobie.

TOSIA

Ale co chcesz zobaczyć?

MAMA

Ja wiem, co. Dawaj i nie gadaj.

Słychać odblokowywany telefon.

MAMA

Co to jest?

Słychać charakterystyczne pikanie klawiszy.

Błędy w pisowni specjalnie, taka wymowa.

DZIEWCZYNA I

Cześć młoda. Jak główka? Dostałaś jakieś tabletki? Jak bedziesz sie stawiać, to wiesz, nożyk już naostrzony. *(lekceważący śmiech)*

Tu wszystko jest nagrane. Jak pare puścisz, to pokażemy twoje zdjęcie, jak trzymasz laleczkę i chwalisz się, że to wściekły wuefista. Wszystkim powiemy, że to ty zrobiłaś, bo chciałaś go wykończyć za macanki. Nawet, jak się będziesz bronić, nikt ci nie uwierzy, bo to my mamy twoje zdjęcie, a nie ty nasze. Bekniesz ty i niewinny koleś.

Szyderczy śmiech.

DZIEWCZYNA II

No, a jak to cie nie przekona, to Kaśka ma takiego fajnego kolege.

DZIEWCZYNA I

Bo to jednego? *(śmiech)*

DZIEWCZYNA II:

No, ten jeden to cie może do pracy w gastronomii przygotować. Jak cie weźmie w obroty, to takie lody bedziesz robić, że od klientów sie nie odgonisz. *(śmiech)*

DZIEWCZYNA I

Mam też niezłego Operatora kamer.

Noo, ten to ci twój sprzącik do kręcenia filmów przygotowuje. Obiektyw na mokro przeciągnie, aż zapiszczy.

DZIEWCZYNA II

Ty, Kaśka, albo Hydraulic.

DZIEWCZYNA I

Oooo... Dobrze, dobrze. Jedna chwila

i kanalizacja przepchana. Od razu
 pojmiesz, co trzeba robić, żeby odpływ
 rzęsą nie zarósł. *(zanoszący śmiech)*

Ty, Aśka, ale my genialne jesteście!

DZIEWCZYNA II

No. Ale zobacz, stara. Jakby tak nagrać
 filmik, jak młoda robi łoda, ubija śmietane
 i równocześnie przepycha rurę? To by
 dopiero był czad, nie?

DZIEWCZYNA I

Ty, genialna jesteś. Reklama jak chuj.
 Jeszcze byśmy na tym zarobiły. No i co
 młoda, podoba ci się? Jak nie bedziesz
 siedzieć cicho i robić, co ci mówimy,
 to nagramy taką reklamkę i na fejsa
 rzucimy. A żeby przypadkiem nic głupiego
 do głowy ci nie przyszło, to w plecaku
 niespodziankę masz, tak na dobranockę,
 żeby ci się ciekawe rzeczy śniły.
 To siemka młoda. Do jutra.

Mama wpada we wściekłość, panikę itp.

MAMA

Jasna cholera! Co to jest, co to ma
 znaczyć?! Zenek! Zobacz! Mówiłeś, że to
 jakieś wygłupy, żarty gówniarzy. Patrz!
 Nadal tak uważasz?!

Słysząc poruszenie, krzyki, Tośka płacze.

ZENEK

Zabiję te małe kurwizony! Tośka,
 o co z tym chodzi?!

MAMA

Daj jej teraz spokój, nie krzycz na nią!

Nie widzisz, w jakim jest stanie! Jak
 mówiłam, że do psychologa trzeba, to
 mnie wyśmiałeś! A dziewczyna koszmary
 przechodziła! Na policję trzeba z tym iść!

ZENEK

Albo moich starych kumpli zebrać. Kota
 im pogonić, jak tym palantom na Żeromie
 za dawnych lat.

MAMA

Zenek, ty znowu swoje?! Tu trzeba
 wszystkich na nogi postawić, szkołę,
 policję, a nie burdy urządzać. Zamiast
 pomóc dziecku, sam za kratki trafisz!
Płacząca Tośka.

TOSIA

Mamo, nie! One mnie zabijają! Proszę!

Ty nie wiesz, jakie potrafią być wredne!

Naślą tych swoich kolegów! Błagam, nie!

MAMA

Dziecko kochane, właśnie dlatego trzeba
 iść na policję, żeby nic więcej ci nie
 zrobiły i nikomu innemu. Za to, jak cię
 skrzywdziły, też muszą odpowiedzieć.

ZENEK

Matka ma rację! Nie ma dyskusji!

OLUŚ

Co się stało? Dlaczego Tosia płacze? Ja nie chcę, żeby tata do więzienia poszedł.

Płacz.

MAMA

Nie płacz! Nikt nie pójdzie do więzienia.

Zenek, zajmij się nim.

ZENEK

Niby jak?

MAMA

Nie wiem, pobaw się z nim, poczytaj książkę! Weź się wreszcie ogarnij człowieku, ojcem jesteś, chyba nie?

Zachowujesz się jak dziecko.

ZENEK

Za to ty taka dorosła, córki nie możesz upilnować.

MAMA

Opanuj się człowieku, nie widzisz, co się dzieje?

ZENEK

Daruj już sobie! Chodź synu, obejrzymy jakąś bajkę.

Oddalając się kroki.

MAMA

Powiedz mi jeszcze jedno. Skąd one są?

TOSIA

(szlochając) Nie wiem dokładnie. Są

starsze, jedna ma chyba 16 lat, a druga 17. Przychodzą do takich dwóch z ósmej klasy, co doszli w tym semestrze z innej szkoły, bo kiblują. Fajki za szkołą palą i nie tylko. Zaczęły mnie kiedyś, bo pieniędzy chciały. Nie dałam im i tak się zaczęło.

MAMA

Co się zaczęło?

Tosia mówi przez płacz.

TOSIA

Wszystko, popychanki, straszenie, nawet nożem mi groziły, bo nie chciałam dla nich dilać. To one wtedy poszły ze mną do pielęgniarki, bo się bały, że ich wydam, jak mnie pobiły. Ta lalczka, to też one.

Powiedziały, że jak komuś o tym powiem, to umrę i wcisnęły mi ją do plecaka, nawet nie wiem, kiedy. Ja się bałam, to nic nie mówiłam. *(po chwili, cicho)*

Przepraszam.

MAMA

Tosiu, dziecko moje drogie. Dobrze, że Oluś to znalazł, bo by do jakiegoś większego nieszczęścia doszło. Kochanie moje...

TOSIA

Mamo, ja się boję... że one mi to wszystko zrobią.

MAMA

Nie bój się, córeczko, to nie ty jesteś

winna. Pojedziemy na komisariat i zgłosimy to. Teraz to policja się nimi zajmie. A teraz chodź do chłopaków. Olkowi trzeba wszystko wytłumaczyć. I może coś razem porobimy? Na co masz ochotę?

Słuchać kroki i stopniowo cichnące głosy bohaterek, jakby się oddalały od słuchacza.

MAMA

Wiesz co? A może, jak wystawią oceny, pojedziemy do Krakowa? Odwiedzimy znajomych, pokażę ci moje ulubione miejsca...

TOSIA

(radośnie) Serio? *(po chwili)* Ale tylko my?

MAMA

Jasne. Nasz babski wyjazd. Należy się nam...

Dynamiczny, radosny jazz.

Koniec

Eliza Mikulska

Ostatnia rola

Osoby:

Krzysztof – 65 lat

Marek – 35 lat

Tomek – 7 lat

Maria – 67 lat

Zofia – 65 lat

Kuba – 13 lat

Eryk – 13 lat

Dyspozytor medyczny

Dworzec PKP w Radomiu, początek wakacji.

W hali dworcowej słyszać gwar rozmów, zapowiedzi pociągów, odgłosy ciągniętych walizek na kółkach. Przez halę przemykają różni ludzie. Do hali szybkim krokiem wchodzi Tomek i jego tata Marek.

TOMEK

Tato, kup mi, proszę.

MAREK

Już powiedziałem, że nie.

TOMEK

Ale dlaczego?

MAREK

Nie kupię ci lodów, bo nie mamy czasu.

Zaraz spóźnimy się na pociąg.

TOMEK

Widziałeś? Ale fikał!

MAREK

Co ty znowu wymyśliłeś?

TOMEK

Ale naprawdę fikał. Widziałem!

MAREK

Nie mówi się fikał, tylko przewrócił się.

Chodź, staniemy w kolejce. Jak będziesz

grzeczny, to kupię ci wodę w kolorowej

butelce.

TOMEK

Taką jak ta?

MAREK

Taką samą.

TOMEK

A mogę usiąść na tamtej ławce?

MAREK

Idź. Tylko żebym cały czas cię widział.

Tomek odchodzi w stronę ławki.

Muzyka.

KRZYSZTOF

Nie wiem, co się dzieje. Miałem wsiąść do pociągu, a chyba unoszę się w powietrzu?

Jak to możliwe? Nigdy nie przejawiałem

nadprzyrodzonych zdolności. To dziwne

przyjemne, ale też... niepokojące. Widzę

wszystko z góry, ludzi, pociągi... Ach tak!

Czytałem o takim zjawisku. Oddzielenie

od ciała na skutek... Czyżbym... Nie!

Przecież myślę, widzę... Mówię? Ktoś leży

obok ławki... To ja! Ja tam leżę! Jak to

możliwe? Wyraźnie czuję chłód posadzki.

To dziwne... Dlaczego nikt się mną nie

zainteresuje? Czy to jakaś kara? Ale za

co? Ludzie! Pomóżcie mi!

Muzyka cichnie.

Tomek przybiega do Marka.

TOMEK

Tato, widziałeś? On tam leży.

MAREK

Kto leży?

Słychać brzęk pieniędzy.

Jeszcze tę wodę poproszę.

TOMEK

Tam, obok ławki.

MAREK

Dziękuję. Do widzenia.

Zwraca się do Tomka

To pewnie jakiś pijak.

TOMEK

Ale pani nam mówiła, że to nie musi być

pijak. Trzeba sprawdzić.

MAREK

Nie mamy czasu. Pełno tu ludzi.

Na pewno ktoś mu pomoże.

Słychać zapowiedź kolejnego pociągu.

MAREK

(patrząc na wyświetlaną informację)

O, nasz pociąg się spóźni...

TOMEK

To nie pojedziemy do mamy?

MAREK

Pojedziemy, tylko za chwilę. Zadzwoń,

żeby się nie martwiła.

Odgłosy dworca.

MARIA

Ale ma pan dużego synka, prawda? I jaki

szybki! Moja Ania też taka była.

MAREK

Przepraszam panią, ale nie mogę spuścić

go z oka.

MARIA

Tak, wiem. Prawda, z moją Anią miałam

dokładnie to samo.

MAREK

Muszę zatelefonować, przepraszam.

Zwraca się do Tomka

Siadaj.

TOMEK

To może tam? Sprawdzimy, co jest temu panu?

MAREK

Za chwilę, tylko zadzwonię...

Słychać odgłos klawiszy – to Marek

wystukuje numer.

Odgłosy dworca.

Do Marii podchodzi Zofia.

MARIA

Właśnie kupiłam wodę. Chcesz się napić?

Upał dziś okrutny, prawda?

ZOFIA

Nie, dziękuję. Od gazowanej mam wzdęcia.

MARIA

Innej nie mieli. W sanatorium było świetnie, prawda?

Muzyka.

AKTOR KRZYSZTOF

No, na co czekasz? Czemu tak mi się przyglądasz? Ty mnie wąchasz? Ja nie piłem! No, dalej! Pomóż mi! No, gdzie idziesz? Zaczekaj! Nie słyszysz mnie?

Może siłą woli potrafiłbym unieść powieki albo poruszyć ręką. Próbuje i próbuję,

i nic mi z tego nie wychodzi. Co teraz?

Słyszysz? Hej, ty! Do kogo właściwie powinienem się zwrócić?

Muzyka cichnie.

Odgłosy dworca, bliski dźwięk odkręcanej butelki z wodą, odgłosy przełykania.

ZOFIA

Musimy to koniecznie powtórzyć. Może wybierzemy się na zimowy turnus?

MARIA

Koniecznie! Tylko z kąpielami solankowymi. A jak twój Jureczek?

Nie odstępowałaś go na krok.

ZOFIA

A co miałam robić? Wszystkie się do niego łąsiły. Harpie!

MARIA

Widziałaś, Zosiu? Tam ktoś leży.

ZOFIA

Nie mam okularów. Są w torebce.

A, zapomniałam ci powiedzieć, że Halinka zaprosiła nas na dzisiejsze popołudnie do siebie.

MARIA

Ty słuchasz, co do ciebie mówię?

ZOFIA

Oczywiście, Marysiu. To pewno jakiś bezdomny. Nie martw się, jest ciepło, nic mu nie będzie. Pójdiesz ze mną do Halinki?

MARIA

Pójdę, tylko najpierw muszę zadzwonić do Ani. Ale on nie wygląda na bezdomnego. Spójrz, nawet ma marynarkę jak twój Jureczek, prawda?

ZOFIA

No wiesz, też mi porównanie! Może wraca z jakiegoś wesela, to się odstroił. Szkoda naszego czasu.

Muzyka.

KRZYSZTOF

Hej, ty, nie nagrywaj mnie! Słyszysz! Do ciebie mówię! Ja nie pozwalam! Nigdy nie myślałem, że leżenie może być takie męczące. Jest mi gorąco! Duszę się! Ludzie! Ratunku! Nie stójcie tak!

Muzyka cichnie.

MARIA

Słyszałaś, co powiedziała ta kobieta?

ZOFIA

Że ten tu, jest podobny do jakiegoś aktora. Myślisz, że to prawda?

MARIA

Bo ja wiem? Widzisz ten pieprzyk, prawda? Coś jakby Tomek...

ZOFIA

Co za Tomek?

MARIA

No... Tomek, z tego serialu o dwudziestej.

ZOFIA

Myślisz, że to on? Nie wydaje mi się... Tomek jest wyższy i tęższy. Wiek by się zgadzał, ale reszta...

MARIA

Prawda, masz rację. Pójdę zadzwonić do Ani. Zresztą tyle tu osób. Może to faktycznie bezdomny?

ZOFIA

Przecież mówiłam, że nic tu po nas. *Słysząc odgłos ciągniętych walizek na kółkach i kroków. Kobiety odchodzą.*

Muzyka.

KRZYSZTOF

Nie odchodźcie, proszę! Przecież to JA! Nie zostawiajcie mnie na tej podłodze. Nie chcę tak zostać zapamiętany! Nie chcę, żeby to była moja ostatnia rola!

Muzyka cichnie.

Odgłosy dworca.

Do hali wbiega dwóch chłopców: Kuba i Eryk. Jeden niesie pod pachą deskorolkę.

KUBA

Ale fajnie było wczoraj.

ERYK

No, nie myślałem, że tyłu koleś przyjdzie na nasyp kolejowy.

KUBA

Ja też. Dobrze, że dziś jesteśmy wcześniej.

ERYK

No, zajmiemy lepsze miejsca.

KUBA

Super gapić się na pociągi z bliska.

Wczoraj myślałem, że pendolino mnie wciągnie.

ERYK

No, strasznie szybki był... Zobacz, widziałeś kolesia?

KUBA

Ale ma jazdę, tak się upić w biały dzień!

Chodź, obejrzymy go z bliska.

ERYK

No, a jak się obudzi?

KUBA

Boisz się? Nie bądź tchórz, chodź.

Nic nam nie robi.

ERYK

Widziałeś, ile tu narodu?

KUBA

Jak na procesji.

ERYK

Zobacz, nieźle go zawiało. I to w biały dzień! Całkiem jak ten Franio spod sklepu.

KUBA

Nie widziałem większego menela od niego.

ERYK

No, ostatnio przyjechała Straż Miejska i nawet na wytrzeźwiałkę go nie wzięli.

KUBA

Jak to?

ERYK

No, Maciek mówił, że był tak brudny i śmierdzący, że woleli go zostawić. Nie rozrabiał, a nie ma zimy, to go nie zabrali. Zresztą podobno już nie ma wytrzeźwiałki w Radomiu.

KUBA

To gdzie zabierają takich jak ten?

ERYK

Podobno siedzą w szpitalu w specjalnym pokoju za szklaną szybą. Jak ryby w akwarium. No, ale ten tu, to chyba z jakiegoś wesela trafił albo z randki.

KUBA

Może lubi chodzić w gajerach.

Nie wygląda na menela.

ERYK

I nie cuchnie jak Franio.

KUBA

Chyba nie do końca jest menelem...

Widzisz jakiego ma smartwatcha?

ERYK

Zegarek fajny, ale ta *(pogardliwie)* bransoletka...

KUBA

Moja babcia ma taką samą, tylko niebieską.

ERYK

No i co z tego? Twoja babcia ma prawo, ale ten... Może to gej?

KUBA

Może i jest gejem, ale nie dlatego tu leży.

ERYK

No to niby czemu?

KUBA

Zobacz, tu jest napisane. On jest

cukrzykiem. Moja babcia też jest chora.

A bransoletka ma jej pomóc, gdyby nagle zasłabła na ulicy.

ERYK

Teraz kumam. Słyszałeś, co one powiedziały?

KUBA

Że jest podobny do aktora?

ERYK

Ale ja go nie znam.

KUBA

Bo ty filmów nie oglądasz.

ERYK

Oglądam, na YouTube.

KUBA

Nieważne. Daj mi telefon. Nie wiadomo, ile on tak leży.

ERYK

Telefon? No, ale po co? Chcesz go nagrać tak jak ona? W sumie fajnie, moglibyśmy mieć trochę odsłón w necie.

Może zaczniemy nagrywać takie filmiki?

Albo wiesz co, moglibyśmy robić ustawki.

Któryś by udawał menela, my byśmy to nagrywali. Dogadalibyśmy się z chłopakami, na pewno by na to poszli...

KUBA

Nie o to chodzi. Dawaj telefon!

ERYK

Chcesz zadzwonić?

KUBA

Dawaj go, szybko! Nie ma czasu na głupie gadki.

Gwar dworcowej hali.

Muzyka.

KRZYSZTOF

Widzę coraz słabiej. Oczy zachodzą mi mgłą, obniżam się. Jestem coraz niżej i niżej, spływam tuż nad podłogę, przysuwam się do ciała. Nie widzę już nic. Coraz słabiej słyszę.

Muzyka cichnie, głośny gwar dworcowej hali.

Słychać wybieranie numeru 999 i zapowiedź „Pogotowie ratunkowe, proszę czekać na przyjęcie zgłoszenia...”

TOMEK

Widzisz tato, a nie mówiłem? Ten chłopak...

MAREK

(do telefonu) Kochanie, muszę kończyć. Pa, buziaki, widzimy się wkrótce. *(do Tomka)*

Chodź na peron. Zaraz podjedzie
nasz pociąg. Co mówiłeś? Musimy się
pospieszyć.

Turkot kółek walizki i oddalające się kroki.

Słysząc wybieranie numeru 999 i zapowiedź

*„Pogotowie ratunkowe, proszę czekać na
przyjęcie zgłoszenia...”*

DYSPOZYTOR MEDYCZNY

Dyspozytor numer 10, w czym mogę
pomóc?

KUBA

Dzień dobry, tu Kuba. Na dworcu
w Radomiu leży mężczyzna...

Koniec

Ryszard Ryziewicz

Imieniny

Osoby:

Pan Niezawodny – tajemniczy przybysz
Agata, Marta – lat 67, znajoma Stefana
ze studiów
Anna – 44-letnia rolniczka
Jacek – 50-latek, mąż Anny
Stefan – solenizant, gospodarz, lat 66,
artysta

*Dom, w którym odbywa się impreza
imieninowa. Gwar, dzwonenie do drzwi,
toasty, muzyka, brzęk naczyń.*

Preludium

*Narastająca z tła muzyka: Jan Sebastian
Bach „Toccata i fuga d-moll” (BWV 565).
Po chwili na pierwszym planie natarczywe,
głośne, długie dzwonenie telefonu. Kroki po
mieszkaniu.*

STEFAN (*gderliwie*)
Kto tak długo się dodzwania? Słucham,
Stefan z tej strony.

NIEZAWODNY

Witaj Stefanie. Mówi Niezawodny, pewno
oczekiwałeś kontaktu ze mną?

STEFAN (*zmieniając ton na bardzo
przyjazny*)

O Jezu, jak się cieszę! (*ma zabrzmieć jak
nawykowy, nic niemówiący zwrot*)

Od dawna chyba szukałem kontaktu
z panem. Ja, moi znajomi i przyjaciele
mamy tak wiele problemów, potrzebujemy
pomocy, a przynajmniej rady.

NIEZAWODNY

Hm, myślałem o was i mam pewien plan.
Posłuchaj, Stefanie, zrobimy tak...
(*dalszą rozmowę zagłusza muzyka*)

Scena I

Część gości już siedzi przy stole, gwar rozmów, szczerkanie rozstawianych talerzy. Dzwonek do drzwi. Charakterystyczne kroki, stuk obcasów butów męskich. Otwiera solenizant.

ANNA

Cześć solenizancie. No, wreszcie udało nam się spotkać. Życzymy ci z Jackiem – pamiętasz chyba mojego męża Jacka...

STEFAN

Oczywiście pamiętam.

ANNA

Życzymy ci przede wszystkim, aby omijały cię takie wielkie problemy, jakie są aktualnie naszym udziałem.

STEFAN

Słyszałem i między innymi stąd moje – i nie tylko moje – zaproszenie.

JACEK

Może oderwiemy się od myślenia o kłopotach choć na parę godzin.

STEFAN

Może i na dłużej. Siadajcie.

Znowu odgłosy imprezy. Kolejny dzwonek do drzwi.

AGATA/MARTA

Dobry wieczór. Czy dobrze trafiłam?

Do Stefana?

STEFAN

Tak, Agatuś, dobrze trafiłaś.

AGATA

Agatuś? Ja mam na imię Marta. Nikt tak na mnie nie mówił od... To ty tak na mnie mówiłeś na studiach. Pamiętałeś jeszcze?

STEFAN

Ja nigdy inaczej o tobie nie myślałem.

Jakaś ty piękna. Wydawało mi się, że nie możesz już być piękniejsza jak wtedy.

Ile to już lat minęło?

AGATA

Przestań. Tak długo ludzie nie żyją. No, ale ty, szkoda, że masz żonę.

STEFAN

A właśnie. Miałś przyjechać z mężem, a jesteś sama.

AGATA

Wojtek dojedzie później.

STEFAN

Hm... To wspaniale. A jesteś pewna, że przyjedzie?

AGATA

Pewno, że przyjedzie, chociaż może wolałabym nie. Chętnie będę z tobą wśród tych twoich gości. *(śmiech)*

STEFAN

Siądź koło mnie, proszę. To miejsce u szczytu stołu jest dla najważniejszego dzisiaj gościa. Pewno przybędzie niebawem.

Gwar gości

STEFAN

Moi drodzy, chciałbym wam przedstawić moją najserdeczniejszą przyjaciółkę ze studiów. Niby przyjechała z mężem, ale dopóki go nie ma, jest tylko moja.

AGATA

No, kim ja jestem, to państwo już wie, a może mnie przedstawiłbyś swoich przyjaciół.

STEFAN

To niech przedstawią się sami.

ANNA

Cześć. Jestem Anna. Mam gospodarstwo sadownicze, a to mój mąż Jacek, konserwatysta, karierowicz. *(z pogardą)* *Gwar toasty, muzyka.*

AGATA

Wicie, przypominają mi się pierwsze lata pracy po studiach. To było w '72 roku. Nigdy potem już nikt tak nie zadbał o nauczycieli. Zawód znowu zaczął tracić swoją godność, bo jak można ją mieć, kiedy jest się biedakiem.

ANNA

Pani Agato, wie pani, co mówią rodzice, że pracujecie 18 godzin na tydzień i to marnie. A ile macie wakacji...

JACEK

A to wszystko zagrywka polityczna.

Pewno popiera pani liberałów albo lewicę i chcecie zaszkodzić rządowi.

Gwar imprezy, muzyka, potrącane talerze i kieliszki.

JACEK *(lekko podpitym głosem)*

Wypijmy za przyjaźń polsko-węgierską, wszak Polak, Węgier dwa bratanki i do szabli, i do szklanki. I za pedałów z partii mojej żony.

AGATA

Ja to już niedługo idę na emeryturę, ale co zrobią ci młodzi nauczyciele. Ani pieniędzy na mieszkanie, ani perspektyw.

W tle: Wystąpienia polityków w rozmowach ze związkami.

ANNA

Pani Agato, to trzeba jak my pojechać do Warszawy, zablokować centrum.

No, wy – nie wiem czym, ale my skutecznie zrobiliśmy to jabłkami.

W tle dalej wystąpienia z telewizji czy radia.

JACEK *(dalej podpitym głosem)*

No, rząd i partia wszystkiego sama nie załatwi. To wszystko wina... no, sami wiecie, kogo. Za poprzedniej władzy tylko karmili społeczeństwo nienawiścią do prawdziwych patriotów. A państwo teraz daje, a wszyscy by tylko brali, a wdzięczności żadnej.

STEFAN

Czy twoja żona też tak myśli?

JACEK

A skądże, ona jest z tych wywrotowców, entelegentów, wykształciuchów, którym się w dupie poprzewracało. Tylko jakieś teatry, książki. A pieniędzy z tego nie ma. Gdyby nie to, że dzięki partii zasiadam w paru radach nadzorczych i jestem prezesem w... no, mniejsza z tym, gdzie. No i jakoś mnie o studia nie pytali.

AGATA

Panie Jacku, zakładając, że straci pan opiekuńcze ramię partii, to co pan zrobi?

JACEK

Pani Agatko kochana. Niech pani wypłuje te słowa. Tfu! Tak niestety z paroma nawet nie bardzo przeciwnikami prezes zrobił. Poszli ludzie na zmarnowanie, ale sami sobie winni. Uważać trzeba, co się mówi. Ja kwalifikacje mam, nie tak jak inni. Ślusarz jestem, w Niemczech albo może i w Belgii pracę znajdę.

AGATA

No, jakże by to było pięknie. Tu zmiana. Mąż za granicą. Ja ze Stefanem.

ANNA

Stefan to chyba ma żonę?

STEFAN

A to czemuś przeszkadza? To tylko nie pasuje do wzorca, TEJ DZIWNEJ ETYKI, która się wzięła nie wiadomo skąd, bo to chyba nie jest boży pomysł.

JACEK

Tu zmiany nie będzie. A ty po co się wtrącasz w sprawy małżeństwa?

AGATA

Małżeństwa? Przecież nie sypiam z mężem od początku. On tylko pije i gnije na swojej kanapie przed telewizorem.

ANNA

Ha, ha, ha, ale mi mąż.

Stefan stuka widelcem o kieliszek. Milkną okrzyki. Nastaje cisza.

STEFAN

Ja chciałem wam zaproponować receptę na całe to zło. To takie proste, że aż genialne w swojej prostocie.

O, przepraszam państwa, ktoś dzwoni.

Dzwonek do drzwi. W pokoju znowu robi się gwar.

STEFAN

O Jezu. Niezawodny, przyjacielu, jak ty się zmieniłeś. Gdybym spotkał cię na ulicy, chyba bym nie poznał.

NIEZAWODNY

Te lata tam spędzone zmieniają nie tylko z zewnątrz, ale o tym potem. Kopę lat się nie odzywałeś.

STEFAN

No, jakoś nie wyszło, ale jakoś ciągle czułem się tak, jakbyś był niedaleko.

NIEZAWODNY

Nim wejdę do środka i przywitam się z gośćmi, powiedz, czy powiedziałeś im, dlaczego ich dzisiaj zaprosiłeś?

STEFAN

Nie. Oni ciągle myślą, że przyszli na imieniny. Jest jedna przeszkoda – Agata przyjechała z mężem i myśli, że on do nas dołączy.

NIEZAWODNY

To musisz rozmówić się z Agatą zaraz. On nie będzie chciał popsuć nam szyków, ale kto wie, mógł zmienić decyzję, przecież ma wolną wolę.

STEFAN

Zrobimy tak. Jak cię przedstawię, ty zajmiesz ich jakimiś opowieściami ze swojego świata, a ja wezmę Agatę do innego pokoju i wszystko z nią załatwię.

NIEZAWODNY

No, oni o mnie tak niewiele wiedzą. Czy nie stęsknią się za tobą, solenizancie? (teraz żartobliwie) Przecież nie załatwisz tego z Agatą w parę minut. Aż tak zdolny to jednak nie jesteś.

STEFAN

To prawda. Ona się niczego nie spodziewa. Natomiast ty z pewnością sobie dasz radę. Opowiedz im jakąś swoją historię i godzina minie, nim się ktoś spostrzeże. A teraz chodźmy do pokoju, bo słyszę, że się już niecierpliwią.

Wchodzą do pokoju, narasta gwar rozmów.

STEFAN

Odwiedził nas dzisiaj nadzwyczajny gość, Pan Niezawodny (*oba wyrazy zaakcentowane*). Pewno wszyscy znacie jego legendarną przeszłość, a może i którąś z książek o nim.

ANNA

Jakoś nie kojarzę.

AGATA

Ja też nie.

JACEK

I ja, chociaż kogoś mi pan przypomina.

ANNA

Super, miło nam. Stefan, miałeś nam przedstawić receptę na całe zło.

Zapomniałeś? Wszyscy czekamy.

STEFAN

I będzie wam przedstawiona, (*zawiesza głos na dłuższą chwilę*)... ale musicie uzbroić się jeszcze w cierpliwość. Recepta miała być jako pierwsze danie, a będzie na deser. Będzie lepiej smakowała. Teraz macie mojego przyjaciela – Pana Niezawodnego. Wykorzystajcie to. Taka okazja, by spotkać się z nim twarzą w twarz, zdarza się rzadko. Ja natomiast muszę porwać na chwilę Agatuś. Musicie mi wybaczyć, nie widzieliśmy się tyle lat. Należy się nam jakieś sam na sam. Agatuś, pozwól.

Scena II

Słuchać, jak idą, otwierają i zamykają kolejne drzwi. Szum, szuranie. Muzyka.

AGATA

No, pracownię masz imponującą i nieźle malujesz. To twoje? Fajnie, że jestem z tobą sama, ale czy to wypada? Co sobie o nas pomyślą Pan Niezawodny i reszta gości? Wracajmy zaraz.

STEFAN

Agatuś, poczekaj. To nie tylko jest to, co sobie myślisz. Tak. Bardzo chciałem być z tobą sam na sam, ale to nie wszystko. Wiesz, nim zaprosiłem cię na dzisiejszy wieczór.... Hm. Przrzeknij, że nie pogniewasz się na mnie zaraz po moich pierwszych słowach. Wysłuchaj najpierw, potem dopiero oceń.

AGATA

Mówisz tak jakoś tajemniczo, ale to nie szkodzi. Nie potrafię się na ciebie gniewać, a nawet udawać że...

Nie, jeszcze nie teraz, a może właśnie teraz. Pamiętasz, jak kiedyś, wieki temu, leżeliśmy na łące i ja ci opowiadałam o jakiś wyssanych z palca wystawach, przyjaciołach, a myślałam tylko o jednym, żebyś mnie pocałował. A potem, żeby było jeszcze gorzej powiedziałam, że wyjdę za Marka – idiotka. Zrobiłam to... Bo... Och, jaka byłam głupia!

STEFAN

Nie tylko ty, Agatuś. No i faktycznie wysłaś za Marka, a po jego śmierci, po paru latach, za Wojtkę. Nie wiem, czy to wiesz, że on, aby się rozwieść, zrobił kosmiczną awanturę i faktycznie wymusił potem swoim pijaństwem to, że odeszła jego żona. Tylko dlatego, że kochał ciebie.

AGATA

Ja to wszystko wiem. Niestety, ta miłość Wojtki zawsze była toksyczna i taka pozostała.

STEFAN

Skończmy z tym. Powiem ci teraz coś, co jeszcze jakiś krótki czas musi być tajemnicą. Dlatego, pozwól, włączę muzykę, a szeptać ci będę wprost do ucha. *Narastająca w swojej głośności „Je t'aime”.*

STEFAN

Możesz siąść mi na kolanach. Będzie mi wygodniej szeptać, a tobie słuchać. *Narastająca muzyka dość długo.*

AGATA

Ależ to jest fantastyczne, ale czy możliwe? I Pan Niezawodny to akceptuje?

STEFAN

Przekonasz się, że tak. A teraz wracajmy do gości.

AGATA

Poczekaj jeszcze chwilę. O czymś zapomniałeś.

Słysząc odgłosy pocałunków, przyspieszone oddechy, końcowa część utworu „Je t'aime”.

STEFAN

Agatuś, ja nie wiedziałem, że ty też przez tyle lat tęskniłaś do tej chwili.

AGATA

Nie gadaj tyle.

Muzyka.

STEFAN

Zapalimy jeszcze, czy już wracamy?

AGATA

Wracamy.

Narastający, coraz bliższy gwar imieninowej imprezy.

ANNA

Agatko, guziczek u bluzeczki ci się odpiął.

O, o, o, ten trzeci od dołu.

AGATA

Dziękuję ci. Zaraz zapnę.

Gwar imprezy. Zamrugano światło i po chwili zgasło w całym mieście.

ANNA

Stefan, co ty masz z tym światłem, że ono tak mruga.

JACEK

Pewno jakieś zwarcie w instalacji. Zaraz padnie jakiś bezpiecznik.

ANNA

Wykrakałeś, już padł. Stefan, czy to jakiś dowcip?

STEFAN

Nie, ale na przyszłość podobny wymyślę.

JACEK

Masz jakąś latarkę albo chociaż świeczki?

Sprawdzę bezpieczniki.

NIEZAWODNY

Bezpieczniki są w porządku. Prądu nie ma w całym mieście. Popatrzcie przez okno.

ANNA

Faktycznie wszędzie ciemno. To jakaś większa awaria. Stefan masz te świeczki? *Rumor przesuwanych krzeseł, potrącanych mebli, szuranie, skrzyp otwieranych szuflad czy szafek.*

JACEK

Stefan, poświeć sobie komórką. Cholera.

Komórki też nie działają. Co jest grane.

Ale czarno.

ANNA

Patrę przez okno. To jest coś dziwnego. Samochody mają strasznie słabe światła, jakby im zaraz miały paść akumulatory.

NIEZAWODNY

Proszę, nie denerwujcie się. Ja wiem co się stało, zaraz wam to wyjaśnię.

Poczekajmy tylko chwilę, aż Stefan wróci ze świeczkami.

STEFAN

Znalazłem paczkę zniczy niewykorzystanych od Wszystkich Świętych, będzie ich ze dwadzieścia, jak wszystkie zapalimy, to zrobi się nastrój.

ANNA

Jak na cmentarzu.

JACEK

Albo w kościele.

STEFAN

Może trochę tak, ale dajmy sobie szansę usłyszeć, co się stało.

AGATA

Tak, tak.

JACEK

No.

ANNA

Owszem.

NIEZAWODNY (*zmienionym głosem*)

Nim wam powiem, co się stało, odpowiedzcie sobie sami: co dzisiaj, na tych imieninach, chcieliście powiedzieć swoim znajomym. Na razie nie mówcie tego głośno. JA WIEM!... Stefan, ty państwu chciałeś chyba podać jakąś receptę. Może akurat będzie przydatna.

ANNA

Jest półmrok, nic nie gra. Dawaj, Stefan.

Może faktycznie masz coś dla nas.

STEFAN

Właściwie to nie bezpośrednio ja mam dla was propozycję.

NIEZAWODNY

Dzisiaj jest trudno podjąć właściwą decyzję. Bądźcie czujni, wszak wszędzie czyha...

AGATA (*przerywa Niezawodnemu*)

O, światła jeszcze nie ma, ale chyba wracają do życia nasze komórki. Chyba mam SMS od męża.

NIEZAWODNY

To tylko na moment i tylko dla ciebie ta łączność. Zaraz zaniknie. Powiem również, dlaczego was Stefan zaprosił. Właśnie was.

JACEK

E, proszę... Wykorzystuje pan to, że zgasło światło, aby nas straszyć, ale my nie jesteśmy dziećmi. Fajna zabawa, ale może to ktoś potraktować poważnie.

NIEZAWODNY

A jednak, panie Jacku, czy nie zwrócił się pan jakiś czas temu z pytaniem do naszego gospodarza: Czy nie ma na Zachodzie jakiś układów, dzięki którym można by zatrudnić ślusarza. Ja wiem, że politykiem jest pan marnym, ale za to ślusarzem doskonałym.

JACEK

To, że jestem dobrym ślusarzem wszyscy wiedzą, a w polityce się wyrobię.

NIEZAWODNY

No chyba, że...

JACEK (*też przerywa Niezawodnemu*)

Co wy żeście się uparli, żeby tu dzisiaj tak krakać. Jak nie jedno, to drugie.

NIEZAWODNY

A więc jednak obawia się pan o humory swojego prezesa. On nie takich jak pan złożył w ofierze na ołtarzu swoich interesów. A jak się pan goli, to nie pluje pan na lustro?

JACEK

Panie, czemu żeś tak się na mnie uwziął? Co ja złego zrobiłem? Kim jesteś? Ten głos...

NIEZAWODNY (*zmienionym głosem, pogłos*)

Jacku, przybyłem, aby ci pomóc. Zresztą nie tylko tobie. (*normalnym głosem kontynuuję*) Proponuję ci pracę, o jakiej marzyłeś. Pomyśl o tym i o lustrze rano.

ANNA

Ja nie chcę zostać sama w tym ciemnogrodzie. Jeżeli coś się tu zmieni to ok, ale jeżeli nie... To może jest rozwiązanie, żeby Jacek pracował za granicą, a nie szmacił się tutaj za pieniądze.

JACEK

Zaraz szmacił. Polityka nie zawsze jest czysta.

STEFAN

Ok. Jacku, znamy się już dawno i wiemy, że w środku jesteś porządnym człowiekiem, ale wybacz, to, co robi z tobą partia... Wiem, że się nawet sam

przed sobą nie przyznasz, ale wierz mi, manipulują tobą, indoktrynują cię.

NIEZAWODNY

Napijmy się. Przyniosłem taki specjalny napój. Ciekawe, czy poznacie jego smak?

AGATA

Chętnie coś wypiję. Bez tego światła to jakoś straszno. Jeszcze tylko potrzeba, aby tu coś wyło po kątach i dzwoniło łańcuchami. Proszę, niech pan leje.

Plusk nalewanego płynu do kieliszków.

ANNA

No nie niech pan nie żartuje. To nie może być... Co to jest?

NIEZAWODNY

To kiedyś było białe wino.

JACEK

Ale to nie jest białe... I ten słonawy smak, i ta gęstość. Nie, to niemożliwe. Przecież pan nie może być...

NIEZAWODNY

Pst. Nie mówmy już o tym, pijcie, albowiem...

Zaczęła grać muzyka.

AGATA

O, rozbłysło światło. Stefan, czy mogę prosić cię jeszcze na słówko? Tym razem nie porwę go państwu na tak długo jak poprzednio. Tylko na dwa słowa.

ANNA

Idźcie, idźcie. Ale was przyparło, robaczki.

I to w tym wieku. No, no, a ja myślałam,

że na to jesteście po prostu za starzy.

Pracownia, szuranie, przestawianych sprzętów.

AGATA

Ale ta Anka jest niemile bezpośrednia.

Za starzy, też coś. Skąd ona może

wiedzieć, ile ja mam lat.

STEFAN

Pewno nie z wyglądu, tylko z tego,

że jesteś moją koleżanką ze studiów.

Zresztą, czy to dla nas ważne?

AGATA

To dziwne, ale właśnie nie. Przy tobie

poczułam się jak nastolatka. Jakby

te wszystkie lata nie miały miejsca.

Jakbyśmy rozstali się raptem przed

tygodniem. Cieszyłam się na przyjazd do

ciebie, ale nawet nie wyobrażałam sobie

w najszybszych marzeniach tego, co mnie

tu spotkało.

STEFAN

Tego, co cię jeszcze spotka. To dopiero

początek.

AGATA

Tak, masz rację. Nie powiedziałam ci

jeszcze, co napisał mi Wojtek w SMSie.

STEFAN

Nie mów mi na razie. Mogę?

AGATA

Ależ Stefan. Ach. Tak. Tak.

Muzyka „Je t'aime”.

STEFAN

Kochanie, chyba wiem, co napisał Wojtek,

ale powiedz.

AGATA

Nie możesz tego wiedzieć.

Ja w najbardziej szalonych snach nie

spodziewałam się takiej wiadomości, więc

skąd ty możesz wiedzieć?

STEFAN

A może twój mąż uzgodnił coś ze mną?

A może, jak byłeś jeszcze żoną Marka,

rozmawiał ze mną nie raz i nie dwa

o swojej platonicznej, przeogromnej

miłości do ciebie. Może dlatego zaczął

pić, a potem, nawet po waszym ślubie, już

nie potrafił przerwać.

AGATA

Mówisz o tym wszystkim tak spokojnie,

a jednocześnie mnie podniecasz. Jak tak

możesz?

STEFAN

No to co napisał ci Wojciech?

AGATA

Napisał mi, że będzie przebywał w

portugalskim hospicjum, że nie przyjedzie

dzisiaj po mnie i że to był tylko taki

wybieg, abym pojechała do ciebie i że

ty zaopiekujesz się mną. ...Jak chwilę

pomyślałam, to to przecież ma sens, ale ty masz żonę.

STEFAN

Wojtek przez całe wasze małżeństwo był rozdarty wewnątrz. Z jednej strony zmaterializował swoje największe marzenie w życiu. Został twoim mężem. Dziesiątki lat platonicznej miłości nie zamieniły się w gorący dotyk. Nie potrafił cię zaspokoić. Nie chce wnikać dlaczego, ale seks nie był mocną stroną waszego związku. Tak, mam żonę. Ciągle tę samą, od ślubu, na którym byłaś naszym świadkiem. Ona wie o wszystkim, a Bóg lubi liczbę trzy.

AGATA

Proszę, przestań mnie przez chwilę podniecać. Nie mogę się skupić, a przecież omawiamy całe moje – nasze życie. Proszę.

STEFAN *(ze śmiechem)*

Nie? Postaraj się mieć podzielną uwagę, bo się poskarżę Panu Niezawodnemu.

AGATA *(błagalnie)*

Proszę.

STEFAN *(poważnie)*

Dla Wojtki to nie była łatwa decyzja. On postanowił opuścić cię na zawsze. Starał się to odwlekać w nieskończoność, ale choroba przyspieszyła jego decyzję. Zaproponowałam mu, że zaopiekuję się

tobą. Jedno, czego mu nie powiedziałem, to jaka chemia nas łączy, zresztą nie wiedziałem czy ty też...

AGATA

Ach, ach... Jesteś okropny! ALE...

No dzięki... Ja, Agata Marta serdeczne dzięki SKŁADAM.

Pokój, w którym odbywa się impreza. Gwar.

ANNA

No nie, wy jesteście gorsi od nastolatków.

Może od razu nas wywalcie, jak was aż tak przyparło.

STEFAN *(ze śmiechem, ale zaraz poważniejąc)*

Nie gniewajcie się na nas.

Nie widzieliśmy się bardzo długo, a ponadto naprawdę musieliśmy porozmawiać o bardzo ważnych dla nas sprawach. Za chwilę dosłownie przekonacie się, że to nie do końca jest tak, jak to teraz postrzegacie. Dzisiaj zaprosiłem was nie tylko towarzysko.

Aniu, a co będzie jeżeli opozycja przegra wybory?

ANNA

Nie zniosę tej beznadziei.

NIEZAWODNY

Ja przygotowałem propozycję dla każdego z Was i to jest propozycja nie z tej ziemi. Ty Anno, jeżeli zechcesz, też znajdziesz u mnie pracę. Zapraszam.

JACEK (*wytrzeźwiawszy*)

No dobrze, a co ja miałbym u ciebie,
Panie Niezawodny, robić? Nie wiem, czy
potrafię?

NIEZAWODNY

Potrafisz, Jacku. Do tej pory robiłeś różne
rzeczy. Teraz będziesz robił tylko jedno
– dobro. Dasz sobie radę i sprawi ci to
przyjemność.

JACEK

Jak jeszcze pracowałem jako ślusarz,
to ciągle musiałem robić coś innego.
Jeżeli mam robić tylko jedno dobro, to z
pewnością dam radę.

ANNA

Im więcej piję tego pańskiego trunku, tym
bardziej jasno widzę swoją przyszłość.

Dziwne, nie czuję w nim wcale alkoholu,
tylko ten dziwny słodko-słony smak jak...

Ale, ale, a mnie gdzie chcesz zatrudnić,
Panie?

NIEZAWODNY

Hodowałaś kwiaty, warzywa, owoce, teraz
będziesz hodowała tylko jedno – dobro.

Ta hodowla będzie bardziej emocjonująca
niż wszystkie dotychczasowe razem
wzięte.

ANNA

To jakaś monokultura rolna? Hodować
tylko jedno dobro? Ciekawe.

NIEZAWODNY

Tobie, Agato, nalałem jeszcze nim
wyszliście ze Stefanem, ale obojgu
wam się tak spieszyło, że nawet nie
zamoczyliście ust.

STEFAN

A ja nie wiedziałem, czy jestem godny.
Teraz już wiem. Napijmy się, Agatuś.

AGATA

Ale na spólkę. Wypijmy to z jednego
kielicha.

STEFAN

Dobrze, skoro tak chcesz.

NIEZAWODNY

Agata wie, co mówi. Widocznie tak było
pisane. Czy wy też zafunkcjonujecie w
mojej firmie? To pytanie skierowane
jest bardziej do ciebie, Agato, bo
decyzję Stefana znam, a z jego żoną
rozmawiałem kilka dni temu.

AGATA

Nie znam decyzji Stefana, ale coś czuję,
że on spiskował nie tylko z Wojciechem,
ale również z Panem. Dzisiaj całkowicie
zaufałam Stefanowi, ale widzę, że jeszcze
bardziej muszę zaufać Panu.

STEFAN

A może zwrot „Chcę zaufać Panu” byłby
tutaj bardziej na miejscu.

AGATA

Oj, Stefan. Dzisiaj już tyle razy okazało się, że coś postanawiałeś za moimi plecami, że staram się być ostrożna, ale czuję całą sobą, że masz rację. Tak, chcę zaufać Panu i pracować dla niego.

NIEZAWODNY

Pijecie?

STEFAN

Agatuś, zaczynaj, pół kielicha jest twoje.

AGATA

Mój Stefanie. Teraz ty.

NIEZAWODNY

Bierzcie i pijcie. To czyńcie na moją pamiątkę. To jest bowiem kielich krwi mojej.

„Toccata” Bacha

Koniec

Magdalena Szczęsna

Mienie ruchome

Osoby:

Anna – 30-latka, często cytująca różne piosenki

Paweł – 35-latek, nerwowo chrząkający, nieco apatyczny

Lektor

Miejsce akcji – salon w M3

LEKTOR

Poniedziałek, 8:00 rano

W tle dźwięk mytych filiżanek, sztućców, szczekanie psa.

ANNA

O której dzisiaj wracasz? Może pójdziemy do kina wieczorem?

PAWEŁ

Nie wiem, lwo chciał spotkać się po pracy, może jakieś piwo? Wiesz, znowu ma problemy...

ANNA

No tak, oskarowe marzenia przegrywają z reality show. lwo i książniczki lwony, ok.

Ja poczekam, ja przeczekaam – oskarowa noc jest co rok...

PAWEŁ

Anka! (chrząka znacząco)

ANNA

Tak, tak, jednak kino?

PAWEŁ

Aniu... Wiesz, może przyjdę. Kiedyś często chodziliśmy do kina, ja naprawdę chciałbym...

ANNA

Kiedyś, to i dzisiaj możemy. Zadzwoń, pa. (do psa) Yeti, piesku – ty zostajesz.

Anka pośpiesznie trzaska drzwiami. Zbiega po schodach.

LEKTOR

Poniedziałek, godzina 16:00

Anka wybiera numer telefonu

ANNA

Magda... Możesz rozmawiać albo chociaż mnie posłuchać? Wiesz, wracałam z pracy – tak, wiem, to nic szczególnego, ale...

Zobaczyłam Pawła. Tak, Pawła. Stałam na przejściu, czekałam na zielone...

A przede mną... Ona... tak, tak. Nie, nie stała, siedziała w naszym samochodzie, na moim miejscu.... Klepała po karku. Czule... Jak to – kogo? Pawła, mojego Pawła, tak, mojego tak zwanego oficjalnego narzeczonego...

(pauza)

Co zrobić? Nic, jak tylko miał zielone – odjechał. Swoją nową drogą życia. Zawiesiłam się, stałam zszokowana, wiesz, taka scena z niemego kina. Zero słów, a cholernie dużo znaczeń. Co zrobić? Może jest jakaś instrukcja obsługi porzucenia? Hm... Dobrze, odezwę się, wracam do domu. Ok, pa, pa.

LEKTOR

Poniedziałek, godzina 22:00

Słychać stukanie do drzwi łazienki, w tle odgłos kapiącej wody

PAWEŁ

Bądź dorosła, odezwij się, to nie zabawa, to nie to twoje cholerne kino.

Odgłos otwieranych drzwi. Anka bez słowa mija mężczyznę. Tylko pies skamle pod drzwiami.

LEKTOR

Wtorek, godzina 8:00

ANNA

Porzuciłeś mnie i zapomniałeś mi o tym powiedzieć?

PAWEŁ

Chciałem...

ANNA

Zapomniałeś mi powiedzieć... To takie banalne – nieoczekiwana zmiana miejsc.

Już nie moje miejsce dla pasażera, nowy najemca, czas minął, dlaczego nie dostałam SMS-a. Kończy mi się umowa, czas, uczucie? Zdradzałeś mnie... W sumie banalne – tylko dlaczego tak boli?

PAWEŁ

Aniu, próbowałem, już dawno...

ANNA

Tak, nasza historia by...ła już dawno.
(do psa) Yeti, piesku, idziemy na spacer.
Chociaż to jest tak jak wczoraj.
Pies szczeka radośnie, wychodzą, Anka nie trzaska drzwiami, zamyka prawie bezgłośnie.

LEKTOR

Wtorek, godzina 22:00

PAWEŁ

Anka, musimy podjąć decyzję.

ANNA

My musimy? Ty już zdecydowałeś – zapomniałeś?

PAWEŁ

Przestań być taka sarkastyczna, trzeba to wszystko jakoś, wiesz...

ANNA

Wiem, wychodzę, jedź spokojnie. Dzisiaj na skrzyżowaniu także nie rzucę się pod wasze auto ani nie wyrwę włosów twojej nowej pasażerze. Cholernie mało filmowa jestem, nudna chyba, prawda?

(do psa) Yeti, zostajesz.

Mops mruczy niezadowolony.

LEKTOR

Środa, 8:00 rano

ANNA

Paweł, co z psem?

PAWEŁ

Z czym? Z kim?

ANNA

Z Yetim. Popatrz, tutaj leży, a może Panna

Nowa jest alergikiem?

PAWEŁ

Anka, to są ważne sprawy. Byliśmy, jesteśmy, cholera – pięć lat no, razem, te meble, dywan z wełny jagnięcej, sprzęt audio...

ANNA

No, to ja o tym mieniu właśnie, jak to się nazywa – ruchome mienie? To 3 lata statusu domownika, cztery łapy i miłość bezgraniczna, to jak dzielimy?

PAWEŁ

Anka, nie drwij...

ANNA

Łapki przednie czy tylne dla pana?

A co z wizytami – weekendy, czy może tydzień wakacji? Wielkanoc czy lepiej walentynki?

PAWEŁ

Iza wolałaby...

ANNA

Tylko jak to wszystko przedzielić na pół, te pięć lat, dywan, książki, płyty, bilety z koncertów i wspomnienia z wakacji i uniesień? Moje pół, twoje pół. Cholera, gdyby Yeti był chociaż jamnikiem, to z centymetrem...

PAWEŁ

Wychodzę, mam dość.

Trzaśnięcie drzwiami, on zbiega po schodach

ANNA

(cicho) Kochany, kochany – ty już dawno stąd wyszedłeś...

LEKTOR

Czwartek

PAWEŁ

Anka, co z tym burkiem? Zostanie u ciebie, w końcu zna mieszkanie, park, zresztą to TY zawsze marzyłeś o psie.

ANNA

Marzyłam też o kochającym partnerze, o domu, wiesz, takie mrzonki kobiecej duszy. Ba, nawet myślałam, że to mam...

PAWEŁ

Aha, jeszcze te garnki.

ANNA

Słucham?

PAWEŁ

To przecież prezent od moich rodziców, podobnie jak dywan i chyba, cholera... zapomniałem, pamiętasz?

ANNA

No, trochę pamiętam. Wakacje na Helu, wieczory na tarasie, czułe słowa, nawet pocałunki, takie filmowe sceny.

Tak, pamiętam – twoja mama kupiła nam też tamten fotel, cholera, przepalona dziura, a tylko ty tutaj paliłeś.

To co – zabierasz ze wspomnieniami i fotel, trochę po przejściach. Mężczyzna po przejściach, tak to śpiewał Zamachowski?

PAWEŁ

Nie, niech zostanie. Yeti na nim lubi spać, będzie miał pamiątkę, jak mylisz?

ANNA

Czyli ustalone – pies zostaje u mnie wraz z fotelem? W pakiecie łatwiej czy taniej?

PAWEŁ

Zresztą, on woli ciebie, a Izabella ma kota, Punia nie znosi psów.

ANNA

Pytałeś go, z kim chce zostać?

Powiedziałeś, że pan odchodzi w siną dal? I co, Yeti zrozumiał? Bo ja od kilku

dni próbuję zrozumieć, poskładać sobie te puzzle, nie umiem, jeszcze nie mam wszystkich elementów...

PAWEŁ

Zakochałem się.

Cisza. Anna milczy.

PAWEŁ

Anka!

ANNA

A dawno się zakochałeś? A we mnie się odkochałeś, tak? No, to mamy dwa brakujące puzzle. Muszę wyjść, zabierz do jutra swoje rzeczy, zresztą, wszystko mi jedno.

Anna wychodzi, odgłos zamykanych drzwi
LEKTOR

Piątek

Odgłos otwieranych drzwi.

ANNA

Witaj piesku, zaraz wyjdziemy na spacer. Gdzie ta kurtka? Pada i pada. W sumie to i lepiej, nie tylko ja wylewam nad sobą łzy, niebo też płacze, tylko skąd mamy tyle łez? Pan sobie poszedł, musimy zosobnieć na nowo... No, idziemy do parku.

Odgłos otwieranych drzwi Anna wybiera numer telefonu

ANNA

Magda, muszę ci coś przeczytać. Tak, teraz, no, chwila. Słuchaj, dostałam list. Tak, list, tak, w kopercie, znaczek, takie archeo. Uwaga, czytam:

„Szanowna Pani, nie znamy się osobiście, ale mimo to postanowiłam do pani napisać. Chciałam pani podziękować, że zostawiła sobie pani tego pieska. Ja toleruję tylko moją Punię, a Pawcio tak się o to martwił, jest taki wrażliwy, w końcu zna go pani, Misio zawsze powtarzał, że jest pani taka dobra i ja się z tym zgadzam. Zachowała pani klasę. Pozdrawiam – Izabella.”

Hej, to koniec, jesteś tam? To dzisiaj wieczorem kino domowe? Klasyka - „Thelma i Louise”? O 20:00? Jeszcze tylko zadbam o moje mienie ruchome. Yeti, idziemy, a my widzimy się o 20:00? Wino czerwone, pa.

Koniec

Dominik Włoskiewicz

Spisek

Osoby:

Kardynał – kardynał Thomas Wolsey

Henryk VIII – król Anglii

Anna Boleyn – dwórka

Nieznajomy – mężczyzna w średnim wieku

Albert – starszy mężczyzna

Strażnik – młody mężczyzna

Scena I

*Akcja rozgrywa się w Hampton Court
w pierwszej połowie XVI wieku.*

ANNA BOLEYN

(Słysząc otwieranie drzwi) Panie... Chciałeś
mnie widzieć.

HENRYK VIII

Dobrze, że jesteś. Usiądź proszę.

ANNA BOLEYN

Jaki to powód skrywasz, dla którego mnie
wezwałeś?

HENRYK VIII

Musiąłem cię zobaczyć. Dlaczego nie
odpisujesz na moje listy?

ANNA BOLEYN

Ach... Listy...

HENRYK VIII

Nie podobają ci się? Nie tego
oczekiwałaś?

ANNA BOLEYN

Panie... Twoje listy są piękne. Ale czuję się
onieśmielona...

HENRYK VIII

Nie masz powodów, by czuć skrępowanie.

Opisuję samą prawdę.

ANNA BOLEYN

Nie wiem, co mam o tym myśleć...

HENRYK VIII

A co podpowiada ci serce?

ANNA BOLEYN

Przy tobie zawsze bije mocniej...

Ale rozum...

HENRYK VIII

(Przerzywa Annie w pół słowa) Słuchaj więc

serca... Ono wie najlepiej...

ANNA BOLEYN

Panie...

HENRYK VIII

(Ściszone głosem) Anno... Czemu ciągle

mnie zwodzisz? Nie chcesz dzielić ze mną

łóża? Czy brakuje mi czego?

ANNA BOLEYN

(Również ściszone głosem) Panie,

niczego ci nie brakuje. Tu nie chodzi

o ciebie.

HENRYK VIII

(Głośniejszym z lekkim oburzeniem) A więc

o kogo?

ANNA BOLEYN

Wiesz, że jestem obiecana innemu.

Nie godzi się, abym teraz się wycofała.

HENRYK VIII

Martwisz się o to, co jest mało istotne.

Już rozwiązałem ten problem.

ANNA BOLEYN

(Zdziwiona) Panie... Ale... jak?

HENRYK VIII

Czy naprawdę cię to dziwi? Czy nie tego

właśnie pragnęłaś? Być blisko mnie?

ANNA BOLEYN

Pragnęłam...

HENRYK VIII

Więc o co chodzi? Skrywasz coś przede

mną?

ANNA BOLEYN

Czy przed tobą, panie, można coś ukryć?

Czy byłoby to rozsądne?

HENRYK VIII

Więc co cię trapi?

ANNA BOLEYN

Czy tak wolno postępować? Czy tak może

postępować król?

HENRYK VIII

Mnie wolno wszystko!

ANNA BOLEYN

A co z Bogiem? On widzi wszystko.

HENRYK VIII

Bóg nie może przeszkodzić prawdziwej

miłości.

ANNA BOLEYN

Panie, wybacz mi śmiałość, ale ty

przecież masz żonę.

HENRYK VIII

Żonę, której nie kocham. Kocham ciebie,

bądź moja. Teraz, już.

ANNA BOLEYN

(Chwila zawahania) Oddal ją, a wtedy

będę twoja.

HENRYK VIII

Oddal... Wiesz, że łatwo jest to rzec.

ANNA BOLEYN

Panie, przecież jesteś królem Anglii.

Możesz wszystko.

HENRYK VIII

W tej sprawie potrzebuję papieża...

Ale proszę cię, daj mi przedsmak tej

miłości. Chodź ze mną do komnaty.

Nie odwzajemniasz mojego uczucia?

ANNA BOLEYN

Panie, wiesz, że nie mogę. Mam być

kolejną twoją kochanką? Czy takie

miejsce mnie czeka?

HENRYK VIII

Czeka cię miejsce obok mnie. Przy tronie.

Miejsce królowej.

ANNA BOLEYN

Zatem dopiero wtedy, gdy oddalisz

Katarzynę, będę twoja. Dam ci

upragnionego syna. Zaklinam się na Boga,

że tak będzie.

HENRYK VIII

Ach! Kobiety... Czy wam wolno ufać?

ANNA BOLEYN

Czy dla prawdziwej miłości nie jesteś

gotów na takie poświęcenia?

HENRYK VIII

Ja pragnę ciebie, pragnę syna. Gotów

jestem dla tej sprawy na wiele poświęceń.

ANNA BOLEYN

Wierz w moje słowo. Zrób to, o co

proszę, a zaznasz prawdziwej rozkoszy

i szczęścia.

HENRYK VIII

(Słysząc kroki króla chodzącego po

komnacie) Poślę Wolseya. Jeszcze dziś

pojedzie do Rzymu!

ANNA BOLEYN

Wolseya? Panie, uważaj na tego

człowieka. Nie można mu ufać.

HENRYK VIII

Wolseyowi? To mój najwierniejszy sługa.

ANNA BOLEYN

Najwierniejszy? Nie widzisz, do czego

on dąży? Jak obrasta w bogactwa i

wpływy? Czy jego majątek nie dorównuje

twojemu? Czy on podoła takiemu

zadaniu? Czy będzie chciał mu podołać?

HENRYK VIII

Ufam mu. A za jego zasługi hojnie go

wynagradzam.

ANNA BOLEYN

Panie, wiem, że twoja hojność nie zna

granic, ale ten człowiek jest fałszywy. Czy

przystoi kardynałowi gromadzić tyle dóbr

doczesnych? Czy jego oczy nie powinny

być zwrócone ku Bogu?

HENRYK VIII

Dopatrujesz się zdrady tam, gdzie jej nie ma. Wiem, że wielu mam wrogów, ale Wolsey nim nie jest.

ANNA BOLEYN

Każdy, kto pielęgnuje w sercu chciwość, zdolny jest do zdrady.

HENRYK VIII

Znowu to robisz. Zwodzisz mnie, unikasz. Chcesz, żebym stracił rozum? *(Szepcze do Anny)* Daj mi posmakować twojego ciała. Nie każ cierpieć samotności.

ANNA BOLEYN

I moje serce się smuci, ale twoja wstrzemięźliwość to dla mnie zapewnienie.

HENRYK VIII

Moje słowo ci nie wystarczy?

ANNA BOLEYN

Jesteś prawym człowiekiem panie, ale twoje ciało trawia pożądliwości.

HENRYK VIII

Nie dziw się moim pożądliwościom, gdy jestem w twojej obecności.

ANNA BOLEYN

Oddal Katarzynę. Tylko o to proszę.

HENRYK VIII

Och... Oddalę. Masz moje słowo.

Scena II

Akcja rozgrywa się w Hampton Court w pierwszej połowie XVI wieku.

HENRYK VIII

Wezwać Wolseya! Natychmiast! *(Słuchać otwieranie i zamykanie ciężkich drzwi. Chwila ciszy, a po niej dźwięk otwierania tych samych drzwi)*

KARDYNAŁ

Panie, wzywałeś mnie.

HENRYK VII

Dobrze, że jesteś. *(Głośno)* Przynieść wino! Dużo wina! *(Ciszej)* Wolsey... Mam dla ciebie bardzo ważne zadanie.

KARDYNAŁ

Jakie?

HENRYK VIII

Musisz pojechać do Rzymu, pilnie.

KARDYNAŁ

Cóż to za sprawa niecierpiąca zwłoki?

HENRYK VIII

Pojedziesz do papieża. Z prośbą o unieważnienie mojego małżeństwa.

KARDYNAŁ

(Chwila ciszy) Panie, z jakiego powodu chcesz oddać Katarzynę? Czy znowu zawróciła ci w głowie jedna z dwórek?

HENRYK VIII

Chyba zapominasz, z kim rozmawiasz!

KARDYNAŁ

Wybacz mi, panie...

HENRYK VIII

Wolsey... Wiesz dobrze, że Anglia potrzebuje następcy! Kolejnego Tudora!

KARDYNAŁ

Masz panie zdrową córkę.

HENRYK VIII

Córkę?! Kpisz ze mnie?! Anglia potrzebuje silnego króla! Silnego mężczyzny! Rodu, który będzie rządził tym krajem przez setki lat!

KARDYNAŁ

Czy dla tej wizji chcesz doprowadzić do konfliktu z Hiszpanią? Zapomniałeś, że Katarzyna jest ciotką Karola?

HENRYK VIII

Doskonale o tym wiem. Ale nie pozwolę, żeby ktokolwiek inny rządził Anglią! Nikt poza Tudorami rozumiesz?!

KARDYNAŁ

Panie, spróbuj zbliżyć się do Katarzyny, a da ci syna.

HENRYK VIII

Dała mi już synów i wszyscy pomarli. *(Po chwili)* Starzeję się, Wolsey. Katarzyna również. Medycy mówią, że już nie krwawi. Nie da mi dziecka.

KARDYNAŁ

Panie, wiesz, że to nie jest proste.

HENRYK VIII

W Rzymie papieżowi powiedz tak:

„Katarzyna Aragońska w czasie ślubu z Henrykiem VIII nie była dziewicą”. Tu masz list ode mnie. Przekaż go Klemensowi.

KARDYNAŁ

Ale to przecież nieprawda.

HENRYK VIII

Moi ludzie znaleźli świadków. Zeznają, że Katarzyna skonsumowała związek ze swoim poprzednim mężem.

KARDYNAŁ

Panie, twój brat miał wtedy piętnaście lat i był chorowity. Umarł młodo, nie mógł skonsumować tego związku. Jacy świadkowie twierdzą inaczej?

HENRYK VIII

Zostały mi dostarczone zeznania.

Widnieją po nimi podpisy świadków.

To wystarczający dowód.

KARDYNAŁ

Wybacz mi, panie, ale to kłamstwo.

Katarzyna nigdy się do tego nie przyzna.

Prędzej umrze. Chcesz pohańbić jej imię?

Karol na to nie pozwoli. Hiszpanie rosną w siłę. Musimy być ostrożni.

HENRYK VIII

Jeśli papież będzie z nami, to nikt się nam nie sprzeciwi.

KARDYNAŁ

(Zatrwożony) Lud kocha Katarzynę.
Wybuchnie bunt. Panie, swoją decyzja
podzielisz kraj. Zważ na to, że ludzie już
są podzieleni. Protestanci rosną
w siłę, nauka Lutra zjednuje coraz więcej
zwolenników. Chcesz doprowadzić do
wojny domowej?

HENRYK VIII

Wolsey... Podejdź do mnie.

KARDYNAŁ

(Słuchać powolne kroki) Tak, panie?

HENRYK VIII

Spójrz mi w oczy. *(Chwila ciszy)* Jesteś
mi wierny? Oddany do końca?

KARDYNAŁ

Wiesz, że tak. Zrobię dla ciebie wszystko,
dla dobra twojego i Anglii.

HENRYK VIII

Więc zrób to, o co cię proszę. Załatw tę
sprawę. Na niczym innym mi nie zależy.

KARDYNAŁ

Panie, czy jesteś tego pewny? Czy tego
pragniesz?

HENRYK VIII

Tego pragnę i taka jest moja wola.

KARDYNAŁ

Czy nową wybranką jest Anna? Siostra
Marii Boleyn?

HENRYK VIII

Tak, to Anna.

KARDYNAŁ

Czy Boleynowie nie próbują tobą, panie,
manipulować? Wkraść się w łaski, aby
umocnić swoją pozycję?

HENRYK VIII

Boleynowie nie są żadnym zagrożeniem.
To chciwcy. Ja chcę tylko, aby ich córka
dała mi syna.

KARDYNAŁ

Panie, dość masz wrogów. Szukasz
kolejnych?

HENRYK VIII

Widzę, że wroga zaczynam mieć w tobie,
Wolsey.

KARDYNAŁ

Panie, ja tylko chcę zadbać o twoje dobro.
O dobro Anglii.

HENRYK VIII

Anglia to ja!

KARDYNAŁ

Wiem, że usilnie pragniesz męskiego
potomka, ale twoja decyzja może nieść
za sobą bardzo poważne konsekwencje.

HENRYK VIII

Zdaję się na twoja mądrość, Wolsey.

KARDYNAŁ

Widzę, że nie pozostawiasz mi wyboru.

HENRYK VIII

Dobrze rozsządziłeś. Wyboru nie masz.

KARDYNAŁ

A jeśli papież się nie zgodzi? Co wtedy?

HENRYK VIII

Lepiej dla ciebie, żeby się zgodził.

KARDYNAŁ

Panie, daj mi miesiąc. Sytuacja

w Anglii się uspokoi, ja będę miał czas na przygotowanie solidnych argumentów dla papieża.

HENRYK VIII

(Chwila ciszy) Masz miesiąc. I ani dnia dłużej. *(Po chwili)* Odejdź już. Chcę zostać sam. I liczę na szybkie wieści. Na dobre wieści!

KARDYNAŁ

Wedle rozkazu, panie. *(Słysząc otwieranie, a chwilę potem zamykanie ciężkich drzwi do komnaty)*

Scena III

Akcja rozgrywa się w Hampton Court w pierwszej połowie XVI wieku.

KARDYNAŁ

Jesteś... Usiądź. Chciałem zamienić z tobą kilka słów.

ANNA BOLEYN

W jakiej sprawie eminencja mnie wezwał?

KARDYNAŁ

Obserwuję cię uważnie, Anno, wiesz?

Bacz na to, aby nie popełnić błędu.

ANNA BOLEYN

Nie wiem, o czym eminencja mówi.

KARDYNAŁ

Zbyt długo żyję, by się nie zorientować, co chcesz osiągnąć.

ANNA BOLEYN

Skąd eminencja może znać moje zamiary?

KARDYNAŁ

Widziałem wiele takich młódek jak ty.

Przez królewskie łóżce chcą dostać się do władzy.

ANNA BOLEYN

Chce eminencja stanąć pomiędzy mną a królem?

KARDYNAŁ

Myślisz, że możesz prowadzić taką grę? Manipulować Henrykiem? Myślisz, że on jest głupi?

ANNA BOLEYN

Ja go kocham. Nie wierzysz w miłość... *(ironicznie)*, panie?

KARDYNAŁ

Nie, nie wierzę. Nie na tym świecie.

ANNA BOLEYN

To musi eminencja bardzo cierpieć z tego powodu.

KARDYNAŁ

Drwisz ze mnie. Myślisz, że twoja pozycja zawsze będzie taka silna? Wiesz, jak będzie naprawdę?

ANNA BOLEYN

Oświeć mnie... (*ironicznie*), wasza eminencjo.

KARDYNAŁ

Gdy wszystko się wyda, skończysz na stosie. W najlepszym wypadku twoja głowa przetoczy się przez dziedziniec.

ANNA BOLEYN

Nie znasz kobiet. Nie wiesz, jaką mają siłę.

KARDYNAŁ

(*Śmiech*) Wiesz, gdzie jest siła kobiet?

Miedzy ich nogami! Na ile starczy ci tej siły? Rok? Dwa? A gdy przyjdzie znudzenie, skończysz jak wszystkie inne kochanki.

ANNA BOLEYN

A ciebie jaki czeka los? Pomyślałeś o sobie? Wiesz, że jeśli nie wrócisz z Rzymu z dobrymi wieściami, król skróci cie o głowę? (*Po chwili*) Nie darzę cię sympatią, Wolsey. Nie mam zamiaru tego ukrywać. Nie mam zamiaru też pozwolić, abyś w czymkolwiek mi przeszkodził. Ciesz się każdą chwilą, bogactwem, które posiadasz. Ciesz się tym, bo nie potrwa to długo.

KARDYNAŁ

Sączysz jad przeciwko mnie. Próbujesz poróżnić mnie z królem.

ANNA BOLEYN

To nie ja jestem tą złą. Tylko ty. Latami żyłeś na łasce króla. Ile na tym zyskałeś? Mało masz władzy? Mało bogactw zgromadziłeś?

KARDYNAŁ

Uważaj, co mówisz!

ANNA BOLEYN

Bo co? Zatopisz w mojej piersi sztylet?

KARDYNAŁ

Mógłbym!

ANNA BOLEYN

Wiem, żeś do tego zdolny. (*Głośniej*) Zrób to! Teraz! (*Po chwili spokojniej*) Boisz się. Wiesz dobrze, że twoje życie jest zależne ode mnie.

KARDYNAŁ

Jesteś nikim. Żadnym zagrożeniem dla mnie. Nic o mnie nie wiesz.

ANNA BOLEYN

O tobie? Wiem więcej, niż ci się wydaje. Wiele się mówi o tym, co dzieje się w Tower. O tym, jak dajesz upust swoim zwierzęcym instynktom.

KARDYNAŁ

(*Śmiech*) I to mówi dwórka, która wskakuje co chwilę do innego łóża?

ANNA BOLEYN

Ciepło kobiecego ciała i tobie nie jest obce. Skarć mnie, jeśli to nieprawda!

KARDYNAŁ

Kto uwierzy dziwce?

ANNA BOLEYN

Ta dziwka podpisze na ciebie wyrok śmierci..

KARDYNAŁ

(Śmiech) Niedoczekanie.

Scena IV

Akcja dzieje się na obrzeżach Paryża w pierwszej połowie XVI wieku w niewielkim pałacyku. Jest środek nocy.

ALBERT

(Słysząc kołatanie do drzwi, a potem nierówny chód Alberta, który idzie otworzyć)

Któż to?!

NIEZNAJOMY

(Przez drzwi) Ja do eminencji. Proszę powiedzieć mu, że przychodzę w sprawie ślubu.

ALBERT

Jest środek nocy. Eminencja nie przyjmuje, spi.

NIEZNAJOMY

Proszę go obudzić, spodziewa się mnie.

ALBERT

(Gderliwie) Obudzić! Też coś! Przyjść rano!

(Odchodzi od drzwi, po chwili Nieznajomy zaczyna mocniej kołatać) Precz! Bo wezwę straż! *(Kołatanie nie ustaje)*

KARDYNAŁ

(Z oddalenia) Co się dzieje, Albercie?

ALBERT

Jakiś mężczyzna usilnie pragnie rozmówić się z eminencją. Podobno przychodzi w sprawie ślubu.

KARDYNAŁ

Wpuścić.

ALBERT

(Mruczy) Płaszcz! Da mi pan... *(niechętnie)*

Za mną proszę.

NIEZNAJOMY

(Z drwiną z głosem) Dziękuję. *(Obaj idą korytarzem; energiczne kroki Nieznajomego, nierówne Alberta)*

ALBERT

Eminencjo...

KARDYNAŁ

Witam, witam... A więc w sprawie ślubu...

Zostaw nas, Albercie! Proszę... *(Po chwili, gdy kroki Alberta się oddalają, zwraca się cicho do Nieznajomego)* Jak mnie znalazłeś?

NIEZNAJOMY

Znalazłeś? A to eminencja się przede mną ukrywał?

KARDYNAŁ

Nie.. Chodziło mi o to, skąd wiedziałeś, że tu jestem.

NIEZNAJOMY

Piękny pałac. W sam raz dla dostojnika kościelnego. Paryskie powietrze dobrze na eminencję wpływa?

KARDYNAŁ

Chyba nie przyszedłeś rozmawiać tu o paryskim powietrzu?

NIEZNAJOMY

Ależ oczywiście, że nie. Ale odrobina uprzejmości nie zaszkodzi.

KARDYNAŁ

Więc jak mnie znalazłeś?

NIEZNAJOMY

Ja wiem wszystko o wszystkich. Tym bardziej, że przecież mamy wspólnie wykonać zadanie, prawda?

KARDYNAŁ

To nie takie proste. No i mamy jeszcze czas.

NIEZNAJOMY

Nie, nie mamy. Sprawy zaczęły nabierać tempa. Musimy działać i to już.

KARDYNAŁ

Wszystko mam pod kontrolą. Poradzę sobie.

NIEZNAJOMY

Nie ma czasu. Musi eminenca to zrobić. Jak najszybciej.

KARDYNAŁ

Poczekajmy jeszcze. Mam audiencję u papieża. Rozwiąże ten problem.

NIEZNAJOMY

Nie możemy już czekać. Papież już w niczym nam nie pomoże.

KARDYNAŁ

Wątpisz w papieską władzę?

NIEZNAJOMY

We władzę nie, ale w jej słuszność tak.

Musimy działać. *(Chwila ciszy, stłumione dywanami kroki Kardynała)* Hiszpanie najechali Rzym. Papież jest w niewoli.

Myśli eminenca, że w tej sytuacji wyda unieważnienie małżeństwa? Że Karol na to pozwoli?

KARDYNAŁ

(Zdziwiony) Najechali Rzym?

NIEZNAJOMY

Widzę, że o niczym nie ma eminenca pojęcia... Nie dziwi mnie to. W tej sytuacji musimy niezwłocznie działać.

KARDYNAŁ

To nie takie proste.

NIEZNAJOMY

Nikt nie mówił, że to będzie proste.

Eminencja wiedział, na co się decyduje.

Nie ma już odwrotu.

KARDYNAŁ

Ale jak ja mam... *(ściszone głosem)* zabić człowieka?

NIEZNAJOMY

Eminencja poda tylko truciznę. Nic więcej. Reszta stanie się sama.

KARDYNAŁ

To nadal zabójstwo.

NIEZNAJOMY

Działa eminencja w dobrej sprawie.

KARDYNAŁ

Dobro to pojęcie względne.

NIEZNAJOMY

Myślałem, że tam gdzie jest Bóg, nie ma miejsca na relatywizm.

KARDYNAŁ

Tu Boga nie ma. Zabijanie ludzi to nigdy nie jest dobra sprawa.

NIEZNAJOMY

Co do krucjat eminencja ma chyba inne zdanie, prawda?

KARDYNAŁ

One były potrzebne. Nie było innego wyjścia.

NIEZNAJOMY

Teraz też nie ma. Wróci eminencja do Anglii i niezwłocznie zadziała.

KARDYNAŁ

Nie mogę tego zrobić. Skażę się na wieczne potępienie!

NIEZNAJOMY

Bóg zrozumie. Przecież działa eminencja w Jego imieniu.

KARDYNAŁ

To dobry człowiek i dobry król. Widziałem to w jego oczach.

NIEZNAJOMY

Ale zagubiony tak? Zresztą, jak każdy chrześcijanin. Tłumaczycie wszystko przez zagubienie. Zdradził, bo był zagubiony, ukradł, bo był zagubiony, zabił, bo był zagubiony. Ludzie nie są dobrzy i eminencja o tym wie.

KARDYNAŁ

Ale to nadal nie daje mi prawa do tego, bym go otruli!

NIEZNAJOMY

Naprawdę eminencja tego nie widzi? Kościół Katolicki w Anglii przestanie istnieć, jeśli eminencja tego nie zrobi.

KARDYNAŁ

Dla ciebie to polityka, dla mnie sprawa wieczności.

NIEZNAJOMY

Hm... Wieczność. Wielkie słowo budzące strach lub nadzieję. Zależy jak na to spojrzeć. W przypadku eminencji chyba już nie ma takiej siły. Wieczność już dawno zatracił eminencja z nałożnicami.

KARDYNAŁ

O czym ty mówisz?

NIEZNAJOMY

Skończmy z tą kurtuazją. Wiem, że ma eminencja kochankę i dwoje dzieci. Myśli eminencja, że może to ukryć?

KARDYNAŁ

Nie wiem, o czym mówisz!

NIEZNAJOMY

Dobrze eminencja wie! Hm... Taka informacja mogłaby przez przypadek wyjść na jaw. Nie postawiłoby to eminencji w dobrym świetle.

KARDYNAŁ

To jest szantaż?

NIEZNAJOMY

To bardzo brzydkie określenie. Raczej przysługa. Pozwolimy eminencji żyć jak mu się podoba, dochowując tajemnicy w zamian za wykonanie zadania.

KARDYNAŁ

To niedorzeczne. Tak nie wolno.

NIEZNAJOMY

Nie wiem, w jakim świecie eminencja żyje, ale w moim wolno bardzo dużo. Wręcz wszystko. Nie chciałem tego robić.

Proszę mi wierzyć. Miałem nadzieję, że działamy wspólnie w imię wyższego dobra. Zawiodłem się na eminencji.

KARDYNAŁ

Kim ty jesteś?

NIEZNAJOMY

Czy to ważne?

KARDYNAŁ

Oni mnie zabiją. Zabiją jak psa!

NIEZNAJOMY

Tu eminencję boli... Już rozumiem. Czyli jednak nie ta opcja z Bogiem? Strach

przed śmiercią jest silniejszy od strachu przed potępieniem?

KARDYNAŁ

To nie tak!

NIEZNAJOMY

A właśnie, że tak. Dobrze wiemy, że Boga nie ma!

KARDYNAŁ

Co ty możesz o tym wiedzieć?!

NIEZNAJOMY

A eminencja co może wiedzieć o Bogu? Już dawno eminencja stracił wiarę. Kochanka, dzieci, polityka, dążenie do bogactwa i władzy. Oj, nie daje eminencja dobrego przykładu!

KARDYNAŁ

Je...

NIEZNAJOMY

(Przerywa w pół słowa) Wiem. Jest eminencja zagubiony. Już to słyszałem. *(Po chwili)* Liczę na eminencję. Wróci eminencja do Anglii i zrobi, co trzeba.

KARDYNAŁ

A co będzie potem?

NIEZNAJOMY

Z eminencją?

KARDYNAŁ

Ze mną. Z Kościołem.

NIEZNAJOMY

To zwycięzcy piszą historię. Nikt się nie dowie. Choć cóż, muszę przyznać, że

zostałby eminencja bohaterem. Proszę o tym pomyśleć. Człowiek, który ocalił Świętą Wiarę w Anglii, wybawił lud od ciemieńczy.

KARDYNAŁ

To nie brzmiałoby dobrze.

NIEZNAJOMY

To już zależy od kontekstu.

KARDYNAŁ

Tu go nie ma. To bezcelowe działanie.

Nic z tego nie będę miał.

NIEZNAJOMY

Możemy eminencji zapłacić. Choć nie było tego w umowie.

KARDYNAŁ

Umowy też nie było.

NIEZNAJOMY

Pieniądze... Dla nich człowiek robi wszystko... Nie sądziłem, że eminencja również. Duszę zatracić dla judaszowych srebrników?

KARDYNAŁ

To łagodzi urazy.

NIEZNAJOMY

Piękne określenie. Chyba tylko duchowny mógł je wymyślić.

KARDYNAŁ

Ja już i tak nie mam nic do stracenia.

NIEZNAJOMY

Proszę tak nie mówić. Każdy ma coś do stracenia. Ale my o eminencję zadbamy.

Zły eminencji krzywdy nie robi.

KARDYNAŁ

Myślałem, że to ty jesteś tym złym.

NIEZNAJOMY

Są gorsi ode mnie. Na przykład Henryk VIII.

KARDYNAŁ

Nie znasz go.

NIEZNAJOMY

Kobieciarz, złodziej i opij. Znam go dobrze.

KARDYNAŁ

Próbujesz utwierdzić mnie w przekonaniu, że zasługuje na śmierć?

NIEZNAJOMY

Stwierdzam fakty. A ta jego... Ykhn...

Nałożnica... Boleyn... jak nie robi eminencja z nią porządku, przysporzy eminencji sporo problemów.

KARDYNAŁ

(Chwila ciszy) Zrobię to.

NIEZNAJOMY

Cieszę się. Śmierć, sąd i piekło to niewielka cena za bogactwo, władzę i dostatnie życie. Karetą zjawi się za godzinę, a mój człowiek będzie eminencji towarzyszył... do samego końca. Tak dla bezpieczeństwa, aby się eminencja nie wycofała. W szkatułce pod siedzeniem

znajduje się fiołka z trucizną. Wystarczy wlać ją do kielicha podczas mszy. Reszta stanie się sama. Do zobaczenia, wasza eminencjo. *(Wychodzi szybkim krokiem)*

KARDYNAŁ

(Cicho) Żegnam.

NIEZNAJOMY

(Zatrzymuje się i wraca) A, i jeszcze jedno. Od samego początku wiedziałem, że chodzi tu o pieniądze! *(Woła)* Albercie, mój płaszcz! *(Nierówny krok Alberta i energiczny Nieznajomego, otwieranie i mocne trzaśnięcie drzwi)*

Scena V

Akcja rozgrywa się w Hampton Court w pierwszej połowie XVI wieku, po powrocie Wolseya z Francji.

HENRYK VIII

(Słychać otwieranie ciężkich, dużych drzwi)
Wolsey! Jakie wieści przynosisz z Rzymu!

KARDYNAŁ

Panie! Proszę, odpraw wszystkich, niech nasza rozmowa pozostanie między nami.

HENRYK VIII

(Zaniepokojony) Wszyscy wyjdź!

Natychmiast! *(Słychać kroki kilku osób, szcęk zbroi, drzwi do komnaty otwierają się, za chwilę zamykają, echo niesie się po sali, po czym milknie i zapada cisza)*
Przestań trzymać mnie w niepewności i mów prędko, z czym przybywasz!

KARDYNAŁ

Panie, wybac mi moją nieudolność, ale zważ na to, że nie miałem wpływu na wydarzenia w Rzymie.

HENRYK VIII

Mów, zanim stracę cierpliwość!

KARDYNAŁ

(Ostrożnie) Papież nam nie pomoże.

Nie unieważni ślubu. Hi...

HENRYK VIII

(Przerywa Wolseyowi) Wiedziałem!

Wiedziałem, że nic nie wskórasz! Anna miała rację, mogłem posłać kogoś innego!

KARDYNAŁ

Panie, proszę daj mi dokończyć.

HENRYK VIII

(Niechętnie) Mów, co masz mówić!

KARDYNAŁ

(Z niepokojem) Hiszpanie najechali Rzym.

Papież jest pod wpływem Karola.

HENRYK VIII

(Słychać głośny ryk Henryka) To twoja wina Wolsey! Twoja wina!

KARDYNAŁ

Panie, wracając myślałem o...

HENRYK VIII

Niedługo przestaniesz cokolwiek myśleć!

Każę cię ściąć!

KARDYNAŁ

Królu, proszę pozwól mi...

HENRYK VIII

Anna miała rację! Jak mogłem być tak głupi?! Tak, ona mówiła prawdę, wszystko przewidziała! Od początku tej sprawy wydawałeś mi się podejrzany, Wolsey!

KARDYNAŁ

(*Stanowczo*) Panie, znam wyjście z tej sytuacji!

HENRYK VIII

(*Słysząc ciężki oddech Henryka*) Mów, nim się rozmyślę i zaraz każę skrócić cię o głowę!

KARDYNAŁ

(*Niepewnie*) Możesz, panie, wypowiedzieć posłuszeństwo papieżowi.

HENRYK VIII

Straciłeś rozum, Wolsey!

KARDYNAŁ

Panie, pomyśl. Bóg kocha człowieka niezależnie od tego, do jakiego kościoła należy. A głowę nowego kościoła byłbyś ty. Papież jest pod wpływem Karola.

Hiszpanie rosną w siłę.

A my... Moglibyśmy być niezależni.

HENRYK VIII

Twierdzisz, że byłbym głową kościoła?

KARDYNAŁ

Tak panie. Ty decydowałbyś o tym, co jest dobre, a co złe. Mogłbyś błogosławić, a także unieważniać każde małżeństwo.

Mógłbyś oddalić Katarzynę wedle własnej woli i sumienia. Mógłbyś decydować o wszystkim.

HENRYK VIII

Wolsey... Gdzie nauczyłeś się tej przebiegłości?

KARDYNAŁ

Panie, więc jaką decyzję podejmiesz?

HENRYK VIII

Muszę to skonsultować z moimi doradcami.

KARDYNAŁ

Panie, czy nie ma lepszego doradcy niż sam Bóg? Czy głowa kościoła musi słuchać doradców?

HENRYK VIII

Więc co proponujesz, Wolsey?

KARDYNAŁ

Jeszcze dziś odprawimy mszę świętą.

Specjalną mszę świętą z prośbą o błogosławieństwo dla ciebie, panie.

HENRYK VIII

Zaskakujesz mnie. Myślałem, że cię znam, tymczasem ciągle odkrywasz przede mną nowe oblicze.

KARDYNAŁ

Schlebiasz mi, panie.

HENRYK VIII

Czy Bóg zechce ze mną rozmawiać?

KARDYNAŁ

Panie, wierzę, że Bóg zechce rozmówić się z tobą twarzą w twarz.

HENRYK VIII

Dobrze. Ufam tobie i twoim radom. A co z biskupami?

KARDYNAŁ

Panie, nie sądzę, by biskupi byli przychylnie nastawieni.

HENRYK VIII

Co więc radzisz?

KARDYNAŁ

W imię wyższego dobra... Każ wtrącić każdego, kto stawia opór do lochu.

HENRYK VIII

Jeszcze nie tak dawno obawiałeś się buntu. Wojny domowej. Jak chcesz temu zapobiec?

KARDYNAŁ

Szlachtę kupimy wpływami i złotem.

A lud... To ciemnota panie. Drżą na widok miecza i ognia. Uwierzą we wszystko, jeśli odczują bat na plecach.

HENRYK VIII

Myślisz, że to pomoże?

KARDYNAŁ

Myślę, że wystarczy na jakiś czas.

Potem postawimy przed nimi autorytety.

Biskupów, których uda nam się przekupić.

Oni mają posłuch. Lud za nimi pójdzie.

HENRYK VIII

Kiedy...

KARDYNAŁ

(Przerywa w pół słowa) O wszystkim pomyślałem będąc we Francji. Wystarczy, panie, twoja zgoda.

HENRYK VIII

Niepewność tli się w moim sercu. Obawy mnie trapią, Wolsey.

KARDYNAŁ

Myślę, panie, że teraz jest najlepszy moment na podjęcie decyzji. Nauka Lutra robi rewolucję w Europie. Wpływowi ludzie idą za jego myślą. Chcą być bliżej Boga, a my im to damy.

HENRYK VIII

Papież nadał mi tytuł obrońcy wiary.

Czy to nie wpłynie źle na mój wizerunek?

KARDYNAŁ

Lud wie, żeś człowiekiem twardym i nieustępliwym. Kto ośmieli się wystąpić przeciw tobie? Czy powinienes się czego obawiać?

HENRYK VIII

Masz rację, Wolsey. Poczyń przygotowania.

Scena VI

Scena rozgrywa się w Londynie najpierw przed kaplicą, a później w jej wnętrzu.

ANNA BOLEYN

(Słysząc pewne i szybkie kroki. Echo niesie się przez korytarz) Odsunąć się!

STRAŻNIK

Pani, nie mogę nikogo wpuścić. Rozkaz króla.

ANNA BOLEYN

(Zza drzwi dobiega echo głosu Wolseya mówiącego: „Sanguis Domini nostri Jesu Christi custodiat animam meam in vitam aeternam. Amen – Ciało Pana naszego Jezusa Chrystusa niechaj strzeże duszy mojej na żywot wieczny. Amen”) Wiesz, kto będzie niebawem rządził Anglią obok króla? Otwórz te drzwi, a może oszczędzisz życie!

STRAŻNIK

(Niepewnie) Pani... Jeśli otworzę, król straci mnie jeszcze dzisiaj.

ANNA BOLEYN

(W tle słysząc głos Wolseya: „Ecce Agnus Dei, ecce Qui tollit peccata mundi – Oto Baranek Boży, który gładzi grzechy świata”) Jeśli nie otworzysz tych drzwi, będziesz wieczorem błagał o ten miecz. *(Strażnik otwiera drzwi, Anna wchodzi do kaplicy)* Panie mój! Nie pij z tego kielicha!

KARDYNAŁ

Kto ją tu wpuścił?!

HENRYK VIII

Anno! Co tutaj robisz?!

ANNA BOLEYN Panie mój, wybac mi, że przerywam tę doniosłą chwilę, ale właśnie dostałam list!

KARDYNAŁ

Straże! Wyprowadzić ją!

HENRYK VIII

Stać!

ANNA BOLEYN

Panie, twojemu życiu zagraża niebezpieczeństwo!

KARDYNAŁ

Panie! Nie możemy przerywać mszy świętej!

HENRYK VIII

O czym ty mówisz?

ANNA BOLEYN

Dostałam list z Francji. Piszą w nim, że Wolsey jest zdrajcą. Kielich jest zatruty!

HENRYK VIII

Wolsey...?

KARDYNAŁ

Panie, nie wiem, o czym ona mówi. Przed chwilą piłem z tego kielicha.

HENRYK VIII

Kto zaadresował list?

ANNA BOLEYN

Dostałam go od gońca. Nie wiem, od kogo pochodzi. Nie ma pieczęci.

KARDYNAŁ

Królu, widać padłeś ofiarą podłego żartu.

Może to jeden z twoich przeciwników nadał list. To świadczyłoby o braku pieczęci. Bał się ujawnić.

HENRYK VIII

Anno?

ANNA BOLEYN

Panie, wierzę w treść listu. Jest jeden sposób, aby przekonać się czy niesie on ze sobą prawdę.

HENRYK VIII

Jak chcesz tego dowieść?

ANNA BOLEYN

Niech Wolsey wypije z kielicha ponownie.

KARDYNAŁ

Panie, to niedorzeczne.

HENRYK VIII

Nie... Wolsey nie może się z niego napić.

Jeśli kielich rzeczywiście jest zatruty, to zginie on inną śmiercią.

KARDYNAŁ

Panie...

HENRYK VIII

Milcz! Anno, przynieś kielich. *(Po chwili)*

Strażniku. Podejdź tutaj. *(Po chwili)* Jak się nazywasz?

STRAŻNIK

Aldred panie.

HENRYK VIII

Wypij z tego kielicha.

STRAŻNIK

Panie... On jest zatruty...

HENRYK VIII: Tego nie wiemy. Pij albo zostaniesz rzucony psom na rozszarpanie! *(Strażnik pije. Po chwili dusi się i pada martwy. W tej samej chwili słychać głośny ryk króla)* Wolsey, ty zdrajco!

KARDYNAŁ

Panie, ja nic o tym nie wiem! To niemożliwe!

HENRYK VIII

Straże! Straże! Zabrać tego człowieka do lochu!

KARDYNAŁ

Panie! To Anna! To jej sprawka! Dolała trucizny do kielicha! *(Słychać jak strażę siłą odprowadzają Wolseya)*

ANNA BOLEYN

Królu mój... Najdroższy... Mówiłam, że temu człowiekowi nie wolno ufać...

HENRYK VIII

Ocaliłeś mi życie. Proś, o co chcesz, a dam ci.

ANNA BOLEYN

Niech nagrodą dla mnie będzie widok głowy Wolseya toczącej się po dziedzińcu.

HENRYK VIII

Pragniesz dla niego tak łagodnej kary?

ANNA BOLEYN

Wiele mu zawdzięczasz, panie. Wolsey zasługuje na odrobinę miłosierdzia.

Postawi cię to w dobrym świetle.

HENRYK VIII

A może ukaże mnie jako słabego człowieka?

ANNA BOLEYN

Ja tylko o to proszę.

HENRYK VIII

Dobrze. Zrobię to tylko ze względu na twoją prośbę, Anno.

Scena VII

Akcja rozgrywa się w Tower w podziemnym lochu.

ANNA BOLEYN

(Słysząc otwierające się kraty po czym do lochu wchodzi Anna Boleyn) Witaj, eminencjo.

KARDYNAŁ

(Wstaje z pryczy, słysząc sunące po kamiennej podłodze łańcuchy) Po coś tu przyszła?

ANNA BOLEYN

Nie cieszysz się na mój widok?

KARDYNAŁ

Cieszyć się na widok diabła?

ANNA BOLEYN

Powinieneś być mi wdzięczny.

A z diabłem... zobaczysz się niebawem.

KARDYNAŁ

Po coś przyszła?!

ANNA BOLEYN

Chciałam się rozmówić, zanim zostaniesz stracony.

KARDYNAŁ

Przyszłaś mnie pognać przed śmiercią ku swej ucieście?

ANNA BOLEYN

Uciech mi nie brakuje. Ale tak. Twój widok – zakutego w kajdany, poniżonego dostojnika mimowolnie budzi uśmiech na mojej twarzy.

KARDYNAŁ

Mogłam się tego domyślić.

ANNA BOLEYN

Nie, nie mogłam. Za bardzo byłeś zapatrzonny w siebie, a raczej w pieniądze...

KARDYNAŁ

Od początku stałaś za wszystkim.

Pogrywałaś Henrykiem, manipulowałaś nim.

ANNA BOLEYN

Hmm... Czasem sprzyjało mi szczęście.

Jak wtedy, gdy Hiszpanie najechali Rzym.

Tego moje plany nie przewidywały.

KARDYNAŁ

Dolałaś trucizny do kielicha.

ANNA BOLEYN

Tak. Musiałam mieć pewność, że będzie zatruty. Ty... byłeś pewną niewiadomą.

Ale rozwiązań tej sprawy było kilka.

KARDYNAŁ

Nie różnimy się tak bardzo.

ANNA BOLEYN

Wręcz przeciwnie. Dzieli nas bardzo wiele.

KARDYNAŁ

Jesteśmy tacy sami. Działamy z tych samych pobudek.

ANNA BOLEYN

Ty już nic nie osiągniesz.

KARDYNAŁ

A ten Francuz? Kim był?

ANNA BOLEYN

To był człowiek duch. Nikt. Ale winien był mi przysługę. Jeszcze gdy przebywałam we Francji.

KARDYNAŁ

Tak wiele trudu zadałaś sobie, aby mnie zniszczyć?

ANNA BOLEYN

Cóż za problem zabić człowieka? To nie daje żadnej przyjemności. Satysfakcji upatrywałam w intrygach, w planowaniu.

W tym, aby spojrzeć ci właśnie teraz w oczy i zobaczyć w nich strach.

KARDYNAŁ

Nie boję się śmierci.

ANNA BOLEYN

Każdy się jej boi.

KARDYNAŁ

Możesz już iść. Spełniłaś swoje pragnienie... *(Po chwili)* Ach... Już rozumiem. To nadal ci nie wystarcza.

Pragniesz krwi. Krwi na własnych rękach.

Widziałem, że chowasz sztylet.

ANNA BOLEYN

Chciałam, żebyś go zobaczył.

KARDYNAŁ

No, dalej. Zatop go w moim boku.

Posmakuj, jak to jest zabić człowieka.

Poczuj, jak uchodzi z niego życie.

ANNA BOLEYN

Kusi eminenca. *(Po chwili)* Wybór nie jest prosty, oj, nie.

KARDYNAŁ

Nie możesz mieć wszystkiego. Chciałabyś patrzeć na moje poniżenie, na upadek godności. Jak tłum rozrywa moje szaty.

ANNA BOLEYN

Tak... Chciałabym... Ale umierając na dziedzińcu, nie dasz mi satysfakcji.

Satysfakcji, że to ja odebrałam ci życie.

KARDYNAŁ

Spiesz się. Tłum domaga się mojej głowy.

ANNA BOLEYN

Ach, ciągłe wybory...

KARDYNAŁ

Nie potrafisz tego zrobić. Jesteś za słaba.

ANNA BOLEYN

Eminencjo... Nie dam ci tej satysfakcji.

Chciałbyś, abym odebrała ci życie.

Chciałbyś, aby oszczędzone zostało

ci poniżenie najgorsze ze wszystkich.

Opluwanie, szydzenie, wystawienie na
widok publiczny.

KARDYNAŁ

Miałś rację. Nie jesteśmy tacy sami.

Ty jesteś słabsza.

ANNA BOLEYN

Próbujesz mnie sprowokować.

Nic z tego. Ja już osiągnęłam to, co

chciałam. Napawam się twoim upadkiem.

Przegrałeś. (Z wyższością) Żegnaj, wasza
eminencjo. *(Słuchać zgrzyt więziennej kraty
i kroki Anny wychodzącej z lochu)*

KARDYNAŁ

(Wolsey krzyczy do oddalającej się Anny.

Jego głos niknie niosąc po lochu pogłos)

Niedługo będzie trwało twoje zwycięstwo!

Zapamiętaj moje słowa Anno! Już
niedługo!

Koniec

Fotorelacja z warsztatów









**MIEJSKI
OŚRODEK
KULTURY
AMFITEATR**

www.amfiteatr.radom.pl

MIEJSKI
OŚRODEK
KULTURY
AMFITEATR

X BUDŻET OBYWATELSKI

ISBN: 978-83-949621-1-1